



Grey Scale #13



A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19

JOZEF JASZOWSKI

Pamiętnik dowódcy rakiетnikоw konnych



Centimetres

Inches

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Colour Chart #13



JÓZEF JASZOWSKI

Pamiętnik dowódcy rakiетników konnych



*Pamiętnik
dowódcy raketników
konnych*



WARSZAWA



Wzrostem nie był dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy, ciemne oczy.
 Długość ciała pięćdziesiąt centymetrów, ciężar ciała siedemdziesiąt kilogramów.
 Jego zdrowie było doskonałe, nie miał żadnych chorób.
 W roku 1848 wzięty do niewoli przez wojsko pruskie.
 Józef Jaszowski

Józef Jaszowski

JÓZEF JASZOWSKI

*Pamiętnik
dowódcy rakiетników
konnych*

Przedmowę poprzedził
JERZY ŁOJEK

dop / 1

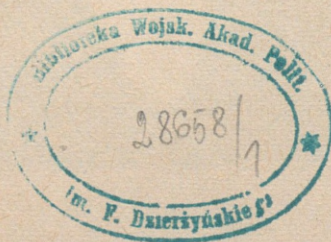
INSTYTUT WYDAWNICZY • PAX • 1968

355. (92)

Konsultacja naukowa
DR JERZY ŁOJEK

Okladkę projektował
ANDRZEJ RADZIEJEWSKI

Zdjęcia i reprodukcje do ilustracji 1, 5, 6, 8, 9,
10, 12, 13, 14, 15, 16 wykonał Ryszard Rzepecki,
pozostałe pochodzą z Archiwum Muzeum Woj-
ska Polskiego



PRZEDMOWA

Różne bywają intencje i ambicje pamiętnikarzy... Są wśród nich autorzy świadomi historycznego znaczenia swojej działalności, a więc i relacji, którą mają przekazać potomnym, przekonani, że zanotowane w ich wspomnieniach fakty i opinie będą w przyszłości kształtować sądy historyków o epoce, w której żyć im wypadło. Bywają i tacy, którzy niczym się nie odznaczyli, ale notują pracowicie dzieje swojego żywota w cichej nadziei, że zapiski te posłużą komuś do ustalenia prawdy o ludziach i wydarzeniach, z którymi niegdyś się zetknęli. Trafiają się wreszcie, wcale nie-rzadko, i tacy, którzy spisują historię swego życia tylko dla własnej satysfakcji i pouczenia wnuków, w skromnym przekonaniu, że wydarzenia, których byli naocznymi świadkami i uczestnikami, zostały już przez innych wiernie opowiedziane, a ich własna relacja nic istotnego do historii wnieść nie może i ma jedynie wartość dokumentu rodzinnego. A jednak zdarza się, że tamte wielkie wspomnienia, pisane z myślą o przyszłych dziejopisach, okazują się historycznie bezwartościowe, a w czytaniu nużące i mdłe; natomiast owe skromniutkie memuary, pochowane w rodzinnych papierach, rzadko trafiające do publicznych archiwów czy bibliotek, potrafią błysnąć najrzeczywistszą prawdą życia, okazują się nadspodziewanie barwne i żywe, zachowują dla potomności realia i szczegóły pozornie błahe, ale tak łatwo ginące w niepamięci, bowiem rzadko notowane w dokumentach życia społecznego, a pogardzone przez wielkich pamiętnikarzy o ambicjach dziejopisarskich. Jeżeli zaś autor takiego skromnego pamiętnika rodzinnego łączył w sobie talent pisarski z doświadczeniem losów charakterystycznych i typowych dla danej epoki, to dzieło jego może być lekturą i cenną, i pasjonującą...

Oto wypis z akt personalnych pewnego oficera wojsk polskich w czasach Królestwa Kongresowego*:

„Stan służby Józefa Jaszowskiego, porucznika-adiutanta brygady artylerii konnej, [później] kapitana-dowódcy półbaterii rakietników konnych:

* AGAD, Akta Komisji Rządowej Wojny, fascykuł 350: „Stany służby oficerów półkompanii rakietników pieszych i konnych”.

Urodził się we wsi Moczerady w cyrkule przemyskim, w Galicji austriackiej, dnia 8 lutego 1788 roku. Dnia 3 marca 1810 wszedł w służbę jako kanonier. Dnia 15 sierpnia 1810 postąpił na kaprała. Dnia 15 kwietnia 1811 mianowany został podporucznikiem w Szkole Artylerii i Inżynierów. Dnia 20 lipca 1811 postąpił na porucznika drugiej klasy w artylerii pieszej. Dnia 19 marca 1812 mianowany porucznikiem pierwszej klasy. Dnia 21 stycznia 1815 przeznaczony w tymże stopniu do baterii lekkokonnej. Dnia 10 kwietnia 1819 postąpił na kapitana klasy drugiej z przeznaczeniem do baterii 2 lekkokonnej. Dnia 21 maja 1820 postąpił na kapitana klasy pierwszej w tejże [baterii]. Dnia 11 września 1822 przeznaczony na dowódcę półbaterii rakiетników konnych.

Odbył kampanie w roku 1812 w Rosji, w roku 1813 i 1814 w Niemczech i we Francji przeciw sprzymierzonym. W kampanii rosyjskiej w roku 1812 był przy zdobyciu Smoleńska, w bataliach pod Możajskiem 5 i 7 września i pod Czerykowem. W cofaniu zaś był w bitwach pod Rożestwem, potem pod Wiaźmą, pod dowództwem j.o. księcia Poniatowskiego. W kampanii saskiej roku 1813 był w bitwie pod Borną, potem pod Lipskiem pod dowództwem j.o. księcia marszałka Poniatowskiego. Odbył kampanię francuską w roku 1814. Ozdobiony krzyżem Legii Honorowej 28 października roku 1813, nr 41 714.

Wszedł na granicę Polski dnia 11 sierpnia 1814 roku pod dowództwem j.w. generała dywizji hrabi Krasińskiego, komenderującego naczelnie korpusem polskim.

Żadnej przerwy w służbie nie miał”.

Oto kariera żołnierska bardzo typowa dla losów oficera polskiego w pierwszej ćwierci XIX wieku... A jeżeli miały mu jeszcze przypaść w udziale doświadczenia roku 1830 i 1831, potem zaś lata pracy ziemiańskiej na roli, po upadku powstania listopadowego, gdy z większością jego uczestników wolał wybrać upokorzenia wiernopoddanej przysięgi niż razem z nieprzejednaną mniejszością iść na emigrację — to historia jego życia, może niezbyt efektowna, ale jakże charakterystyczna, a opowiedziana barwnie i sugestywnie, warta jest doprawdy poznania, a także i refleksji nad zjawiskami, które uformowały ciekawą i typową dla tych czasów mentalność autora.

Pułkownik Józef Jaszowski zaczął spisywać dzieje swojego życia w wieku już podeszłym, bo po ukończeniu lat siedemdziesięciu, w czasach, gdy można było łudzić się nadzieją lepszej przyszłości dla Królestwa Polskiego, w czasach „odwilży” po klęsce Rosji w wojnie krymskiej, w przededniu reform Wielopolskiego; ukończył je w roku 1860. Pisał swój pamiętnik dla dzieci i wnu-

ków; nie wiązał z tym dziełem żadnych nadziei, nie upatrywał w nim wartości historycznych. Był człowiekiem z natury skromnym, dziejopisem zostać nie zamierzał, chciał po prostu zanotować dla swoich potomków wspomnienia o czasach swojej młodości, epoce wielkich nadziei i wielkich klęsk narodowych. Miały to być jak najściślej jego dzieje osobiste; wydarzenia historyczne, których był świadkiem, uważał za całkowicie wyjaśnione i opisane przez specjalistów-historyków, toteż rezygnował z góry z posilkowania się pamięcią przy relacjonowaniu wypadków politycznych i wojennych lat 1812—1815 czy 1830—1831, wolał zawierzyć popularnym opracowaniom, streszczając je dla użytku swoich czytelników, oddzielając zresztą wyraźnie fragmenty „historyczne” od wspomnień osobistych. Wielka to szkoda, że pułkownik Jaszowski nie miał zacięcia polemicznego i godził się tak łatwo na ustalenia historyków, za jego życia traktujących zresztą dzieje wojen napoleońskich i powstania listopadowego bardzo jeszcze nieporadnie i w oparciu o nieliczne źródła. Mógłby wiele powiedzieć, gdyby zechciał się z nami podzielić swoimi osobistymi poglądami na ludzi i wydarzenia tych czasów. Jest bardzo charakterystyczne dla postawy autora „Pamiętnika dowódcy raketników konnych”, że zalecał czytelnikowi przede wszystkim lekturę tych części swego dzieła, w których pomieścił streszczenia historii powstania listopadowego pióra Karola Neufelda, lub dziejów kampanii napoleońskich według niemieckiej encyklopedii, a oryginalne i autentyczne jego fragmenty uważał za najmniej interesujące, zdadne do opuszczenia, gdyby niezbyt pilnemu czytelnikowi brakowało czasu czy chęci do staranniejszej lektury. Zdziwiłby się zapewne pułkownik Jaszowski, gdyby mu powiedziano, że w sto lat po jego śmierci właśnie te zlekceważone przezeń wspomnienia osobiste będą dla nas najciekawsze i najcenniejsze.

Wszystko, co wiemy o osobowości i umysłowości autora pamiętnika, zaczerpnięte zostało z kart jego rękopisu i z nielicznych notat i dokumentów osobistych, które ocalały po stuletnich burzach dziejowych. Dokumenty urzędowe wystawiają mu jednoznacznie świadectwo jak najpochlebniejsze; był oficerem zdolnym i inteligentnym, służbiście nienagannym. W świetle papierów osobistych wydaje się człowiekiem skromnym i światłym, o usposobieniu powściągliwym, w młodości nieco romantycznym, w starości pogodnym i przekonanym o łasce Opatrzności, która po latach niepewności i rozterki nagrodziła go ponad najśmielsze nadzieje. Był człowiekiem umiarkowanie religijnym, trochę konserwatystą, ale wysoko ceniącym postęp techniczny i społeczny, wierzył w lepszą przyszłość zarówno społeczeństwa polskiego, jak i całej ludz-

kości, spodziewał się, że w epoce poszanowania praw narodowych, która — jak sądził — rozpoczęła się w połowie XIX stulecia, musi nadejść chwila, gdy i naród polski odzyska wreszcie samodzielny byt państwowy, bez wstrząsów wewnętrznych, wojen i powstań, po prostu wskutek uznania przez całą Europę, że prawa jego są nie gorsze od praw innych społeczeństw. Patriotyzm pułkownika Jaszowskiego był spokojny i bynajmniej nie namiętny; nie ufał żadnym wstrząsom rewolucyjnym, wierzył w postęp ewolucyjny, spokojny, może powolny, ale systematyczny. Wiązała się z tym głęboka wiara w sens i potęgę nauki. Osobiście cenił najwyżej matematykę, którą studiował — trochę po amatorsku, ale z niezłymi wynikami — właściwie aż do końca życia. Starał się zawsze zgłębić gruntownie przedmiot swojego zainteresowania; notaty jego imponują starannością i systematycznością rozłożenia studiowanego materiału. Gdy osiadł na roli i zajął się wiejskim gospodarstwem, zaczął od gruntownego przeczytania wszystkich dostępnych dzieł z zakresu agronomii, hodowli i leśnictwa. Gdy przyszło na świat kilkoro dzieci pp. Jaszowskich, sprowadził sobie ówczesne podręczniki pedagogiczne i na ich podstawie napisał swojego rodzaju obszerny traktat o zasadach wychowawczych, które zamierzał stosować w pracy nad edukacją moralną i intelektualną swoich synów i córek.

Pisał ładnie i ciekawie, stylem spokojnym, ale barwnym, polszczyzną bogatą, w której znać wyraźnie dziedzictwo językowe epoki Oświecenia. Pamiętnik Józefa Jaszowskiego ma zresztą wartość nierównomierną, są w nim fragmenty pasjonujące, są i nieco słabsze (nie mówiąc już o pominiętych w niniejszym wydaniu streszczeniach opracowań historycznych czy artykułów encyklopedycznych). Rozpoczął autor od dziejów swojej edukacji po opuszczeniu domu rodzinnego. Ciekawe są szczegóły pobytu w gimnazjum w Przemyślu, pod opieką kanonika Kajetana Drażewskiego, i studiów na uniwersytecie we Lwowie w latach 1806—1809. Z epoki tej niewiele mamy relacji pamiętnikarskich ukazujących życie codzienne na prowincji polskiej, tym cenniejsze są więc wszelkie realia zanotowane przez autora. Potem służba w armii Księstwa Warszawskiego, pierwsze zetknięcie się z artylerią, która aż do roku 1831 będzie główną namiętnością porucznika, potem kapitana, majora i podpułkownika Jaszowskiego. Warto zwrócić uwagę na cenne informacje dotyczące techniki artyleryjskiej w czasach napoleońskich i w latach 1815—1831, rozproszone w wielu miejscach „Pamiętnika dowódcy raketników konnych”; tego rodzaju realia rzadko trafiały do pamiętników byłych wojskowych; autorzy uważali je zazwyczaj za zbyt błahe i powszechnie

znane, pomijali więc te sprawy w swoich wspomnieniach, nie bacząc, że po kilkudziesięciu latach historycy z trudem odtwarzać je będą ze starych podręczników, regulaminów i notat. (W posiadaniu prawnuka autora, p. Witolda Jaszowskiego, zachowały się ponadto cenne zapiski i notaty jego pradziada z okresu Królestwa Kongresowego, które również mają sporą wartość źródłową dla badacza historii wojskowości, a zwłaszcza organizacji i techniki artylerii polskiej w pierwszej ćwierci XIX wieku.)

Do najciekawszych fragmentów pamiętnika należy relacja o kampanii roku 1812 w Rosji, potem wspomnienia z wojny 1813 i 1814 roku w Niemczech i we Francji. Służba wojskowa w czasach Królestwa Kongresowego to przede wszystkim drobne realia życia oficerskiego na prowincji (czasami zresztą bardzo ciekawe i charakterystyczne) oraz nadzwyczaj cenny i interesujący fragment dotyczący konnej artylerii raketowej, której dowódcą kapitan Jaszowski mianowany został w roku 1822. Artyleria raketowa, zastosowana po raz pierwszy w początkach wieku XIX przez wojska brytyjskie według wynalazku inż. Congreve'a, nie spotkała się w sferach wojskowych ówczesnej Europy z większym zainteresowaniem; jedynie w. ks. Konstanty, stawiający sobie za punkt honoru wyposażenie armii Królestwa Polskiego w najnowsze zdobyczne techniki wojennej, rozkazał utworzyć w wojsku polskim dwie formacje raketnicze, baterię pieszą i baterię konną. Artylerzyści polscy zapatrywali się zresztą bardzo sceptycznie na użyteczność tej ultranowoczesnej broni w warunkach bojowych, toteż nie rozwijano bynajmniej ani technologii produkcji rakiet, ani taktyki ognia artylerii raketowej, poprzestając na prostym adaptowaniu do warunków polskich prymitywnego stosunkowo wynalazku angielskiego. Wydaje się, że artyleria polska poniosła w ten sposób poważną stratę. Ulepszenie konstrukcji pocisków i łoż raketowych mogłoby zmienić zasadniczo celność i donośność rakiet kongrewskich, a prostota ładowania i celowania oraz szybkostrzelność tej broni byłaby w stanie uczynić z niej poważnego konkurenta artylerii klasycznej, nawet w warunkach słabo jeszcze rozwiniętej technologii wieku XIX. Rzecz ciekawa, kapitan Jaszowski, zdecydowany tradycjonalista w dziedzinie techniki artyleryjskiej, nie miał wyraźnie przekonania do praktycznej przydatności swojej formacji w czasie wojny; w pamiętniku swoim ani słowem nie wspomina o zaletach rakiet kongrewskich, widać wyraźnie, że z lekkim sercem pozbył się tego niezwykłego wyposażenia, w początkach wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku wymieniając je na tradycyjne armaty 3-funtowe. A przecież druga formacja raketnicza, bateria piesza pod dowództwem kapitana Skal-

skiego, odegrała poważną rolę w czasie bitwy pod Grochowem, rozpraszając i rażąc skutecznie szarżującą w ostatniej fazie bitwy kawalerię rosyjską.

O wojnie roku 1831 Józef Jaszowski pisze stosunkowo niewiele. Wolał zawierzyć relacji i opiniom Karola Neufelda, nie zanotował ani swoich własnych refleksji, ani poglądów na zasadnicze problemy polityczne i militarne powstania listopadowego. Trudno nie ubolewać nad tą powściągliwością autora; będąc przedstawicielem zawodowego korpusu oficerskiego armii polskiej mógłby wiele powiedzieć choćby o postawie moralno-politycznej tegoż korpusu i generalicji (która rozstrzygnęła ostatecznie o losie powstania), mógłby zanotować ważne fakty i opinie dotyczące kolejnych naczelnych wodzów i sztabu generalnego wojsk polskich — jakże użyteczne dla dzisiejszego historyka! Odnosi się wrażenie, że powściągliwość autora spowodowana była niechęcią do polemiki i dyskrecją, a także swojego rodzaju solidarnością zawodową; gdyby chciał napisać to wszystko, co wiedział o ludziach roku 1831, musiałby ciężko obwinić całą prawie generalicję i korpus oficerski. Wolał milczeć, wolał przedstawić po prostu rejestr własnych marszów i starć bitewnych w czasie wojny polsko-rosyjskiej wiosną i latem 1831 roku.

Nie znaczy to jednak, by z dzieła pułkownika Jaszowskiego nie można było wyłuskać cennych wiadomości, jakże przydatnych dla lepszego oświetlenia dziejów wojny i klęski polskiej w czasie powstania listopadowego. Interesujące są np. jego uwagi o doskonałym zaopatrzeniu i wyposażeniu armii polskiej, a także o poważnych zasobach unieruchomionych, nie używanych i zmagazynowanych dział, które bardzo łatwo można było przystosować do potrzeb wojennych. Były to działa zdobyczne tureckie z wojny 1827—1829 roku, w które wyposażono potem baterię Jaszowskiego, były to również zachowane w znacznych ilościach armaty 6-funtowe i 10-calowe granatniki pruskie, „których niemało mieliśmy po Prusakach” zбитych przez Napoleona w latach 1806—1809”. Te informacje autora są ważnym śladem pozwalającym na wysunięcie hipotezy, iż oficjalne raporty o mizernym stanie liczebnym i słabym wyposażeniu artylerii polskiej w roku 1831, które stały się potem podstawą źródłową dla naszej historiografii, zajmującej się dziejami wojny 1831 roku, bardzo rozmijały się z prawdą; wydaje się, że niektóre osobistości w dowództwie armii polskiej były bardzo zainteresowane w ukryciu i niewykorzystaniu znacznych zasobów artyleryjskich, które znajdowały się ówczesnie w dyspozycji wojsk polskich.

Może najciekawszym fragmentem całego pamiętnika są wspom-

nienia z ostatniej fazy wojny roku 1831. Jakże charakterystyczne są relacje o nieustannym odkomenderowywaniu baterii Jaszowskiego na drugo- i trzeciorzędne odcinki frontu, byle z dala od miejsca, gdzie ważyły się losy militarne całego powstania! 7 września 1831 roku podpułkownik Jaszowski stacjonuje sobie spokojnie na prawym brzegu Wisły, gdzie „przyłożywszy ucho do ziemi” dowiaduje się o krwawej bitwie o Warszawę, bowiem „słychać było ogromną kanonadę w stronie Warszawy...” Możemy sobie wyobrazić tę przedziwną sytuację: potężna, kilkunastodziałowa, świetnie zaopatrzona bateria stoi wyprzężona gdzieś na skraju cichej, zapadłej wsi, w promieniach wrześniowego słońca wygrzewają się spokojnie konie i kanonierzy — podczas gdy o kilkanaście kilometrów dalej na południe toczy się uparty, krwawy bój, gdy osłabione i wyczerpane załogi redut wolskich ostatnim wysiłkiem odpierają szturmy wojsk Paskiewicza, gdy nieliczna artyleria polska słabo już odpowiada dominującej artylerii rosyjskiej... Autor nie wyraża swoich opinii, jest w sądach arcypowściągliwy, ale można wyczuć, iż widzi ogrom zaprzepaszczonego przez polskie dowództwo szans operacyjnych, chociaż nie domyśla się wcale istotnych przyczyn takiego niepojętego postępowania.

We wrześniu 1831 roku pułkownik Jaszowski zdecydowany był skorzystać z carskiej amnestii i pozostać w kraju. Nie pisze nic o powodach tej decyzji, możemy sądzić, że przesądziły tu przede wszystkim względy rodzinne. Nie był zresztą w decyzji swojej odosobniony; po dziś dzień rzadko zdajemy sobie sprawę z faktu, że jesienią 1831 roku tylko nieznaczna część uczestników powstania listopadowego udała się na emigrację, że zasadnicza część korpusu oficerskiego, nie mówiąc już o rzeszach żołnierskich, pozostała w kraju, że już na długo przed ostateczną klęską dość powszechne wśród generalicji i korpusu oficerskiego było przekonanie, że kontynuowanie walki nie ma sensu, że należy szukać za wszelką cenę dróg do uzyskania carskiego przebaczenia... Postawa lojalistyczna przejawiała się oczywiście w różnym nasileniu; mamy jednak podstawy sądzić, że pułkownik Jaszowski lojalistą nie był, żadnych sentymentów wobec „prawego monarchy” nie żywił, po prostu uległ naciskowi sytuacji i zwykłej życiowej konieczności, nie mając żadnych środków na podjęcie zagranicznej tułaczki razem z młodą, niedawno poślubioną żoną. Ciekawy jest jednak i bardzo charakterystyczny dla mentalności zawodowego oficera tych czasów zupełny brak wszelkich emocji w chwili tragicznej klęski; Jaszowski nie unosi się, nie szuka winnych przegranej, nie pisze nic o swojej wizji przyszłości w warunkach rosyjskiej okupacji wojennej, pod ciężkim berłem „miłościwego

imperatora" Mikołaja I; przyjął klęskę i powrót władzy rosyjskiej w Królestwie jako fakt oczywisty, od dawna spodziewany, prawie że obojętny dla dalszych losów kraju i społeczeństwa. Nie można mu dzisiaj czynić z tego zarzutu; był po prostu wyrazicielem poglądów i emocji bardzo rozpowszechnionych w wojsku polskim pod koniec powstania listopadowego.

Wrócił do zakupionej niedawno wsi, Łychowskiej Woli, i na 28 włókach gruntu rozpoczął ziemiańskie gospodarstwo. Z ostatnich stronie pamiętnika widzimy wyraźnie, że to swoje rolnicze zajęcie otaczał dużym sentymentem, że ambicją jego było postawienie zaniedbanej dawniej wsi na najwyższym poziomie gospodarczego rozwoju. Zapewne najmniejszą już wagę przywiązywał Józef Jaszowski do relacji o swoich osiągnięciach i planach w czasie gospodarowania w Łychowskiej Woli. A przecież jest to jedna z najbogatszych w polskiej literaturze pamiętnikarskiej relacji o strukturze i funkcjonowaniu gospodarstwa szlacheckiego w Królestwie Polskim w połowie wieku XIX, w okresie przechodzenia od robocizny pańszczyźnianej do wolnego najmu robotników rolnych. Ciekawe są informacje o intensyfikacji uprawy roli, o wprowadzaniu gospodarki hodowlanej. Dla historyka zagadnień gospodarczych połowy XIX stulecia te fragmenty pamiętnika Jaszowskiego będą miały wartość niepoślednią. Natomiast dla szerokiego ogółu czytelników ciekawa będzie przede wszystkim relacja o warunkach egzystencji średniozamożnego ziemianina w Królestwie Polskim w dobie międzypowstaniowej.

We fragmentach dotyczących lat 1831—1860 uważnego czytelnika uderzy może jedno charakterystyczne zjawisko: Józef Jaszowski pisze wiele o swoich problemach i kłopotach gospodarczych, troszczy się o edukację i przyszłość dzieci — natomiast nie dostrzegamy, aby jakąkolwiek troską napawały go sprawy polityczne i narodowe. Nie interesuje się losami swoich dawnych współtowarzyszy broni, którzy na dalekim wygnaniu toczyli zawzięte spory o szanse i przyczyny klęski powstania listopadowego. Czasem tylko wspomni ogólnie swoje nadzieje na lepszą przyszłość... Gdyby nie wzmianki o kłopotach z władzami rosyjskimi w Warszawie w pierwszych latach po upadku powstania, nieobeznany ze stanem rzeczy czytelnik mógłby dojść do wniosku, że autor pamiętnika czuje się jak najbardziej obywatelem suwerennego, niepodległego państwa. I znowu musimy podkreślić, że ten swoisty indyferentyzm polityczny autora nie jest niczym szczególnym czy niezwykłym. Wiele pamiętników z tej epoki przynosi nam identyczny obraz spokoju i obojętności oświeconych warstw Królestwa Polskiego na sprawy polityczne i narodowe w okresie

międzypowstaniowym. Rzuca to ciekawe światło na przyczyny niepowodzenia prób walki niepodległościowej w XIX wieku...

Dzieci (a miał pułkownik Jaszowski czterech synów i córkę) rosły, trzeba było myśleć o edukacji. Był to dla każdego niezbyt zamożnego ziemianina w Królestwie Polskim problem bardzo poważny. Jaszowski przeniósł się więc do Warszawy, zdecydował się kontentować mierniejszym dochodem z ziemskiego majątku, byle tylko zapewnić swej dziatwie należyte wykształcenie. Powiodło mu się w tym znakomicie; pod koniec życia mógł z satysfakcją myśleć o swoich osiągnięciach w ciągu trzydziestu lat, które upłynęły od rozstania z mundurem wojskowym.

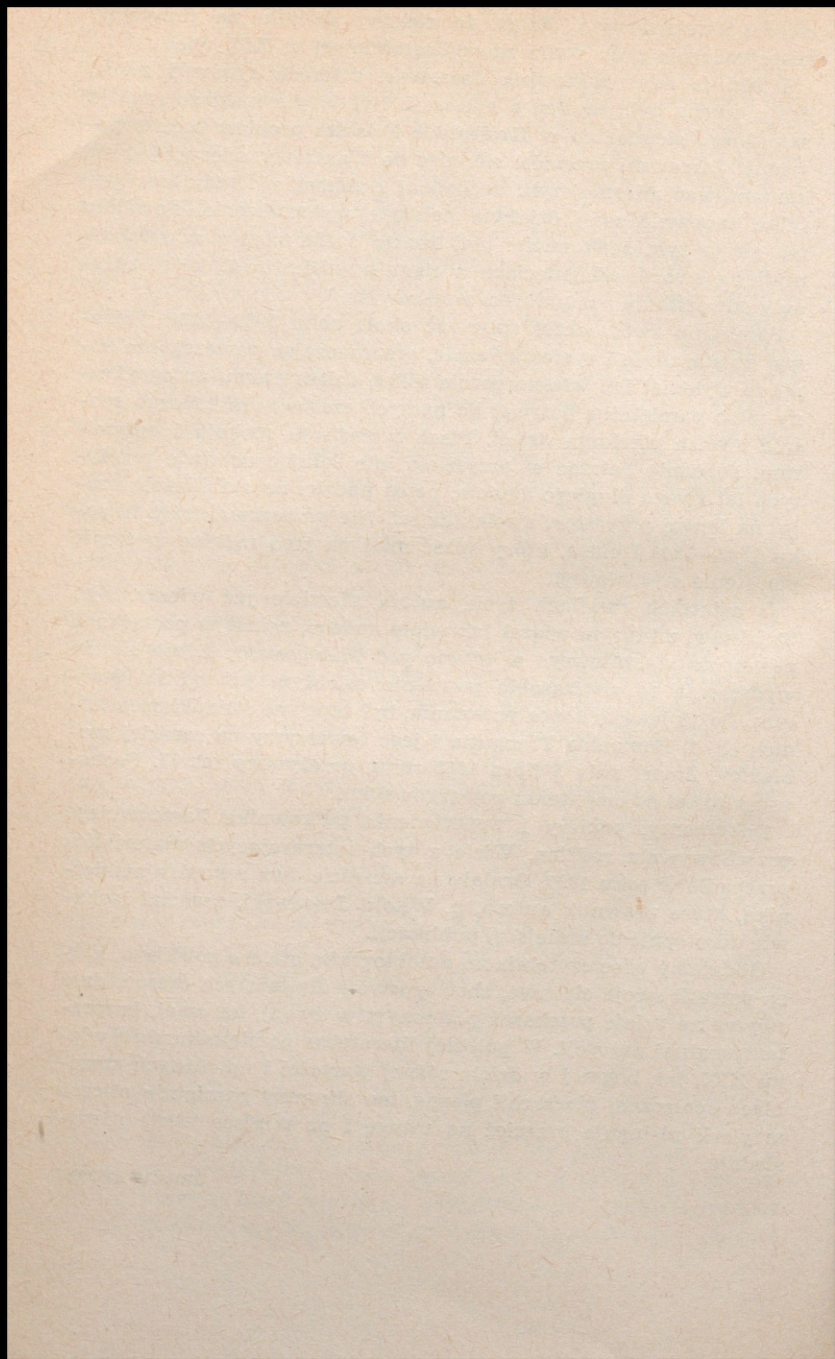
Pamiętnik swój zaczął spisywać około roku 1858—1859. Spisywał go starannie i systematycznie, przeznaczając poszczególne kopie (a wykonał ich własnoręcznie kilka, dzięki czemu autograficzny tekst pamiętnika dotrwał do naszych czasów) dla każdego spośród swoich pięciorga dzieci. Pisał w nastroju spokoju i optymizmu, pogodnie patrząc w przyszłość, nie żałując uczciwie przeżytych lat swego długiego żywota, pełen nadziei na stabilizację kraju, na lepszą przyszłość swoich dzieci. Nie przeczuwał tragedii roku 1863—1864 i ciosu, który spaść miał na jego rodzinę w czasie powstania styczniowego.

O ostatnich chwilach życia autora niewiele już wiemy. Syn Stanisław, z którym wiązał tak wiele nadziei, zginął w początkach powstania styczniowego w bitwie pod Małogoszczą. Zdaje się, że wydarzenie to wstrząsnęło poważnie osłabłym już od lat starcem. Dożył jeszcze końca powstania, był zapewne świadkiem ostatnich chwil Romualda Traugutta i jego towarzyszy na carskiej szubienicy. Zmarł dnia 5 lipca 1865 roku, przeżywszy lat 77. Pochowany został na cmentarzu powązkowskim.

Dokumenty, papiery i wspomnienia pułkownika Jaszowskiego przechowywała rodzina. Wiele z tych interesujących materiałów przepadło w roku 1939. Ocalały na szczęście dwa rękopisy pamiętnika, które prawnuk autora, p. Witold Jaszowski, zechciał łaskawie udostępnić do niniejszej publikacji.

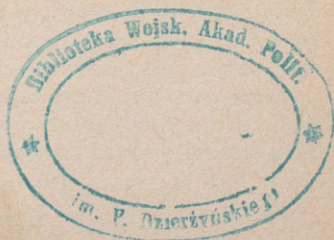
Oddajemy więc czytelnikom autobiografię oficera polskiego, który potrafił swoje ciekawe, choć typowe i dla tamtych czasów dość zwyczajne dzieje przekazać potomnym w żywej, barwnej, bezpretensjonalnej narracji. W polskiej literaturze pamiętnikarskiej wieku XIX, tak bogatej w dzieła różnej wartości i na różnych szczeblach społecznej hierarchii pisane, ten skromny pamiętnik oficera artylerii zasługuje przecież na uwagę i na miejsce wcale niepoślednie.

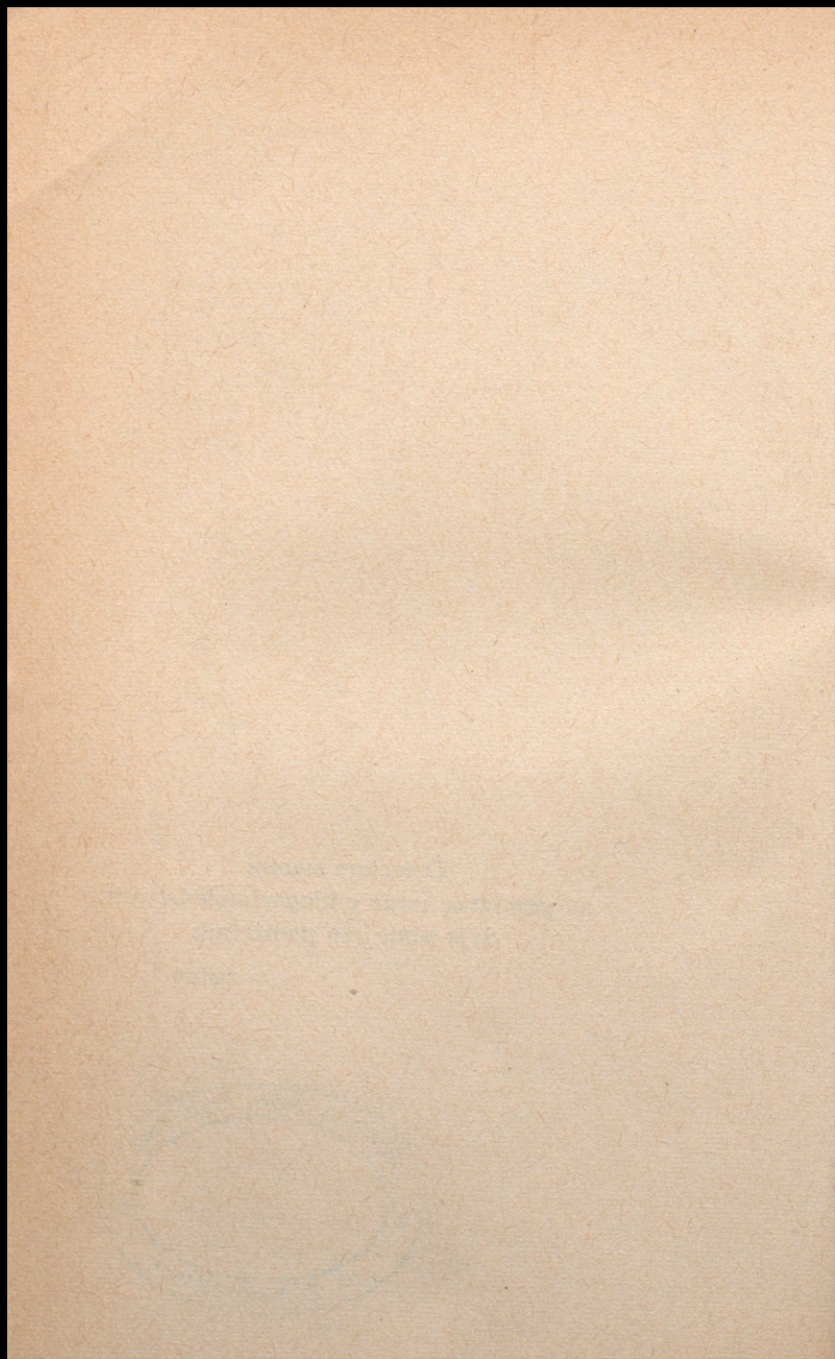
JERZY ŁOJEK



Dzieciom swoim
na pamiątkę wraz z błogosławieństwem
daje niniejszy pamiętnik

autor





WSTĘP

Odbywwszy kilka ciężkich kampanii w wojsku polskim, wycierpiawszy wiele głodu, zimna, bezsenności, smutku i wszelkiej nędzy, miawszy udział w wielu morderczych bitwach, z których za łaską niebios cały wyszedłem i do kraju, mimo straconej nadziei, powróciłem, przeszedłszy dwa razy całą blisko Europę wzdłuż, bo zza Moskwy aż za Paryż, napatrzysz się niemało znakomitych ludzi, rzeczy i wypadków — gdym niekiedy ustępy z mego życia opowiadał, zachęcano mnie (a należały tu i damy), ażebym, posiadając zwłaszcza dziennik moich wojskowych podróży, pamiętnik tego, com widział, słyszał lub doświadczył, napisał, a nawet mnie ganiono, żem tego dotąd nie uczynił, należąc do czasów dawno minionych, a zatem historycznych, najdziwniejszej i najpamiętniejszej może epoki świata.

Pomyślawszy nad tym utwierdziłem się w tym zdaniu, że kiedy tyłu pisze zmyślane romanse, powieści, często żadnego pożytku dla serca i umysłu nie przynoszące, a tylko rozrywkę, tym bardziej zdawało mi się słusznym wypadki rzetelne mego życia — acz ckliwe, błahe i nudne — w opisie zostawić, gdy będąc rzuconym w świat jak piłka bez żadnej opieki, bez żadnego nawet listu polecającego, wszędzie, w różnych krajach, znalazłem ludzi dobrych, poczciwych i wśród najmniej przyjaźniejszych dla narodu okoliczności los dosyć piękny i niepodległy sobiem wyrobił.

Dziś, przeszło siedmdziesięcioletni starzec, wolen już jestem od próżności i piszę jedynie dla moich dzieci i powinowatych, którzy to zapewne czytać będą jako pamiątkę po ich przodku, a może nawet i ich potomkowie — bo dzisiaj pamiętniki Paska po dwóch wiekach (broń Boże, żebym moje chciał z tamtymi równać) z chciwością czytamy i malujemy — ostrzegając je razem, że najbezpieczniej zawsze jest iść drogą prostą, drogą powinności, a w największych nieszczęściach i niepowodzeniach rąk nie opuszczać i nie rozpaczać.

Jeszcze jeden był ważny powód do tego pamiętnika, a mianowicie ten, że wiele jest ich pisanych przez oficerów piecho-

ty i jazdy w różnych językach, dających poznać naturę i szczególności tych broni, a nie zdarzyło mi się nigdy czytać lub widzieć pamiętników oficera artylerii — broni dzisiaj przez swe wynalazki francuskie i angielskie tak wysoko stojącej — który by przystępnie ją opisał; ponieważ, jeżeli który był wyższego polotu, został później generałem broni, marszałkiem państwa, a nawet cesarzem, więc już o artylerii nie pisał, ale o wszystkim; otóż ten brak chciałem zapełnić i o ile mi się to udało, pobłażający potomek to osądzi.

Mało, nader mało żyje towarzyszy z mego zawodu wojkowego, a tym mniej z zawodu uniwersyteckiego, chociaż po Bożym świecie rozrzuconych, jak deski z rozbitego okrętu, tu i owdzie nieco się jeszcze tuła; a jeżeli niekiedy zdarzy się spotkać dawnego kolegę, którego od dawna miało się za nieżywego, ach! wtenczas witamy się z rozkoszą, jakby na Polach Elizejskich, jakby ludzie z tamtego świata.

Kto nie będzie miał czasu lub woli do przebieżenia tych błahych pamiętników, niech koniecznie przeczyta je od rozdziału XXIV do XXVIII włącznie, w których jest opisana nasza walka rewolucyjna przez Neufelda, a dowie się wielu rzeczy ciekawych, a może czego się i nauczy.*

* Polecane przez autora fragmenty pamiętników zawierają jedynie obszerną relację o powstaniu listopadowym i wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. według dzieła: Karl Neufeld, „Polens Revolution und Kampf im Jahre 1831”, Frankfurt a/M 1832, s. 483; wyd. II: 1833. Brak w nich jakichkolwiek elementów wspomnieniowych, a nawet ocen subiektywnych. Z tego powodu zostały w niniejszym wydaniu pominięte (por. s. 162).

Przypisy z gwiazdką pochodzą od wydawcy; przypisy autora, zamieszczone na końcu „Pamiętnika”, sygnalizowane są w tekście cyfrą w nawiasach.

I

WIELKIE PRZYGODY W MAŁYM WIEKU

Urodziłem się we wsi Moczeradach w cyrkule przemyskim w Galicji austriackiej dnia 7 lutego 1788 r.* z ojca Piotra i matki Anieli z Tatomirów.

Z pierwszego małżeństwa mego ojca było czterech synów: Franciszek sędzia, Aleksander rolnik, Walenty wojskowy i Ksawery sędzia; z dwóch córek Katarzyna wyszła za mąż za Klimkowskiego, a druga (imienia nie pamiętam) za Jan-kowskiego; wszyscy dawno już nie żyją. Z drugiego małżeństwa mego ojca ja najstarszy tylko przy życiu zostałem, a reszta rodzeństwa w różnych latach wieku młodocianego wymarła.

Przodkowie moi mieszkali we wsi Jaszowicach pod Radomiem, swym gnieździe rodzinnym, jak świadczy akt działu dóbr Jaszowice i Chruslice między dwoma braćmi: Pawłem i Jakubem, r. 1552 za ostatniego z Jagiełłów zdziałany, w księdze „Bieg mego życia” się znajdujący, a wyjęty przeze mnie w kopii z akt radomskich podczas mego wywodu szlachectwa w r. 1838, przez rząd rosyjski nakazanego legitymowania się wszystkim, którzy by prawo do tego tytułu mieć sądzili. Tamże w Radomiu widziałem niemało aktów dotyczących się rodziny Jaszowskich. Ciekawy potomek mógłby się jeszcze dowiedzieć dosyć o swoich przodkach, poszperawszy nieco w Archiwach Koronnych w Warszawie.

Pamiętam, że byłem żywego temperamentu, tak jak i dzisiaj, ciała giętkiego, do ćwiczeń gimnastycznych sposobnego; mogłem więc wyjść na dobrego kuglarza, a może nawet na baletnika, ale los inaczej mną pokierował. Nie miałem nigdy żadnej chęci do bogactw, znaczenia i wystawności, o czym później, poznawszy świat i czytając dużo, jeszcze bardziej się przekonałem i utwierdziłem, że dostatki szczęścia jeszcze nie przynoszą.

* Według stanu służby w aktach Komisji Rządowej Wojny dnia 8 lutego 1788 r.

Roku 1796 oddany zostałem w Przemyślu do szkół niemieckich, czyli normalnych poprzedzających gimnazjum, gdzie w trzech latach je przeszedłem; wszystko szło mi łatwo, szczególnie polubiłem rachunki.

Miasto Przemyśl nad piękną rzeką Sanem, historyczne, z ruinami zamku, ze śladami trzęsienia ziemi według podania, z siedmiu kościołami, pałacem biskupim, pyszną katedrą, z mostem krytym nad Sanem, w połowie którego w naturalnej wielkości posągi Najświętszej Panny i św. Jana Nepomucena — nader mile mi się przypomina, bo w nim przez lat ośm ciągle mieszkalem, oprócz wyjazdów na wieś na święta i wakacje.

Z tej epoki życia idzie najprzód zabawne zdarzenie. Ksiądz profesor religii, przygotowując nas do spowiedzi, mówił między innymi, ażeby dla pewności każdy swe grzechy z książki stosownej na kartce wypisał i ich się na pamięć nauczył. Zrobiłem tak i kartkę włożyłem do kamizelki, która razem z inną bielizną na wieś odesłana została, a o kartce zupełnie, jak młody roztrzepany żak, zapomniałem. Przyjechawszy na święta do rodziców, okrzyknięto mnie jednogłośnie: „Jawnogrzesznik... jawnogrzesznik...” Pytam się, co to znaczy, nie chcą mi powiedzieć, ale się wszyscy śmieją (bo i sługi o tym wiedziały); nareszcie po długim mnie wytrzymaniu kartkę mi oddają. Proszę sobie wystawić moje zakłopotanie.

Innym razem, brat mój Walenty — który, służąc w polskiej jeździe, dostał się pod Maciejowicami do niewoli i razem z wielu oficerami polskimi, przy uwolnieniu przez Pawła cara Kościuszki, na wolność został wypuszczony; mieszkając jako kawaler przy ojcu, zwykle mnie z Przemyśla do domu przywoził i odwoził — jadąc tedy raz ze mną na święta Bożego Narodzenia w mrozy, chociaż tylko trzy mile od Przemyśla mieszkaliśmy i chociaż dobrze futrem byłem okryty, chciałem drogę, dla zyskania na czasie, skrócić i zamiast naokoło stawu — a stawy w Galicji bywają wielkie, czasem na milę długie — jak się zwykle jeździło, po przepytaniu się poprzednim kazał za śladem po lodzie przez staw jechać. Przez czas jakiś jechaliśmy saniami dobrym kłusem, lecz zbliżając się ku środkowi stawu, lód zaczął trzeszczeć, i to coraz gorzej. W tej trwodze brat kazał puścić konie w cwał, mniemając to być jedynym środkiem ocalenia. Jakoż szczęśliwie do lądu przybyliśmy, ale konie były pianą pokryte, lód zaś za nami tak przykry łoskot wydawał, jak gdyby gromada ludzi kije łamała.

Raz znowu, odwożąc mnie brat po wakacjach do szkół na 1 września, pozwolił psu stajennemu biec za nami, który w lesie Bykowskim, pełnym bagien i wybojów, postrzegł jakiegoś zwierzę i w pogoń się za nim puścił; był to zaś wilk, który udał ucieczkę, ażeby psa daleko odwiódłszy, mógł go swobodnie schrupać. Dziwiliśmy się przeto, że psa przez jakiś czas nie było widać. Wtem wybiega do nas wciąż jadących, a za nim i wilk tuż. Strzelby nie było, a pies biegł wciąż obok forysia, który z konia jechał, a wilk kłusował o kilka kroków za nami tą samą ścieżką co pies, mimo naszego krzyku i trzaskania z bicza; słowem, tak psa zmęczył i strwożył, że ten nareszcie na brykę do nas wskoczył; wilk zaś przez cały las nam towarzyszył, aż wyjechaliśmy na pole, gdzie przez ludzi jeszcze pracujących odstraszony został. Ja zaś, który pierwszy raz wilka tak blisko widziałem, nie mogłem oczu od niego oderwać i ciągle na niego w tył patrzałem, skutkiem czego potem głowy naprostować nie mogłem i ból ten mnie przez parę dni męczył, aż dopiero po jakichś okładaniach szyi ustąpił.

Jeszcze miałem nie lada przypadek, wracając także do szkół z wakacji, a zawsze z bratem Walentym, którego bardzo kochałem, że mnie lubił i że się prosto trzymał; a mieliśmy z sobą dubeltówkę, ponieważ w tym roku szczególnego rodzaju plaga nawiedziła Galicję, mianowicie: bandy łotrów, którzy zamaskowani po kilkunastu z brykami i konnymi towarzyszami najeżdżali dwory i rabowali, tak dalece, że zamożniejsze domy wszelką broń sieczną, koleczą i palną z lamusów wydobyć i opatrzyć kazały, czuwając co noc ze strażą uzbrojoną i na trzy zmiany po kilku lub kilkunastu ludzi podzieloną, albowiem oprócz dworzan, i włościan zdatniejszych do obrony powołano. Nieco przed moim wyjazdem z domu zbójcy ci srodze księdza w naszym sąsiedztwie mieszkającego zamordowali, a inny dworzec, gdzie wdowa z córkami mieszkała, zrabowali do szcztu. Ci niegodziwce przebierali się wprzódzy za kwestarzy, a tak przepatrując dwory, często nawet w nich nocując, na pewno potem napady wykonywali.

Otóż w takich okolicznościach puściliśmy się w drogę, a mijając niewielki borek słyszemy silny głos zeń wychodzący: „Stój!” Foryś, nie czekając rozkazu, puścił konie co mogły wyskoczyć; pędzimy tedy, ale słyszemy zarazem rozmaite głosy za nami: „Stój! Stój! Stój!” Wreszcie minawszy ten feralny lasek wpadamy w długi, głęboki i przykro spadzisty wąwóz, gdzie się, acz bez szwanku wywracamy, a wszelkie zapasy owoców, orzechów, melonów, arbuzów itp. — z czym

matki zwykle malców do szkół wyprawiają — z bryki naturalnie się wysypują. Tu szło o to, ażeby jak najprędzej brykę podnieść, zapasy w nią wrzucić i umykać przed pogonią; ale ja, widząc, że jeden duży arbuz, odłączywszy się od innych, pędzi biegiem przyspieszonym według praw mechaniki, jako po płaszczyźnie naturalnej pochyłej, zapominam o niebezpieczeństwie i puszczam się za nim; tymczasem brat woła na mnie, żebym tego zaniechał i do bryki wsiadał, lecz ja, rozpalony, głosu jego nie słyszę, pędzę jak kula i doganiam go; wtem też i brat nadjechał, wyskoczył, porwał mnie i wraz z arbuzem, któremu dzierzył i dźwigał, do bryki wrzucił. Wyjechawszy z wąwozu na równinę, gdyśmy się obejrzel, widzieliśmy kilku jeźdźców na górze, którzy się zapewne naradzali, czy nas ścigać mieli, czy nie; wreszcie zaniechali ścigania, bo też i wieś niedaleko przed nami na drodze była. Długo się potem ze mnie śmiano w domu, podziwiając moją przytomność umysłu w tak krytycznym zdarzeniu, a najbardziej z mego małego przypadku, iż dźwigając arbuz, głośno się odezwał, ale nie górą, lecz dołem, a co brat dosłyszał, kładąc go nie na karb natężenia sił, ale na karb mej trwogi.

Ostatnie jeszcze zdarzenie z owych szkolnych czasów, gdzie dusza już była na ramieniu, opowiem. Sąsiad nasz, pan O., mówił moim rodzicom, że ma odwiedzić państwa N., stamtąd wziąć pocztę — bo wieś ta leżała przy bitym gościńcu (chaussée) i poczta w niej była — i do Przemyśla w pilnym interesie dojechać, więc mnie, ze świąt wielkanocnych powracać mającego, chciał z sobą zabrać; rodzice na to chętnie przystali. Nocowaliśmy tedy u państwa N., a nazajutrz jadąc pocztą spotykamy kilkanaście wozów chłopskich z weselem jadących, tu i owdzie po całej szerokości drogi rozrzuconych, napakowanych gawiedzią porządnie pijaną i drogę zupełnie tamujących. Pocztylion trąbi co siły, ale ludowina gaworząca, śpiewająca, rozmarzona i ufna w liczbę, ani go słucha, aż tenże po trudnym wyminięciu pojedynczych wózków, gdy na czele będącego wymijał, tak silnie biczem palnął po twarzą jakiegoś tam družbę czy starostę, że skórę mu przeciął i krew lunęła potokiem. Wrzawa i hałas o obrażony honor zrobił się ogromny. Patrzymy, aż jezdni już nas ścigają, a inni wyprzęgają konie do pogoni. Tu, z tłuszcza pijaną i rozwścieczoną, trudno już było wdawać się w jakie układy, ale po prostu trzeba było uciekać. Pocztylion tedy zaciął konie, pędzimy jak strzała, a chłopstwo goni co tchu i siły; do domu zaś pocztowego było jeszcze z pół godziny drogi. Myślimy: nuż się

co zepsuje w zaprzęgu albo koń padnie, natenczas chłopstwo nas okrutnie zamorduje; a wreszcie jezdcy na lepszych konikach widocznie po jakimś czasie stopniowo tak się zbliżać zaczęli, żeśmy już nadzieję ocalenia tracić zaczęli. Szczęściem konie pocztowe były roślejsze i, do biegu włożone, były wytrzymalsze, i ta zgraja przed miastem nas nie doгнаła, ale tuż o parę kroków była za nami, gdyśmy na dziedziniec domu pocztowego razem z nimi wpadli. Wpředce pocztmistrz nam znany o wszystkim się dowiedział, kazał ludziom swoim bramy zamknąć, chłopów z koni pościagać i powiązać, a że na głos trąbki z drogi nie ustępowali, każdemu w naszej obecności (a było ich dziesięciu) po 25, wyraźnie dwadzieścia pięć cesarskich bykowieców dobrej miary i wagi wyliczyć i z końmi za bramę wprowadzić.

Otóż już w młodym wieku trzy razy śmierci prawdopodobnej uszedłem. W przeznaczenie jak Turcy, od czasu zwłaszcza, gdy kurs filozofii przeszedłem, bynajmniej nie wierzę, ale zawsze może się wydawać dziwnym, że po tylu przypadkach, utarczkach, a nawet całodziennych bitwach dotąd cały żyję; wszelako to zdarzenie okaże się bardzo naturalnym, gdy powiem, że w artylerii służyłem, gdzie daleko mniej bez porównania człowiek na szwank jest narażony niż w piechocie lub jeździe, a to z przyczyny podwójnej: raz, że w artylerii daleko mniejsza liczba ludzi na strzały jest wystawiona niż w tamtych broniach, po wtóre, że daleko mniejsza liczba pocisków na nią jest rzucana niż na ludzi tamtych broni (1 — obaczyć przypiski na końcu).

II

GINNAZJUM W PRZEMYŚLU. — POBYT U SZANOWNEGO KAPŁANA. —
PRZERWA

Wracając po tym wyboczeniu do szkół, przeszedłem w roku 1800 do gimnazjum w Przemyślu, które się składało z klas pięciu, noszących miano od części gramatyki łacińskiej, to jest: infimy, gramatyki, syntaksymy, retoryki i poetyki; gdy dziś u nas w Warszawie są gimnazja dwojakie: filologiczne, dla literatów, duchownych, prawników, lekarzy... i realne, dla rolników, kupców, przemysłowców, a w ogólności dla techników. W pierwszych przeważają języki, których aż siedm dzisiaj w gimnazjum gubernialnym w Warszawie dają, mia-

nowicie: polski, rosyjski, francuski, niemiecki, grecki, łaciński i słowiański; w drugich przeważają nauki ścisłe (chłebowe), jak matematyka, fizyka, chemia..., języki zaś są ograniczone do czterech pierwszych wyżej wyliczonych.

Dziwić się należy, że dotąd, gdy wychowanie publiczne od tak dawna istnieje w Europie, układy wychowania publicznego (*systèmes de l'éducation publique*) we wszystkich prawie krajach tak często się zmieniają, ponieważ każdy rząd wychowuje sobie swoich obywateli nie według potrzeb narodów, ale według własnych widoków, w mniemaniu, iż im więcej jest w kraju nad potrzebę oświeconych, którzy przyzwoitego utrzymania potrzebując, go nie mają, tym częstsze bywają rewolucje — gdy w Niemczech syn wieśniaka, po skończeniu uniwersytetu, sam swoją ręką ziemię uprawia i stanu ojca się nie wstydi. We Francji, tak liberalnej, miano niedawno zamknąć w Paryżu jedną szkołę wyższą.

Skończywszy dobrze dwie pierwsze klasy gimnazjalne — a miałem już lat czternaście — poczęli się rodzice o mnie kłopotać, ażeby moja nadzwyczajna żywość między rozmałą młodzieżą po pensjach będącą złego kierunku nie wzięła. Radzono się w tym księdza kanonika Drażewskiego, uczonego eks-jezuity, przyjaciela z lat młodych mego ojca; ten wręcz powiedział: „oddajcie go do mnie” i tak się stało. U niego było mi pod każdym względem wybornie. Przez trzy lata, przez które u niego aż do skończenia gimnazjum bawiłem, muszę nieco wspomnieć o trybie życia mego umysłowego i fizycznego — proszę mi wybaczyć te drobnostki, ale one nie mało na dalszy bieg życia mego wpłynęły.

Kanonik ten, powierzchowności nader przyjemnej, tuszy i wzrostu miernych, już w wieku sędziwym, był spowiednikiem biskupa Gołaszewskiego, spowiednikiem zakonnic benedyktynek, egzaminatorem diecezji, tak że żaden kandydat nie mógł probostwa lub stopnia w hierarchii duchownej otrzymać, aż przez niego, po odbytych egzaminach, za godnego osądzonym został. Rzadko bardzo miewał kazania w katedrze i przy wielkich tylko uroczystościach bywał używany; ale bywałem świadkiem, jak każde jego kazanie słuchaczy, nie wyłączając i wyższej warstwy, do łez rozczulało, jak damy (*genus luctuosum*) szlochając chustki przy oczach trzymały. Ach, cóż to za potęgą wymowy, ażeby ludzkimi uczuciami tak silnie poruszać!... Człowiek taki w każdym zawodzie, będąc cnotami i wymową wyższym nad innych, wszędzie by panował. Jakoż napatrzyłem się do syta tej czci powszechnej, ja-

ką wszelkiego stanu i płci osoby dla niego miały; a były w Przemyślu władze duchowne, cywilne, wojskowe, jak u nas w mieście gubernialnym; żył z wszystkimi w najlepszej harmonii, odwiedzano go też codziennie. Między innymi bywał rotmistrz od ułanów Gorzkowski — bo stały tam sztaby piechoty, jazdy i artylerii, obfitujące w zdolnych oficerów — który dawno zostawszy generałem, nieraz zastępował w dowództwie śp. Radeckiego w Królestwie Lombardzko-Weneckim, gdy ten był słabym lub wyjechał.

Jak każdy kanonik w Przemyślu, miał i mój piękny dom parterowy o ośmiu pokojach, po cztery z każdej strony, wyniesiony znacznie nad poziom, gdyż się po kilku obszernych stopniach, pod ganek na czterech kolumnach wsparty, wchodziło. W tyle był ogród owocowo-warzywny; po obu stronach były zabudowania, po prawej kuchnia ze spiżarnią, pralnią i drwalnią, po lewej stajnia, wozownia i lamus na sprzęty i zapasy materiałów budowlanych służących do utrzymania w dobrym stanie rzeczonych budynków. Piwnice były pod domem, gdzie stały wina prosto z Węgier sprowadzane, ponieważ Karpaty w dzień pogodny z miejsca wynioślejszego gołym okiem widzieć można było. W domu po lewej stronie były dwa pokoje bawialne, jego sypialny, a za nim szatnia, po prawej jadalny, biblioteka, mój pokój, a ostatni służących, tj. dwóch lokai, kucharz bowiem i stróż sypiali w kuchni. Wszystko z ogrodem opasane parkanem, psa nawet na łańcuchu nie brakowało.

Otóż tu mi się przypomina niemiłe zdarzenie. Pewnego razu biskup wysłał mego kanonika na jakieś commissorium na dni kilka. Ja niespokojny, ponieważ mój prałat za bogatego w mieście uchodził, w nocy zasnąć nie mogłem bojąc się złodziei, a noc była jesienna, ciemna i burzliwa. Wtem zdaje mi się, że ktoś okienice wyważa; wstaję, ubieram się szybko i idę do pokoju służących, którzy doskonale spali, budzę ich i wszyscy się przekonujemy, że rzeczywiście ktoś przy okienicy pracuje. Obchodząc inne pokoje wszędzie nadśledzujemy, a przechodząc przez sieni, słyszymy jak najwyraźniej chrobotanie się u drzwi wielkich — były to podwoje dębowe, z wewnątrz na wielką żelazną zasuwę zamknięte, którą z wieczora sam szpagatem umocowałem, iżby z zewnątrz przez szparę jakim sposobem odsunioną nie została, i ta mała, na pozór dziecinna ostrożność nas ocaliła. Lokaje, chłopcy dorośli, tak stchórzyli jak i ja (nie chwając się), a nie mając żadnej broni, trzęśliśmy się od strachu i zimna, tak przebywszy

kilka godzin listopadowych w straszliwej trwodze, że draby, dostawszy się do wnętrza domu, bez litości się z nami obejdą i mienie kanonika grubo uszkodzą. O świcie łotry odstępili przecież od oblężenia, zabrawszy z sobą z lamusa, który odbili, co im się podobało, a w dzień dopiero, po gwałtownych śladach zostawionych na drzwiach i okienicach i po ziemi strątowanej nabraliśmy przekonania, że ich było kilku, amatorów cudzej własności. Psą, na nieszczęście, kucharz ze stróżem zamknęli u siebie dla swego bezpieczeństwa.

Na noc jutrzejszą i następne poradziłem sobie doskonale, zapraszając czterech dorosłych uczniów, żeby u mnie spali, a dostawszy dwie strzelby, dwa pałasze, jeden pistolet i nakazawszy stróżowi patrolować z psem przez całą noc po dziedzińcu i uczęstowawszy w dzień kolegów dobrą wieczerką i winem, spaliśmy zawsze jak zabici aż do białego dnia.

Za powrotem kanonika, opowiedziałem i pokazałem mu wyżłobione znaki na drzwiach i okienicach, żaląc się niejako, że mnie bez opieki odjechał. Pochwalił moje środki obrony, lecz śmiał się z pierwszej nocy, że tak mało serca okazał, ja zaś pomyślałem sobie, że gdyby był wówczas na moim miejscu, pewnie byłby przy takim zimnie przenikliwym przynajmniej rozwolnienia, jeżeli nie co gorszego dostał, co mnie wszelako nie spotkało.

Wracam do opisu domu. Pokój pierwszy bawialny był cały pokryty adamaszkiem zielonym w desenie, a drugi, większy, przedstawiający salon, miał obicie z złotej lamy z ciemnopąsowymi kwiatami. Malowania naddrzwiów, sufitów i brzegów ścian były prześliczne co do rysunku i kolorytu z historii, mitologii i historii naturalnej. Na ścianach w obu pokojach wisiały obrazy pyszne rozmaitej treści; miały to być arcydzieła Rubensa, Tycjana, Rafaela, Van Dycka, sprowadzone z Rzymu, Florencji i Holandii, a polskie w obrazach postaci były naszych mistrzów pędzla. Największe malowidło wystawiało ścięcie św. Jana, mieszczące w sobie aż siedm osób naturalnej wielkości: królowę, dwie jej córki, ciało ściętego w więzieniu św. Jana, którego głowę odciętą dworzanin na tacy królowej okazuje, kata ocierającego miecz ze krwi i pazia w tyle stojącego. Można wziąć miarę dostatków kanonika z tego, że jeden niewielki obraz, wystawiający staruszką jedzącego kaszę z garnka, kosztował w Rzymie 200 dukatów, a komin z marmuru karraryjskiego w zielonym pokoju miał kosztować 300 dukatów. Dalej meble, posadzki, rzeźby i rozmaite sprzączki były wytworne i pełne gustu.

A jakie było życie! Codziennie do przypraw i sosów wchodziły: bulion, kapary, oliwki, sardale, pieczarki itd., oprócz zwykłych korzeni, które tam są nader tanie dla bliskości Turcji, równie jak wszelkie bakalie. Trufli tylko, szampana i ostryg nigdy na stole nie było, może jako niezgodnych z skromnością stanu duchownego; w posty mięsa nie jadalśmy, tylko z nabiałem, ale jakże to kuchnia była wykwinтна! Co dzień na stole musiała być jakaś leguminka z konfiturami, bo lubił jadać słodko, tłusto, a nade wszystko smacznie zrobione potrawy. Kucharza też miał wyszukanego. Wypada wspomnieć, skąd taka obfitość konfitur się brała. Oto będąc spowiednikiem pp. benedyktynek, te mu przysyłały w darze na jego imieniny co rok po 60 porządnych słoików konfitur, za co znowu książdz spowiednik na ich największy odpust pisał im wzajemnie 15 głów cukru i tak się po przyjacielsku kwitowano. Z konfiturami musieliśmy się bardzo gospodarnie obchodzić, ażeby 60 słoików na 52 tygodnie wystarczyły (ja bowiem, jako wyższych klas uczeń i jako stołownik, do tych tajemnic gospodarskich należałem *ex officio*), obiady albowiem wielkie dużo ich pochłonywały. I tak na swoje imieniny 7 sierpnia, tj. na św. Kajetan, przez trzy dni podejmował; pierwszego dnia biskupa i duchowieństwo z miasta i okolic, drugiego dnia mężczyzn z miasta i obywateli ziemian, trzeciego same damy, tj. żony z córkami tych, którzy wczoraj byli ucztowani.

Sławna była kasza kanonika w całej okolicy, na którą się p. Potocka niekiedy sama zapraszała; przyrządzała się zaś następującym sposobem (proszę o cierpliwość). Pod jego i moim okiem, kucharz ugotowaną kaszkę drobną w ilości paru garnicy z rozenkami sułtańskimi przynosił razem z wielkim rondlem do jadalni — tam wyłożył masłem cały rondel, ułożył na dnie cienką warstwę kaszy, potem według rozkazu jakąś warstwę konfitur, znowu szła cienka warstwa masła, grubsza kaszy, nareszcie cienka warstwa konfitur innego gatunku i tak dalej szło aż do wypełnienia całego rondla. Gdy taka kasza, cała rumiana i cukrem posypana, daną była, w wycinku z niej wykrojonym widać było za jednym rzutem oka wszelkie odmiany konfitur, rozmaitego koloru i kształtu: różę, morele, porzeczeki, brzoskwinie, agrest, maliny, głóg, jagody winne itd., tak że ten sam gatunek dwa razy w tej sztuce nie figurował.

Co do zatrudnień, życie nasze także dobrze było urządzone. Z rana zaraz kanonik odprawiwszy mszę świętą w katedrze,

ciągle potem czytał rozmaite zagraniczne gazety, tyle ciekawe z świetnych czasów nieboszczyka Bonapartego, po południu zaś czasem odwiedził kogo, najczęściej zaś przyjmował odwiedziny. Ja zaś rano byłem przez cztery, a po południu przez dwie godziny w klasie; a żem dobrze uważał, przyszedłszy do domu, w parę godzin przygotowałem się na dzień jutrzejszy ze wszystkich przedmiotów, ażeby mieć wieczór wolny, a to z następującej przyczyny: codziennie bowiem schadzano się do kanonika, cztery do ośmiu osób, gdzie najprzód polityką się bawiono, roztrząsano działania Bonapartego, unoszono się nad jego talentami wojennymi, nad jego zwycięstwami zadziwiającymi, siadano dalej do gry przy jednym lub dwóch stolikach w bostona, wista, tarokko, a zawsze nader ograniczenie grano, jedynie dla zabawy; o ósmej była wieczerza smaczna, złożona z pieczonego i drugiej jakiej potrawy, przy której regularnie po trzy kieliszki wina dawano, po wieczerzy znowu grano, a o godzinie dziesiątej się rozchodziło. Herbaty wówczas na wieczorach nie używano, ona miała tylko miejsce w aptekach jako lekarstwo, a nie w sklepach, jak dzisiaj, jako napój. Jej zaprowadzenie — razem z cholerą, księgosuszą, przedajnością urzędników — winniśmy Moskalom.

Ten tryb trwał stale podczas mojego przez trzy lata tamże pobytu, a ja, młody i ciekawy, z uwagą przysłuchiwałem się wszelkim żywym rozmowom, poważnym rozprawom, a przypatrując się różnym gatunkom gier w karty, tak je dobrze pojąłem, że kiedy kto z gości chciał coś ciekawego w gazecie lub innym jakim nowym dziele, które na stolikach leżały, odczytać, sadzał mnie jako zastępcę na swoim miejscu i grywałem bez błędów, pamiętając lepiej niż wszyscy, które karty np. w wiście powychodziły, kto jakie miał honory lub figurę itp., słowem, że w każdej wątpliwości do mnie jak do ostatniej instancji się odnoszono, a jam stanowił już bez żadnej apelacji.

Wyjeżdżaliśmy także nieraz w okolice, to na imieniny, to na odpusty, wesela i chrzciny, gdzie wielkie bywały zebrania, np. w mieście Mościskach, gdzie ks. kanonik Jakubowski był proboszczem. Kanonik ten uczony, pięknej postaci i miłego ułożenia, miał być przedtem kaznodzieją króla Stanisława Poniatowskiego; opowiadano o nim następujące zdarzenie: czekając raz, jak zwykle, na króla z kazaniem, przychodzi, przez jakieś nieporozumienie, wiadomość, że król nie przybędzie, więc ks. Jakubowski ma kazanie — a kazał prześlicznie, jak

mi się czasami zdarzało słyszeć — gdy skończył i miał zejść z ambony, król wchodzi z całym orszakiem panów i dworzan; kaznodzieja tym trafem bynajmniej nie zmieszany cytuje wiersz z „Eneidy” Wirgiliusza, poety pogańskiego, na ambonie katolickiej: „Infandum regina iubes renovare dolorem”*, gdy Eneasza proszony od Dydony królowej Kartaginy, żeby jej swoje nieszczęścia opowiedział, od powyższego wiersza opowiadanie zaczyna, i powiedział drugie kazanie, zupełnie inne i równie piękne, jak było pierwsze, co mu niemało zaszczytu u króla i narodu zjednało. Nieraz słyszałem, jak żałowano, że skończył kazanie. Otóż na jego imieniny zjazd bywał tak wielki, że w ogromnych stodołach sásiecznice powijmowano, sásieki wyprzątnionio i długie stoły na paręset osób zastawiano; widziałem to wszystko, bywając tam z moim kanonikiem. Niemniej bywaliśmy na wszystkich obiadach dawanych w Przemyśle przez p.p. benedyktynki podczas odpustów; pamiętam, że przeorysza tego zakonu była w średnim wieku, osoba bardzo ładna i znakomitego rodu.

Mój kanonik nigdy się do mych lekcyj nie męszał, snadź słyszał od prefekta i profesorów, że mi się przykładał, wszelką więc mi swobodę w tym względzie zostawił; ale widząc, że mi niekiedy czasu nieco zbywało, odezwał się raz do mnie: „Pokaż no, co też umiesz po łacinie?” i dał mi XXI księgę Liwiusza o drugiej wojnie punickiej do tłumaczenia. Ja, który za dobrego ucznia uchodziłem, wziąłem śmiało książkę do ręki, a odczytawszy najprzód cały period aż do kropki, bo tak kazał, zacząłem cząstkami tłumaczyć i zdziwiłem się niemało, gdy po jakimś czasie zamiast pochwały usłyszałem z ust jego zdanie niepoczesne o moim złym wymawianiu i małej znajomości języka. Tknięty do żywego jako wyrocznia wistowa, udałem się w pokorę i prosiłem go, ażeby raczył, gdy będzie miał czas, z pół godziny na ten cel dla mnie poświęcić, co mu się, jak widziałem, podobało, i odtąd szło codziennie po godzinie tłumaczenie Liwiusza, zwłaszcza że mi się zaraz z początku mocno podobał Annibal, który jako wódz wygody życia tak mało cenił; wreszcie tak ważne i takim językiem pisane dzieje każdego zająć potrafią. To trwało statecznie przez kilkanaście miesięcy, a gdy osądził, że dalej tego pisać bez pomocy czytać i rozumieć mogę, dał mi trudniejsze dzieło do tłumaczenia, mianowicie: „Argenidę” Barklawiusza, jedyny romans po łacinie napisany. Grecy bowiem i Rzy-

* „Rozkazujeś, królowo, ponowić boleść niewypowiedzianą”.

mianie tego rodzaju pism nie mieli — a Barklawiusz napisał go był dla królewica francuskiego, jednego z Ludwików, na zakończenie edukacji jego, którą kierował. Jest to poezja prozą napisana, nadzwyczajnie ciekawa i wyborną łaciną. Potocki przełożył wierszem na język polski „Argenidę”, ale daleko został za pierwowzorem. Tłumaczyłem ciągle, aż do mego z Przemyśla wyjazdu; przy czym do takiej biegłości w łacinie przyszedłem, że mało który młodzieniec mógł ze mną iść w zapasy. Okoliczność ta wielce mi się potem na uniwersytecie przydała, gdzie wszystkie przedmioty po łacinie wykładano, a język łaciński tak polubiłem, że w ciągu życia do wszystkich znaczniejszych klasyków przyszedłem.

Oprócz tego brałem w domu lekcje francuskiego języka od jednego z profesorów gimnazjum, którego kanonik, znający dobrze języki włoski, francuski, niemiecki, i starożytne, za nauczyciela mi obrał. Uczyłem się z gramatyki niemiecko-francuskiej Meidingera, jedynie w państwach niemieckich używanej, a której dotąd trzydzieści kilka wydań wyszło. Gramatyka ta ułatwia wielce naukę języka francuskiego. Zadania tylko mogłyby być nieco uczeńsze, ażeby przy nauce języka inne także wiadomości można nabywać. W pół roku skończyłem całą gramatykę, przetłumaczyłem piśmiennie wszystkie zadania w niej się znajdujące i przeszedłem z moim nauczycielem Robinsona i Telemaka, tłumacząc ustnie na polskie: tak byłem łakomy nauki.

Przeszedłszy więc łacińskich: Liwiusza i „Argenidę”, francuskich Robinsona i Telemaka, nabrałem takiej chęci do czytania — a był w domu księgozbiór, od którego klucz mnie kanonik powierzył — że co mi tylko czasu zostało, wciąż czytałem według własnego wyboru, a nie było tam nic, rozumi się, przeciwnego obyczajom; słowem: gust ten do czytania za młodu zaszczeplony, przez całe już życie mi towarzyszył i ze mną tylko umrze, jeżeli oczy, dzisiaj już osłabione, dalej mi służyć zechcą. Tej to chęci czytania i nabywania coraz więcej wiadomości winienem czynne, pocziwe i nie lada jakie życie, bo w każdym zawodzie — a miałem ich trzy: prawny, wojskowy i rolniczy — wszędzie się odznaczyłem, jak niżej obaczmy.

Kończąc gimnazjum, otrzymałem trzecią nagrodę — medal duży srebrny z popiersiem cesarza — i miałem mowę pożegnálną w języku łacińskim, gdy dwaj inni nagrodzeni uczniowie mieli je w językach niemieckim i polskim; to działo się już w kościele napełnionym władzami i obywatelstwem, po-

nieważ tam zakończenie roku szkolnego i rozdawanie nagród z niezwykłą obchodzą solennością.

Ukończywszy gimnazjum, pożegnawszy ze łzami zacnego kanonika, któremu tyle wdzięczności byłem winien, pojechałem do matki na wakacje, ponieważ ojciec, gdy byłem w szkołach, umarł z przypadku pożaru w domu w siedemdziesiątym trzecim roku życia; przed śmiercią wszakże kazał po mnie posłać, a gdym przy jego łożu ukląkł, dał mi błogosławieństwo i wręczył razem książeczkę o powinnościach człowieka względem Boga, ludzi i siebie, tudzież dał mi pałasz francuski — prosty żłobkowany — na którego tyłcu stał napis polski: „Bij się kpie dobrze”. Po pogrzebie, na którym moi czterej bracia przyrodni w żałobach poważnie wystąpili i trumnę do grobu nieśli, matka, dotrzymawszy dzierżawy, popłaciwszy długi, zrealizowawszy wprzód mniej potrzebne pozostałości, zamiast pojechać do rodziny, która była liczna, zamożna i ją do siebie na mieszkanie zapraszała, podziękowała za te ofiary nie chcąc być nikomu ciężarem, najęła dom z ogrodem w miasteczku Krukienicach, tam osiadła i tamże w r. 1812, gdy kampanię moskiewską odbywałem, życie zakończyła, jakem się później o tym od ks. Jakubowskiego dowiedział, do którego pisałem.

Przyjechawszy tedy do matki na wakacje w r. 1804, cały czas najweselej przepędziłem u krewnych mego ojca i matki, jako to: u stryja Józefa mieszkającego w górach — odnogi Karpat — którego syn Stanisław, trudniąc się później literaturą ojczystą, za wcześniej we Lwowie zgasł, zostawiwszy piękne imię i dzieła wydane po sobie; dalej bawiłem u pp. Kopystyńskich moich dziadków, u panów Ignacego i rotmistrza Witkowskich, wszystko dziedziców dóbr ziemskich; miło było widzieć wówczas u każdego ziemianina w Galicji tureckiego czystej krwi ogiera i beczki wina czystych jagód węgierskich. Powróciwszy do matki, rozchorowałem się na odrę, która, zaziębiona, na parę miesięcy mnie do łoża przykuła, a gdym wyzdrowiał, termin stawienia się na uniwersytet we Lwowie dawno upłynął. Pozostałem więc przez rok cały w domu, to wyjeżdżając do rodziny, to czytając w domu dzieła w różnych językach, mając zwłaszcza wielką łatwość dostawania książek od młodych hrabiów Drohojowskich, z którymi byłem w zażyłości, a niemieckich od ich ogrodnika, Szwajcara, który w gwardii przybocznej Ludwika XVI służył i był świadkiem wszelkich okropności rewolucyjnych w Paryżu, ale jakoś szczęśliwie z nich wyszedł. Lubiłem go bardzo, bo miał wiele do opowiadania, a był dowcipny i krzepki; on, będąc

już w średnim wieku, nauczył mnie wsiadać na drzewi jak na konia, stawając plecami do krawędzi drzewi, ujmując się obiema rękami u góry i windując ciało jedynie siłą muszkułów, w kształcie kabłąka, do góry, na koniec siadając na drzewiach jak na koniu. Ta sztuka tak była trudna do wykonania, że kilka razy w życiu pokazując ją rozmaitym osobom, osobliwie przy zabawach i kielichu, nikt po mnie, mimo złożonych usiłowań, dotąd nie powtórzył, a kobiety nie tylko uprzejmym na tę sztukę spoglądały okiem, ale stawały się dla mnie miłe i czułe.

III

UNIwersytet. — Choroba. — Powodzenie. — Polacy w Galicji
w roku 1809

Po roku przerwy odwiozła mnie matka do Lwowa na uniwersytet w r. 1806, gdzie znowu u kanonika ormiańskiego Tumanowicza umieszczony zostałem; ten, odziedziczywszy po swoim stryju arcybiskupie spadek parękroć sto tysięcy złp. wynoszący, tak się z nim uwinął, że w ciągu jednego roku, jak mi opowiadano, na stół wykwinął, goście, powozy, konie, liberie, stracił, ale niedarmo, bo za to dostał pedogry, która go potem nielitościwie dręczyła. Mieszkalem u niego sam jeden i miałem oddzielny pokój, tak jak w Przemyślu.

Miasto Lwów, także historyczne, wesołe, z długimi przedmieściami, bogate w kościoły, miało kiedyś dwa zamki obronne, których szczątki jeszcze były widzialne, miało pałace, ogrody, dwa teatry, niemiecki publiczny i polski amatorski prywatny, uniwersytet i siedzisko najwyższych władz rządowych, jako stolica Galicji.

Bieg nauk w tym uniwersytecie składał się z dwóch lat — tak nazwanych — filozofii, mianowicie: loiki i fizyki, i z trzech lat jakiego wydziału, których było cztery: teologiczny, prawny, lekarski i filozoficzny.

Jak się czasy pod każdym względem zmieniają, dowodem są same nauki. Gdy się uczył, było pięć zmysłów i pięć części świata, dziś liczą je po sześć; nie domyślano się nawet geometrii wykreślnej — rysunkowej, czyli opisującej — przez Monge'a wynalezionej; nie znano ekonomii politycznej, przez Anglika Smitha światu objawionej; wydział filozoficzny był jeden, gdy dziś na dwie rozpada się gałęzie, tj. na wydział historyczno-filozoficzny i fizyczno-matematyczny; fizyka by-

ła połączona z chemią, dzisiaj są rozłączone i sama chemia podzielona jest na kursa: chemii ogólnej, chemii rolniczej i chemii przemysłowej, czyli rękodzielniczej, itd.

Uniwersytet Lwowski był nader liczny, bo nie tylko gimnazja galicyjskie, ale nawet czeskie, morawskie i węgierskie młodzieży doń dostarczały. Stąd na loice, czyli pierwszym roku filozofii, było nas przeszło trzystu, tak że sala obszerna, w której nauki wykładano, objąć nas nie mogła; a że wykłady nauk przez biegłych profesorów były dokładne, wielkiej przeto chęci do nich nabrałem, zwłaszcza że mi zrozumienie ich, przez znajomość łacińskiego języka, żadnej nie kosztowało pracy; siadywałem tedy blisko katedry i wszystko ołówkiem w pugilariesie pargaminowym skoropismem notowałem, a w domu po każdym posiedzeniu wszystko od ręki porządnie i jasno opisałem; żadnego bowiem autora nie mieliśmy przepisanego, a odczyty (prelekcje) odbywali profesorowie, jak zwykle dzieje się po uniwersytetach, z pism przez siebie ułożonych, nie udzielając ich nikomu. Trwało to przeszło kwartał, że żaden profesor żadnego ucznia nie słuchał ze swego przedmiotu; listy bowiem uczniów nie czytano i wolno było akademikowi przez cały rok do klasy nie przychodzić, byle przy końcu roku na egzamin się stawił i dobrze go zdał; uczniowie tedy jako „cives academici” niemałe mieli przywileje.

Otóż pewnego dnia wywołuje mnie pierwszego do tablicy profesor matematyki, zadaje mi różne pytania z tego wszystkiego, co przez kilka miesięcy uszedł, ja bez długiego namysłu palę mu na tablicy zawiłe rachunki tłumacząc się jak najpłynniej po łacinie, bo matematykę ze wszystkich nauk, tak jak dzisiaj, najbardziej lubiłem. Po skończeniu oddał mi najszczytniejszą pochwałę wobec całej klasy, po czym wezwał mnie publicznie, iżbym go odwiedził, a uczniowie — bośmy wprzód, przybывая z różnych gimnazjów, bynajmniej się nie znali — zaczęli się o moje przyjaźń starać i moje zeszyty do przepisywania pożyczać, co najchętniej, rozumi się, czyniłem, bom ich w domu nie potrzebowałem, wiedząc wszystko, po ich ułożeniu i napisaniu, dokładnie. Ta epoka mego wieku wpłynęła stanowczo na los całego mego życia, gdyż dotykał nie się przekonywałem, że przykładanie się do nauk przynosi zaszczyt i przyjaźń.

Uczniowie i ja sam nie mogliśmy dociec, dlaczego pierwszy z trzystu byłem wyrwany, i różne w tej mierze były domysły, aż się rzecz na koniec wyjaśniła, gdym poszedł do

tego profesora — a miał córki — który między innymi grzecznościami powiedział mi, iż dlatego na mnie pierwszym próbę zrobił, czy też uczniowie z jego wykładu korzystają, czy nie, że żaden nie miał tak dobrego świadectwa z gimnazjum, jak ja miałem; prefekt bowiem Sawiczewski wyraził w nim na początku: „*optimae spei adolescens*”, co znaczyło: najlepszej nadziei młodzieniec, i chociaż sam to wprzód czytałem przed złożeniem go w uniwersytecie, ale mi na myśl nie przychodziło, że ja jeden tylko takowe świadectwo uzyskałem; prefekt zaś nie dla mojej osobistej wartości, ale przez przyjaźń dla kanonika Drażewskiego, u którego bywał, to uczynił, co wszakże nikomu na złe, a mnie na dobre wyszło. Szło mi tedy jak najlepiej, a w domu u kanonika Tumanowicza — ponieważ co dzień prawie bywało po parę osób na obiadach, gdyż bez towarzystwa obejść się nie mógł — powoli wszyscy mnie poznali, a widząc moją pilność — albowiem codziennie potrzeba było parę arkuszy z głowy napisać, opierając się na notatkach tylko, i tym staranniej napisać, że koledzy ich potrzebowali — i słysząc o dobrym imieniu, jakie u profesorów i uczniów sobie zjednałem, polubili mnie, co mi się wkrótce przydało, jak zaraz obaczymy.

W tym bowiem 1806 roku powracały niedobitki armii moskiewskiej spod Austerlitz (Sławkowa) po bitwie tamże w dniu 2 grudnia 1805 przeciw Francuzom stoczonej i solennie przegranej; mnóstwo więc wielkie rannych wieziono na wozach włościańskich, ponieważ ambulanse nie wystarczały, i ci chorzy zarazić mieli miasto epidemią, która tak się wzmogła, że pojedynczo już ciał nie grzebano, ale wywiezione na smętarz w dołach po kilkadziesiąt trupów w jednym warstwami układano, wapnem niegaszonym przysypywano i ziemią grubo przykrywano. W tak powszechnej zarazie i jam się nie ostał; przez parę tedy tygodni w gorączce bez przytomności leżałem, a odzyskawszy ją, tak z sił opadłem, że przychodząc do zdrowia, o kiju ledwie po pokoju przechadzać się mogłem. Tu miałem dowód wielkiego współczucia osób, które u nas bywały; sprowadzono do mnie biegłego doktora, młodego Włocha Ferrari, który swymi lekami i pielęgnowaniem prawdziwie macierzyńskim młodych kanoników ormiańskich z śmiertelnej choroby mnie wyprowadził; niemało się do tego zapewne przyczyniła moja natura dotąd nieskażona i osiemnasty rok życia. Matce nawet mojej nie donoszono o moim zapadnięciu, bo cóż by tam kobieta więcej zrobić mogła, jak miano o mnie staranie. Z całego czasu choroby żadnych szczegółów

sobie nie przypominam, kto np. i jak mi lekarstwa dawał itp., pamiętam tylko, że parę razy poznał doktora i że widywałem tych księży opiekunów, którzy siadając przy mnie na łóżku po kolei, usta mi otwierali i plasterki cytryny ocukrzonę wkładali. Resztę mi potem opowiadano, jak profesorowie i uczniowie, żałując mnie, odwiedzali, bo nie miano nadziei mego wyzdrowienia. I jakże tu ludzi nie kochać, gdy mi młodziutkiemu jeszcze, już tyle dobrego wyświadczyli!... Matka, dowiedziawszy się ode mnie o wszystkim, co zaszło — gdy już list napisać mogłem — przyjechała zaraz i czule dziękowała wszystkim za ich opiekę i przysługi, zwracając razem koszta ks. Tumanowiczowi złożone na doktora, aptekę itp.

Przeszedłem tedy dwa lata filozofii ze stopniami celującymi, jak dowodzą kopie świadectw znajdujące się w księdze pod tytułem „Bieg życia Józefa Jaszowskiego”. *

W roku 1808 obrałem wydział prawny na uniwersytecie, gdzie w tymże roku słuchałem prawa natury — wykładał go profesor Füger według zasad Kanta, człowiek bardzo światły, został też potem konsyliarzem tajnym przy boku cesarza — prawa narodów i prawa kryminalnego, a w r. 1809 prawa cywilnego i kanonicznego, otrzymawszy także z tych przedmiotów stopnie celujące, jak widać z świadectw w powyższej księdze się znajdujących. (Oryginały tych świadectw przepadły mi na przeprawie przez Berezynę w r. 1812, musiałem się więc o ich kopie z Warszawy postarać.) Tu już nie tylko ciekawość przedmiotów wykładanych przez najbieglejszych ludzi, często młodych, a już doktorami obojga prawa będących, nie tylko chęć przysłużenia się kolegom mymi pismami, którzy będąc o wiele ode mnie zamożniejsi, darami swymi, jak: meszty tureckie, bursztyny, tytuń prawdziwy turecki itp. mnie obsypywali, ale współubieganie się (emulacja) międzynarodowe — uczniami bowiem byli Polacy, Niemcy, Węgrzy, Czechy i Morawianie — sprawiło, że nad wszelkie wyrażenie zajadle do nauk przykładaliśmy się.

O! nie dosyć było tej roboty. Mieszkalem bowiem już u p. Augustynowicza, posiadającego o milę ode Lwowa starostwo sokolnickie, zacnego ormianina, jako korepetytor do jego syna Leona, jedynaka, który także prawa słuchał, trzeba więc było i nad nim pracować. Tam miałem wszelkie wygody życia i 250 zł reńskich — 1000 złp. jako honorarium; na dobit-

* Księga ta, zawierająca notatki osobiste i dokumenty autora, zachowała się w posiadaniu rodziny do 1939 r., przepadła jednak w czasie II wojny światowej.

kę jeszcze, mając konsyliarza apelacyjnego Singera, który się ożenił był z moją wujenką, sobie przychylnym — bo bywałem u niego — zostałem bez mej wiedzy i starania stypendystą cesarskim, pobierającym rocznie 300 zł reńskich ze skarbu i mogącym bezpłatnie pobierać naukę rozmaitych języków, różnych sztuk wyzwolonych i nauk agronomii, dyplomatyki, heraldyki itd. Obrałem tedy sztukę jeźdźstwa konno, fechtunki, rysunki i język włoski; lecz że mi czas nie wystarczał, musiałem po kilku godzinach język włoski zaniechać.

Z rozkoszą przypominam sobie branie lekcji jeźdźstwa konno, do których tylko sześciu stypendystów było przypuszczonych. Ujeżdżalnia była na górze, zrobiona z kościoła Karmelitów; tam utrzymywano 20 do 24 koni cesarskich, tj. rządowych, z których każdy miał swą nazwę; stajnia wielka, ślicznie urządzone, mająca w szafach za szkłem wszelkie osiodłania i umunszterczenia nasze europejskie, ale także tureckie, arabskie, perskie itp., a sam plac w ujeżdżalni był co dzień najpiękniej ugracowany w rozmaite esy i floresy.

Sprawiwszy sobie umyślnie do jazdy konnej stosowny ubiór pobierałem trzy godzin w tygodniu przez cały rok 1809. Zawsze było pełno uczących się, za opłatą, jazdy konnej, miłośników tak na własnych jak rządowych koniach; a w dzień targu na konie jeszcze liczniejsze bywało zgromadzenie, gdzie często mężczyźni nie tylko, ale i damy rozmaite harce na koniach wyprawiały, skakając przez dragi słomą oplecione, strzelając w czwale do głów z tektury malowanych lub je szabłami ścinając.

Taki to był gust stały za mego czasu do jazdy konnej we Lwowie, zwłaszcza że w Galicji, graniczącej z Turcją, niewypowiedziane mnóstwo było koni tureckich, arabskich..., czego w Warszawie później najmniejszego śladu nie widziałem; był też to czas pamiętnej wojny francusko-austriackiej, a Polacy żadnej sposobności nie opuszczają, by przy najmniejszym promyku nadziei ojczyznę móc odzyskać. W Warszawie samych tylko sonntagsreiterów napatrzyć się można, a rzadko zdarzy się widzieć mężczyznę siedzącego pięknie na koniu i dobrze go prowadzącego, wyjąwszy dawnych wojskowych, których zaraz po śmiałej i okazałej postawie na koniu, łatwo poznać można. Jak gdybym przeczuł, że kiedyś wojskowo służyć będę, chociaż do wojska austriackiego najmniejszego pociągu nie miałem, obrałem jako stypendysta jazdę konną, fechtunki i rysunki, które mi się później bardzo przydały. Berejterem był George, człowiek przystojny tak, że

gdy wyjechał konno na miasto na przejażdżkę, kobiety do okien wybiegały, bo tak był pięknym na koniu. Fechtmistrzem zaś był Mari, człowiek arcykształtny, dawniej oficer francuski, a miał tak trafne oko, że floretem zawsze trafił muchę na ścianie, czego żaden z nas potrafić nie mógł.

Rok ten mocno mi jeszcze tkwi w pamięci przez wejście Polaków do Galicji. Arcyksiążę Ferdynand wkroczył był do Księstwa Warszawskiego w 40 000 żołnierza, a po bitwie pod Raszynem w dniu 19 kwietnia, w której Austriacy pięćkroć silniejszymi byli, stoczonej przez Polaków pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego z honorem, wskutek ugody zajął lewy brzeg Wisły razem z Warszawą, a książe Józef, strzegąc prawego brzegu, posłał potajemnie około 3000 wojska do Galicji, ażeby tam zrobić powstanie, zwłaszcza że posłyszał, iż Napoleon, odniósłszy znakomite pod Wagram nad Austriakami zwycięstwo, do Wiednia dążył. Skutek tej wyprawy był taki, że 4000 Austriaków przed Polakami ze Lwowa uszli, a Ferdynand, posłyszawszy, jak Polacy w Galicji gospodarzą, Księstwo Warszawskie nagle opuścił.

Szczegóły zajęcia Lwowa są dosyć ciekawe, ażeby o nich nie wspomnieć. Najsamprzód wpadła do miasta przednia straż Polaków złożona z jednego plutonu, tj. 18 szaserów, czyli strzelców konnych, w niedźwiedzych czapkach, przez porucznika Starzeńskiego dowodzoną i na rynku z koni zsiadła. Lud, widząc pierwszy raz polskich żołnierzy z postawą marsową okazale ubranych, znojem i kurzem okrytych, rzucił się na nich z wściekłą radością, a gdy usłyszał jeszcze z ust ich polską mowę, utulić się z radości od łez nie mógł. Każdego żołnierza oddzielnie otoczono, przyglądano się wszystkim jego przyborom, dotykano go się, ściskano, całowano, nie chcąc wierzyć własnym oczom, że to był taki Polak jak my; konie głaskano, pieszczono, mantelzaki otwierano, żeby widzieć, co się w nich mieści, a żołnierze, zapewne wprzód nauczeni, pozwalali wszystko z sobą i z końmi robić. I dziwić się nie trzeba, że tak wielki zapał ogarnął mieszkańców Lwowa na wkroczenie Polaków; Galicja bowiem już przy pierwszym rozbiórze r. 1772 odpadła była od Polski i przeszła pod panowanie Austrii, która, przemądra, wszelkie cechy narodowości, szczególnie język i dzieje, jako główne filary narodowości, zniszczyć usiłowała; stąd w szkołach publicznych nie było nauki języka polskiego, nie było historii narodu naszego, tym mniej nie było kursu literatury polskiej, ale od dziecinnego wieku męczono młodzież językiem niemieckim, a potem ła-

cińskim, tak że każdy młodzieniec Polak tyle tylko umiał po polsku i tyle tylko znał dzieje swoje, ile od matki i ojca się nauczył, chociaż Rosja i Prusy, także mądre spadkobiercy łupów Polski, język nasz w instytucjach publicznych zachowały; wiadomo zaś, że im więcej narodowość jaka jest uciśniona, tym mocniej trwa przy swoim, czego żywym dowodem są Żydzi, jeszcze za Tytusa z zburzonej Jerozolimy na cztery wiatry rozpędzeni.

I nie był zapał chwilowym, bo w krótkim czasie stanęło kilka pułków jazdy galicyjskiej i każdy dzień powiększał zastępy naszych oswobodzicieli, bo wszystka młodź szlachecka, rolnicza, biurowa i szkolna, porzuciwszy lemiesz, pióro i książki, zaciągała się pod sztandary narodowe, ażeby mieć zaszczyt być żołnierzem polskim. Godna jeszcze uwagi, że Ferdynand tą samą drogą szedł na ujarzmienie Polski, którą Sobieski spieszył z swymi hufcami na oswobodzenie Wiednia.

Co do mnie, ponieważ termin egzaminów się zbliżał, a żał mi było nie mieć świadectwa mej całorocznej pracy; dalej, ponieważ ugoda z p. Augustynowiczem obowiązywała mnie na cały rok szkolny; na koniec, co najważniejsza, ponieważ już głucha wieść się szerzyła, że Napoleon, zajmwszy Wiedeń, naturalnie pokój robi, co też rzeczywiście nastąpiło w dniu 14 października 1809 — acz z boleścią serca, musiałem wytrwać do końca i dopiero o wojaczkę, z poradą starszych, pomyśleć; ponieważ będąc nieco lepiej usposobionym, szczególnie w sztukach w wojsku znaczenie mających i w matematyce, czułem, że więcej pożytku krajowi i sobie przyniosę służąc w jakiej uczonej broni, jakimi są: artyleria, inżynieria i kwatermistrzostwo, niż w piechocie lub jeździe, gdzie nauki nie popłacają.

Skończywszy tedy wszystko pięknie we Lwowie, przyjechałem do matki, a potem do ks. kanonika Drażewskiego, który myśl moją emigrowania i zaciągnięcia się do wojska polskiego potwierdził, bo zachodnia tylko Galicja była tak szczęśliwą, że traktatem 14.X.1809 do Księstwa Warszawskiego była przyłączona, wschodnia zaś z miastem Lwowem przy Austrii pozostała. Napisał więc list do mojej matki, która mnie jednynaka tracić nie chciała, list przekonywający, że ojczyzna jest pierwsza przed matką, tak że pocziwa z gruntu i zająca matka kraj rodzinny opuścić mi pozwoliła.

Niepospolite miałem trudności, żeby się do Warszawy dostać. Parę sposobności ominęły mnie tym łatwiej, że dwóch młodych szlachty, chcących się przez granicę do Warszawy przekraść, schwytano i za wyrokiem sądu wojennego powieszono; Austria bowiem nie mogła obojętnie patrzeć na to, że Galicja z młodzieży się wyludniała, ściśle zatem strzegła granicy.

Chciałem więc przebrany za siciarza przemknąć się z siciarzami z Jarosławia, którzy sici do Warszawy drogą wodną dostarczają; nie udało się. Chciałem znowu z pewnym Żydem się przekraść, i to się nie powiodło, aż przyjechał oficer polski, Boznański Feliks, do Przemyśla za urlopem — a majątek ich ziemski leży blisko tego miasta — ten, przyrzekł mnie z sobą zabrać przebranego za ordynansa, za co mu z radością niewymowną ofiarowałem pałasz od ojca otrzymany, bo nie szacowniejszego ofiarować mu nie mogłem; ale on sam, będąc z rządem jako emigrant w wielkich kłopotach i zatargach, jako szczęśliwie umknął, pałasz mój zabrał, a mnie na bruku w Przemyślu zostawił.

Tu już wszelką straciwszy nadzieję, byłem niepokieszony i z smutku usychałem; aż znowu Bóg dobry podał czcigodnemu kanonikowi Drążewskiemu myśl i środek mnie przemycenia następującym sposobem. Chociaż Galicja zachodnia z Lublinem i Zamościem odpadła była do Księstwa Warszawskiego, wszelako w początkach samych hierarchia duchowna w Księstwie, mimo oznaczonej traktatem granicy, nie mogła być jeszcze zaprowadzona, tak że księża starający się o probostwa w odpadłej części Galicji od Austrii musieli jeszcze za paszportami do Przemyśla na egzamina przyjeżdżać do mego kanonika, jak dawniej. Przyjechał tedy spod Zamościa młody ksiądz (Załęski), starając się o ważne jakieś probostwo; kanonik mu mnie przedstawił i prosto oświadczył, że jeżeli mnie przez granicę przewiezie, probostwo bez egzaminu otrzyma i że tej ofiary po nim jako dobrym Polaku się spodziewa. „*Tantae molis erat Romanam condere gentem!*” * Takie to miałem trudności dostania się do polskich Polaków!

Ksiądz Załęski przyjął ten warunek z największą ochotą i otrzymał patent na probostwo, a ja, pożegnawszy się

* „Z tak wielkim trudem trzeba było budować naród rzymski!”

z wszystkimi mnie życzliwymi, ruszyłem z nim w podróż jakby do Kalifornii. Trzeba zaś wiedzieć, że przyjechał był najętym z Zamościa furmanem; był to stary już człowiek, krzepki i rysów twarzy dziwnej poczciwości, wzbudzającej naturalnie zaufanie; jemum się odkrył, że chcę się przekraść przez granicę, że mam ważne papiery szkolne, drobne srebra stołowe i 8000 złp. bankocetłami austriackimi — matka więcej i inaczej dać mi nie mogła, bo nie miała, ponieważ w czasie wojen francusko-austriackich kraj tak był zalany papierami, że pieniądz srebrny lub złoty trzeba było jak towar kupować — prosząc go, żeby mi poradził. Natychmiast z radością mi powiedział, że ta bagatela da się łatwo zrobić, że ma z sobą syna w moim prawie wieku, który jest na paszporcie umieszczony i opisany, a że jego rysopis niewiele się różnił od mego, więc dodał, że syn jego z sreberkami, papierami i bankocetłami mymi przemknie się nocą piechotą gdziekolwiek przez granicę suchą pomiędzy strażami i z nami nazajutrz w drodze się złączy, ja zaś przez ten czas jego miejsce zastępować i ks. Załęskiemu w potrzebie usługiwać będę. Uściskałem zacnego starca i wszystko tak poszło, jak był ułożył.

Wyjechaliśmy więc 20 stycznia 1810 r. z Przemyśla, ale na moje nieszczęście ks. Załęski nakupił rozmaitych dla siebie towarów, jak materii na sutanny, weby na bieliznę itp. rupieci, w mniemaniu, że będzie tak wolno jak dawniej wszystko bez opłaty celnej do Zamościa przewieźć; wszystko to było w tłumoku w sztukach nie pociętych zapakowane. Ja, mając już rok dwudziesty pierwszy, byłem tyle przezorny, że się w ubiór z ujeżdżalni mi pozostały i dobrze podszarzany przebrał, wreszcie umyślnie go poplaściłem, ponieważ i niszczył do reszty, paznokcie i włosy od dawna, przewidując zawsze ciężką przeprawę, zapuściłem, twarz, ręce na ten dzień pobrudziłem tak dobrze, że na famulusa księżego doskonale wyglądałem. Lękałem się tylko, ażeby mój prałat, zakłopotany na komorze, przez zapomnienie nie nazwał mnie moim nazwiskiem, zamiast mnie mianować imieniem syna furmana, o cośmy się wprzód ułożyli. W samej istocie przybywszy na komorę austriacką tuż przy granicy leżącą, podobno w Tomaszowie, umieszczoną w wielkiej karczmie, znaleźliśmy mocny oddział huzarów, których wszędzie pełno było i w ruchu, zdjąłem z bryki tłumok, zaniósłem do izby karczemnej i rozpakowałem, bo tak kazano, a przeklinając na boku służbę księżą, biłem rękami po chłopsku, ponieważ zimno było do-

kuczliwe. Urzędnicy odkryli zaraz materie i webę i do konfiskaty przystąpili; ksiądz się tłumaczył, prosił, błagał... i dopiero po dwugodzinnych może korowodach udało mu się rozjątrzonych niby takim przestępstwem urzędników sowitą opłatą zmiekczyć. Zapakowawszy więc wszystko w tłumoku, do bryki go zaniósłem. Odtąd już mocnej ufności nabrałem w Bogu, że mnie po drodze żywota szczęśliwie poprowadzi, kiedy z tak wielkiego niebezpieczeństwa, w wieku młodym i bez żadnego doświadczenia, żywego wyprowadził, udzielając mi przytomności i zimnej krwi wytrawnego łotra w odegraniu mej roli.

Przebywszy granicę, gdyśmy kawał ujechali, skoczyłem z bryki, padłem na ziemię, całowałem ją, a pomodliwszy się gorąco, płakałem z radości, dziękując księdzu i furmanowi za ich poświęcenie się dla mnie. Syn furmana wkrótce się z nami połączył i tak szczęśliwie, pożegnawszy jak najserdeczniej proboszcza, który w jakiejś wsi u siebie wysiadł, przybyłem do Zamościa z furmanem, u którego czasową gospodą stanąłem, gdzie całą jego pocziwą rodzinę poznałem. Gdym go opuszczał, nie chciał nic ode mnie przyjąć, nawet za przewiezienie mojej osoby przez mil tyle, mówiąc: „Niejednego już młodego pana przewiozłem i pan może nie będziesz ostatnim, a Bóg błogosławi mi we wszystkim, że służę ojczyźnie, jak mogę; usłużyć komu — to swoja rzecz. Niech pana Opatrzność dalej szczęśliwie prowadzi — wspomnij tylko pan sobie niekiedy starego Grzegorza furmana”.

Zdziwiła mnie w prostym człowieku taka wzniosła moralność, bezinteresowność i miłość ojczyzny. Otóż to jest charakter naszego ludu prostego, byle go wyższe społeczeństwo nie koszwaliło.

Pożegnawszy czcigodnego Grzegorza i jego rodzinę, spotkałem zaraz pierwszego dnia mego pobytu w Zamościu dwóch braci moich ciotecznych, Józefa i Konstantego Witkowskich, podporuczników 13 pułku piechoty tamże stojącego; ci wiele mi dopomogli, nagłąc mnie, żebym bankocetle na złoto w Zamościu wymieniał, bo z każdym dniem spadały, a w Warszawie pewnie niżej jeszcze stać musiały niż w Zamościu. Zmieniałem więc te papiery na dukaty, płacąc 25 złotych reńskich za jednego, i to z trudnością, otrzymałem zatem za 8000 złp. bankocetłami 80 dukatów złotem, do czego dodawszy wartość sreberka około 20 dukatów wynoszącą, miałem wszystkiego 100 dukatów złotem za cały majątek, z którym się w świat puszczałem.

Ciż bracia (2) odwodzili mnie, żebym się do wojska w Zamościu nie zaciągał, gdy podpułkownik inżynierów Jodko, przejrzawszy moje papiery, do inżynierów, a kapitan artylerii Bogdanowicz do artylerii mnie namówić chcieli. Usłuchałem rad braci tym bardziej, że się z moim przekonaniem zgadzała, a zabawiwszy z nimi parę dni w Zamościu, udałem się znowu furmanem Żydem na wspólny koszt z sędzią (Gregolewskim, zda mi się) w dalszą do Warszawy podróż.

Mój towarzysz był człowiekiem gruntownie, ile sądzić mogłem, uczonym; za młodu był w Korpusie Kadetów, czyli Szkole Rycerskiej przez Stanisława Augusta w Warszawie założonej, z której potem tyle znakomitych ludzi wyszło, a dowiedziawszy się, że z uniwersytetu jadę na żołnierza, powziął ku mnie jakiś pociąg i już rozmowa nie ustawała na chwilę, a że był człowiekiem rozległych wiadomości, zdrowego rozsądku i długiej praktyki życia, korzystałem wiele z jego rad i przestróg — bo mnie później jak za syna uważał, tak ojcowskie dawał mi napomnienia — nawet, gdy mieszkał w Warszawie, a ja zostałem oficerem artylerii (miał zaś córki), bywałem u niego, gdyż tego żądał, i zawszem go znalazł dla mnie jednakowo przychylnym, aż dalsze koleje życia mego koczowniczego przerwały tak szacowną dla mnie znajomość i tylko w pismach publicznych nazwisko jego niekiedy przeczytywałem.

W przejeździe przez Lublin wstąpiłem do mego brata Ksawerego, najmłodszego z braci przyrodnych, urzędnika w sądownictwie. Nie zastałem go, bo wyjechał do Warszawy w interesie rządowym. Żona jego, której dotąd nie znałem, przyjęła mnie jak najuprzejmiej. W Wilanowie z moim sędzią zwiedzaliśmy pałac i galerię malowideł; sędzia był tu mi wyborynym cicerone. W Warszawie stanąłem w lutym t.r. przy Krakowskim Przedmieściu w domu pod numerem 412, gdzie poznałem się rychło z gospodarzami właścicielami domu i ich córką jedynaczką — nadzwyczaj grzeczną, jako wychowaną w Warszawie — która grała ładnie na fortepianie, a muzykę zawsze lubiłem, szczególnie melodyjną, śpiewną.

Chcąc poznać Warszawę, robiłem po całych dniach ustawiczne wycieczki w różnych kierunkach. Raz jeden napotykam Linzenbarta, który jednocześnie był ze mną na uniwersytecie we Lwowie. Opowiada mi więc, że chodzi do Korpusu Kadetów umieszczonych w Arsenale przy ulicy Długiej i że mieszka we trzech z Czajkowskim i Siemieńskim (3) w pałacu Mostowskich, gdzie dziś jest Komisja Spraw Wewnętrznych,

że pracują, iżby zdać egzamin na oficerów, a dowiedziawszy się ode mnie, że świeżo przybył do Warszawy w celu umieszczenia się w wojsku, mówi mi, że będąc bez zajęcia, żebym się do nich sprowadził i z nimi korepetował. Przystałem na to chętnie, a że w tym pałacu mieszkał generał artylerii polskiej Pelletier, dzielny Francuz, którego adiutantami byli Francuz Guerin i Jakubowicz, bogaty Ormianin, znany mi także z uniwersytetu, przez niego więc poznałem się z p. Guerin, któremu w ciągu pożycia, zadając różne powikłane zagadki matematyczne do rozwiązania, tylem sprawił, iż tenże jak najlepsze o mnie powziął mniemanie.

V

WEJŚCIE DO WOJSKA POLSKIEGO. — KORPUS KADETÓW. — POSTĄPIENIE NA OFICERA

Porucznik Guerin wyrobił mi, że byłem przyjęty 3 marca 1810 r. do kompanii 14 artylerii pieszej dowództwa kapitana Daretą, także Francuza, z pozwoleniem chodzenia na salę Korpusu Kadetów aż do egzaminu; ja też więcej nie potrzebowałem. Dostałem tedy jako kanonier całe umundurowanie, uzbrojenie (szabelkę i karabinek szwedzki), pobierałem żołd i rację żywności, tj. chleb, mięso, kaszę, sól i okrasę. Stołowaliśmy się wszyscy czterej w tym samym domu u drukarza Chmielewskiego, który był naczelnym w drukarni Mostowskiego. Mogłem tedy z tego przy korepetycjach płatnych dobrze się utrzymać, nie mając przy tym żadnego obowiązku lub służby w kompanii, bom był odkomenderowany na salę i występując w kompanii tylko na lustrację przed inspektorem lub podinspektorem popisów, który sprawdzał liczbę głów kompanii z kontrolami, wypytywał żołnierzy, czy regularnie żołd, żywność itd. odbierają. W tym czasie Cichocki (4), powracający z urlopu z Galicji, przywiózł mi od matki list i garderobę cywilną z pozostałą bielizną.

W korpusie szło mi wybornie i gdy profesor matematyki zachorował, zastępowałem jego miejsce przez parę tygodni. Kapitan Dłuski (5), nasz instruktor musztry piechoty, uformowawszy z kadetów batalion o sześciu kompaniach podług wzrostu, tak nas wyćwiczył w robieniu bronią i obrotach i z taką dokładnością wszystko wykonywaliśmy, że przecho-
dzący generałowie, jak Staś Potocki, Mielżyński i inni, zatrzymywali się i z radością uważali, żeśmy wykonywali obroty

nawet w szkole batalionu się nie znajdujące. Co do nauk kadeci byli podzieleni na klasy; dawano matematykę, trochę artylerii, fortyfikacji i taktyki, języków francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego, rysunków ręcznych, architektonicznych i topograficznych, dalej fechtunków i tańców. Ubranie było gustowne dosyć: kurtka ciemnozielona z rabatami, wyłogami i łapkami czarnymi aksamitnymi, kaszkiecik okrągły, jak w wojsku, z wierzchem i daszkiem lakierowanym, krótki pałusik na białym lakierowanym bandolerze, czechaczery białe dymkowe i karabinek z bagnetem.

Dłuski też nie był pospolitym oficerem, odbywał już był kampanię w Hiszpanii, gdzie był w udo ranny, wojsko francuskie znał na wylot i jak w pożyciu z nami starszymi, w najwyższej klasie będącymi uczniami był wesoły i poufały — bo bywał u nas, wiedząc, że wkrótce zostaniemy oficerami i potrzebując czasem jakiego objaśnienia z matematyki — tak przed frontem będąc, nie znał nikogo, a że byłem w straży chorągwianej niby chorążym, do którego cały batalion frontem maszerujący się stosował, musiałem dobrze uważać, ażeby, obierając punkta na ziemi na prostopadłej do linii frontu, w żadną stronę się nie ciągnąć, postępować i tempo kroku czy zwyczajnego, czy podwójnego, czy szturmowego zachować, inaczej by mnie gruba połajanka nie ominęła.

Dnia 15 sierpnia 1810 postąpiłem w kompanii na kaprała i przypiąłem galonki; że to był pierwszy awans i w dzień imienin Napoleona, ucieszył mnie więcej niż późniejsze stopnie oficerskie i ozdoby wojskowe; była to uprzejmość ze strony Dareta i Guerina (6), nie przepominając jeszcze i tego, że jako kapral żołd większy pobierałem.

Co niedziela chodziliśmy w parady na mszę cichą, późną, do Kapucynów, stając po obu stronach ławek w szeregach, a czterech kadetów z boków i kapral piąty z tyłu do asystencji księdzu mszę odprawiającemu. Raz w lecie podczas upału stojąc za księdzem uczułem nagle mdłości, a byłem do tego na czczo, zajaczki zaczęły mi biegać przed oczyma i byłbym zemdlał, a upadając narobiłbym zamieszania w kościele; nie czekając więc ostateczności, poszedłem do zakrystii, tam księża mnie posadzili w fotelu, dali mi wina się napić, po czym wkrótce powróciłem na moje miejsce. Cały kościół był zawsze napełniony damami mającymi synów, braci i innych krewnych między kadetami. Na Boże Ciało kadeci formowali szpaler w kościele Św. Jana, od wielkiego ołtarza poczynając, a królestwo sascy, którzy byli wówczas w Warsza-

wie, znajdowali się na tym nabożeństwie przy wielkim ołtarzu z całym dworem; miałem więc sposobność przypatrzenia się wszystkim osobom, ich ubiorom aż do korków dam dworskich. Paradą kościelną komenderował kapitan Słupecki (7), bo po kadetach stali zaraz grenadiery i aż na Świętojańską ulicę się rozciągali.

W miesiącach lipcu i sierpniu zdejmowaliśmy okolice Warszawy; kapitan Dłuski jako oficer inspektor i profesorowie kierujący robotami byli przez cały czas z nami. Chwile te słodko sobie przypominam i nic dziwnego, gdy sobie wystawimy młodzież dobrze urodzoną, już pod wąsem, z Warszawy, Krakowa, Lublina, Lwowa, Poznania, Krzemieńca, Wilna, Kijowa, po odbyciu tamże nauk, zgromadzoną w Korpusie Kadetów w Warszawie, a pędzącą obecnie życie pod gołym niebem wśród tysiąca zabaw, igraszek, kąpieli, sypiącą po stodołach u włościan i dającą na zakończenie obiad w Łazienkach Królewskich dla swoich przełożonych, na którym byłem jednym z czterech gospodarzy.

Nadszedł wreszcie tak pożądaný popis w dniu 10 marca 1811 r., na którym znajdowali się generał artylerii Pelletier, pułkownik artylerii Bontemps, pułkownik inżynierów Mallet, nazwany po otrzymaniu indygenatu Maletskim, pijar matematyk Dąbrowski i wiele innych osób, po którym mianowano nas ośmiu podporucznikami elewami, tj. oficerami uczniami (8). Przeznaczeniem elewów było pobierać wyższe wojskowe nauki jeszcze przez rok jeden, z zastosowaniem ich do praktyki. Mieliśmy profesorem Liveta, sprowadzonego na to umyślnie ze szkoły politechnicznej z Paryża, w której był korepetytorem. Był to mały Francuzik, blondynek, z wielką tabakierą, ale biegły we wszystkich częściach matematyki. Gdyśmy do niego kilku nas na korepetycję uczęszczali — a miał ładną żonę — musieliśmy tego uważać, żeby z ogromnych algebraicznych rachunków, które na tablicy ślicznym pismem prowadził, nie nie uронić i razem na żonę jego zerkać, która, jak widać było, o to się wcale nie gniewała, bo mogąc być w innym pokoju, z robótką do naszego gabinetu regularnie przychodziła i siadywała. Któż wie, może miała wrodzony gust do algebry, bo posadzać nigdy nie należy.

Gdybym był wcześniej o parę miesięcy przybył do Warszawy, byłbym o rok wcześniej został oficerem, bo umiałem daleko więcej niż u kadetów uczono, ale nie umiałem matematyki w języku polskim, tylko w łacińskim, nie umiałem jej licznych i trudnych zastosowań do sztuki wojennej, nie mia-

łem pojęcia o artylerii, fortyfikacji, taktyce i rysunkach wojskowych, a najbardziej, że nie wiedziałem musztry z karabinem, musztry przy działach itp.; przybyłem wprowadzić w r. 1810 nieco przed egzaminami i mogłem je zdać po łacinie przed uproszonym pijarem Dąbrowskim, a jako elew dopełnić brakujących mi wiadomości, ale że mi o czas nie szło, a wszystkiego chciałem się gruntownie nauczyć, pozostałem więc na cały rok w Korpusie Kadetów.

Zostawszy tedy, jak wyżej mówiłem, ośmiu nas elewami, w ciągu kilku tygodni letnich zajęci byliśmy praktyką. Ja z dodanym sobie pomocnikiem Karolem Skalskim — który później w r. 1822 został razem ze mną dowódcą raketników pieszych, gdy ja zostałem konnych — zdejmowałem stolikiem Marymont, busolą Łazienki Królewskie, mierzyłem i rysowałem deptak Roeslera pod wolskimi rogatkami i zdejmowałem na oko Królikarnię z okolicą, co wszystko trzeba było wykończyć, na czysto wyrysować i w pewnym terminie władzy swej złożyć; wykonałem to należycie.

Będzie się może dziwnym zdawało, jak mogłem się dotąd utrzymać; oto fundusz zebrany we Lwowie ze stypendium i korepetycji u p. Augustynowicza wystarczył mi na podróż do Warszawy, a kapitał przez matkę udzielony, dotąd nietknięty, posłużył mi na ubranie oficerskie, nie potrzebując znosić żadnych poniżeń, żadnych upokorzeń doświadczanych przy zaciąganiu pożyczki. Drobne wydatki w Korpusie Kadetów opędzałem moim żołdem i dochodem z korepetycji. Wyznać winieniem, że, nie mając się na nikogo spuszczać, tylko na siebie, byłem w wydatkach oględny, chociaż w wieku młodym, bogatym w nadzieję, lubiącym błyszczeć i nie znającym się na wartości pieniędzy. Pamiętałem zawsze zasadę ekonomiczną: „Pamiętaj, rozchodź, żyć z przychodem w zgodzie”. Tak się rządząc, przez całe życie moje, nigdy w deces nie wpadłem; a miewałem i małe, i wielkie dochody, czasem nawet znaczne fundusze skarbowe w ręku. Nastąpiły wprowadzić ciężkie czasy, ale nie z mojej winy, że skarb Księstwa Warszawskiego, nadzwyczajnymi wysileniami na nadchodzącą z Rosją wojnę wycieńczony, wojska opłacać nie mógł i takowe niedostatek cierpiało; ale dostarczając oficerowi kwaterę w naturze i podwójną rację żywności żołnierza, wielką sprawiał ulgę oficerowi w utrzymaniu się.

Cieszyła mnie jeszcze i ta okoliczność, że będąc bez doświadczenia, dotąd nie byłem nigdzie oszukany lub okradzionym, przeciwnie, natrafiałem zawsze na ludzi poczciwych,

szczerych, przychylnych. Znajdując więc ludzi lepszymi, niż miałem o nich pojęcie, pojednałem się z rodzajem ludzkim, ponieważ, powiem otwarcie, że w każdym człowieku, osobliwie w młodej dziewczynie, widziałem mego wroga. Dopiero przekonałem się, ile to mogą uprzedzenia i przesady w młodej głowie. Na złe mi to wszakże nie wyszło, że będąc wyłącznie przez mężczyzn wychowanym i między nimi tylko żyjąc, nie miałem żadnego zetknięcia z kobietami i dlatego byłem względem płci drugiej skromny i wstydliwy.

Wracając do dawnego przedmiotu, powiem z żalem, że tylko przez cztery miesiące byliśmy elewami, ponieważ nadchodząca wojna Francji z Rosją wymagała znacznego powiększenia sił z naszej strony; jakoż dnia 20 lipca 1811 r. postąpiliśmy wszyscy na oficerów do frontu; ja na porucznika II klasy do kompanii artylerii pieszej kapitana Wyganowskiego, dobrego szlachcica, który mnie obwoził po swoich znajomościach przedstawiając swego młodego oficera.

Już dnia 29 sierpnia t. r. wysłany zostałem do Modlina z transportem dział, kul, granatów itd. na pięciu berlinkach z dodanym podoficerem i kilku żołnierzami. Niestety woda na Wiśle była tak mała, że dwa tygodnie płynąć musiałem, żeby się na miejsce dostać; biedni berlinkarze różnych używali sposobów, żeby się naprzód posuwać, ale często w wieczór widzieliśmy okolicę, z której rano odpłynęliśmy. Żyłem tylko wędliną, sypiałem na kulach armatnich, bo pęczka słomy nie było na posłanie, a w kajutach był zaduch nieznośny od licznych niemieckich rodzin i pełno rozmaitego robactwa. Ta pierwsza, choć krótka wyprawa dała mi się dobrze we znaki. Nie wiem prawdziwie, czy Jazon płynąc z argonautami do Kolchidy po złote runo więcej jak ja wycierpiał, i dziwno mi było, że w własnym kraju wśród pokoju można takie męczarnie ponosić.

Oddawszy cały ładunek według spisu w Modlinie, zabawiwszy się nieco z panami Witkowskimi, których pułk 1 liniowy (zda mi się Kaźmierza Małachowskiego) tam stał, wróciłem łodem do Warszawy i zdałem sprawę z mojej czynności. Dostałem bilet na kwatere do p. Piotrowskiego, piwowara mieszkającego przy Nowolipiu, którego żona (będąca wdową, poszła za niego także wdowca) była rodem z Galicji i tam знаła moją rodzinę; stąd prędką znajomość, a że ten dom był oddalony od miasta, prosili mnie raz na zawsze do swego stołu i traktowali mnie jak syna, widząc mnie cichym i pracowitym.

Dnia 19 marca 1812 r., na moje imieniny, postąpiłem na porucznika I klasy w artylerii pieszej do kompanii kapitana Abramowicza, który także był dla mnie łaskawym. Przykładałem się pilnie do służby i poznałem gruntownie moje rzemiosło we wszystkich szczegółach; stąd przełożeni dobrze mnie uważali, chociaż nigdy nie byłem nadskakującym i tylko me powinności należycie pełniłem.

Wkrótce potem wysłał mnie generał Pelletier do twierdzy Częstochowy, gdzie był oddział artylerii pieszej złożony z trzydziestu ludzi z jednym oficerem, były rozmaite budowle należące jedne do artylerii, inne do inżynierii, wreszcie sama forteczka o czterech narożnikach (bastionach) noszących mianem czterech polskich panów je swoim kosztem budujących, mająca tylko przedpiersień (parapet) i rów (fossé) bez żadnych dzieł zewnętrznych, sławna z obrony przeora Kordeckiego przeciwko Szwedom r. 1655, z wycieczki Pułaskiego za panowania ostatniego naszego króla, ze skarbcza księży paulinów, z mnóstwa drogich klejnotów, składanych tam w depozyt przez naszych magnatów przed napadami nieprzyjaciół, i rozmaitych szacownych narodowych pamiątek, jak: ornatów z ciężkich materii szytych i nasadzanych perłami i drogimi kamieniami przez ręce naszych królowych, buław różnych hetmanów itp.

Moim poprzednikiem był porucznik artylerii Oskierko, o którym ktoś generałowi doniósł, że służby nie pilnował, ale wciąż do obywateli jeździł i z pannami romansował, że nieład wielki w amunicji i korespondencjach panował — bo to mi wszystko generał, wyśelając mnie na tę komendę, opowiedział, ostrzegając przez to niby, żebym ja tego się nie dopuszczał — a do komendanta placu majora Möllera napisał, iżby go aresztował póty, póki mi nie zda wszystkiego, po czym miał rozkaz Oskierko udać się do Warszawy i nowe otrzymać przeznaczenie.

Odebrawszy wszystko od niego podług wykazów na miejscu się znajdujących, zająłem się natychmiast przyprowadzaniem do porządku amunicji, tj. nabojów działowych, ładunków karabinowych, beczek z prochem i pocisków, mianowicie kul, granatów i kulek ręcznej broni. Było tam kilka piwnic (casemates), suchych, a niektóre były tak obszerne, że pa-



„Artyleria plesza i kadet”. Umundurowanie z czasów Księstwa Warszawskiego (mal. R. Rupniewski)



Artyleria polska z lat 1807—1815 (mal. J. Chelmiński)

reset koni jazdy wygodnie do nich zejść i pomieścić się mogły; w nich tedy amunicja się wybornie przechowywała, lecz naboje i ładunki były tu i owdzie porozrucane i z sobą, bez względu na kaliber, pomieszane, a Oskierko także ich tak miał zastać, jak mówił, kule zaś, bomby i granaty leżały na dworze w kupach nieforemnych. To wszystko układając z pomocą moich żołnierzy, przez dni kilka, uporządkowałem naboje w foremne stosy, a pociski w ostrograny (piramides), tak że za chwilę ilość tych i tamtych, sposobem z matematyki wojskowej znanym, mogła być obliczona; a że będąc kometantem artylerii, zastępcą poddyrektora artylerii i poddyrektora inżynierów, miałem trojakiego rodzaju zatrudnienie, potrzebując nadto prowadzić korespondencje w ważniejszych okolicznościach z generałem Pelletier — jak mi czynić rozkazał, gdym mu się przy wyjeździe z Warszawy przedstawił — rozumi się w języku francuskim, co mi łatwo nie było pisać do takiego dostojnika, a jeszcze rodem Francuza; z pułkownikiem artylerii Antonim Górskim co do oddziału podoficerów i żołnierzy pod względem ich ćwiczeń, umundurowania; z pułkownikiem artylerii Bontemps, także po francusku, pod względem materiałów i budowli artyleryjskich; z pułkownikiem inżynierów Sałackim co do fortyfikacji i budowli należących do inżynierów, a mianowicie co do ich reparacji; dalej z Kaliszem, skąd żołąd dla mnie i niższych stopni odbierałem; oprócz tego musiałem robić sam stany płacy oddziału i rzemieślników oddzielnie, ludzi tych co tydzień wypłacać, a stany ulegalizowane do Warszawy odsełać. Wprawdzie na wszystko znalazłem instrukcje w aktach, ale same akta były znowu doskonale pomieszane co do władz i co do dat, więc znowu nastąpiła kwerenda; ułożyłem je tedy władzami, a w każdej dacie, odczytałem parę razy jako rzecz zupełnie dla mnie nową — a było ich około 100 arkuszy pisma — porobiłem z potrzebniejszych krótkie wyciągi, żeby nie zawsze po foliach szperać, i przysiedziawszy fałdów wkrótce się oswoiłem, co i jak robić należało. Po raportach periodycznych, które mnie niewiele pracy kosztowały, najgorsze były korespondencje, które czasem wielkości arkusza bitym charakterem dochodziły, a wszystkiego, com pisał, powinny były w książkach na to zrobionych pozostać kopie.

Zatrudnienia miałem do przesycenia, ale jakem się urządził i w ruch wszystko wprowadził, wieczór po całodzienniej pracy zostawał mi zupełnie wolny, który — zamiast jeżdżenia w odwiedziny, do których, będąc zmęczonym, najmniejszego

pociągu nie miałem — użyłem, jako odetchnienie, na założenie szkoły czytania, pisania i rachunków dla moich niższych stopni, bo w wojsku naszym, młodym a liczny, często podoficer artylerii czytać nie umiał; ci po moim dwumiesięcznym tam pobycie, regularnie tam dopilnowani i metodą Lancastera uczeni, dosyć skorzystali.

Obywatele zaś okoliczni, z którymi żył mój poprzednik, porobili i ze mną znajomości i dziwili się niepomału — chociaż wiedzieli, że mój poprzednik źle na hulankach wyszedł — żem dla braku czasu, jak się tłumaczyłem, żadnego odwiedzić nie mógł; ja zaś lękałem się tych znajomości, osobliwie młodych panien, bo młodemu tak łatwo, rozmiłowawszy się, stracić głowę i jak drugi Telemak — a Bóg widzi, że sam sobie byłem Mentorem — od pięci białej uciekałem tym bardziej, że ojcowie mający córki na wydaniu gwałtem, co podejrzenie obudza, młodego do swych domów ciągną i na zięcia polują. Kosztowało mnie to cokolwiek wysilenia, ale odniosłem zwycięstwo; bo też być młodym, służyć wojskowo i żenić się jest wielki bezsens.

Los zdarzył, że gdy za otrzymanym z Warszawy rozkazem działa na wały za pomocą żołnierzy i aresztantów cywilnych liną w galerę zaprzężonych w kwietniu, w czasie największych roztopów, wciągałem, przybyło trzech jenerałów francuskich, którzy, jadąc do Warszawy (zapewne na przyszłą kampanię), zboczyli i Częstochowę obejrzyć chcieli. Zawołano tedy starego Möllera, z którym żadnych stosunków służbowych nie miałem, i mnie, jako komendanta artylerii, do nich. Pobiegłem, zabrawszy z sobą nowy plan Częstochowy, na którym działa zewnętrzne do obrony przez Malleta były projektowane, zaprowadziłem ich do arsenału, gdzie się z ciekawością przypatrywali armatom starożytnym funtowym, nogokolcom, granatom szklannym, szablom, buzdycanom, dzirytom, obuszkom, misiurkom, przyłbicom, pancerzom, koszulom drucianym, toporom wojennym, rękawicom zbrojnym itp. Najwięcej przypatrywali się strzelbom wałowym (fusils de rempart) dawnym i szturmakom, które były rozmaitego kształtu; strzelb wałowych było paręset, niektóre tak ciężkie, że opierano je na wale lub widelkach podczas strzału, bo człowiek by ich przy celowaniu udźwignąć nie mógł; nabijano je jak sztucce za pomocą młotka na irchę; niosły też za to do tysiąca kroków; inne były z zamkami (z poprzedzających wieków) o kółkach, a inne jeszcze do zapalania lontem. Były to po największej części rusznice na Turkach w ich twierdzach zdoby-

te, jak często świadczyły napisy tureckie na nich ryte. Wszystko to było ładnie ułożone na przyjazd króla saskiego, który niedawno Częstochowę zwiedzał.

Poszliśmy potem na okopy; rozłożyłem plan i chciałem go obrócić, orientując go ze stronami świata, ale najstarszy z nich, jeszcze młody, smagławy, chuderlawy, wzrostu dobrego, za którym dwaj inni generałowie, już podeszli, zawsze się nieco w tyle trzymali, oświadczył mi: „c'est égal”; pytał mnie, jak dawno byłem oficerem, ile mam lat, czy znam Modlin i jakie jego rozwinięcie (*développement*), tj. jak wielkiej potrzeba załogi do jego obrony, na co wszystko mu odpowiedziałem, tytułując go „*Votre Excellence*” albo po prostu „*mon général*”, jak wypadło i jak się zwykle mawia do generała; potem poszliśmy obaczyć skarbiec księży paulinów, a dawszy im 50 luidorów jako jałmużnę, odjechał. Nazajutrz dopiero doszła nas wiadomość, że to był Hieronim, król westfalski, najmłodszy brat Napoleona I — dzisiaj za panowania swego synowca, Ludwika Napoleona III, jest gubernatorem Hotelu Inwalidów (umarł już w r. 1860) — generał artylerii Allix i jeszcze jakiś generał. Obeszło mnie to cokolwiek, że króla tytułowałem jak prostego generała, ale on sam był temu winien, że pod ściśłym incognito zajrzał do Częstochowy; podobno nawet całą drogę z Kassel do Warszawy tak odbywał.

Widząc jasno po wszystkim, co się działo, że się na wojnę zanosi, w której Polacy udział będą mieli, struchlałem na myśl, że mnie starszyzna, mająca tyle kłopotów przed wiszącą wojną na głowie, zapomni i w Częstochowie zostawi. Napisałem więc do generała Pelletier przedstawienie — ponieważ w tak ważnych razach najlepiej do najstarszego się udać — że będąc młodym i życząc sobie odbywać kampanię w polu, czułbym największą przykrość, gdybym w Częstochowie miał pozostać; prosiłem zatem, ażeby generał wszedł w słusność mego żądania i kogo innego na moje miejsce, gdzie wszystko już jest w porządku, przysłać raczył. Niedługo czekałem na skutek mej prośby, bo przy końcu maja przybył na moje miejsce kapitan artylerii Działkowski, stary pocziwiec, który jeszcze za Stanisława Augusta w tej broni w niższym stopniu służył; nauki nie miał, ale był dobry żołnierz, ponieważ w r. 1809, gdy Polacy zdobyli Sandomierz, i na odwrót byli tam obleżeni, on, junacząc, wlaźł na szaniec, spuścił hajdawery i goły tyłek na Austriaków wypiął, ale jakiś pandur czy Kroat tak dobrze wziął go z boku na cel, że mu pacierze przetrącił; odtąd, chociaż się z rany wyleczył, pozostał na za-

wsze cierpiącym. Przywiózł mi tedy rozkaz od generała Pelletier, że mam mu wszystko jako memu następcy według inwentarzy zdać, a sam natychmiast do Warszawy przybyć, gdzie będę umieszczonym przy sztabie generała Allix. Gdy ta wieść się rozeszła, nuż szlachta się zjeżdżać i mnie winszować, że mówiąc z królem, on mnie wziął do sztabu będącego przy jego boku; było to prawdopodobne, ponieważ cesarz powierzając dowództwo prawego skrzydła Wielkiej Armii, złożonego z Sasów, Polaków i Westfalczyków, bratu Hieronimowi, dodał mu generała Allixa — będącego generałem artylerii w służbie westfalskiej — jako doradcę i mentora, za którego zdaniem tylko miały być wykonywane wszelkie poruszenia na prawym skrzydle armii w wojnie przeciw Rosji toczyć się mającej. Po drodze powiem, że lewe skrzydło armii miało linię operacyjną nad Bałtykiem przez Gdańsk, Rygę na Petersburg; prawe skrzydło szło przez Warszawę, Grodno, Smoleńsk na miasto Moskwę; środek nareszcie, gdzie był cesarz, szedł przez Berlin, Połock, Witebsk między Petersburg i Moskwę, dając w potrzebie pomoc lewemu lub prawemu skrzydłu i zagrażając obu stolicom. Ale jak ludzkie widoki są mylne! Tam, gdzie mi świetny los obiecywano, wyszedłem wcale niedobrze, a raj, który dotąd miałem na ziemi, zamienił się na istne piekło, jak obaczmy — tylko trochę cierpliwości proszę.

Przybywszy do Warszawy, przedstawiłem się wszystkim moim przełożonym, którym raporta zdawałem; byli ze mnie zadowoleni, a pułkownik Sałacki — zabity w naszej rewolucji przez motłoch niewinnie — namawiał mnie, żebym się przeniósł do inżynierów, za co, mając inne widoki, podziękowałem i generałowi Allix się przedstawiłem.

VII

PRZEGLĄD OGÓLNY KAMPANII W ROSJI 1812 ROKU

W tym miejscu wypada rzucić okiem na powody wojny Rosji z Francją i przejrzeć główne operacje kampanii r. 1812.

Następujący wypis zrobiłem z Real-Enzyklopädie (wydanie piąte, odbicie trzecie w Lipsku r. 1822), przez Niemców napisanej, więc może nieco stroniczej, ale nie miałem innego dzieła po ręką.

[...] *

* Opuszczono 10 i pół strony tekstu rękopisu.

VIII

ODCIĘCIE BAGRATIONA. — PORAZKA NASZYCH POD MIREM. — POWRÓT DO SWOICH

Dawszy krótki rys głównych działań wojennych w kampanii 1812 r., powracam do mej osobistości.

Przedewszystkiem musiałem na kampanię jeszcze dwa konie dokupić i juki; a że byłem gospodarny, fundusze moje mi wystarczyły na to; miałem więc dwa konie wierzchowe, a trzeciego pod ordynansa, z dwóch wierzchowców z kolei jeden mnie niósł, a drugi siedł pod jukami. Źle zrobiłem, że idąc na kampanię, zamiast trochę bielizny i dwóch mundurów do odmiany, wziąłem dosyć bielizny, mundur paradny i wszystkie patenta szkolne, ponieważ to wszystko nad Beręziną przepadło; w kilka lat później musiałem do mego brata Walentego do Galicji pisać, który w Przemyślu i we Lwowie kopie świadectw równie jak legitymacje szlachectwa ze Stanów wydobyl i mi je do Warszawy przysłał; i te to papiery znajdują się w wspomnianej księdze: „Bieg życia” itd.

Sztab generała Allix był dosyć liczny; szefem sztabu był pułkownik Gautier, Francuz, dobry człowiek; adiutantów było trzech, a że Allix dowodził artylerią prawego skrzydła, więc z artylerii saskiej, polskiej i westfalskiej było nas po dwóch, oficerów służbowych (*officiers d'ordonnance*); drugim oficerem z artylerii polskiej był porucznik Wojciech Chrzanowski (8). Oprócz oficerów byli jeszcze ordynansi stali, tj. żołnierze na całą kampanię oddani, po dwóch z każdego narodu; byli to artylerzyści konni z frontu wzięci, odkomenderowani do sztabu do rozmaitych posylek i zatrudnień ze służbą związek mających; na koniec byli żołnierze pociągowi, prowadzący furgon generała czterokonny i dwa wozy drabiniaste służące do zwożenia furażu suchego czy zielonego, ponieważ było kilkadziesiąt koni do żywienia.

Jenerał Allix, jak mówiono, miał być bardzo uczonym; w późniejszym nawet czasie napisał był dzieło o astronomii, usiłując w nim zwalić przyjęty dotąd układ Kopernika; ale mu się to nie udało. Był niski, otyły, mocno śniady, w wieku podżyłym, zły jezdziec, jak zwykle uczeni bywają, mało mówiący, zresztą dobry człowiek, ale skąpy do najwyższego stopnia. Posłużyć mogą następujące szczegóły, jak nie lubił wydatków; np. w marszach zawsze palił tytoń nie mając ani fajki, ani tytoniu; ja, który na moje nieszczęście jeden tylko

z całego sztabu paliłem, musiałem mu obojga dostarczać, po koleżeńsku niby; dalej, wywiózł był z Kassel 50 szynek — a szynki kasselskie mają być tak wzięte jak hamburskie półgęski — z nich jedną tylko sztab spożył w marszu z Kassel do Warszawy, drugą w drodze z Warszawy do Mohylewa, a 48 szynek Kozacy z furgonem zabrali; na koniec my dwaj Polacy z tytułu, żeśmy znali język polski, byliśmy używani do najodleglejszych posełek, gdy Niemcy blisko tylko byli posełani; i tak raz Chrzanowski posłany był, zdaje mi się, ze Szczuczyna z depezbami do Warszawy, drugi raz ja z Grodna także do Warszawy na moim koniu z jednym ordynansem wtenczas, gdy armia prawdopodobnie naprzód postępować miała, a zrobiwszy drogę tam i na powrót, doganiać ją jeszcze potrzeba było. Nic by to nie było trudnego odbyć tę drogę w czasie zwyczajnym konno, ale jechać traktem, którym armia przeszła i przyległości traktu tak wyniszczyła jak szarańcza, że zielonej karmy dla koni dostać nie mogłem, a tym mniej suchej na przednówku, ponieważ wszystko na milę po obu stronach drogi było wykoszone; otóż mój generał miał fundusz skarbowy na podobne wypadki, wszelako zamiast mnie posłać pocztą na koszt skarbu, jak był powinien uczynić, wysłał mnie wierzchem na moim koniu, zapewne troskliwy o moje zdrowie, ażebym wiosennego świeżego powietrza do sytości użył.

Przebyłem tedy do Warszawy skołatany na ciele i na duszy — dla harmonii — pooddawałem depeze, gdzie należało — a była w nich mowa o obwarowaniu Serocka, o spiesznym wyprawieniu do armii taborów amunicyjnych itp. — i gdy mnie pułkownik Bontemps wychudzonego obaczył, zapytał o przyczynę. Opowiedziałem mu moją drogę, że po 10 mil na dzień bez żadnej dniówki, bez żadnego pożywienia dla mnie i dla konia regulaminem przepisanego, podczas największych upałów robiłem. Ulitował się nade mną, widząc taką nieprawość ze strony mego generała, kazał w Warszawie na kilka dni dla odżywienia się pozostać i zrobił wzmiankę, że o tym do generała napisze. Jakoż przez kilka dni w Warszawie z moim koniem wypocząłem, a odebrawszy wszelkie pisma do mego generała adresowane, ruszyłem na powrót w tę przeklętą podróż i dognałem go gdzieś daleko za Grodnem, chociaż w Grodnie przez siedm dni nasi stali i potem nawet wolno się posuwali, stosując się do poruszeń środka armii. Otóż, gdym się generałowi dobrze z mego komisorium sprawił, dał mi kieliszek wina wcale lichego, wywzajemniając

się za pieniądze, które za pocztę dla mnie należną do kieszeni schował.

Robotę mieliśmy u niego ustawiczną z Chrzanowskim, bo albo nas wysełał z jakimś rozkazem, a tych nie brakowało, to do Sasów, to do Polaków, to do Westfalczyków — a prawe skrzydło zajmowało wszerek parę mil kraju — lub kazał w jakiej okolicy plan od oka zdjąć i porządnie wyrysowany mu oddać, lub też kazał pisać raport do cesarza, który co kilka dni w początkach regularnie odchodził, lecz później Kozacy, wkradając się pomiędzy nasze korpusy, przesyłkę ich nader utrudniali. Muszę też tu choć dla mojej pociechy, mniej dbając na nudy czytelnika potomka, raport taki opisać. Kategorie jego w rubrykach były następujące: ogół korpusu, obecni do boju, chorzy, zbiegli, zmarli i urlopowani, zatem sześć było kategorii, a w każdej były rubryki: generałów, pułkowników itd. stopniami aż do żołnierzy w każdej broni; dalej koni wierzchowych i jucznych oficerskich, tudzież skarbowych wierzchowych, artylerycznych i pociągowych; potem szła ilość dział ciężkich i lekkich, armat i granatników; następnie wykaz amunicji, tj. naboju armatnich i granatnikowych, a te się dzieliły, jedne i drugie, na naboje kulowe lub granatne i kartaczowe; kończyły rubryki karabinów, karabinków, pałaszy, lanc i ładunków karabinowych i pistoletowych, a to wszystko w korpusie westfalskim, niżej w korpusie saskim, a na końcu w korpusie polskim. To wszystko zrobić — rzecz była małej wagi, przy wygodzie i swobodzie, a nade wszystko w stosownym miejscu; ale tam tego wszystkiego nie dostawało, a trzeba było koniecznie taki raport na czas oznaczony wygotować, tj. pięknie, bez skrobań, napisać i w tysiącu cyfer omyłki nie zrobić, gdy człowiek był czasem głodny, czasem niewyspany, a czasem stolika lub stołka do pisania brakowało, a nawet co chwila mogli zawołać „na koń”, a wtenczas całą robotę trzeba było przerwać, w furgonie żywo upakować i konia dopaść; pisał się zaś raport na ogromnym wielkowym arkuszu.

Bóg tylko wie jeden, cośmy tam z Chrzanowskim wycierpieli, a na nasze nieszczęście znaleźmy za wiele, bo oprócz nauk wojskowych i rysunków znaleźmy, oprócz własnego, jeszcze języki francuski i niemiecki — o łacińskim już nie mówię — stąd Niemców pod rozmaitymi pozorami oszczędzano, a nami jak burą suką pomiatano i ucziwie szarzano; słodził nam, jak mógł, później przybyły pułkownik Bontemps i do wytrzymałości zagrzewał, widząc takie smutne nasze położe-

nie, ale zaradzić złemu nie mógł. W marszach nawet — a nie szliśmy z jenerałem przy kolumnach, które równolegle do siebie postępowały, ale zawsze krótszą drogą, choćby i ścieżkami — gdy się jaki oddział jeźdźców w dali pokazał, zaraz jeden z nas ruszał w tę stronę z kopyta dla przekonania się, czy to są nasi, czy nieprzyjaciel, a jenerał stał tymczasem na miejscu i mój tytuń palił, choćby najlichszy; nie chodziło mi o tytuń, ale o posługę, że trzeba mu było fajkę nałożyć, ognia skrzesać — zapalek bowiem i cygar wówczas nie znano — i grzecznie podać. Zdarzało się bowiem, że się Kozacy między nasze kolumny, nie przymierzając, po złodziejsku zakradali, chcąc gdzieś coś urwać, ale trzeba im wybaczyć, bo na tym sztuka wojenna polega. Kozaczyzna jest to chłop-żołnierz liczny, tani i naturalnie o swoją skórę dbały; tam tylko natrze, gdzie się widzi w wielkiej przewadze, zresztą w czas uchodzi i nie jest wcale w swoim odwrocie tak niebezpiecznym, jak byli nieboszczykowie Partowie.

Wyruszywszy tedy w maju 1812 z Warszawy, szliśmy przez Serock, Pułtusk, Rożan, Ostrołękę, Nowogród, Stawiski, Wąsosz, Szczuczyn, Grajewo, Rajgród, Augustów, Lipsk, Ołykę pod Grodno, gdzieśmy nieprzyjaciela znaleźli, a po kilkogodzinnej utarczce to miasto Polacy zajęli; wprowadzie most na Niemnie nieprzyjaciel spalił, ale pułk 1 dowództwa Kaźmierza Małachowskiego, przeprawiwszy się przez rzekę, zmusił nieprzyjaciela do ustąpienia z miasta, wkrótce też most został postawiony i Polacy po nim przeszli. Ponieważ korpus księcia Józefa siedł na samym brzegu prawego skrzydła, siedł więc manowcami i pontonierzy nasi od Warszawy do Grodna, a dalej do Mohylewa kilkadziesiąt mostów rzucić byli zmuszeni dla przeprawy korpusu, tak więc Polacy zawsze z największymi trudnościami walczyć musieli. Wprowadzie na prawym skrzydle Polaków było 20 000 Austriaków pod Schwarzenbergiem, ale tak jakoś mądrze manewrowali, żeśmy ich tylko parę razy widzieli i sami o bezpieczeństwie naszego prawego skrzydła myśleć musieliśmy, nie spuszczając się na ich osłonę. W Grodnie stanęliśmy z Chrzanowskim kwaterą u jakiegoś aptekarza — nazwisko jego przepominałem — wielkiego naszego patrioty; a miał ładną młodą żonę Litwinę, która się bardzo podobać mogła, lecz skoro mówić zaczęła po polsku, akcent litewski tak miała nieznośny, że cały urok traciła.

Mnie nazajutrz wysłał jenerał Allix do Warszawy, jak wyżej mówiłem, a wróciwszy do Grodna, stanąłem na noc

znowu u tego aptekarza już mi znajomego, który mi odjeżdżającemu nazajutrz darował pyszną mapę topograficzną Rosji europejskiej, nie sztychowaną, ale ręką robioną, w języku rosyjskim napisaną, podklejoną i składaną, z napisem na drugiej stronie, że mi ją na pamiątkę ofiaruje; przyjąłem z wdzięcznością dar ten, tak dla mnie w ówczesnych okolicznościach znakomity, i udałem się dalej za moim jenerałem w pogoń przez Skidel, gdzie wybornie od proboszcza byłem przyjęty, przez Kamienną, Szczuczyn, Żołudek, Bielice, Nowogródek, Korelice i Turecz, gdzie go dognałem i dowiedziałem się, że nieprzyjaciel wszędzie ustępował i nigdzie z nim do spotkania nie przyszło; ucieszyłem się tym nieskończenie, bom się lękał, że i kampania się skończy, a ja w ogniu nie będę. Jak to człowiek młody, niedoświadczony fałszywie o rzeczach sądzi! O, nawąchałem się potem prochu do syta! Mapę tę musiałem po wielu naleganiach, Allixowi odstąpić w zamian za jego mapę zwyczajną, a nie topograficzną.

Przybywszy nazajutrz do Miru — a działo się to już w lipcu 1812 r. — dowiedzieliśmy się z wielkim smutkiem, że jazda nasza (polska), która była na przodzie jako w okolicy równej, dowodzona przez jenerała Roźnieckiego, poniosła klęskę od jazdy rosyjskiej, która ją oskrzydliła, niemało naszych wybiła i do niewoli zabrała; dostał się do niej także dobrze mi z Galicji znany Jan hrabia Drohojowski, będący w pułku 11 jazdy dowództwa pułkownika Potockiego, brat zaś jego młodszy Seweryn był przy sztabie Latour Maubourga i z nim się czasem widywałem. Patrząc na furmanki zwożące z pobojowiska naszych rannych, srodześmy boleli.

Mój jenerał, ciekawością wiedziony, wzięwszy mnie z sobą i jednego ordynansa, wyjechał był z Miru z jenerałem Peltier, który miał przy sobie kapitana Żwana (9) dla obejrzenia pola bitwy, na którym widzieliśmy dokładnie, bo zboża były wysokie, jak znaczna oskrzydlaająca szwadronami kolumna nieprzyjacielskiej jazdy naszą poza wzgórzami obeszła, żyta bowiem ogromne do szczytu były stratowane. Tak rozmawiając i przypatrując się ciałom pobitych tak naszych jak nieprzyjaciół, między którymi znajdowali się Kałmuki i Baszkiry z łukami, nie postrzegłszy tego, wysunęliśmy się za nasze placówki i wedety, które nas zapewne widziały, ale my ich poukrywanych nie uważali. Sądząc tedy nasze placówki, że jenerałowie jadą na rozpoznanie, nie ostrzegały nas bynajmniej, żeśmy łańcuch wedet minęli; aż nagle postrzegamy oddział jazdy nieprzyjacielskiej ku nam dążący; naturalnie ru-

szyliśmy z kopyta i nie oparliśmy się aż przy naszych placówkach i tam dopiero odetchnęli. To wszystko było mniejsza, ale Żwan miał właśnie wrzedzionkę na pośladku i jadąc naprzód stępo, ból miał znośny, ale gdyśmy zaczęli umykać czwałem, cierpienia miał okrutne; lecz nie było rady.

Szliśmy dalej za nieprzyjacielem przez Nieśwież, Dudzi-cze, Dukorę, Borysów, Ihumen, Berezyno do Mohylewa. Z trzech naszych dywizji, Zajączka, Kniaziewiczza i Dąbrowskiego, ostatnia została pod twierdzą Bobrujskiem, częścią dla blokowania jej, częścią dla ucierania się z oddziałami i partyzantami nieprzyjacielskimi, rzuconymi dla szarpania nas z boku i z tyłu i stawiania nam wszelakich przeszkód; dwie zaś pierwsze poszły pod Mohylew nad Dnieprem. Tuśmy znowu stali blisko przez tydzień; trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż Rosja Francji wojnę wypowiedziała, wszelako tak była nieogłędna, a Francuzi tak biegli, że posuwając się naprzód, wszelkie komunikacje, jak trakty, drogi, manowce i ścieżki nawet zajmowali przyjmując wszystkich z Rosji przybywających i niepodejrzanych wolno przepuszczając, a nie puszczając żywej duszy naprzód, więc wiadomość o ich zbliżaniu się do Rosjan przyjść nie mogła inaczej jak przez szpiegów, na których także baczne oko miano, tak dalece, że gdy armia francuska przekroczyła już granicę, car Aleksander, o niczym nie wiedząc, był na balu w Wilnie i armia Bagrationa, odcięta od reszty, na bok rzuconą została; lecz Bagration ciągle się w tył posuwał, usiłując się połączyć z główną armią, my zaś mogliśmy albo go zmusić do przyjęcia bitwy z nierównymi naszymi siłami, albo też na jednej z nim wysokości postępować i nie dozwalać mu połączenia się. Ale my z tego dwojga nic nie zrobili, bo w Grodnie bez potrzeby siedzieliśmy przez tydzień cały, gdyż Hieronim musiał brać kąpiele z wina, mleka, a Allixa zdobyty kocz narządzano. Potem nawet wolno postępowaliśmy, nie mając pewnego o Bagrationie języka, aż przyszedłszy pod Mohylew, Bagration stoczył bitwę z marszałkiem Davoust, który się do prawego skrzydła armii był przyłączył, a rzuciwszy most na Dnieprze o milę niżej Mohylewa w okolicy lesistej, się przeprawił, zostawiając z tylną strażą generała Rajewskiego, który porobiwszy w miejscach doń przystępnych zasieki, takowych przez dzień cały uporczywie bronił dla dania czasu korpusowi do przeprawy, po czym w nocy cichaczem swe posterunki pościągał, sam się zdrowo przeprawił, most za sobą zebrał, a nam figę pokazał, o czym wszystkim dopiero nazajutrz dowiedzieliśmy

się od jeńców i szpiegów, a Bagration wciąż idąc tyle zyskał, że już przestał być odciętym, ponieważ dla połączenia się z główną swoją armią nie dłuższą miał drogę, jak była nasza, chcąc mu to przeszkodzić.

Tu byłem wyznaczony dla dopilnowania, iżby wszystko z pobojuwiska było pozbierane, do czego był także wyznaczony komisarz cywilny z pomocnikami i gromadą ludzi pieszych i furmanek, a zbierając przez dzień cały po lasach, a głównie po gęstych zaroślach, gdzie się najwięcej mordowano, naładowaliśmy kilkadziesiąt wozów bronią całą i połamana, bębnami i rozmaitymi przyborami, cośmy wszystko w Mohylewie oddali.

Nazajutrz kazał generał mnie i Chrzanowskiemu zrobić plan szanca przedmostowego nad Dnieprem wyżej lub niżej Mohylewa; wsiedliśmy więc oba na koń, objechali brzegi rzeki, a znalazłszy stosowną wklęsłość, zrysowaliśmy projekt szanca przedmostowego, wykapali się po drodze w Dnieprze, a za powrotem przerobiwszy go na czysto, generałowi doręczyli, który go odebrawszy, obejrzał, słowa, jak zwykle, nie rzekł i do akt go złożyć kazał.

Któż byłby przewidział, że tu będzie kres naszej teraźniejszej biedy? Cesarz bowiem, otrzymawszy raport, że Bagration uszedł, którego tak dobrze jakby miał w zanadrzu, rozgniewany, Hieronima i Allixa od dowództwa odsunął, a my zostaliśmy wolni jak dwa ptaszki, albo tam pozostać i czekać na innego woźdźcę prawego skrzydła, albo powrócić do korpusu księcia Józefa, bo nam tak dano do wyboru. Obraliśmy bez żadnego wahania się, drugie, a otrzymawszy chlubne świadectwa naszej służby przy Allixie, które także nad Berżyną przepadły, wróciliśmy do swoich. Tu generał Pelletier, odczytawszy nasze świadectwa, ponieważ baterie, do których należeliśmy, pozostały w kraju jako wałowe i my tylko odkomenderowani na kampanię, pozwolił nam obrać sobie którąkolwiek brygadę artylerii do pełnienia w niej służby, a było w każdej dywizji po jednej brygadzie artylerii złożonej z dwóch baterii, każdej o sześciu działach; ja tedy obrałem brygadę szefa Sowińskiego (10) w dywizji Zajączka, przydzielony zostałem co do żołdu, żywności, furazu do kompanii 12 kapitana Radziszewskiego i zaraz począłem robić służbę adiutanta przy szefie Sowińskim, ponieważ miejsca wakującego w brygadzie nie było i wszystkie plutony miały swych komendantów. Chrzanowski zaś obrał sobie pułkownika artylerii Antoniego Górskiego, który taborem (parkiem) rezer-

wowym dowodził, i był przydzielony do baterii ciężkiej (dwunastofuntowej); tuśmy się rozstali i różnych potem losów doświadczyli. Tu mi się zdawało, że się odrodziłem, bo i praca mniejsza, i obcowanie ustawiczne ze swoimi, którego tak długo byłem pozbawiony, a nie z Niemcami albo Francuzami. Winienem jeszcze nadmienić, że okolice Mohylewa, jak innego znaczniejszego miasta, posiadając wzdłuż Dniepru szeregi letnich pałacików z cienistymi ogrodami, są zachwycające.

IX

CIEŻKI MARSZ POD SMOLEŃSK. — WZIECIE SMOLEŃSKA

Staliśmy na miejscu przez dni kilka we wsi Dobrejce między Mohylewem a Szkwłowem, gdzieśmy się często w Dnieprze kąpali; taniość w Szkwłowie wielka i niemała obfitość miodu do picia. Ponieważ korpus 3 Neya już był przybył pod Smoleńsk, a korpus 8 (Polaków) także był przeznaczonym do dobywania tej twierdzy, zaś cesarz dał się słyszeć, że honor dobywania tej starej polskiej fortecy Polakom powierza, a byliśmy o 30 godzin drogi od niej oddaleni, gdy nas ten zaszczepny rozkaz doszedł, więc spieszyliśmy co sił, mając pierwszy raz księżę Józef z swoim korpusem pod okiem cesarza walczyć, maszerowaliśmy tedy spieszenie przez Szkwłowo, Starosiole, Orszę, przebywając w pochodzie wielkie góry, tak dla dział uciążliwe, przez Romanów, Krasnoj pod Smoleńsk, idąc dzień i noc z przestankami tylko po każdym kilkogodzinnym marszu na parę godzin spoczynku dla ugotowania jadła; ale nikt ognia nie rozpałał, woląc się przędrzymać niż jedzenie warzyć, bo łatwiej jest znieść głód niż bezsenność. Nareszcie wojsko ciągłym pochodem tak było utrudzone, że najlepsi żołnierze w nocy w lasach szeregi opuszczali, a oddaliwszy się o kilka kroków od kolumny, trudem i snem zmorzeni padali jak nieżywi i śpiąc bez przerwy przez dobę całą, ciągnęli potem za kolumną. Tym sposobem, przybywszy w dniu 16 sierpnia na miejsce, nie mogliśmy się wielu żołnierzy, osobliwie z piechoty, doliczyć, aż oficerowie w tył wysłani ich zbierali i zachęcając do pospiechu pod Smoleńsk przyprowadzili. Za karę honorową kazał im księżę Józef defilować przed korpusem z bronią przewróconą do góry kolbami. Szef nawet Sowiński, mąż wielkiej siły, nie mógł pod koniec tego bezprzykładnego marszu dosiedzieć na koniu, a nie mając żadnego

powozu, zmuszonym był usiąść na lawecie, co będąc powszechnie zakazanym, było gorszącym tym bardziej, że był dowódcą, ale tu było położenie wyjątkowe i każdy mu w duchu to przekroczenie chętnie przebaczył dla wielu przymiotów, jakie posiadał. Ja równie, jak inni, drzymiąc na koniu, lękałem się szwanku, zsiadałem więc często, zwłaszcza w nocy, i szedłem pieszo; lecz i to nie pomagało, bo zdarzało się, że mimowolnie przystawał i stojący drzymał, aż mnie ktoś mijający popchnął i przebudził; raz nawet cugle z ręki wypuściłem, a przebudzony i niespokojny, czym konia nie utracił, obracam się i widzę go także drzymiącego.

Zbliżając się do Smoleńska, usłyszeliśmy ogromną kanonadę, ponieważ Ney, mając wiadomość, że nasz korpus już nadciąga, rozpoczął ogień. Przeraził nas niemało ten ciągły grzmot dział, zwłaszcza żeśmy wszyscy prawie byli młodzi oficerowie oprócz szefa i kapitanów, którzyśmy tego nigdy jeszcze nie doświadczali i ledwie może dziesiąty z nas odbywał kampanię z r. 1809, słowem byliśmy sami fryce, ogniem armatnim nie ochrzczeni, podoficerowie i żołnierze to samo; aleśmy sobie zaraz wyrozumowali, że połowa gromów była z naszej strony, a druga tylko połowa, nieprzyjacielska, nam szkodzić mogła.

Szef Sowiński, czując także potrzebę ożywienia nas, kazał mi zgromadzić wszystkich oficerów brygady i powiedział, że w to miejsce, gdzie nasze działo stoi, tylko jedno działo nieprzyjacielskie celuje i strzela, że nieprzyjaciela pociski z góry na dół rzucane będą nas przenosiły, że każde nasze działo z swymi kilku ludźmi wcale małą przedstawia tarczę do trafienia na taką odległość, że najmniejsze uchybienie w celowaniu czy to co do kierunku, czy też co do podniesienia popełnione, w takiej przestrzeni znaczne błędy zboczenia i doniosłości sprawia, że żołnierz zatem jest najpewniejszym być chybnym, kiedy jak najbliżej swego działa się znajduje, wreszcie dodał: „Będziecie widzieli moją zimną krew, więc zapatrując się na mnie, także ją zachowajcie, ponieważ zapał chwilowy w piechocie tylko lub jeździe podczas natarcia może mieć znaczenie, gdy w artylerii, stojącej pod ogniem dział nieprzyjacielskich często przez dzień cały, zapał taki na nic by się nie przydał, i owszem, mógłby zaszkodzić; bo tu potrzeba trafnej rozwagi, bystrego na wszystko oka, a najbardziej zastosowania w porę wiadomości podczas pokoju nabytych”. Kazał nadto powtórzyć niższym stopniom to, co do nas mówił, w czym się ich dotyczyć mogło.

Tak podniósłszy naszego ducha do drugiej potęgi, rozkazawszy nabrać wody w kubelki dla chłodzenia dział strzelan-
niem rozgrzewanych, przygotować naboje, lonty, świeczki,
udał się ze mną naprzód dla rozpoznania miejsca, gdzie by
skutecznie brygada stanąć i działać mogła. Ruszyliśmy tedy
żwawo, żeby się dostać do zarośli okrywających przed twier-
dzą głębokie wąwozy, i gdy ukryci w krzakach rozpoznajemy
twierdzę, a szczególnie strzelnice, aż tu jegry, których dotąd
nie widzieliśmy, wyskakują jak spod ziemi i palą do nas bez
ceremonii; my też w nogi, nie chcąc się wdawać z prostaka-
mi, i nie oparliśmy się aż przy brygadzie, z którą też zaraz
szef ruszył naprzód na pozycję; ja zaś widząc, na co się za-
nosi, zrobiłem krótki rachunek sumienia i poleciłem mego
ducha Bogu, prosząc gorąco, żeby mnie nie od śmierci, ale od
kalectwa ochronił — czego potem przed każdą bitwą czynić
nie omieszkalem i Bóg dobry zawsze mnie wysłuchać raczył.
Przed bitwą nie śpiewaliśmy pieśni „Bogarodzico”, kapelan
nie dawał rozgrzeszenia, jak kiedyś unas bywało, bo z Na-
poleonem wszystko było po modnemu; wiarę, która nasze
dawne hufce ożywiała, on zastąpił honorem.

Brygada, przybywszy na stanowisko, rozpoczęła ogień
i wkrótce sprawdziło się, co Sowiński przepowiedział, że strza-
ły ich będą nas przenosiły; wszelako z początku wszyscy mło-
dzi oficerowie, a za nimi i niższe stopnie, oddawaliśmy po-
kłon pociskowi, który nad naszymi przelatywał głowami, ale
i to niedługo trwało, widząc naszych starszych z podniesio-
nymi głowami działających. Dalej postrzegłszy przy nas wy-
sokie wichy, dorozumieliśmy się, że to były znaki pomierzo-
nych wprzód odległości, nuż tedy do toporków, któreśmy
przy wozach amunicyjnych zawsze mieli dla robienia faszyn,
jeżeli czasem dziurę w drodze przez wodę z deszczów zrobio-
ną załatać przyszło; pościnaliśmy więc wszystkie wichy a po-
ciągnąwszy ukośnie naprzód, pozycję zmieniliśmy, żeby się
nieprzyjaciel pomiarkować nie mógł, jak daleko od niego
jesteśmy, i w samej istocie, pociski ich jeszcze bardziej na
tym nowym stanowisku górowały. Wtem ktoś obcy w płasz-
czyku, bo dzień był pochmurny, z zapaloną fajeczką chodzi
pomiędzy naszymi działami i przypatruje się, jaki też skut-
tek one robią, a strzelaliśmy celując w środek czarnych jak
czeluście strzelnic, ponieważ działa nieprzyjacielskie, dla gru-
bości murów twierdzy, z pola widziane być nie mogły; był to
pułkownik artylerii Redel (11), będący przy sztabie głównym
księcia Józefa, i czy z własnej ochoty, czy też z rozkazu księ-

cia, żeby mu doniósł, co i jak się u nas dzieje, najobojętniej się między nami przechadzał. My zdziwieni, że fajkę palił — a w samej istocie ona do rzeczy nie należała, bo tak z nią jak bez niej można było zostać całym lub ubitym — wszyscyśmy oficerowie palący tytuń fajki pozapalali; ten zwyczaj już nam na zawsze przy kanonadzie pozostał. Tak to działa przykład!... My, cośmy przed trzema godzinami o skórę naszą drżeli, po odezwaniu się do nas Sowińskiego i ukazaniu się potem Redla, drwiliśmy sobie z ognia wrogów, bo też po całodziennym huku ubili nam tylko dwóch ludzi i kilka koni; a jaką szkodę my im wyrządzili, tego wiedzieć nie można było; ponieważ zaś działa ich do wieczora grały, więc porozbijane (zdemontowane) nie były, widzieliśmy tylko pożar w mieście w kilku miejscach srożący, ale czy go działa marszałka Ney, czy nasze zrzuciły, i to niepodobna było wiedzieć.

Na drugi dzień ogień od rana z obu stron się rozpoczął, a po kilkogodzinnej kanonadzie kazano nam ją zaprzestać, bo piechota nasza miała iść do szturmu. Jakoż w samej rzeczy pułki nasze ruszyły w kolumnach do ataku pod gradem kul i karcaczy nieprzyjacielskich, a wyrąbawszy bramę przez saperów pułkowych, mimo oporu nieprzyjaciela wdarły się do miasta; a w tym samym czasie piechota Ney, wyrąbawszy inną bramę, weszła także do twierdzy. Rosjanie bowiem, którymi dowodził Barclay de Tolly, straciwszy nadzieję utrzymania się w tej staroświeckiej fortecy, wcześniej ją przez most na Dnieprze opuszczać zaczęli, co nasi zapewne widząc, szturm przypuścili i dobyli. Wzięcie wszakże Smoleńska niemało nas kosztowało; tam zginął nasz generał Grabowski, tam kilkunastu oficerów wyższych i niższych piechoty przy szturmie śmierć znalazło lub bolesne podostawało pamiętki.

Już pierwszego dnia oblężenia byłem tyle szczęśliwy, że dostałem pod mą komendę pluton artylerii, tj. dwa działa, mianowicie armatę sześćfuntową i granatnik kilkocalowy, ponieważ porucznik Gąsowski, który nim dowodził, dostał podobno kontuzji i przez całą kampanię już nie był czynnym, chociaż był nieodstępnie w baterii z nami.

Zaraz po wzięciu miasta poskoczyłem konno przez ciekawość dla przypatrzenia się naszemu historycznemu miastu i dla obaczenia skutków naszych strzałów. Widok ten, dla mnie pierwszy w życiu, był okropny; pełno ciał pobitych ludzi, miasto palące się w kilku miejscach szeroko, wszędzie

rozwaliny i zgliszcza, drzewa nawet w ogrodach na pniu ze-
tłały, mieszkańce na ulicach stojący w smutku pogrążeni,
a między nimi Polacy i Polki, boleśnie serce raziły.

Pierwszej zaraz nocy naszego oblężenia doświadczyliśmy
pierwszego alarmu (trwogi), usłyszeliśmy bowiem silne tęt-
nienie pędzącej na nas jazdy; zerwaliśmy się do dział, które
zawsze przed nieprzyjacielem są nabite, ale nie słysząc głosu
ludzkiego — kozaczyzna bowiem przy każdym napadzie noc-
nym ma zwyczaj wydawać przerażające wrzaski „ura”, już
to dla trwożenia wroga, już też dla wzajemnego zachęcania
się do nacierania, z czym wszakże, widząc ich napady słabe
i mające na celu tylko nasze nużenie, tak się później oswoiłi-
my, że te dzikie krzyki uwagi naszej nie zwracały. Otóż sto-
jąc przy działach, postrzegamy masę koni luźnych między nas
wpadających, domyśliśmy się zaraz jakiegoś przypadku, a ko-
nie przybysze przy naszych zatrzymywaniu się zaczęły. Były
to konie pruskiego pułku ułanów, które, przełknięte podob-
no obaleniem się lanc w koziołki ustawionych, z linek obo-
zowych się zerwały i w naszą stronę pobiegły. Nazajutrz bie-
dni ułani pieszo przyszli do nas, odszukując swych koni,
i znaczną ich część u nas z radością znaleźli.

Kapitan nasz Radziszewski dostał po wzięciu Smoleńska
zgniłej gorączki i nas opuścił; na jego miejsce przysłano nam
z taboru zapasowego artylerii kapitana Dowbora.

Spod Smoleńska ruszywszy zaraz w marsz za nieprzyjacie-
lem, szczególną mieliśmy przygodę. Idąc spokojnie, o Bożym
świecie nie wiedząc, nagle nasza brygada przez adiutanta ce-
sarza zatrzymaną w pochodzie zostaje; dziwno nam to było,
bośmy mieli rozkaz postępować tą drogą. Wtem nadbiega sam
cesarz i pyta o dowódcę — Sowiński staje przed nim. Jak go
zacznie cesarz łąać i z błotem mieszać, że śmiał swoją brygadą
przeciąć kolumnę jazdy przed nim kłusem defilującą, z pięć-
dziesięciu pułków złożoną i w marsz idącą! Struchleliśmy
wszyscy na takie dictum acerbum; bo z cesarzem nie było
żartu, gdy się w gniewie rozhukał. Sowiński się tłumaczył, że
otrzymał rozkaz do marszu tą właśnie drogą, że o defiladzie
jazdy nic nie wiedział, i że domysleć się jej nie mógł, gdy
odstępy między kolumnami jazdy różnych narodowości były
tak wielkie, że gdy jedna kolumna się kończyła, druga nie
zaraz nadciągała. Myśleliśmy, że go pod sąd odda albo ina-
czej ukarze, ale Sowiński miał słuszność po sobie i skończyło
się tylko na połajance. Gniewu Napoleona na Sowińskiego



Artyleria w akcji (mal. Al. Orłowski)



Pierścień pamiątkowy Józefa Jaszowskiego. Na wewnętrznej jego stronie wyryte są słowa: Powrót do Ojczyzny

Ładownica oficerska (z lat 1815—1830). Pamiątka po autorze



i to był niemały zapewne powód, że widział u niego na szyi order pruski (Pour le Mérite), a żadnego innego jeszcze wówczas nie miał.

X

BITWY POD MOŻAJSKIEM (BORODINO) 5 i 7 WRZEŚNIA 1812

Szliśmy tedy przez Dorohobuż, Wiaźmę pod Możajsk, gdzie Rosjanie pod księciem Kutuzowem, który dowództwo po Barclayu de Tolly objął, się oparli na pozycji dla nich wybornej, a nawet historycznej. Rozległe wzgórza, które zajęli i szancami opatrzyli, miały przed sobą pełno zawad i przeszkód, jak: wąwozów, urwisk, zarośli, wód, wiosek itd., nadto Rosjanie mieli wszystkie swe siły rozporządzalne tu zgromadzone, a nade wszystko mieli starego znakomitego wodza, świeżymi laurami po skończeniu wojny z Turcją okrytego. Ten w wigilią bitwy kazał wojsku w paradzie wystąpić, po uroczystym nabożeństwie kazał obraz Matki Boskiej z Smoleńska uwieczony przed szeregami obnosić, na koniec rozkazem dziennym, po wszystkich częściach wojska czytany, fanatyzm żołnierza walczenia za wiarę, cara i ojczyznę do najwyższej potęgi podnieść potrafił.

Nadszedł wreszcie dzień 5 września, dzień gorzkiej pamięci, w którym od rana do wieczora tysiąc dział grzmiało. My nazywamy tę bitwę pod Możajskiem, a Rosjanie zwą ją pod Borodino, gdyż obadwa te miejsca przez linię bojową, przeszło pół mili się rozciągającą, zajęte były. Myśmy przeznaczeni byli do ostrzeliwania ogromnej reduty wzniesionej na wzgórzu i opatrzonej ośmdziesięciu działami. Idziemy więc na tę pozycję; wtem wybiega ktoś do nas z boku od strony lasu i na miłość Boga zaklina, żeby co prędzej w tył do swoich umykać, bo w lesie ukryta jest jazda rosyjska i nas, bez żadnej osłony będących, zabrać może. Dalejże my, kazawszy wskoczyć żołnierzom na lawety i wozy amunicyjne, w nogi, co konie wyskoczyć mogły, a też i jazda nieprzyjacielska zaczęła z lasu czoło swej kolumny wychylać. Przybywszy na miejsce, gdyśmy o tym donieśli, zaraz wysłano przed nami jazdę i piechotę, ażeby las ten oczyścić i zająć. Nieprzyjaciel też, który, jak się zdaje, czekał tylko w ukryciu na jakąś zdobycz, widząc się odkrytym, cofnął się.

Stanąwszy powtórnie na pozycji, rozpoczęliśmy w imię Boże ogień razem z drugą brygadą, która obok nas stanęła.

Z początku szło jako tako i strzały ich nas przenosiły, ale w parę godzin kula działowa nieprzyjacielska urywa naszemu czcigodnemu Sowińskiemu nogę, zaraz poskoczyło kilku żołnierzy, nogę czym mieli dla krwi zatamowania obwiązali i do ambulansów odnieśli. Nasz zaś kapitan Dowbór od rozpoczęcia ognia rzucał się na wszystkie strony, biegał z dobytą szpadą, bez kapelusza pomiędzy działami, krzyczał jak człowiek pomieszanie zmysłów mający, nie mogliśmy odgadnąć, czego chciał właściwie, a to nie było nic więcej jak zbytne rozdrażnienie nerwów na strzały działowe, bo też pierwszy raz się w takim ogniu znajdował. Od tego dnia już go więcej nie widzieliśmy; mógł się bowiem rzeczywiście mocno rozchorować po tak wielkiem wysileniu się przez tyle godzin. Kilka pocisków tuż obok mnie przeszło, że aż wiatr na twarzy lub rękę poczułem, inne mnie ziemią obsypały; strzelano więc do nas nieźle; wszelako po największej części pociski ich albo nas przenosiły, albo odbite przed nami od ziemi ponad głowami naszymi przechodziły. Raz się zdarzyło, że jedno z moich dział dwa razy nie wypaliło, idę więc do niego — bo miejsce komendanta plutonu jest w środku między jego działami dla uważania przy nich obydwóch służby i skutku strzałów — próbuję przetyczką i przekonywam się, że rasa, tj. materia wełniana, z której worki naboje się szyją, nie była aż do prochu przebita, zrobiłem to, kazałem wstawić przepalniczek (trzinę kilkacalową, mączką prochową nabitą, drutem przedziurawioną i zaognioną) i wypalić, po czym strzał nastąpił, a gdy działo posuniono naprzód — ponieważ działo po każdym wystrzale, nawet na parę kroków, osobliwie po wilgotnej murawie, się cofa, a trzeba go, ile możliwości, do celowania tak ustawić, iżby dwa koła i ogon lawety na jednym znajdowały się poziomie, inaczej linia celu z linią strzału nie będą na jednej pionowej płaszczyźnie, a co jest koniecznie potrzebnym do trafnego strzału — nabiło i tenże sam kanonier przytykał, czegom przy nim stojąc pilnował, przychodzi niegodziwa kula i urywa mu obie — tak blisko mnie — w kolanach nogi. Zdaje się, że przeczuwał śmierć swoją, bo drżał widocznie i wszystko robił gorączkowo.

Wśród najlepszej kanonady z stron obu, przybywa do nas z boku generał Pelletier z adiutantem Guerin dla obaczenia, jak też u nas idzie. Szczerześmy się lękali o jego życie, bo był równie kochanym jak szef Sowiński, a postawszy trochę zawrócić konia i ruszył żywo w tył do obozu. Obejrzelismy się za nim, czy też szczęśliwie wyjdzie z tego interesu, a właś-

nie przebiegał to miejsce, w które pociski nieprzyjacielskie, nas przenosząc, najwięcej padały, i wzdychaliśmy szczerze za jego ocaleniem. Były więc chwile, w których ziemia pociskami rwana tak go nam zakrywała, że nam z oczu znikał, ale, dzięki Bogu, szczęśliwie śmierci uszedł.

Gdyśmy wieczorem wrócili z pozycji, pojechałem przed wszystkim odszukać ambulans i dowiedzieć się, co się działo z naszym walecznym Sowińskim, a dopytawszy się, powiedziano mi, że amputację, mimo znacznego przedtem krwi upływu, wytrzymał i że pewnie żyć będzie, jeżeli jaki przyadek się nie wmięsza. Ujrzawszy go, gdym nad cierpieniem jego ubolewał, rzekł mi, że to los wojny, wypytywał się o naszych stratach, dalej czy cesarz w tym dniu pamiętnym odniósł jakie korzyści, itp. Odpowiedziałem, że nasz korpus artylerii stracił oficerów Dareta (mego dawnego opiekuna), Łobodzkiego i Czajkowskiego, samych oficerów artylerii pieszej (artyleria bowiem konna, jako przedstawiająca mnóstwem koni wielki cel do trafienia, przeciw szancom i artylerii pieszej w długotrwałych bitwach polowych się nie stawia, więc głównym jej przeznaczeniem jest wspierać swą jazdę, w gonitwach z nieprzyjacielską, działając przeciw jej artylerii konnej); żeśmy w brygadzie naszej stracili kilku ludzi, nieco koni i parę wozów amunicyjnych, które nam wysadzono w powietrze; że granaty nieprzyjacielskie swoim pękaniem żadnej nam szkody nie wyrządziły, ponieważ daleko za nami pękały, gdzie nikogo nie było; że reduta, przez nas ostrzeliwana, nad wieczorem przez piechotę francuską i polską wzięta została; na koniec, że Kutuzow się cofnął. Miło mu było, że go odwiedził, a gdym go żegnał, prosił pozdrowić od niego moich kolegów, zachęcając nas być dobrej myśli.

Wracając spotkałem spore grono eskulapów z Lafontaine'em na czele, ciężko pracujących, w koszulach tylko, bez mundurów, z rękami obnażonymi aż po łokcie, sondujących z pośpiechu małym palcem głębokości ran kulkami ręcznej broni zadanych, amputujących ręce, nogi, bandażujących itp. Porozrucane na ziemi szarpie, bandaże, piramidy rąk i nóg urzniętych świadczyły o ich całodzienniej czynności. Okropność!... Tyle ludzkich cierpień, najczęściej dla interesu monarchów! A czyżby uczeni, filozofowie, mędrcy nie mogli wymyśleć wiecznego pokoju, jak już o nim nieraz pisano, a monarchowie ich powadze się poddać jako biegłym w tym przedmiocie?... Ale to są pnia desideria; już od czasów Kaina i Abła

wojna nastąpiła i skończy się chyba z zagładą rodzaju ludzkiego.

Nazajutrz bitwy nie było, bo obiedwie strony musiały zastąpić pobitych ludzi, koni, wystrzelaną amunicję, narządzić potłuczone lawety i wozy i odpocząć znużonym wojskiem. Po południu poszło nas kilku oficerów na przechadzkę w stronę, gdzie się wczoraj piechota biła; zaszliśmy na górę w chaszczach i zastaliśmy już tam marszałka Davoust'a z orszakiem, rozpoznawającego z konia przez lunetę obóz i położenie nieprzyjaciela, albowiem Kutuzow cofnął się tylko na drugą pozycję, równie obronną, jak była pierwsza. W tych zaroślach pełno było ludzi pobitych z stron obu, którzy nam przeszkadzali w zbieraniu orzechów, dosyć w tym roku obfitych, a wracając już późno do naszych ogniów (biwaku) potknąłem się na trupie i przewróciłem się; był to pisarz moskiewski, gdyż pełno było obok niego porozrucanych raportów i papierów. Ktoś go już wprzód dla pieniędzy spodziewanych przetrząsał i te papiery porozrucął; ale zawsze zostało to dla nas zagadką, dlaczego ten pisarz tyle papierów z sobą nosił. Niechże teraz kto wytłumaczy, po co ten człowiek zginął, gdy jego orężem było pióro, a placem boju papier? Ja mniemam, że z ciekawości, która w młodym człowieku i w kobiecie dziwów dokazuje.

W tym dniu przybył do nas z taboru zapasowego szef Kobylański na dowódcę brygady; nie miał prawej ręki, bo ją, służąc przedtem w wojsku francuskim, był utracił. Wieczorem zaprosił wszystkich oficerów brygady do siebie, dał herbatę, rozmawialiśmy o tym i o owym i w nocy rozeszliśmy się.

Dnia 7 września o świcie kazano nabrać wody w kubelki i wszystko przygotować do walnej bitwy, po czym posunęliśmy się o parę tysięcy kroków naprzód. Oba wojska sobie nieprzyjazne przedzielała długa dolina, mająca po obu stronach tarasy jak gdyby ręką ludzką sypane; pewnie to było łóżysko jakiej przedpotopowej może rzeki, która z wiekami ustępując — bo dziś naturaliści utrzymują, że obecnie jest nierównie mniejsza ilość wody na powierzchni ziemi, niż była dawniej, a ja im wierzę, nie mając w co lepszego do wierzenia — niechęć porobiła te tarasy; oprócz tego były odosobnione wzgórza, to gołe, to zaroślami lub gajami okryte, były poprzeczne wąwozy do tej doliny wpadające, były lasy, sioła, strumienie itp. przeszkody. Kutuzow umyślnie obrał to położenie, ponieważ na nim piechota i artyleria, którym broniom najwięcej ufał, jako z pierwiastków szczeromoskiewskich zło-

żonym, bój uparty prowadzić mogła, nie wystawiając się na oskrzydlenia, które najlepiej w okolicach równych się udają. Nie przepomniał także wszelkie znaczniejsze wzgórza pokryć okopami polowymi i opatrzyć należycie żołnierzem i działami, bo przez jedną noc przy dostatecznej liczbie ludzi, rydlów i porządnym rozkładzie roboty, tak że trzecia część wojska (a miał i chłopów) kopała, trzecia część stała pod bronią, w gotowości przyjęcia nieprzyjaciela, a ostatnia trzecia część spoczywała w kolej, mógł cały swój front szanćcami okryć, zwłaszcza że okopy polowe przeznaczone do zatrzymywania pocisków dział polowych, ale polowych jedynie, tj. 6- i 12-funtowego kalibru, są niewielkiej grubości.

Po rozpoczęciu rozprawy piechota biła się w dolinie dosyć na to szerokiej, a strzały jej tak były gęste, jak gdyby się, jak mówią, w garnku gotowało; na pierwszym tarasie stała nasza artyleria lekka, strzelając do ich dział lekkich podobnie stojących, a za nami na samej górnej płaszczyźnie stanęły działa ciężkie (12-funtowe), strzelając do dział takichże nieprzyjacielskich; więc strzały naszej lekkiej artylerii szły ponad głowami naszej piechoty, a pociski naszych dział ciężkich szły ponad głowami naszymi i piechoty, tak że szpigle — poddenki z miękkiego drzewa toczono i pod pociski w nabojach wkładane, z jednej strony płaskie dla przystawiania do prochu, z drugiej półkolisto wydrążone dla przyjęcia kuli lub granatu — nasze roztrzaskiwane przy wystrzałach w kawałki, na głowy piechoty, a dział ciężkich na głowy nasze i piechoty padały, co niemało z początku na naszą wyobraźnię działało, ale człowiek wkrótce przywyka do wszystkiego. W godzinę może po rozpoczęciu ognia szef Kobylański padł na ziemię; sądziliśmy, że zabity, ale żył i pianę z gęby toczył; odesłaliśmy go do ambulansów i już odtąd nie mieliśmy ani dowódcy brygady, ani dowódcy naszej kompanii z prostej przyczyny, że ich zabrakło, i służba w całej kampanii dalszej odbywała się tylko przez zastępców. Pozostało nas więc trzech oficerów, Richter, ja i Nowak; Richter — tak porucznik I klasy jak i ja, ale o parę miesięcy starszy — zastępował miejsce dowódcy i był razem komendantem plutonu 1, we wszystkich więc ważniejszych okolicznościach mnie się raził, bom był biegły w teorii, a on nie, i tak jakoś nam studentom szczęśliwie poszło, że odbywszy kampanię, z działami do Warszawy, cali, chociaż nie bardzo zdrowi, powróciliśmy.

Dzień tej bitwy był straszliwy, ponieważ kanonadą do wieczora trwała, a straty z obu stron były wielkie. Śmierć, zło-

wrogie jakieś bóstwo, zmiotła tysiące kwiatu młodzieży dorodnej, noszącej może w swoim łonie zarody przyszłego uszczęśliwienia narodów... Ale po co te jeremiady — wróćmy do rzeczywistości. Nasza bateria dobrze strzelała, bośmy im kilka wozów amunicyjnych wysadzili w powietrze, cośmy dokładnie widzieli, a oni nam żadnego; stratę nawet w ludziach i koniach mieliśmy nadzwyczaj małą, bo i im musiało już zabraknąć doświadczonych oficerów i żołnierzy, których młodymi zastąpili, nie umiejącymi dział należycie obsługiwać.

Jedną redutę wzięli nasi kirysjery nad wieczorem (była o tym już mowa w przypisku 1), mając tylko dwa szwadrony, bo to kosztowny żołnierz, ale byli to męże nieustraszonego serca, nieodrodne potomki dawnych Polaków (12); ci dostawszy się przez szyję (gorge) reduty, której zawady pod morderczym ogniem piechoty ją broniącej, zsiadłszy wprzód z koni, uprzątnąć musieli, wszystko, co się opierało, zrąbali, a resztę żywcem w niewolę razem z działami zabrali; ale za to mało ich pozostało. Tam zginął porucznik Żeliśławski, mój przyjaciel, Galicjanin, z którym od młodziutkiego wieku się znałem, ponieważ rodzice jego w sąsiedztwie moich mieszkali. Wprzód jeszcze skradała się do tej reduty jakaś jazda przez pólka między zaroślami się znajdujące, ale nie mogąc dociec z jej poruszeń, czy to była nasza, czy nieprzyjacielska, posłaliśmy im jedną kulę i czekamy. Wtem pędzi ku nam jeździec i woła z dala, żeby nie strzelać, bo to są swoi; był to zaś pułk huzarów srebrnych pułkownika Tolińskiego, gdy drugim — a było ich tylko dwa — zwanym złotym, dowodził pułkownik Umiński. Huzary srebrne widać kusili się także o tę redutę, ale zamiaru tego zaniechali.

W tym dniu rzadki nam się zdarzył wypadek, że kula nieprzyjacielska w płaszczyznę wylotu trafiła i tak go spłaszczyła, że nabój wejść nie mógł. Zaraz odesłaliśmy je do parku rezerwowego, gdzie rzemieślnicy na poczekaniu zawadzający metal wyrznęli, i wkrótce do nas wróciło.

XI

BITWA POD CZERYKOWEM DNIA 29 WRZEŚNIA

Nazajutrz, dopełniwszy strat przez bitwę zdziałanych, szliśmy traktem wielkim za nieprzyjacielem, dążąc ku Moskwie. Już w tym pochodzie doświadczaliśmy zupełnego nie-

dostatku żywności, bo wiadomo, że w tej wojnie, równie jak w innych przez cesarza w Austrii i w Prusiech prowadzonych, żadnych nie było magazynów, a armia żywiła się kosztem kraju, w którym wojnę wiodła; lecz tamte kraje były ludne, zatem w żywność obfitujące, Rosja zaś, mniej ludna, byłaby może nas i wyżywiła, ale nieprzyjaciół przed nami się cofający wszelką ludność z całym ich mieniem z sobą wprowadził, a czego, co by nam do utrzymania się służyć mogło, zabrać nie mógł, palił i wszelkimi sposobami niszczył, zostawiając nam puste chaty; wiedział bowiem dobrze z teorii sztuki wojennej, że kiedy jaka armia może się o paręset mil cofać, a wszystko z sobą zabiera lub niszczy, armia ją ścigająca, nie mając własnych magazynów, w takich okolicznościach albo się zatrzymać, albo, wciąż postępując naprzód, zginać musi, co drugie — niestety! — na nas się sprawdziło; ponieważ idąc naprzód do zdobycia Moskwy, chociaż dotąd niby zwycięzcy, już tylko końskim mięsem żyć musieliśmy, a nigdzie nie można było dostać języka, gdyż, poczynając od Możajska, już żywej duszy nigdzie nie spotkaliśmy. Wprawdzie piechota i jazda, idąc na przodzie, mogły być nieco pożywienia znajdować, lecz biedna artyleria, o której bezpieczeństwo tyle dbają, iż w bitwach także ważną gra rolę, idąc po tamtych broniach, a nadto przymuszona dla swych ciężarów bojowych, które prowadzi, zawsze wielkiej trzymać się drogi, gdy tamte bronie szeroko się rozsypać i dużo kraju zająć mogą, zwykle znajduje wioski i miasta z wszystkiego ogołoczone, a konie często snopkami tylko z poszycia wydarzonymi karmiliśmy.

Chociaż już od początku września chorowaliśmy powszechnie na żołądki z łada jakiej żywności i z przeziębień podczas chłodnych nocy jesiennych, w tych ostatnich marszach już krwawe biegunki okazywać się zaczęły — i tak wymorzeni głodem, zimnem, chorobą i trudem, ludzie i zwierzęta, stanęliśmy dnia 15 września przed ową pożądaną Moskwą, ujrawszy z góry tak rozległe miasto, że oko przez las wież i wieżeczek krańców jego na widnokręgu dostrzec nie mogło. Przed miastem znaleźliśmy oznaczone na ziemi linie okopów (tracé) od strony naszej, tj. zachodniej miasta, lecz albo nie miano czasu szanć sypać, albo też obronę miasta porzucono, oddając je pochodze na pastwę i ratując niby tym sposobem całość poświeceniem części.

Radość w nas wstąpiła, że tu będzie koniec naszej nędzy, aleśmy się grubo omylili wraz z cesarzem, który się spodzie-

wał, że jak Moskwę weźmie, nieprzyjaciół o pokój będzie prosił, jak się to stało dwa razy z Wiedniem, a raz z Berlinem. Przechodziliśmy tedy tylko południową częścią miasta w ślad za nieprzyjacielem, który drogę do Petersburga nam niby wolną zostawił, a sam udał się w kierunku południowym dla zasłonięcia Kaługi i Tuły, sławnej wielką rządową fabryką broni, w której dziennie po 8000 rzemieślników około broni pracowało. Naturalnie nie mogliśmy się zwrócić na Petersburg, także dostateczną obronę mający, zostawiając wroga w tyle na naszych komunikacjach (związках) i mogąc się dostać na drodze petersburskiej między dwa ognie, przez co zguba nasza byłaby niewątpliwą, tym pewniej, że wojsko nasze było osłabione, nieprzyjacielskie zaś zdrowe i silne, jako dobrze żywione; należało więc iść za Kutuzowem, wprzód go pokonać, a dopiero o Petersburgu pomyśleć.

Miasto Moskwa miała ulice drzewem wykładane, domy najczęściej drewniane na podmurowaniach, ogromną ilość kościołów i klasztorów, wiele pałaców, liczyła trzysta kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, miała sześć mil niemieckich obwodu, trzydzieści sześć przedmieść, posiadała twierdzę Kremlin, w której był pałac cesarski, trzy cerkwie i dwa klasztory, tam był ów dzwon potworny (Iwan) ważący przeszło 400 000 funtów. Jako pierwsza stolica państwa, Moskwa miała wszelkie zakłady naukowe, fabryki i rękodzielnie i była środkowym punktem całego wewnętrznego handlu.

Idąc przez kilka godzin, przeszliśmy rzekę Moskiewkę, część miasta zachodnią południową i stanęliśmy na jednym z przedmieść pomiędzy cegielniami. Tu żołnierze nasi przynieśli nam trochę chleba, kaszy i flaszkę wódki, ale tak odrażającą woń mającej, że z trudnością ją przełknąć można było; środki te do utrzymania życia były dostateczne, ale nie zatrzymały krwawej biegunki. Lecz czegoż nie wytrzyma wiek młody, w towarzystwie jeszcze braci równie cierpiących!

Gdyśmy się zbliżali w marszu do tego miasta, już się w kilku miejscach paliło; sam gubernator Roztopczyn własną ręką swój pałac podpalił, a zachęcając innych do naśladowania, kazał zbrodniarzy z więzień na wolność wypuścić z warunkiem, żeby wszędzie miasto podpalali, i chociaż Francuzi ze stu tych nieszczęsnych na czynie schwytanych rozstrzelali, nic się wszakże od nich nie dowiedzieli, za czym to rozkazem miasto podpalali. Chciano ten pożar ugasić, ale nie było środka, gdy Rosjanie opuszczając Moskwę wszystkie narzędzia pożarne z sobą uprowadzili; więc było w ich planie miasto

spalić, a potem... Moskale i Niemcy, bezczelnie uwodząc opinię publiczną Europy, w swych pismach głosili, że Francuzi byli sprawcami tego dzieła.

O, straszny to był widok! Rozhukany ocean płomieni i dymu z częstymi wybuchami gromu... A nam się zdawało, że to były strzały działowe, zamiast odgadnąć, że to były eksplozje składów rozmaitych fabryk palnymi materiałami napełnionych i wolą ognia w powietrze wysadzanych. Z 2 500 domów murowanych zostało tylko 526, a z 6600 drewnianych tylko 1800, spaliło się więc domów przeszło 6 700.

Już na drugi dzień powlekliśmy się w pochód, a idąc wciąż, jeszcze siódmego dnia widzieliśmy lunę nad palącym się miastem. Cesarz został w Kremlu, a Murat z wojskiem poszedł. Dnia 28 września przyszlismy wieczorem pod Czeryków, gdzie Polacy, sami tylko będąc, trafili na nieprzyjaciela; być może, że nas posłano dla odcięcia Rosjan od Kaługi, co jest prawdopodobnym, albo żebyśmy w czasie bitwy zająć mającej, z boku lub z tyłu na niego uderzyli, co jeszcze jest prawdopodobniejszym.

Nazajutrz o świcie książę Józef udał się z swym sztabem na rozpoznanie nieprzyjaciela na górę w chaszczach leżącą, a wracając trafił na moskiewskie pospolite ruszenie w zasadzce będące i odwrót mu tamujące. Dobywszy szabli rzucił się na ten motłoch chłopstwa, a rąbiąc na prawo i na lewo i tratując koniem — a zawsze miał dzielne konie jako biegły jeździec — drogę sobie otworzył i tak szczęśliwie, że nikt nawet z jego orszaku nie zginął, ani nawet szwanku nie poniósł. Dzień to był dla nas nader przykry, bośmy oprócz głodu, zimna i całodziennego deszczu z przestankami padającego, w błocie aż do wieczora z dużo liczniejszym od nas nieprzyjacielem walczyć musieli bez żadnej nadziei otrzymania skądkolwiek posiłku. Mimo to wszystko trzeba było jeszcze manewrować, ażeby naciskającemu nieprzyjacielowi wszędzie czoło stawić i nigdzie wdrzeć mu się nie pozwolić. W tym dniu porucznik Świergocki z drugiej baterii tejże brygady, dostał kontuzji, na którą później wyzdrowiał, zresztą, wyjąwszy niewielkie straty w zabitych ludziach i koniach, wszyscy oficerowie artylerii wyszliśmy obronną ręką. Książę Józef, gdyśmy ognie pozapalali, obchodził nasze biwaki (koczowiska), rozmawiał z nami z uprzejmością jemu właściwą, ale widoczne było, że z nas był zadowolony i że się chciał nam podobać, co mu tak łatwym było, bo i środki miał po temu, i już go wszyscy od dawna kochaliśmy od serca. Śmiałem

się do porucznika Richtera — a było mu na imię Michał — żeśmy tak solennie jego imieniny obchodzili.

Po ostatniej bitwie udaliśmy się w marsz i stanęli pod laskiem brzozowym, któryśmy Brzezinkami nazwali, bo już nie wiedzieliśmy, gdzieśmy się znajdowali; najlepsza nawet karta topograficzna nic by tu nie pomogła, gdyż nigdzie nie było można znaleźć jakiego mieszkańca z okolicy, który by nam do zorientowania się na niej dopomógł. Tu staliśmy przez dni kilkanaście podczas najpiękniejszej pogody, aż w końcu ów lasek brzozowy, tak nam miły, cały zniknął, dostarczając drzewa na ognie obozowe. Utrzymanie się na tym stanowisku było tak utrudzone, że potem jadącemu za paszą oddziałowi dawano do osłony batalion piechoty i pluton artylerii. Wyjeżdżano raniutko, przez dzień furazowano i ucie-rano się z nieprzyjacielem, a w nocy wracano do obozu — i gdy który z nas był na tę służbę odkomenderowany, a która co szósty dzień na nas poruczników przypadała, żegnał się z kolegami, jak gdyby nie miał więcej do nich powrócić. Nocami zaś tak nas często trwożono (alarmowano), że od północy już, przygasiwszy ognie, cała piechota pod broń, a artyleria przy działach stawiała w celu odparcia napadu, co niezmiernie przy głodzie i zimnych nocach, trapiąc wojsko, było uciążliwe.

Cesarz nasz, widząc armię zniszczoną i zmniejszoną do piątej części, jaka przedtem była, zapragnął szczerze pokoju i z tym oznajmieniem posłał Caulaincourta (księcia Vincen-cji) do Kutuzowa, ale stary lis, znając naszą słabość, usiłował wszelkimi sposobami zwłóczyć układy o pokój, ażeby zyskać na czasie i mrozów się doczekać, iżby nas do reszty pokonać i zabrać jak kuropatwy; udawał więc gotowość do układów, lecz dodał, że nie miał pełnomocnictwa do traktowania, ale że trzeba się udać w tej mierze do cara Aleksandra do Petersburga; znowu potem zwłóczył wydanie paszportów księciu Caulaincourt, a wydawszy je, umyślnie dłuższą drogę w nich przeznaczył pod pozorem, żeby nie widział rozkładu jego wojska.

Po powrocie księcia Caulaincourta z Petersburga i przywiezieniu wiadomości, że car umocowanie do zawiązania układów niezwłocznie dla Kutuzowa przysłał, stary, chociaż depeszę tego dotyczącą, a największą zwłokę zapewne mu zalecającą, otrzymał, utrzymywał wszakże, że dyplomaci mający konferencje rozpocząć są już w drodze, ale jeszcze do obozu nie przybyli, a przez ten cały czas ćwiczył swe wojsko,

osobliwie nowo zaciężnych w robieniu bronią, w obrotach, w strzelaniu do tarczy z ręcznej broni i dział, las zaś przed nim leżący kazał drogami do nas wiodącymi poprzecinać, słowem nas łatwowiernych zwodził (wszak każdy temu łatwo wierzy, czego sobie życzy), a wszystko do napadu na nas przygotowywał. Między innymi, gdy go z naszej strony zapytywano, co znaczą te, tak częste u nich z dział strzelania, odpowiadał, że u nich jest zwyczajem rozdawanie ozdób wojskowych hukem dział obchodzić, a to właśnie odbywała się nauka strzelania dział do tarczy.

Caulaincourt nareszcie, mając tę ustawiczną przewłokę w podejrzeniu, ostatecznie oświadczył, iż mu ultimatum przedstawia, natenczas starzec powstał z powagą i gniewem i miał się odezwać w te wyrazy: „Kiedyście nam tyle już szkody wyrządzili, a wasza armia stopniała jak śnieg od słońca, my zaś silni na ciele i duchu, mieliżbyśmy teraz z wami pokój zawierać?... Idź, powiedz twemu panu, że my wojnę nie kończymy, ale zaczynamy!” Zerwano więc nastąpić mające układy, a skoro ta wieść po naszym obozie gruchnęła, wszyscyśmy przerażeni zostali, wierząc dotąd w gwiazdę cesarza, że pokój przyjdzie do skutku.

Mój Boże! gdyby cesarz, zamiast uwodzić się błąhą nadzieją pokoju i kazać stać wojsku na miejscu w czasie najlepszej pogody, rozpoczął był zaraz odwrót, bylibyśmy przez te czternaście dni spoczynku marnie straconych dostali się do Smoleńska, tam nad Dnieprem się usadowili i może przeziłowali, a jeżeli Smoleńsk był za odległym od naszej podstawy, moglibyśmy zająć Litwę, Wołyń i Podole, oszańcować się w miejscach stosownych, a odbierając posiłki z tyłu i z boków i tocząc zapewne bój zażarty przez całą zimę, może potrafilibyśmy się na naszych stanowiskach utrzymać i z wiosną 1813 nową kampanię mądrzej rozpocząć, jeżelibyśmy się czuli na siłach po temu. Ale upór cesarza z poskromionej dumy, że wszystko dotąd pokonywał, a teraz, tak potężny jak nigdy, bo całą prawie Europę miał sobie sprzymierzoną, jednej Rosji by pokonać nie mógł, wszystkiego złego narobił. Na nieszczęście cesarz w swych rachubach obliczał tylko siły swoje i nieprzyjacielskie, jak zawsze robił i dobrze na tym wychodził, ale tu powinien był wciągnąć w rachunek jeszcze dwa czynniki wojny: głód i mróz, czego uczynić zaniechał, a które właśnie jego armię zgubiły. Sami Rosjanie mówili później, że nie oni Napoleona pokonali, ale dwóch generałów: Gołodow i Morozow.

Po tej smutnej wieści, iż pokoju nie będzie, zaczęto myśleć o odwrocie i zaraz cztery nasze polskie baterie (24 dział) otrzymały rozkaz udania się w tył o dobre pół mili dla przeprowadzenia się przez głębokie parowy za nami będące. Przeprawiwszy się szczęśliwie przez te padoły i uszykowawszy się na rozległych wzgórzach, odebraliśmy rozkaz, ażeby jutro o świtaniu być gotowymi do marszu. Wypada tu jeszcze dodać, że stojąc pod Brzezinkami wysłaliśmy raz i drugi oddział złożony z jednego sierżanta i dziesięciu żołnierzy, uzbrojonych w karabinki (bo je artyleria miała), ażeby nieco żywności się wystarali, ale oba oddziały nie powróciły do baterii, będąc zapewne przez poukrywanych w lasach chłopów wymordowane, i ta okoliczność uszczupliła nam jeszcze bardziej liczbę ludzi do usługi dział potrzebnych.

XII

NAPAD ROSJAN POD TARUTYNĄ. — BITWA POD MAŁYM JAROSŁAWCEM

Nazajutrz kawał przede dniem byliśmy do marszu gotowi i zajadaliśmy z apetytem z kociołka żołnierskiego zacierkę zrobioną z maki i otrąb, ale bez soli i żadnej okrasy. Czasem gotowaliśmy same otręby, bo przecież w nich powinno być nieco maki, a raz gotowaliśmy na próbę plewy, przełknęliśmy ich tylko po jednej łyżce, bo drugiej już nie można było; właśnie wówczas przechodził obok nas pułkownik inżynierów Mallet, a widząc nas w kociołku dłubiących, wziął łyżkę, skosztował, otrząsł się i poszedł dalej, słowa nie powiedział. Otóż jedząc naszą zacierkę, postrzegamy mnogie błyski w stronie nieprzyjaciela i dziwimy się, co te światełka miały znaczyć — a to były strzały karabinowe wystosowane do naszej piechoty, która w trzech gajach, we wschody (en échelons) rosnących, przodowe stanowisko zajmowała; w najbardziej wysuniętym gaju stał podpułkownik Blumer (13) z swoim batalionem. Odległość była taka, że chociaż z gór widzieliśmy błyski wśród ciemności, huku bynajmniej słychać nie było; może też i wiatr w tamtą stronę głos odnosił. Powoli światełka te zaczęły się do nas przybliżać, aż nareszcie wyraźnie usłyszeliśmy wystrzały karabinowe, a gdy się rozwiniało i działa zagrzmiały, pomyśleliśmy sobie: biada naszym na przodzie będącym. Napad ten nastąpił dnia 17 paździer-

nika pod byłym laskiem brzozowym, a Rosjanie zowią to miejsce: pod Tarutyną; tam poległ nasz generał Fiszer, szef sztabu głównego, niegdyś adiutant Kościuszki.

Niedługo potem widzimy, jak kirysjery z korpusu Sébastianiego, obok nas przedtem stojącego, biegną w rozsypce pieszo przez odstępy naszych dział, z głowami nie okrytymi, w lejbikach, nieraz o jednym bucie i z twarzami przestraszonymi. Wkrótce nadbiega nasz generał Pelletier, wskazuje każdej baterii miejsce, gdzie ma stanąć dla zasłony swym ogniem cofającego się wojska naszego, a naszą baterię porywa z sobą, prowadzi naprzód ukośnie w prawo, a zbliżywszy się o paręset kroków od spadzistości wzgórza, rozruca nasze trzy plutony dosyć daleko jeden od drugiego, zaleciwszy nam wprzód jak najmocniej, żeby mieć oko na wszystkie strony, iżby nie być bezkarnie zabranymi, ponieważ żadnej osłony z piechoty lub jazdy nie mieliśmy, niemniej żeby ogień wszystkich trzech plutonów skierować na nieprzyjaciela, gdyby się gdzieś w sile pokazywać zaczął, i wstrzymywać go jak najenergiczniej dla dania czasu naszemu w nieładzie uchodzącemu wojsku się uporządkować i skutecznie działać.

Napad ten był tak gwałtowny, że Kozacy kluli po namiocie księcia Józefa, sądząc go tym sposobem móc życia pozbawić, ale książę zdołał już dopaść konia i tylko ktoś jeszcze (podobno Aksamitowski) w namiocie pozostał, przyczał się i potem szczęśliwie na wolność się wydostał. Blumera z batalionem mieliśmy wszyscy za straconego, bo jakże inaczej myśleć można było; tymczasem nad wieczorem łączy się z nami, nie dawszy sobie wziąć z batalionu ani jednego człowieka żywcem, idąc za nami przez cały dzień w czworoboku otoczonym zgrają moskiewskiego żołnierstwa, która go zabrać usiłowała, przystając tylko niekiedy dla odsunięcia zbyt natarczywych swoim ogniem bliskim, celnym, porządnie, a razem z oszczędnością utrzymywanym. Podobnie marszałek Ney był odciętym z tysiącem może ludzi piechoty, tak dalece, że zamiast do swoich w tył, był zmuszony udać się naprzód w kraj nieprzyjacielski, a zrobiwszy wielkie koło po śniegach i lodach i bijąc się do upadłego — bo sam nawet, wzięwszy po poległym żołnierzu karabin i ładownicę, strzelał — po kilku dniach ciężkich trudów i niebezpieczeństw z Wielką Armią, która już tylko z nazwy istniała, się połączył, za co go cesarz księciem Moskwy (duc de Moscova) mianował.

Dzień to był okropny! Wszystkie bronie i narodowości, zmieszane bez żadnego ładu, dostawszy się na drogę, zbitą

kolumną ruszały, nie myśląc o obronie. Ja strzelałem przez czas jakiś do oskrzydłającego nas nieprzyjaciela, nie żeby mu jaką szkodę dwoma działami móc wyrządzić, lecz żeby wiedział, że nie wszystka jeszcze artyleria w tył odeszła i żeby zaniechał myśli śmiałego natarcia, bo Rosjanie artylerię Wielkiej Armii wielce poważali. Widząc nareszcie, że jakaś piechota w porządnym idzie szyku, przyłączyłem się do niej; była to piechota francuska w tylnej straży idąca. Często, gdy się jazda nieprzyjacielska zanadto zbliżyła, odpędzałem ją, wraz z artylerią francuską, kartaczami. Tak przez cały dzień idąc i bijąc się uszliśmy ze cztery mile, aż pod Woronowo podobno, gdzie zatrzymawszy się na noc, poszedłem szukać moich kolegów, którzy także mnie szukali, sądząc ja o nich, a oni o mnie, żeśmy się do niewoli dostali. Połączywszy zatem nasze plutony, odszukaliśmy nasz korpus polski, a przez całą noc trwała organizacja wojska, będąc wczoraj nasza armia rozbitą i w największy nieład wprowadzoną.

Szło teraz o to, żeby się dostać na trakt główny z Moskwy do Smoleńska idący. Eskortowani i szarpani przez nieprzyjaciela zewsząd, przeszliśmy przez spalone do szczętu miasta Wiereję i Medynę, a że się Muratowi naprzykrzyło być ciągle napastowanym, postanowił na Rosjan uderzyć. Jakoż przyszło do walnej bitwy w dniu 24 października pod Małym Jarosławcem, gdzie najwięcej jazda i artyleria z obu stron były czynne; bój był zacięty, lecz obie strony nad wieczorem utrzymały się na swych stanowiskach. W tej bitwie kazano po południu naszym dwóm bateriom pociągnąć się kawał na lewo poza frontem walczących, postawiono nas za dwoma pułkami karabinierów francuskich, kazano działa odprzodkować, nabić je kartaczami i wziąć na przedłużnice (prolonges), tj. linki łączące przodek z działem. Karabinierów Francja miała tylko te dwa pułki, złożone z wyborowych żołnierzy, opatrzonych długimi karabinami, z których celnie i daleko z koni sięgali; że to był punkt słabszy i prawie klucz pozycji, ich więc tam, jako dzielniejszą jazdę, postawiono i zalecono, że gdyby im ciężko było wytrzymywać nieprzyjacielskie natarcia, żeby w czasie takiego ataku przemknęli się galopem plutonami przez odstępy naszych dział i puścili tę jazdę nieprzyjacielską na nasze kartacze, uformowawszy się znowu w szyk za nami dla naszego bezpieczeństwa. I któż by uwierzył, że do tego nie przyszło? Wszystkie uderzenia (charges) jazdy połączone z wściekłymi wrzaskami Moskali i dzikich Azjatów też jazdę składających, swą zimną krwią

i celnym ogniem odesłali z niczym; ostatnie szarże były już słabsze, bo karabiniery stosami ludzi i koni pobitych front swój niejako zasłonili. Natarć takich było przynajmniej siedm. Milczenie we froncie karabinierów było głębokie, czasem tylko oficer półgłosem się odezwał: „Serrez” albo „Ne bougez pas”. Ogień szedł na komendę szeregiem jak w piechocie, a konie stały jak mur, chociaż im cugle puszczono, bo obie ręce przy długim karabinie były konieczne potrzebne, chyba który może, mając żywszego konia, cugle w zębach trzymał.

Widziałem tam, raz w życiu, rzadkie zdarzenie, że żołnierzowi, któremu kartacz niżej kolana nogę przestrzelił, chirurgowie pułkowi zaraz nogę pod ogniem nieprzyjacielskim za frontem odjęli, a ten nieszcześliwy z konia nawet nie zsiadywał, bo mu powiedzieli, że tak będzie sporzej; po czym dwaj jego koledzy, trzymając go za barki, omdlałego, konno do ambulansów odprowadzili. Wracając do swego korpusu, widzieliśmy, po odejściu z linii wojska w inną stronę, kupki po kilka ciał razem leżących, a przypatrzwszy się mundurom i rysom, poznaliśmy niestety naszych wiarusów z Legii Nadwiślańskiej od kartaczy poległych.

Murat tam wiele zrobił, bo mając do czynienia z nieprzyjacielem, jeżeli nie trzykroć, to pewno dwakroć silniejszym, acz go z jego stanowiska nie spędził, sam także wypartym nie został.

XIII

BITWA POD WIAZMĄ. — SMOLEŃSK. — KRASNOJ. — PRZEJŚCIE
BEREZYN

Nie tracąc czasu, wlecze się przez Medinę do Wiaźmy, leżącej na wielkim trakcie z Moskwy do Smoleńska. Pod Medyną zaszła walka, w której nasza artyleria konna dwa czy trzy działa straciła; przechodziliśmy przez to miasto (gdzie dosyć było murów w rozwalinach) dogorywające, a po zgłiszczach jeszcze tlejących przyspieszaliśmy kroku, żeby nam amunicja się nie zapaliła. Chcieliśmy z artylerią Medinę obejść, żeby prochów na wysadzenie w powietrze nie narażać, ale to było niepodobieństwem, gdyż nieprzyjaciół za nami idący już nas okalał. Bóg dał, żeśmy szczęśliwie to palące się miasto przeszli.

Tu już nie miałem żadnego konia, tak jak i inni oficerowie; wszystkie moje trzy konie, jeden po drugim w krótkich odstępach czasu, z głodu i wyniszczenia poustawały. Żał mi ich było serdecznie, ale z drugiej strony pocieszałem się, że już o nich myśleć nie będę musiał, tylko o mnie jednym.

Idąc manowcami przez dni kilka przybyliśmy pod Wiaźmę i dziwno nam było, że nas wróg w tej drodze nie napastował, ale wkrótce na nasze nieszczęście wyjaśniła się nam ta zagadka, ponieważ główne jego siły wyprzedziły nas i pod Wiaźmą na nas czekały. Zdziwiliśmy się więc mocno, widząc przed nami nieprzyjaciół zastępy, gdy je tylko za nami mieć sądziliśmy; tuśmy się Bogu w opiekę oddając, pomyśleli w duchu, że będzie to szczególna Jego łaska, jeżeli cało z tej matni wyjdziemy. Było zaś dział naszych tylko kilkanaście, biednymi końmi zaprzężonych i cokolwiek amunicji mających, które z całej artylerii obu dywizji i z parków pozbierano, a reszta dział i parków, potłukłszy i popaliwszy wprzód próżne już wozy amunicyjne, których dla braku koni już prowadzić nie można było, iżby się nie stały trofeami wroga, ruszyła w pochód parę dni naprzód i dostała się do Wiaźmy przed nadciągnięciem nieprzyjaciela, a następnie ocalała. Były to nasze kosztowne sztandary, bo artyleria nie ma innych.

Ucieraliśmy się pod Wiaźmą przez dzień cały (na początku listopada), mając często artylerię nieprzyjacielską z trzech stron do nas bijącą, aleśmy, gdy nam zanadto dokuczała, manewrowali i spod ich strzałów wychodzili, stając na przodzie lub w tyle w jakiej dolince lub za krzakami, sami zaś naboju oszczędzali, odpowiadając tylko kiedy niekiedy bateriom nieprzyjacielskim tu i owdzie porozrucanym. Nad wieczorem już przytknęliśmy do brzegu lasu, w którym między pierwszymi drzewami stał pułk nasz piechoty liniowy, zdaje mi się, 16 księcia Czartoryskiego. Oficer będący na lewym skrzydle tegoż pułku, widząc mnie, iż tylko celuję, a nie strzelam, woła na mnie: „Strzelaj!” Odpowiadam mu, że mam tylko trzy naboje. Był to Dembowski Ignacy, dzisiejszy dziedziec Nacpolska pod Nasielskiem w Płockiem, obecnie w Warszawie mieszkający, a ile mnie razy spotka na ulicy, inaczej nie wita jak wyrazami: „A masz trzy naboje?”

U tej piechoty wówczas czyste było pandemonium, bo do nas strzelano kulami, a do niej w lesie stojącej rzucono granaty, te łamiąc gałęzie i pękając potem z echem powtarzanym, piekielny hałas czyniły i piechotę trwożyły. Nad wieczorem udało się naszym nieprzyjaciela odeprzeć i dostać się

na trakt główny, po którym chyżo ruszaliśmy do Smoleńska. W tym czasie życzyłem sobie śmierci — niech mi to Bóg przebaczy — bo bić się ustawnie w głodzie, zimnie i chorobie, to przechodzi siły fizyczne i moralne człowieka.

Wszelako, oddając całą sprawiedliwość Rosjanom, że wojnę według zasad teorii prowadzili, ale miękko i bez energii; ponieważ gdyby w ich miejscu byli Francuzi, pewno by ani jedna żywa dusza, ani najmniejszy sprzecik z całej Wielkiej Armii Wiaźmy, tym mniej Smoleńska i Berezyny w odwrocie nie był oglądał. Trzeba wyznać, że żaden naród ze zwycięstwa tak korzystać nie umie jak Francuzi, czego się naczytać można w wojnach we Włoszech i innych krajach przez Napoleona prowadzonych.

Przyszliśmy nareszcie dnia 12 listopada do Smoleńska, w którym zamiast jakiego spodziewanego zasiłku znaleźliśmy z smutkiem rozwaliny tylko i gruzy. Nie było tu po co przesiadywać, ale dalej umykać wypadało. Pod Krasnoj, o kilka mil od Smoleńska z tej strony, znowu nas Rosjanie dnia 18 listopada dognali i zabrać chcieli, lecz działając po swojemu, i tu odpartymi zostali; mało wszakże brakowało, że cesarz w ręce Kozakom się nie dostał. Stąd ciągnęliśmy przez Orszę, Bóbr do Borysowa, gdzie nas, dziś wszystkim wiadoma, ciężka przeprawa przez Berezynę czekała. Cesarz kazał rzucić trzy mosty, a rzeka szeroka, głęboka, bystra i wówczas grubą już krą płynącą niemałą do budowy mostów stawiała przeszkodę; wszelako generał francuski Eblé, zachęcając wszelkimi sposobami swoich pontonierów, żeby w wodzie pracowali, zdołał te mosty wystawić, a z tych pontonierów, jak później czytałem, jeden tylko wieku podeszłego dożył, inni zaś wkrótce wymarli. Na tej przeprawie był sądny dzień... Mocne oddziały wojska stały przy czołach mostów, nie przepuszczając, tylko działa, piechotę i jazdę, a żandarmeria wszelkie bagaże, powozy, bryczki zrazu zatrzymywała, ale później, gdy brzeg rzeki na kilkaset kroków głębokości ludem do mostów się cisnącym był okryty, więc dla uprzątnienia zaważ wszelkie bagaże zrzucano do wody, gdzie tonęły. Wielu jezdnych i pieszych rzucało się w nurty, ale mało było tyle szczęśliwych, żeby się na drugi brzeg wydostać mogli; wreszcie z mostów, naprędce i lekko, rozumi się, bez poręczy zbudowanych, spychano się do wody dla zbytecznego natłoku bez żadnej litości, słabsi więc lub z kraju będący tonęli, bo każdemu chodziło o życie. Ta przeklęta Berezyna wiele nam ludzi pochłoneła.

Myśmy z działami stanęli na uboczu, o kilkaset kroków od najbliższego mostu, na polu kartoflami zasadzonym, rozpaliłszy ogień, piekli kartofle i w szachy grali, oczekując jak zbawienia rozkazu ruszenia naprzód do mostu; tak przeczekaliśmy dzień cały i noc, aż nazajutrz, gdy nieprzyjacieli, prac silnie na naszą tylną straż, ją do ustępowania zmusił, gdy jego kule już nas sięgały, a granaty w tłumie przy moście pękać zaczęły — jednorogi bowiem rosyjskie, mając stożkowe komory, tj. miejsca, gdzie się nabój wsuwa, rzucają daleko swoje granaty — przykro nam było niezmiernie bezkarnie ginąć, bośmy już amunicji prawie nie mieli, lub się do niewoli dostać, zwłaszcza żeśmy poczęli nabierać nadziei, że się wymkniemy. Tu generał Kniaziewicz — Zajączek już miał urwaną nogę i nie dowodził — zebrawszy parę kompanii grenadierów polskich, przybył do nas i kazał nam tuż za grenadierami postępować, nie dając się nikomu odciąć, a grenadiery z nadstawionymi bagnietami przebojem drogę nam torowali; wreszcie sam widok generała Kniaziewicza, który był słusznego wzrostu, tuszy okazałej, głosu grzmiącego i siwych włosów, wzbudzał uszanowanie i posłuszeństwo wdrażał; a gdy się jeszcze z konia po francusku, wydając rozkazy, odezwał, wszyscy mniemali, Francuzi nawet, że to był jaki znakomitszy marszałek francuski, i, jak mogli, ustępowali, tak żeśmy się do mostu dostali i szczęśliwie po nim przeszli, ale furgonów z rzeczami oficerskimi na skutek rozkazu cesarza żandarmy nie przepuścili, a tak każdy z nas pozostał tylko w jednej koszuli i w tym, co miał na sobie. Żal mi tylko było moich patentów i dziennika, który pilnie prowadziłem i rysunkami różnymi gdzieniegdzie urozmaicałem, gdy to jeszcze dawniej robić się dało.

Ale nimeśmy pod Borysów nadciągnęli, przybył już tam wprzód spod Bobrujska generał Dąbrowski z swoją dywizją dla osłony nastąpić mającej przeprawy, ale go Czyczagow, nadciągnawszy po zawarciu pokoju z Turcją, znienacka napadł, poturbował i dwa działa artylerii pieszej zabrał; tam to zginął mój brat cioteczny Józef Witkowski, a drugi brat Konstanty kulą w nogę dostał (2). Połączywszy się z dywizją Dąbrowskiego nabraliśmy znowu ducha, ponieważ ona, oprócz porażki doświadczonej od Czyczagowa i utarczek w czasie kampanii mało znaczących, blokując Bobrujsk była nietknięta i dobrze żywiona. Artyleria tej dywizji oprócz amunicji prawie zupełnej miała na lawetach całe ćwierci mięsa wołowego, któregośmy tak dawno nie kosztowali; zaraz też

Paszkowski (8) zaprosił mnie na obiad, gdzie się dobrze nakarmił.

Po przejściu Berezyny, ponieważ nieprzyjaciół, równie jak my, obadwa brzegi rzeki zajmował, widzieliśmy, jak cesarz był czynnym, jak odbierał doniesienia adiutantów, jak rozkazy na wszystkie strony wydawał; raz nawet widzieliśmy go samego, bez żadnego orszaku, jak obok nas przejechał, a że śnieg wielkimi płatami padał i mocno się zamgliło, więc go odszukać nie mogli, aż Sébastiani trafił na nas i dowiedział się, w którą stronę cesarz pojechał, i pognął za nim. Pierwszej nocy po naszym przejściu Berezyny biwakowaliśmy obok starej gwardii francuskiej, która piekąc podłomyki w ogniu na śniegu rozłożonym — bo w tym dniu intendentura trochę jej mąki wydała była — przeklinała cesarza na czym świat stoi, a nazajutrz, gdy do niej przybył — wydawała okrzyki: „Vive l'empereur!”, zapomniawszy o przeszłej nocy; tak potężny miał cesarz urok i wpływ na ludzi.

XIV

NIEWOLA I UCIECZKA Z NIEJ. — WILNO

Spod Borysowa wędrowaliśmy traktem przez Mołodeczno, Oszmianę, dążąc ku Wilnu. Cesarz o kilka mil przed Wilnem opuścił wojsko, udając się przez Warszawę do Paryża; komendę nad wojskiem oddał Muratowi, lecz i Eugeniusz Beauharnais wicekról włoski, nie wiem z jakiego powodu, przez kilka dni w owym czasie nami dowodził. Po odjeździe cesarza nastąpiło zupełne rozstrojenie wojska. Przedtem można było widzieć całe pułki jazdy wykonywające pieszo wszelkie przed nieprzyjacielem obroty, w wielkich butach, pancerzach i hełmach z ogonami końskimi, jak to pod Krasnoj było, i strzelające z swoich krótkich karabinków do nieprzyjaciela, konie bowiem wszystkie poustawały; teraz zaś wszystko się pomieszało, wszelki porządek i karność ustały, gdy do chłodu i głodu przybył jeszcze jeden czynnik naszych cierpień, mianowicie: mróz co dzień 25-stopniowy (podług Réaumura).

Trudno się nawet poznać było po mundurach, gdyż każdy, chroniąc się od zimna, zarzucił na siebie jakiś przyodziewek, jaki mógł dostać: jak sobole, kołdry, kożuchy, siermięgi itp. Słowem, wojsko wyglądało jak najdziwaczniej w świecie, bo dwóch nie było jednakowo ubranych, pomnąc jeszcze o stro-

ju głowy i obuwia, które były także najrozmaitsze. Pozwólcie, że siebie przedstawię: miałem jakieś czarne, długie futro, z wysokim dosyć włosom, ordynaryjne, z małą peleryną w tyle, zapewne po jakimś stangrecie lub odźwiernym; nabyłem go od żołnierza bawarskiego za kilka talarów, bo nam wypłacono żołd dwumiesięczny dwuzłotówkami; spodnie miałem z grubego żołnierskiego rosyjskiego sukna, uszyte przez moich żołnierzy przy ogniu obozowym przez noc jedną, z otworem na przodzie i z tyłu, jak małym chłopcom zwykle majtki robią, na głowie duchenka (szlafmyca) jakaś brudna, a na niej stosowany kapelusz pod brodę rzemykiem umocowany; ciżmy nowe żołnierskie, wcale nie poczernione, duże, żeby stopy grubo owijać można; pałasz po futrze, jedna rękawica futrzana o jednym paluchu, służąca na odmianę prawej i lewej ręce, i twarz dawno nie myta, a zarosnięta jak u pawiana. Czysty Robinson! Tak to wyglądała wówczas owa Wielka Armia, nad którą przy otwarciu kampanii pewno świat nic piękniejszego nie widział; takimi w niej były męże, konie, zbroje i wszelkie rynsztunki.

Wyszedłszy z Oszmiany i mając tylko cztery mile do Wilna, tak już upadłem na siłach, żem się kijem podpierać musiał i za działami nieco pozostałem, bom za końmi, także wolno idącymi, wydażyć nie mógł, mniemając, że je na spoczynku lub na miejscu w Wilnie dogonię. Złączył się ze mną porucznik Rozwadowski, oficer z innej baterii, i tak oba zsiłszy, krzepiąc jeden drugiego, w tej różnobarwnej, różnomownej kolumnie, której w równinach i na śniegu końca wszakże ani początku dojrzeć nie można było. Wtem cała ta kolumna zaczyna drgać i konwulsyjnie się poruszać, wydając szepty: „cosaque... cosaque”; dziwimy się, co to znaczy, aż jazda, która po obu stronach drogi ścieżkami po jednemu, w odstępach, jak i my zakapturzona — byli to huzary, ułani i kozaki przez generała Ożarowskiego dowodzeni, którzy udając naszych, karawanę wymijali — postępowała, za danym znakiem rzuca się na nas, rąbiąc bez potrzeby ludzi bronić się nie mogących.

Otóż taki jeden huzar natarł na mnie z dobytym pałaszem; wołając „pardon” chciał mnie ciąć, alem się zasłonił pałaszem, a lewą ręką złapałem za cugle przy pysku, żeby mnie nie roztratował; woła więc dalej na mnie: „Geld her! La bourse!” Odpowiadam: „Polski oficer jestem!” — „To oddaj pałasz i pieniądze” — bo to był także Polak. Rzuciłem mu

pałasz pod nogi koniowi, woreczek zaś z pieniędzmi, których było ze 400 złp. srebrém, a które prawdziwym były mi ciężarem, nie mogąc ich na co wydać, mu wręczyłem. Ucieszony z obłowu i zostawiając mi szlify złote i zegarek, o których nie wiedział, rzecze mi: „Niechże się pan w tył uda”, co bez ceremonii, mając obok mnie Rozwadowskiego, zrobiłem.

Idziemy tedy smutni, aż wpada drugi na mnie huzar, żądając znowu pieniędzy; odwracam się i poznawszy mojego bohatera, jak się uwijał i innych oporządzał, pokazałem mu go, oświadczając, iż tamtemu już pieniądze oddałem, i byłoby się na tym skończyło, bo huzary nie mieli czasu robić konfrontacji (sprawdzenia). Ale Rozwadowski — czy wiedziony duchem koleżeństwa, że gdy mnie ogołoco, i on nic posiadać nie był powinien, czy podżęgniony przez Mefistofelesa — odzywa się, że ma pieniądze i że jemu odda, a nie wiedział nieborak, że te pieniądze, nie będąc w woreczku, jak u mnie były, ale do kieszeni wyspane, przez dziurę, która pod ich ciężarem łatwo się zrobiła, po jednej sztuce, nieznacznie wszystkie się wysypały. Szuka więc po kieszeni i znajduje tylko otwór, którym się jego dwuzłotówki na świat wydostały, przeprosza więc huzara za zawód, który mu zrobił, ale ten niedelikatny, bo na pół pijany, chlasnął go pałaszem, przeciął kapelusz i głowę zranił tak, że krew obficie lunęła; złapał się więc ręką za ranę i rzekł: „Dobrze mi tak! Szukałem guza i mam go”. Obwiązawszy ranę chustką, szliśmy oba w tył ku Oszmianie, gdy nagle cała karawana, jakby duchem Bożym natchniona, widząc tych rycerzy dobrze podchmielonych, a śnieg na polach wysoki z zamrzniętą na wierzchu skorupą, że człowieka pieszego utrzymać mogła, ale pod ciężarem jezdca i konia łamać się musiała, rzuciła się na prawo i lewo drogi i z całej siły w rozsypce uciekać zaczęła. Naturalnie z Rozwadowskim nie byliśmy ostatnimi, którzy ten wielki pomysł do skutku przyprowadzić usiłowali, udając się w przeciwnie strony, ażeby, gdy chociaż jeden z nas się ocali, o losie drugiego władzę i kolegów zawiadomił. Krzyczała za nami ta hałastrą, strzelała, gnała, ale konie w śniegu za kolana tak zapadały, że pewno wszyscy, którzy umykać mogli, się uratowali.

Ja pędziłem w moim długim futrze co tchu do jakiegoś rzadkiego lasku — bo niewola moskiewska okropniejszą nad śmierć samą nam się wydawała — a dostawszy się do niego, oblany cały potem, padłem pod drzewem, omdlały, dla wypoczynku i nim do sił przyszedłem, odmroziłem koniec nosa,

brody, uszu i oba policzki, na których później porobiły się strupy, alem się z nich z czasem wygoił, wyjąwszy prawe ucho, którego mi u góry kawałeczek brakuje, zapewne na pamiątkę tej uczciwej kampanii; innych odmrożeń żadnego znaku nie mam. Wstawszy ruszyłem dalej, kierując się na zachód, ponieważ tam Wilno, którego nie znałem, leżeć musiało. Idąc tak przez pola, lasy i zarośla napotykałem nieraz krwawe na śniegu ślady poranionych uciekających, a wierzch futra sukienny, gdym się przez krzaki przedzierał, ażeby nie być odkrytym przez piechotę, w pogoń może za nami wysłaną, tak szkaradnie podarłem, żem pewno gorzej w nim wyglądał jak ostatni proletariusz. Tak biedząc się przez kilka godzin, wdrapałem się na górę chaszczami okrytą, z której Wilno ujrzałem. Dalejże nogi za pas i w pochód, aż się do miasta dostałem, nie czując w owej chwili ani głodu, ani osłabienia, takiego mi dwugodzinna niewola pietra napędziła, zwłaszcza że nie było żadnej rozsądnej spekulacji nadal w niewoli pozostawać.

W Wilnie zastałem tłum, gwar, popłoch, rwetes, ponieważ nieprzyjaciel w większej sile nadciągał i chciał miasto odebrać. Mróz był tak tęgi, że nasze wystrzały działowe nam się wydawały, jak gdyby kto z bicia traskał, a nieprzyjacielskie mało co były słyszane. Szukałem kogo znajomego, żeby mnie, będącego bez grosza i tak srodze znękanego, czym posilił. Szczęściem natrafiłem na Prądzyńskiego Ignacego, później generała w naszej kampanii rewolucyjnej z r. 1830/31, ten znowu trafił na jakiegoś mu znanego sztaboficera piechoty z młodego pułku, Litwina, który się do pewnego domu dobrze mu znajomego z wielką trudnością dopukał — wszystkie bowiem domy były zatarasowane, lękając się bitwy w samym mieście — tam dano nam herbaty i przekąsek. Posiliwszy się nieco, każdy z nas poszedł w swoją stronę, a ja udałem się na Pohulanek (przedmieście), gdzie, jakem się dowiedział, stała artyleria nasza. Przybywszy, zameldowałem się, gdzie należało, a wtem też nadszedł i Rozwadowski, z czego uczuliśmy najwyższą radość, będąc oba zbawieni, gdy jeden drugiego za straconego już poczytywał. Tu najpierwszą rzeczą było przyprowadzić moje futro do stanu normalnego, co żołnierze na biwaku skutecznie, jak mogli najlepiej.

Nizelim z miasta udał się na przedmieście, widziałem ogromne zamięszanie i trwogę. Oddziały starej gwardii francuskiej i włoskiej krzyżowały się w mieście w rozmaitych kierunkach; strach było spojrzeć na ten lud, przed kwartałem

tak okazały, a teraz tak wyniszczony. Furgony z kancelarią i rzeczami cesarza, umykając, zapchały się w bramie, że przejść nie można było. Nigdzie nie można było widzieć zdrowej twarzy albo konia dobrej tuszy; wszędzie nędza, nędza i... nędza.

Wracam się jeszcze. Idąc od Smoleńska do Wilna, gdy ciężkie mrozy nastaly, żołnierze na trakcie to pojedynczo marzli i padali, to w kupkę się zebrawszy dla rozgrzania się, usiedli i więcej nie wstali; takich grup dosyć było. Czasem blisko drogi była wielka dworska stodoła, w której były jeszcze poddenki, tam nieboraki w tę słomę się zagrzebywali jeden przy drugim, że miejsca dla innych zabrakło, a inni, których przypyływ jest ustawiczny, wiedząc, że cała stodoła jest zajęta, podpalają ją z czterech rogów, ażeby tamtych wypłoszyć, a siebie przy ogniu ogrzać, lecz zajmujący stodołę, nie mając siły ją opuszczać, z rezygnacją godną lepszego losu, jak drudzy templariusze, giną w płomieniach. Trakt był zaślany trupami ciał zmarzniętych, i jeżeli takie ciało leżało na kolei, działa po nim przechodziły, aż kości pod kołami gruchotały, bo niepodobieństwem było przy tak słabych koniach z kolei wychodzić i trupy omijać i czasu tak drogiego w odwrocie tracić nie można było. Wiadomo także, że na wielkich bojowiskach, na których przed dwoma miesiącami i więcej po kilkanaście tysięcy ludzi padło, ciała te ludzi i koni dotąd pogrzebane nie były, bo nie było kim to zrobić; wojsko poszło naprzód, a lud przez rząd uprowadzony został. Przy takich okropnościach i nędzy powszechnej wszelkie uczucie litości, religii itd. w sercach pozostałych przy życiu wygasło.

Zmrokiem już tego samego dnia ruszyliśmy z Wilna, bo tam, prawdę mówiąc, nie było na co czekać, a jak najspieszniej do domu wędrować; a że się rozchodziły drogi, lewa do Warszawy, a prawa do Berlina, postawieni więc byli oficerowie na rozdrożu, którzy wciąż nawoływali — noc była ciemna — żeby Polacy szli na lewo, ponieważ Francuzi, Włosi, Prusacy, Bawary, Wirtemberczycy, Hesy i reszta Rzeszy niemieckiej iść mieli na Berlin.

Tę całą noc podczas trzaskającego mrozu przepędziliśmy w największej pracy, wyprowadzając działa nasze i wozy z amunicją pod wielką górę po gołoledzi, i konie nasze, mając podkowsy zdarte, nigdy by temu nie podołały były, gdyby nasi generałowie, troskliwi o dobro publiczne i honor narodu, nie kazali piechocie rękami i szelkami, które przy każdym działie się znajdowały, działa, wozy i same konie na górę wyprowa-

dzać. Ceremonia ta trwała przez kilkanaście godzin nocy listopadowej, bo gdy wszystko się skończyło, dzień już wielki zajaśniał. Nie była to rzecz małej wagi, ponieważ z całej Wielkiej Armii jedni tylko Polacy swe działa do domu przyprowadzili, a wszyscy sprzymierzeńcy i sami Francuzi swe działa pod tą górą, która się aż do nich ciągnęła, zostawili; posłużyły one potem Rosjanom do odlewania okazałych pomników na ich cześć i chwałę.

Tak jak nasza armia rozdzieliła się na dwie bardzo nierówne części, i Rosjanie w takim stosunku — bo nie żałują wydatku na szpiegów — swe podzielili wojsko, tak że przeważne siły udały się za Francuzami, a za nami małe tylko oddziały, żeby nas wciąż mieć na oku i gdzie można uskubnąć.

Na pierwszym noclegu, gdzieśmy, zasłonieni przez dywizję Dąbrowskiego i nowe pułki świeżo poformowane i nam na odsiecz z Warszawy przybyłe, pierwszy raz po trzymiesięcznym pod gołym niebem koczowaniu po chałupach stanęli, taki był natłok, że szpilka do ziemi byłaby nie dopadła. Tam dowiedziano się o moim nieszczęściu, że mi w niewoli pieniądze zabrano. Zaraz przyszedł pułkownik Chodkiewicz, zawołany nasz chemik, dowodzący nowym pułkiem, i ofiarował mi pięć dukatów; znany nam już adiutant Guerin dał mi trzy dukaty, tyle także dał mi porucznik artylerii konnej Morawski (dzielny oficer). Miałem tedy jedynaście dukatów, które mi wystarczyć mogły dla dostania się do Warszawy.

Wkrótce też wyszedł rozkaz, że wszyscy oficerowie dwóch dywizji zza Moskwy przybyłych mogą, jeżeli zechcą, zostawiwszy działa i tabory przy dywizji Dąbrowskiego pod dozór i opiekę, udać się w drogę do Warszawy dla leczenia się i odżywienia. Jaki taki zamożniejszy ode mnie, złączywszy się z drugimi, wystarał się koni, sani, zaprząg, a posprzęgawszy się w trójki, czwórki i dostawszy żywności, wygodnie podróżowali. Ja, mało mając i nie chcąc być ciężarem nikomu, szedłem z korpusem, robiąc po sześć mil dziennie pieszo, co mi nader uciążliwym było, aż mi się nadarzył siwy konik, którego od jakiejś markietanki za pięć dukatów kupiłem z siodłem skarbowym, uzdzienicą i trzcielką; o osiodłanie, zaprząg wówczas nietrudno było, bo po każdym noclegu kilka i kilkanaście koni powstać na nogi nie mogło lub wcale życie utraciło. Tu już, dostawszy konika, opuściłem kolegów działa prowadzących i ruszyłem naprzód, a przepłacając owies i siano, przybyłem do Olity, miasteczka leżącego na granicy niedaleko od Wilna.

Stokroć już mi było lepiej słabemu jechać konno niż pieszo wędrowkę odbywać. Zajechałem tedy do karczmy przy trakcie, gdzie pełno było naszego żołnierstwa, a słysząc trzech Polaków między sobą szepczących i poznawszy ich za podoficerów z naszych ułanów, zbliżyłem się do nich z zaufaniem, powiedziałem, kto byłem, wdałem się z nimi w rozmowę, wreszcie zapoznawszy się, prosiłem ich, by mi odkryli swój plan, który po cichu układali, w nadziei, że on i na mnie wpływać będzie. Powiedzieli mi tedy, że mają trzy konie i malutkie łubowe pojedyncze sanki, że za piecem w karczmie dogorywa jakiś ordonator Niemiec, a ma porządne sanie półtoraczne, więc mu krzywdy nie robią, biorąc jego sanie, a zostawiając mu swoje, gdyż i tak za parę godzin świat opuszcza. Nuż tedy, odsunawszy wszelkie morały o cudzej własności, w prośbę do nich, żeby swe sanki mi odstąpili, gdy ordonatorowi nie mogą już być potrzebne. Chętnie na to przystali, dodając, że mi je nawet moim konikiem zaprzęgą i wszystko dobrze urządzią, iżbym mógł z nimi podróżować razem. Tak to nieszczęście ludzi zbliża, różnica stopni towarzyskich znika i człowiek staje się ludzkim i litościwym, mogąc wkrótce potrzebować pomocy drugiego!

Wyjechaliśmy o północy podług mego zegarka, bo huzar zabierając mi pieniądze diabelnie się oszukał, mniemając, że taki biedak, na jakiego wyglądałem, nie ma zegarka, a szlify ma szychowe. Przez Niemen po lodzie szła podróż wybornie, ale niedługo potem moi towarzysze, mając rosłe wierzchowe konie, ruszyli wielkim kłusem, a ja moim konikiem galopując nawet, pozostałem w tyle i już żadnego z nich w życiu moim nie widziałem.

Warto też poznać mój ekwipaż. Saneczki były arcydziełem sztuki kołodziejskiej i chyba nasz pra-pra-pra... ojciec Adam z Ewą, siedząc jedno na drugim, bo wąskie były i tylko jedną osobę pomieścić mogły, takimi w rajach po śniegu — jeżeli tam śnieg bywał — na promenadę wyjeżdżał. Dwa płuczki po trzy cale w kwadrat trzymające, na delikatnych nasadach wiązanie filgranowe łubem wyłożone, bez dyszla i odbitek jako zbytecznych. Otóż to były moje sanie, z których posiadania tak byłem szczęśliwy i dumny razem, jak nim nie był może Pompejusz, gdy na wozie tryumfalnym do Rzymu wjeżdżał. Prawnie biorąc i po Bogu, nie były one moją własnością, bo ułani, ukradłszy je komuś, nie mogli prawa własności, którego nie mieli, na mnie przelać. Ale cóż było robić! Musiałem je zatrzymać, bo nie było właściciela, który by

się o nie upominał i tytułu własności dowodził. Resztą ekwipażu był mój mały konik, przykryty wielkim siodłem juczym z torbami po bokach skórzanymi, ale próżnymi, mający zamiast chomąta słomiany wieńczyk po cebuli, który dwoma sznureczkami, po obu stronach jego idącymi, z sankami był połączony, a zamiast lejców był jeden sznureczek od tręzelki idący. W tym wszystkim nie było wprawdzie żadnego zbytku, bo też pożytek i wygoda głównie tylko były na celu.

XV

POWRÓT DO WARSZAWY. — CIĘŻKA PO KAMPANII CHOROBA

Dowiedziawszy się od moich ułanów, że mieli na bok z traktu zjechać dla łatwiejszego z końmi wyżywienia się, i ja to samo uczynić postanowiłem. Jadąc więc przez całą noc traktem utartym i ogrzewając po kolei ręce w rękawicy — bo obie ręce tam się zmieścić nie mogły — gdy się rozwiłło, uderzyłem pierwszą drożyną w bok na lewo, czym się mój konik niemało zdziwił, co było widoczne, bo też to był konik wcale rozumny jak na konia. Ujechawszy tak spory kawał i nie mając nic, nawet kawałka kija, na moją obronę, napotykam chłopskie wesele pijane i z wielu sanek i jezdnych złożone; ci do mnie obces, ale gdym im powiedział o nieszczęściach Polaków i że jestem jednym z tych rozbitków, nuż mnie częstować trunkami i korowajem, tak że nakarmiony i podochocony, z czułością ich żegnając, ledwie się rozstał; pamiętałem bowiem przypadek w młodym wieku pod Przemysłem mi zdarzony i naturalnie im potakując, dobrze wyszedłem. Takie to poczcziwe polskie serce, a właśnie po pijanemu najlepiej się odkrywa.

Jadąc ciągle za śladem, zajechałem do jakiejś wsi tatarskiej, a nie widząc karczmy, zajechałem przed dworek, oddzielnie na pagórku stojący. Zastałem w nim rodzinę tatarską; mąż był wzrostu słusznego, twarzy śniadej, rysów przyjemnych, około 50 lat mieć mogący, żona szczupła, mała, także śniada, lat około 40 licząca; oboje mówili dobrze po polsku. Zacząłem im, jak drugi Eneasze Dydonie, opowiadać niesłychane klęski Wielkiej Armii, jak cała prawie głodem i mrozem strawiona, przepadła, a niedobitki do swoich, jak możemy, wracamy. Dobrze kobiecisko się na piękne rozbeczało; dała zaraz z bielelny męzowskiej wszystkiego, czegom mógł potrzebować, bo

z koszuli mojej dawno nie odmienianej szwy tylko jeszcze były namacalne, a płótno zdarte i starte na trociny, przez rozbicie zaś rozniesione, zniknęło. Jak ja śmiałem się pokazać między obcymi ludźmi zarośnięty jak Hotentot, brudny jak olejarz, z twarzą ostrupiałą, jak u Joba trędowatą i ubrany jak straszdyło na wróble! Ale konieczność wszelkie względy przemaga i spod tej chodzącej skorupy głos ludzki się odzywał, budząc współczucie.

Nakarmiony, wywczasowany, chciałem nazajutrz ich pożegnać, ale nie tylko nic przyjąć ode mnie nie chcieli, ale i owszem usilnie oboje prosili, żebym u nich przez kilka dni pozostał, zwłaszcza że nie ma żadnego niebezpieczeństwa od Rosjan. Pozdragawszy się nieco, przystałem i z moim konikiem, także zabiedzonym, cokolwiek się odżywiłem. Dawano mi domowe leki, które acz choroby mnie nurtującej nie odsunęły, przynajmniej jej postęp wstrzymały; czułem bowiem, że gdyby mnie Bóg do nich nie zaprowadził, byłbym gdzieś w drodze, obłożnie powalony, zamarł. I tak po mojej matce, która wydając mnie na świat, była pierwszą, co mi dała życie, ta pocziwa Tatarka była drugą niewiastą, co mi dane ocaliła. Proszę pamiętać, że nie tutaj ich koniec, bo kobietom cztery razy życie moje winienem, a każdej w inny sposób.

Przy pożegnaniu, zamiast przyjąć ode mnie wdzięczne honorarium, dali mi i owszem więcej bielizny do odmiany, wędliny, masła, chleba, półkorczyk owsa, z którego miałem wyborne siedzenie, i siana, ile się w sanki zmieścić mogło, a otrzymawszy ich błogosławieństwo, ruszyłem i na trakt główny wyjechałem, nie wstępując już nigdzie, bo i naprzykrzać się nikomu nie chciałem, i miałem nadzieję, że o tym, co posiadałem w pieniądzach i zapasach, do Warszawy się dostanę.

Spotkawszy się w drodze z kolegami, bo i oni rzemiennym dyszłem jadąc mnie nie wyprzedzili, sztuki im pokazywałem; albowiem sanki, będąc bez dyszla, ile razy z góry, po gładkiej jak szkło drodze, spuszczać się przyszło, prędzej niż konik biegnący i po nogach go tłukły; konik widząc tę anormalność zaraz na bok z bólu się usuwał, sanki się przewracały, ja wypadałem, a owies i siano, o które się zawsze starałem, wysypywały się na mnie; konik, bo był pojętny, sam przystawał i czekał, aż wszystko znowu uorganizowałem, po czym idąc pieszo obok sanek i przytrzymując je, z góry się spuszczałem. Takie tedy figle pokazując kolegom, nieraz ich ubawilem, za co mnie znowu zapraszali z sobą na noclegi i czę-

stawiali; z natury bowiem byłem humoru wesołego i zgodnego i dziś, gdy to piszę, lubię wesołość, czytam dziełka humorystyczne i uczęszczam do domów i towarzystw wesołych; może też memu szczęśliwemu humorowi jestem winien, że dzisiaj w tak wielkim wieku nie mam żadnej zmarszczki na czole.

Przebywszy most na Pradze, przy którym Austriacy równie jak i przy rogatkach na straży stali, przejechałem Warszawę przy końcu grudnia o godzinie dziewiątej w nocy umyślnie, żeby się w dzień na pośmiewisko uliczników nie wystawiać, dążąc do państwa Piotrowskich na Nowolipie, a stanąwszy na miejscu, począłem nieśmiało do drzwi pukać. Nikt mi nie otwiera, bo synkowie i sługi spali, a samych w domu nie było, pojechali bowiem gdzieś na wieczór. Zakłopotany szturmuję mocniej, wychodzi służąca i pyta przez drzwi: „Kto tam?” Odpowiadam, kto jestem; ona, nie znając mnie, bo była w tym domu nowotna, wyrzekłszy, że państwa nie ma w domu, wróciła do pokoju i drzwi za sobą zatrzaskała. Czekam więc pode drzwiami, a że mróz mi dokuczał, zacząłem pukać do okienic; wychodzi powtórnie i dziwi się takiemu memu po nocy natręctwu, aż dowiedziawszy się od niej, że synkowie są w domu, prosiłem jej, żeby jednego z nich obudziła, a ten mnie poznawszy wpuścić każe. I tak się stało, wkrótce też i sami nadjechali; dopiero nastąpiły uściski, zwłaszcza że dawniej wieść ich była doszła, żem zginął; sama zaś widząc mnie w tak opłakanym stanie, zawołała z boleścią: „Boże wielki! Ile też ci nieszczęśliwi rodacy za nas wycierpieli!” i rozpląkała się solennie, bo łązy u kobiet, jak Śniadecki Andrzej w swej „Teorii jestestw organicznych” pisze, są na zawołanie.

Zaraz dano mi ciepły pokój, ten sam, w którym dawniej kwaterą stawałem, zrobiono kąpiel z wywaru, dano mi moją bieliznę z kuferka u nich zostawionego, posilono i do łóżka zaprowadzono, bo już o własnych siłach iść nie mogłem. Być nawet może, że mi ta kąpiel zaszkodziła, ponieważ nazajutrz już z łóża podnieść się nie mogłem; niektórzy nawet z oficerów, jak nasz Załuski, w pierwszej kąpeli w Warszawie, tyle dawniej biedy przetrzymawszy, życie w domu rodziców zakończyli. Zaraz się też oprócz krwawej biegunki i gorączki nerwowej czy też tyfoidalnej objawiła na całym ciele żółtaczka, która co dzień była mocniejsza.

Sprowadzono do mnie naszego doktora korpusu artylerii, mego przyjaciela; ten przepisał jakąś wodę do smarowania skancerowanej twarzy i lekarstwo do brania wewnątrz co

dwie godzin, zapowiadając, że mnie głód wilczy opanuje, w którym przy lekach na najściślejszej diecie trzymać mnie będzie potrzeba, inaczej za me życie nie ręczy. W samej istocie, zaraz się głód objawił w sposób najstraszliwszy, a że panna (garderobiana) mnie dozorująca miała jak najściślejsze polecenie, iżby mi niczego nad przepis doktora jeść nie pozwalała, wszelako mymi prośbami i łzami wzruszona nie miała odwagi mnie się oprzeć i dostarczyła mi potajemnie dziesięć bułek dwugrosznych, wówczas dużych, z pośledniejszej maki pieczonych i serek owczy, o które prosiłem. Wszystko to zjadłem przez dobę, na drugi dzień taką samą ucztę sobie wyprawilem, potem coraz mniej jadłem, aż nareszcie głód ten ustał i ja nie tylko że żyłem, ale do sił i zdrowia po wybornych grematkach i bulionach widocznie przychodzić zacząłem. Wprawdzie Stankiewicz, co dzień mnie odwiedzający, w początkach mego nieposłuszeństwa jego przepisom, puls macając i symptomata tej złożonej choroby śledząc, kiwał głową i jakoś mu było niejasno, ale ja pewno tajemnicy nie zdradziłem ani moja współpracownica, która mnie dzień i noc pielęgnowała, dając lekarstwa podług zegara.

Wyznać też tu muszę słabość z mej strony, jak to robi Jan Jakub Rousseau w swoich wyznaniach (*Confessions de Jean Jacques Rousseau*). Panna ta, którą chyba Bóg tu zesłał, żeby mi życie ocaliła, widząc cały dom o mnie się troszczący — bo każdy zamożniejszy obywatel Warszawy miał sobie za szczęście mieć tak chorego oficera, jak ja byłem, u siebie i starać się o jego wyzdrowienie, dlatego też i mnie do lazaretu wojskowego nie odesłano, a co właściwie powinno było nastąpić, ale mnie w domu jak członka rodziny leczono — przez litość jedynie przywiązała się do mnie i jak brata przez cały czas choroby pilnowała; prawdziwie zdaje mi się, że litość w kobietach jest mocniejszym uczuciem nad samą miłość. Ta moja opiekunka była arcydziełem natury i dziwnie piękna, mogła mieć lat dziewiętnaście, miała kształty posągu, rysy twarzy, cera, oczy, usta, zęby, warkocz, uśmiech, świeżość oddechu, przeźroczystość skóry — wszystko zachwycające, słowem, że nigdy w życiu nie widziałem coś powabniejszego ani między istotami żyjącymi, ani między dziełami sztuki dłuta lub pędzla. Myśl ta, że Opatrzność mi wszelkie trudy i nędze wynagradzając zesłała mi w tej kobiecie anioła dobroci i miłości, przez całe życie mnie odstąpić nie chciała.

Zaraz pierwszego dnia przy całej dziewiczej skromności usiadła przy mnie na łóżku, uważając mnie nie inaczej jak

za młodzińca na śmierć skazanego, któremu wszakże jakim bądź kosztem chciała uratować życie. Dając mi mikstury, zawsze mi ręką głowę podtrzymywała, bom był bezsilny, a jeżeli mnie czasem przebudziła i zażyłem z rezygnacją lekarstwo, zawsze mnie w głowę całowała jak grzecznego dziecka, przepraszając niby tym sposobem, że mi spoczynek przerwała. Któż odgadnie serce kobiety, tę otchłań niedoleczoną? Ja, istny trup z lekko bijącym sercem, z twarzą szkaradnie oszpeconą, ona w całej potędze wdzięków kwitnącego życia. Już pierwszej nocy związały się między nami stosunki zażyłości, przyjaźni i najtkliwszej miłości; ja przynajmniej ukochałem ją jak moje prześliczne bóstwo z całą siłą młodego wieku; kończyłem właśnie rok dwudziesty piąty. Jakże się nie było w niej rozmiłować, gdy się przed żadnym dla mnie poświęceniem, najwyższym nawet jak dziewictwo, nie cofnęła. Każdą noc przepędziłem z nią w kroplistych potach i te poty zapewne mnie, przekraczającego tak zuchwale przepisy doktora, zbawiły. Pożerałem jej wdzięki; skończyło się wszakże — bo wyznać prawdę trzeba — dla wycieńczenia sił, na miłości platonicznej; i dobrze, że się tak stało, inaczej byłbym popełnił najczarniejszą niewdzięczność, zabierając dziewczycy, acz z jej wolą, to, co miała najdroższego. Powtarzam jeszcze, niech kto odgadnie tajniki serca niewiasty, która przed niedawnym czasem ofiarowaną sobie garść złota odrzuciła, a dziś się sama oddaje człowiekowi, którego nigdy nie widziała i dopiero co poznała, który z jej łaski korzystać nie może i którego najprawdopodobniej, po niedługo nastąpić mającym rozstaniu, nigdy nie ujrzy. Są to zagadnienia sercowo-psychologiczne, na które chyba filozofowie odpowiedzieć mogą. Rozpisałem się nieco przydługo nad drobnostką młodego wieku, ale trzeba wybaczyć starcom, którzy żyjąc już tylko pamiątkami, usterki młodości z rozkoszą sobie przypominają; i tyle też ich grzechu.

W trzy tygodnie przyszedłem tyle do zdrowia, że mogłem się niedaleko przechadzać, żółtaczka całkiem zginęła, skorupa z twarzy zlaźła, żadnej blizny po sobie nie zostawiając, i nabrałem kolorów, jakich przedtem nie miałem. Można sobie wystawić radość zacnych Piotrowskich z mego wyzdrowienia, ale wyobrazić sobie uniesienia mej oblubienicy, że mnie wskrzesiła, i dumę, że mnie za własne dzieło, do niej jednej należące, poczytać mogła, to niepodobna. Ach! umierałem wtenczas pod całusami! I ta jest trzecia niewiasta, której życie winienem. Odgadła ona instynktem, który w kobietach

jest ogromną potęgą i którym wiedzione, bez wyższego nawet wykształcenia, z głowami koronowanymi nawet radzić sobie umieją, odgadła, mówię, jak mnie leczyć należało, i szczęśliwie do celu trafiła.

Tymczasem rząd nasz Wielkiego Księstwa Warszawskiego ubogi, wysiliwszy się już wprzód na kampanię rosyjską, gdyż jedno- czy dwuletnie podatki z góry pobrał, nie był w stanie zaległego żołdu wojsku zapłacić, aż mu się przecie udało, w braku wszelkiego kredytu, ponieważ nieprzyjacieli coraz bardziej kraj na wszystkie strony zalewał, zaciągnąć pożyczkę aż w Sardynii, z której nam ledwie dwumiesięczny żołd w grudniu mógł zapłacić; lecz pieniądze te były z tak lichego srebra, że ich nikt brać nie chciał, tłumacząc się żartem, że są fałszywe, ponieważ król sardyński Wiktor Amadeusz na nich odbity nie miał w rzeczywistości tak czerwonego nosa, jaki był na wizerunku; aż rząd wydał odezwę do narodu, a szczególnie do miasta Warszawy, pełną najsłabszych uczuć, zachęcając wszystkich, iżby te pieniądze brano, i zaręczając, że skoro tylko okoliczności pozwolą, je wykupi i do Sardynii odeszle, i wtenczas dopiero publiczność, ulegając konieczności, pieniądze te łatwiej przyjmować zaczęła.

Zacna p. Piotrowska, wzięwszy mój żołd dwumiesięczny, który mi przysłało przez Stankiewicza, bom chory leżał, i fundusz za mego konika i futro, których już potrzebować nie mogłem i które nie wiem po co nabyli, a w drugą kieszeń zapewne swoje pieniądze, pojechała do miasta, nakupiła sukna na płaszcz, frak, surdut, kilkoro spodni, weby na cieńszą, a płótna na grubszą bieliznę, kupiwszy dalej kapelusz, szpadę, felcech, pendent, chustek czarnych na szyję, kilka par ostróg i rękawiczek, przyzwała krawca i szewca, dała to wszystko porobić i popłaciła, bieliznę cieńszą dała szyć do Św. Kazimierza, a grubszą do szwaczki blisko mieszkającej. Odebrawszy wszystko oprócz cieńszej bielizny, której dla natłoku roboty na czas wykończyć nie mogli, i rachunek z moich pieniędzy, który mi się wydawał kaducznie podejrzanym, tak niskie ceny wszystkiego w nim figurowały, i podziękowawszy obojgu jak najczulej za podjęte około mnie starania i koszt, byłem ubrany od stóp do głów jak najporządniej.

Lecz Rosjanie przy końcu stycznia 1813 już do Warszawy zbliżać się zaczęli. Posłyszawszy wtenczas, że niektórzy oficerowie, jeszcze słabi, prosili, ażeby zamiast iść na nową kampanię, do twierdzy Modlina ich odesłano, a w miejsce ich

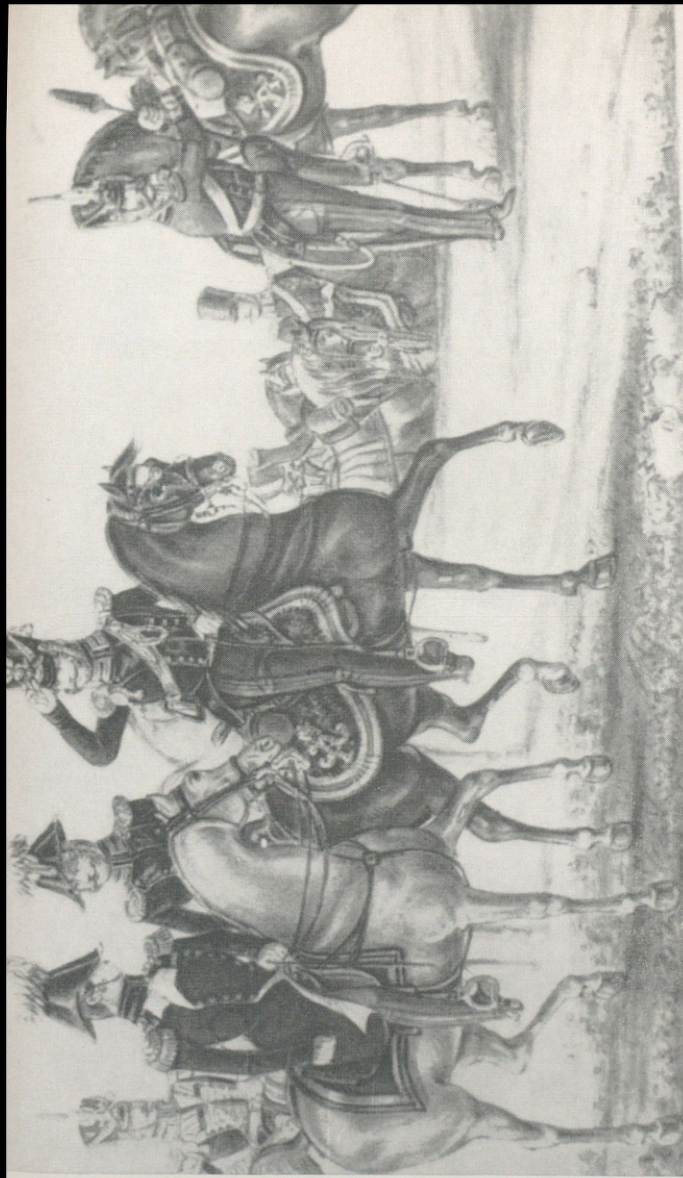
z twierdzy w zamian zdrowych wzięto, skuteczną odpowiedź otrzymali, podałem także prośbę, znajdując się w tej samej kategorii, co tamci oficerowie, ale mi odmówiono. Dorozumiałem się rychło, że albo doktor Stankiewicz, gdy go się pytano, taką dał opinię, albo, co prędzej było, podpułkownik Walewski, do którego brygady, mianowicie do baterii kapitana Chojnackiego, byłem przeznaczony, pragnąc mieć, ile można, oficerów zza Moskwy, jako porządnie doświadczonych, postarał się o to, że mi odmówiono, co nie tylko mi pochlebiało, ale nawet na dobre wyszło, bo potem Niemcy, Francję tanim kosztem zwiedziłem, gdy koledzy zamknięci w Modlinie, wytrzymawszy oblężenie, w końcu poddać się musieli.

XVI

OPUSZCZENIE WARSZAWY, A NASTĘPNIE KRAJU W ROKU 1813

Przy końcu miesiąca stycznia 1813 r., więc w miesiąc po moim do Warszawy przybyciu, trzeba ją było znowu opuszczać, Bóg wie na jak długo, a może na zawsze. Opierać się nad Wisłą, która zamarzłszy nie stanowiła wrogowi przeszkody — ze szczątkami starego żołnierza i nieco młodego, było niepodobieństwem, należało więc przed tym wylewem nieprzyjaciół ustępować. Rząd dał każdemu oficerowi po jednym koniu, pozwalając go sobie wybrać z koni skarbowych, pod rzeczy zaś oficerskie jednej brygady dany był furgon czterokonny skarbowy.

Podziękowawszy jak najserdeczniej państwu Piotrowskim za wszystko dobre, co dla mnie jak drudzy rodzice wyświadczyli, i zapewniwszy samą pytającą się, iż bieliznę od Św. Kazimierza odebrałem, co było kłamstwem, ale pozwolonym, bo nikomu oprócz mnie szkodzić nie mogącym, pożegnawszy moją ulubioną z boleścią i oczami łzawymi, wsiadłem, jeszcze słaby, na koń i udałem się na plac zbioru do mej baterii, skąd ruszyliśmy w pochód do Nadarżyna; w drodze o mało stóp w szczupłym obuwiu nie odziebiłem. Stanąwszy na rynku w Nadarżynie dla wypoczynku i zsiadłszy z koni, zbiliśmy się oficerowie w gronko i rozmawiali o tym i owym na śniegu, pod którym była woda; zimno było dokuczliwe. Wtem pędzi ktoś koczem i zatrzymując się przy nas, pyta o mnie; był to p. Piotrowski, a postrzegłszy mnie, nie wita się ze mną, ale



Artyleria konna Gwardii Królewskiej z lat 1815—1830 (mal. R. Rupniewski). Od lewej: trębacz, pułkownik w codziennym stroju i okulbaczaniu, oficer w ubiorze salonowym, oficer niższy; na dalszym planie zaprzęg artyleryjski, podoficer działowodny, wyciorzysta



Artyleria konna linii. Oficer w płaszczu (według rozkazu z 1826 r.), oficer wyższy w surducie (według rozkazów z lat 1815—1820), kanonier w ubiorze służbowym, zimowym (od 1826 r.)

zwraca się do oficerów mu nie znanych i odzywa się w te słowa: „Czy też to się godzi, co nam pan Jaszowski zrobił?” Wszyscyśmy osłupieli, a ja najbardziej, nie wiedząc, o co idzie. Mówi więc dalej: „Oto bielizna jego była oddana do szycia w pewnym klasztorze, o której moją żonę zapewnił, że ją odebrał; tymczasem żona, mając to w podejrzeniu, tam pojechała, bieliznę uszytą wykupiła i w pogoń mnie z nią wysłała. A godziż się to, ażeby, znając nas jego przyjaciółmi i zamożnymi, bez bielizny, co gorsza, bez grosza w świat się puszczał?” Byłbym się wtenczas, gdybym mógł, pod ziemię schował; przepraszałem go, tłumacząc się, że dla mnie tak wiele już zrobiwszy odjęli mi możliwość żądania nowych ofiar, że bielizny cienkiej do obozów nie potrzebuję, mając innej pod dostatkiem, a zostawiając tamtę na lepsze czasy. To wszystko nic nie pomogło, musiałem bieliznę przyjąć. Teraz nastąpiła nowa walka o przyjęcie pożyczki pieniężnej. Znowu mu przekładałem, odwołując się do świadectwa kolegów, że oficer w kampanii pieniędzy wcale nie potrzebuje, mając na kwaterach wyżywienie, a w obozie podwójną rację żywności żołnierza, że rząd francuski w czasie kampanii bynajmniej żołdu wojsku nie płaci, dostarczając mu żywności i furazu w naturze, a dopiero po kampanii wypłaca cały żołd zaległy, utracone konie lub efekta oficerskie. Tu p. Piotrowski zaczął się na serio gniewać, wypełniwszy dopiero w połowie komisorium żony, i znowu po długim targu musiałem przyjąć dzieśnię talarów, rozumi się bez żadnego obligu, na które z trudnością zezwolił, chcąc mi dać większą sumkę na drogę, która u tak majątnych ludzi mało znaczyła, a ja jej rzeczywiście potrzebować nie mogłem. Tej całej sentymentalnej przygodzie obecnym był porucznik Paszkowski (8) i wszyscy oficerowie brygady. Dług ten oddałem p. Piotrowskiemu z dziekczynieniem za powrotem z Francji w r. 1814, równie jak generałowi Chodkiewiczowi w jego pałacu w Warszawie zwróciłem pięć dukatów, który się niemało zdziwił, nie mogąc sobie mnie przypomnieć. Adiutantowi zaś Guerin, który się przy końcu r. 1812 do niewoli z generałem Pelletier, rozpoznawając obadwa za blisko jazdę nieprzyjacielską, dostał, i porucznikowi Morawskiemu, których obu, aż dotąd, nigdy nie widziałem, wsparć ich braterskich zwrócić nie mogłem.

Gdy się zastanawiam, dlaczego już tyle dobrego, bez zasługi, doświadczyłem od ludzi, odkrywam, iż moje skromne ułożenie i zasady słuszności, którymi się zawsze powodowałem, to zrzędziły. Miałem bowiem zwyczaj, że przybywszy na

kwaterę znękany, zmoczony do nitki, czemu przecież nikt nie był winien, przeprosiłem gospodarza za ten mimowolny ciężar, jaki mu robiłem, prosząc tylko o jaki kącik i pęczek słomy, bo zawsze miałem z sobą żołnierskie poślanie, a nie byłem nigdy co do wygod wykwinłym — mając zawsze w świeżej pamięci Annibala, tego wielkiego wodza Kartagineńczyków, przed którym przez czas jakiś Rzym drżał — i poprzestawałem na byle czym, nie wymagając nawet tego, co mi się z prawa należało, wiedząc się być gościem nieproszonym, a nawet niemiłym (szczególniej w państwach Rzeszy niemieckiej, gdzie Napoleona i Francuzów najwyżej nienawidzono). Ale moją metodą postępując, człowieka najbardziej szorstkiego rozbrajałem i wszędzie, nawet między Niemcami, było mi dobrze.

Szliśmy tedy w lutym przez Mszczonów, Rawę, Lutomiersk i Wartę do Kalisza, stając wszędzie po wsiach okolicznych. W Warcie stanąłem kwaterą u p. Bronikowskiej, wdowy po jenerale czy jakimś dygnitarzu, ta miała córki, z którymi wesoło długi wieczór spędziłem. Pierwszej zaraz nocy po wyjściu z Warszawy (nieładnie, że w mej powieści często w tył się wracam, ale chcę ten pamiętnik przed śmiercią skończyć, a ona niedaleko, piszę więc tak, jak mi co na myśl przyjdzie) stanęliśmy we dworze u jakiegoś obywatela, któremu kuszierz skórki owcze, u niego w wyprawie będące, odniósł, a że nam wszystkim oficerom, acz porządnie, ale lekko ubranym, zimno w pierwszym zaraz marszu dobrze dokuczyło, wpadliśmy na myśl kupić sobie po jednej skórcie i nosić ją na piersiach i żołądku na kształt pancerza, przywiązując ją tasiemkami około szyi i bioder, celem uniknięcia przeziębienia. Obywatel je nam chętnie do wyboru odstąpił sztuka po dwa złote, z którego nabycia niezmiernie wszyscyśmy się uradowali, zwłaszcza że wełna była wysoko poprawna, czysto wymyta i nabita. Jak to małymi środkami wielkim nieszczęściom zapobiec można przy darze Bożym — myśleniu!... Otóż w parę godzin po p. Piotrowskiego odejździe już mi się nader przydały jego pieniądze, inaczej nie miałbym czym skórki owczej nawet zapłacić.

Już po pierwszym marszu zmądrzeliśmy niemało oficerowie, bo nie tylko piersi i żołądek futrzanym pancerzem, ale i stopy lepiej, jak kto mógł, opatrzyliśmy, tak dobrze, że już nam wiatry, mrozy i szarugi nie tyle dokuczały.

Stanąwszy w Kaliszu, tylko cośmy się na spoczynek udali, usłyszeliśmy porządną kanonadę, a zdziwieni i razem spło-

szeni w pierwszym śnie dowiadujemy się, że to był Regnier z Sasami, nas zakrywający i wstrzymujący nieprzyjaciela, a my o jednym ani o drugim, że tak blisko nas byli, nic nie wiedzieliśmy.

Z Kalisza w marcu podróżowaliśmy przez Wieluń, Działoszyn, Krzepice do Częstochowy, a stąd przez Koziegłowy, Siewierz, Sławków i Olkusz pod Kraków, gdzie od 1 do 29 kwietnia bez przerwy staliśmy. Ja stanąłem kwaterą z Michasiem Reklewskim (już dawno nie żyje, choć o wiele młodszy ode mnie), miłym i dobrze wychowanym kolegą, we wsi Rakowicach u państwa Jagielskich czy Jakielskich pod samym Krakowem; tam miałem romans z damą wyższego polotu, w całym znaczeniu porządny. I nie trzeba się temu dziwić. Oficer w każdym kraju, zwłaszcza wówczas polski, albo się bił, albo się kochał, albo itd., bo jedno było wypadkiem jego stanu, drugie potrzebą jego serca.

Kobiety też, niech mi wybaczą, choć prawdę mówię, ułatwiają oficerowi połowę trudu i spieszą się z miłością, raz, że im obcisły mundur mocno się podoba przedstawiając żywe ciało lekko suknem pokryte, po wtóre, że z człowiekiem młodym, a z powołania walecznym mają do czynienia, na koniec, że ich Adonis, wkrótce powołany gdzie indziej, opuścić może; drą też łyka, póki się dają; przybycia więc oficera na kwatere, czy to na wsi, czy w mieście, jak kania dżdżu wyglądają. W różnych krajach, gdzie byłem, znalazłem kobiety takie same, wszędzie łatwe i głównie uczuciem żyjące; mówię to z długiego doświadczenia. Kobieta koniecznie kochać musi albo kochanka, albo małżonka, albo swe dzieci, albo wnuczęta, albo pieski, albo ptaszki, słowem serce jej musi być całe czymś zajęte; tak są stworzone i temu nie winne, wreszcie nie ma w tym żadnej zbrodni.

Idąc pod Kraków (znowu niestety wracam) przez miasteczko Nową Górę do Krzeszowic, gdzie w drodze z wielkiej góry działa spuszczać potrzeba było, ale szczęściem błoto było po kolana, i my dział nie hamowaliśmy. Po drodze mieliśmy kwatery w słynnym Czerny, w Siedlcu i w Pisarach.

Dnia 29 kwietnia 1813 opuściliśmy nasze stanowiska po wsiach, stojąc pod Krakowem. Stąd raz wysłany zostałem z oddziałem konnym po furaz do wsi Rząsek, leżącej aż za pikietami austriackimi, które nas zasłaniały. Jenerał austriacki Froelich, u któregoś się przedstawić musiał, bom chciał ich placówki przekroczyć, radził mi także udać się za jego pikiety, ponieważ w pobliżu już furazu nie było, ale do-

dał, żeby być ostrożnym, iżby nie być przez Kozaków, wszędzie się rojących, pochwyconym. Zbliżając się do Rżasek, wysłałem moje pikiety, mogące mi dać znać o zbliżającym się nieprzyjacielu, furaż dostałem i szczęśliwie go przywiozłem.

Dnia 30 kwietnia stanęliśmy na Podgórzu i następne dni cztery obozowaliśmy pod Krakusem (górami). Tu dostałem febry. Dnia 5 maja ruszyliśmy do Kossocic, a 6-go do Piasków, dokąd moja pani, mając z sobą jeszcze dwie damy, przyjechała sutym powozem mnie odwiedzić i przywiozła różne specjały, na które szefa Walewskiego i oficerów zaprosiła, a знаła mniej więcej wszystkich, bo u mnie w Rakowicach bywali i tam dobrześmy się bawili; bywały tam nawet i obiadki, na których i Walewski uczęszczał. Uraczyliśmy tedy w obozie tym, co te panie z sobą przywiozły, ale to nie było darmo, bo moja pani odjeżdżając wymogła na Walewskim, iż mi pozwolił do Krakowa z nimi pojechać, chociaż się długo wymawiał, że urlopów nie wolno nikomu do Krakowa, który Austriacy zajęli i swoich sztyldwachów także na moście od strony Polaków postawili, dawać, ale nie śmiał jakoś ładnej kobiecie odmówić i ustąpił. Jadąc przez most, te panie schowały mnie w tył i na mnie usiadły. Przenocowawszy mnie, moja pani odkrywa mi swój plan, że życzy sobie, iżbym wziął dymisję i z nią się ożenił. Zdziwiony takim projektem, na który w czasie pokoju bez namysłu byłbym przystał, przedstawiam jej, że w czasie trwającej wojny dymisji się nie bierze, bo jej nie dadzą, i chcę ją pożegnać, ponieważ już był czas do obozu wracać; ta nic słuchać nie chce; mówię wreszcie, że bez pożegnania będę zmuszony ją opuścić, bo pierwszy jest obowiązek względem ojczyzny niż względem kobiety. Gdy i to nie pomogło, wyrwałem się z jej objęć i szybko z Floriańskiej ulicy, gdzie mieszkała, idąc do mostu przyszedłem, a powiedziawszy sztyldwachowi, że z urlopu wracam do obozu do Polaków, most przebiegłem prawie, bojąc się być zatrzymanym, nająłem potem furmankę i do Piasków powróciłem.

Następnych dni idąc przez Swoszowice, Kalwarię i Kęty, przekroczyliśmy dnia 12 maja granicę austriacką i weszliśmy do Moraw, albowiem Prusacy, oświadczwszy się już przeciw Francji, odjęli nam możliwość dostania się przez ich Szląsk do Saksonii. Musieliśmy przeto robić koło przez Szląsk austriacki, Morawy i Czechy, ażeby się dostać do Francuzów, na co pewno Austriacy darmo nie pozwolili, ale za okupem, i to

z takimi ostrożnościami, iż nasz korpusik, który się pod Krawem jako tako był zreorganizował, w pięciu oddzielnych kolumnach, jedna za drugą iść musiał w odstępach jednodniowych, mając broń piechoty wiezioną w skrzyniach, a działa zaprzężone końmi włościan; słowem, byliśmy rozbrojeni, tak nas się w własnym kraju bano, ale nie było innej rady, gdy Austriacy pod tym tylko warunkiem przejścia przez ich kraje pozwalali. Książę Józef był przy trzeciej jako środkowej kolumnie.

Szliśmy tedy 14 maja i dni następnych przez Białą, Bielic do Skoczowa, gdzie nam ludzie z końmi zbiegać zaczęli, dalej do Frydek, gdzie się Szląsk austriacki kończy; tu staliśmy dni parę, chodząc na wino do miasteczka Mistek, już w Morawii leżącego, gdzie się dobrze bawiliśmy. Dnia 25 maja marsz pod Freiberg w Morawach, potem przez Neutischau, Alttitschein, gdzie stary zamek na górze, przez Hranicę, Drahotusze, Lipnik do miasta Prerau, gdzieśmy 28 maja stanęli i gdzie kupiłem szachy, które mi adiutant major Werpechowski pod Lipskiem utracił. Prerau leży o mil 2 od Ołomuńca, o 8 mil od Brünn, a 22 od Wiednia. Dnia 30 maja marsz do Kojetin i Iwanowic, gdzieśmy naszego zbiega, grenadiera z bronią ujętego, wskutek sądu wojennego, na którym byłem członkiem, dla powstrzymania zbiegostwa, rozstrzelali. Dalej 1 czerwca marsz do Sławkowa (Austerlitz), miejsca znamienitego odniesionym przez Napoleona nad Austriakami i ich sprzymierzeńcami Rosjanami w dniu 2 grudnia 1805 zwycięstwem. Ślady tej bitwy na budynkach od wystrzałów działowych jeszcze były widzialne. Tu wieść nas doszła, że cesarz posuwając się naprzód stanął główną kwaterą w Wroclawiu.

Dnia 3 czerwca marsz do Rajgroda; tuśmy z winy naszego kwatermistrza potężny kawał drogi w tył robić musieli; drzewami drogi cesarskie sadzone. Dalej szliśmy do Eibenschitz ponad rzeką między ogromnymi skałami i przepaściami, przez Namiest, Trebitsch, Iglau do Deutschbrod, gdzie stojąc w Heiligenkreutz mieliśmy kręgle, łazienki; tu zrobiłem znajomość z porucznikiem piechoty Daszewskim (14). Potem 11-go marsz do Jenikau, gdzie doszła nas wiadomość o stoczonych przez cesarza bitwach w kwietniu i maju, aleśmy im wierzyć nie mogli, gdyż pochodziły z podejrzanых źródeł; 12-go przez Czaslau pod Kolin, pamiętny klęską Fryderyka II w dniu 18 czerwca r. 1757. Dnia 12-go wkroczyliśmy z Moraw do Czech; oba ludy pobratymcze są miłe w pożyciu; następnego

dnia marsz do Podiebrad, gdzieśmy łodzią pływali po Elbie dla rozrywki; 15-go do Nimburga, gdzie nas doszła wiadomość o zawieszeniu broni od 4 czerwca do 24 lipca; linią demarkacyjną była rzeka Odra. Dnia 16 czerwca marsz przez Bunzlau do Weisswasser, w drodze mieliśmy skały, opoki i zamki starożytne nad Izerą. Dalej był pochód przez Gabel do Zittau, miasteczka należącego już do Saksonii; w tymże dniu 18 czerwca przekroczyliśmy granicę austriacko-saską.* Stanęliśmy we wsi Herwirsdorf tuż pod Zittau, podzielonej na Ober- i Unterherwirsdorf i rozłożonej po obu stronach nad ogromnym romantycznym wąwozem. Wieś wielka, posiadająca rozmaite fabryki i rzemieślników, tak jak w mieście.

Dostałem kwaterę u zegarmistrza Roher, młodego kawalera, który miał ładną bibliotekę, grał na gitarze hiszpańskiej, a na pamiątkę zamienił swój zegarek, który nosił, z moim. Sasi byli do nas w ogóle przywiązani, tamtejszy Richter darował mi bardzo dobrą mapę Niemiec. Ponieważ mój gospodarz był człowiekiem wesołym i przyjemnym, robiłem z nim, stojąc tam aż do połowy sierpnia, wycieczki w okolice dla oglądania szanów i pól bitew z wojny siedmioletniej, której dzieje, będąc czytany i z podania wiedząc, dobrze umiał opowiadać.

Pewnego dnia udałem się z porucznikiem Siekierzyńskim (już nie żyje) w drogę, o dobrych parę godzin odległości dla obejrzenia starożytnego zamczyska Oybin, o historii którego aż trzy różne od siebie książki wyszły; leżał on na wysokiej skale, kształt uciętego stożka mającej, wpośród najpiękniejszej doliny, okolonej także skałami. W samej istocie skała ta odosobniona była dziwem natury; weszliśmy na wierzch krętymi wschodami w opoce kutymi, kościół na górze i studnia także w skale były wykute, obejrzelśmy rozwaliny zamku, a zapisawszy się w grubą księgę, którą nam podał dozorca tych ruin i w której między innymi stały nazwiska lub imiona różnych monarchów i książąt dawniej go zwiedzających, puściliśmy się ścieżką ledwie widzialną obejść go naokoło, ażeby mieć wyobrażenie zewnętrznego jego u góry obwodu, zwłaszcza że dozorca ciekawość naszą zaostrzył, iż Jungfer-

* Trasa marszu od 14 maja do 18 czerwca 1813 r., na terenie Cesarstwa Austriackiego, biegła zatem przez następujące miejscowości, w dzisiejszym brzmieniu ich nazw: Bielsko-Biała, Skoczów, Frydek-Místek, Příbor, Nový Jičín, Hranice, Lipník, Kojetín, Slavkov u Brna, Rajhrad, Ivančice, Náměšť, Třebíč, Jihlava, Havlíčkův Brod, Golčův-Jeníkov, Čáslav, Kolín, Poděbrady, Nymburg, Mladá-Boleslav, Bělá, Jablonné.

sprung (skok dziewiczy) godnym jest widzenia. Idziemy więc dobry kawał i trafiamy na naszej ścieżce na pękniętą, od pioruna może rozsadaną, skałę, z czego się czarna przepaść, dwa łokcie szerokości u góry mieć mogąca, zrobiła. Wracać się nie mieliśmy najmniejszej ochoty, przeskakiwać tę rozpadlinę zdało nam się niebezpiecznym, na koniec odważyliśmy się i ją przeskoczyli, a idąc dalej po spadzistości gołej opoki, postrzegamy zdziwieni, że ścieżka ginie, upatrujemy więc miejsca, którędy by dalej postępować można, i postrzegamy, że cokolwiek w tyle nas, ale wyżej, zaczyna się rodzaj ustępu, czyli tarasu na skale; wysokość jego nad miejscem, gdzieśmy stali, mogła najmniej pięć łokci wynosić. Niepodobieństwem było się wracać i drugi ten złowrogi Jungfersprung przeskakiwać, zwłaszcza żeśmy i tak już pieszą podróżą podczas upału byli zmęczeni, ale po dokładnym rozpoznaniu tej nowej przeprawy odważam się jak kot na czworakach na ten ustęp wdrapywać, a trzymając się delikatnych krzewinek słabe życie na tej skale prowadzących i opierając się o chropowatości tu i owdzie wystające, wdrapałem się szczęśliwie na ten tarasik, gdzie w samej rzeczy znalazłem dosyć miejsca, po którym można było postępować, a czego wprzód dojrzeć nie można było. Ale nowy kłopot! Siekierzyński nie ma odwagi powierzać swe życie tym mdłym roślinkom, z których parę już się pode mną były wyrwały, a spadając nie można się było już nigdzie zatrzymać, aż na dole, ale bez życia. Wpadamy na koniec na myśl zbawienną — oto rzuca mi gołą szpadę, którą chwytam, dobywam mojej, wiążę dwie rękojeści chustką, spuszczam mu koniec jednej szpady, a trzymając koniec drugiej i windując go, oba leżąc na brzuchach, pomogłem, że się na górę wydostał.

Boże! Jakże tu mało brakowało, żeby kości nasze pod tym zamczyskiem spróchniały, jak tylu Polaków kości po całej kuli ziemskiej! Ale cóż było począć z dwoma szaleńcami, którym się w głowie uroiło, że tamtędy tysiące ciekawych skałało, a potem się czołgało. Naturalnie i my tego samego dopiąć chcieli, nic nie ryzykując, będąc ubogimi polskimi oficerami, tylko marne życie. I dopięliśmy, bo będąc uczciwie z śmiercią oswojeni, mało życie, jak zwykle młodzi, ceniliśmy, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę. Tak tedy, pokonywając jeszcze niemałe trudności, wróciliśmy do punktu, z którego tę podróż arcypożyteczną i arcyprzyjemną przedsięwzięliśmy, gdzie tylko koza i diabeł mogą się, będąc w dobrym humorze, dla krotochwili przechadzać, a zeznoleni wróciliśmy do

kwater, dziękując szczerze Bogu, że nas jeszcze przy życiu zachować raczył.

Zaraz za przybyciem pod Zittau polecił nam — zapewne z wyższego rozkazu — oficerom brygady szef Walewski zbierać się u niego na teorię musztry i manewrów. Zjeżdżamy się więc wszyscy do niego na naznaczony dzień i godzinę do jakiejś wsi, ciekawi, czy to warte będzie naszej drogi (15). Siadamy zatem wszyscy około wielkiego stołu w największym oczekiwaniu, bośmy go znali człowiekiem bardzo ograniczonym. Zaczyna bez żadnego wstępu, po co się odbywają manewra piechoty, jazdy i artylerii, jaka jest natura każdej broni itd., nam tłumaczyć, zwijanie i rozwijanie kolumny piechoty, kreśląc razem na stole obroty kredą, ale tak bez sensu, tak fałszywie, a zatem tak zabawnie, żeśmy się od śmiechu ledwie powstrzymać zdołali. Widząc ja minki kolegów to drwinkowate, to dwuznaczne, to kwaskowate, powstałem z powagą, gdy skończył, i oświadczyłem, że się rzecz ma inaczej. Zaczerwieniony, oddaje mi kredę i prosi, żebym to po mojemu, jak sędzę, wyłożył. Ja, który znałem taktykę na palcach to z Korpusu Kadetów, to czytając potem z zapałem różne dzieła w tym przedmiocie i napisawszy ją sobie w skróceniu z rysunkami, którą tegoż dnia przed wyjazdem odczytałem, wzięłem kredę i rzecz jasno i zwięźle wyłożyłem. Stąd naturalnie uczułem do mnie nienawiść, że go w oczach wszystkich oficerów podwładnych tak na sztych wystawił, a nam chodziło o to, żeby tej drogi tak marnie nie robić i bez potrzeby siebie i konia nie trudzić.

Szukał zatem sposobności mi szkodenia; jakoż na poligonie, tj. strzelaniu z dział do tarczy dla nauki, odzywa się do mnie w przytomności pułkownika Redel, że żołnierze moi nie trafiają, a trafiali i chybiali tak dobrze, jak innych plutonów. Ja, widząc w tym zaczepkę, chociaż to niby z grzecznym uśmiechem powiedział, a nienawidząc przez całe życie fanfaronady, udawania i chęci wywyższenia się nad wartość i zasługę, za co nawet we Francji miałem pojedynki, który w swoim miejscu opowiem — odpowiedziałem: „I cóż stąd?” Zaraz mnie nasz dowódca Redel, wziąwszy moją odpowiedź za ubliżenie sobie i karność wojskowej, aresztował na dni cztery, co było słusznie, a fanfaron Walewski — który pewno nie wiedział, że ażeby w kółko środkowe tarczy trafić, trzeba, żeby trzy punkta, mianowicie dwa koła i ogon ławety na jednym leżały poziomie, żeby sposobami praktycznymi lub okomiarem odległość tarczy od działu dokładnie oznaczyć, na

koniec żeby stosowne do odległości dać w calach i liniach działu podniesienie — dodał potem jeszcze trzy dni, co nie było słusznie, ponieważ nie miał prawa kary, którą starszy od niego nazначył, za to samo przekroczenie powiększać, ale on korzystając z tego, żem wpadł w niełaskę u dowódcy, przy jego ogniu i swoją pieczeń upiekł. Miałem tedy siedm dni do siedzenia w domu, które jak najprzyjemniej przepędziłem, mając ustawnie u siebie albo kolegów, albo pocziwych Sasów, którzy się z boku o wszystkim dowiedzieli i czas mi skrócić starali się. Pułkownik Redel, poznawszy wkrótce Walewskiego i mnie, dał mi niezadługo największy dowód swej życzliwości, jak obaczymy niżej, i takim już na zawsze względem mnie pozostał.

W owym czasie nastąpiła reorganizacja wojska na błoniach pod Zittau z braku ludzi i koni; tam zwinięto niektóre oddziały wojska, a inne dopełniono. W tej reorganizacji dostałem się do brygady szefa Uszyńskiego, z deszczu, jak to mówią, pod rynną (16). Z powodu tego wystąpienia przed księciem Józefem mam tu jeszcze małą okoliczność przytoczyć. Ponieważ oficerowie artylerii dywizji Dąbrowskiego, która mało była czynna pod Bobrujskiem, a dobrze żywiona, podostawiali za odbytą w r. 1812 kampanię ozdoby to francuskie, to polskie, a my trzech poruczników, którzyśmy w tylu całodziennych bitwach, niemniej w różnych utarczkach się znajdowali, a w pochodzie do Moskwy i dalej z cierpień i niedoli się pochorowali, nic nie dostali, bo nie miał nas kto wyżej przedstawić — nie mieliśmy bowiem ani dowódcy baterii, ani dowódcy brygady, ani naszego generała, bo generał Pelletier już się do niewoli dostał — boleśnie nam to było, i sami oficerowie z tamtej dywizji dekorowani, czując się mniej od nas zasłużonymi, czuli to nasze pokrzywdzenie i oświadczaali swoje współczucie. Postanowiłem więc o to przy zdarzonej sposobności się upomnieć. Widząc zatem po skończonej organizacji księcia Józefa jeszcze rozmawiającego, idę do niego, przedstawiam mu pokrótce nasze żądanie, dodając, iż w korpusie artylerii dzieją się w rozdawaniu ozdób krzyczące niesprawiedliwości, i prosząc zarazem, żeby raczył wyznaczyć komisję, jak jest w Austrii — a tam książę Józef wojskowo służył i znał to dobrze — która by tytuł każdej osoby do otrzymania orderu rozpoznawała. Wysłuchawszy mnie łaskawie i będąc przekonany o słuszności naszego żądania, kiedy aż jego osobę tym trudzić nie wahaliśmy się, przyrzekł, że ponieważ wkrótce ruch wojska i starcie się z nie-

przyjacielem nastąpią, pierwszej chwili swobodnej w to wej-
rzy, a tymczasem kazał być dobrej myśli. Podziękowawszy
mu, gdym do swoich powrócił, już się wszyscy o celu mego
wystąpienia do księcia od mych kolegów dowiedzieli.

XVII

PRZEGLĄD OGÓLNY KAMPANII ROKU 1813 W NIEMCZECH

Pogląd ten na kampanię 1813 r. w Niemczech wzięty jest
także z encyklopedii wyżej (str. 52) przywiedzionej. [...] *

XVIII

BITWY POD LIPSKIEM I HANAU W ROKU 1813

Tu obchodziliśmy w dniu 15 sierpnia imieniny Napole-
ona i zaraz w marsz ruszyliśmy pod Ostritz, 17-go wróciliś-
my pod Zittau, a 19-go stanęliśmy tuż przy granicy sasko-
-austriackiej pod bronią, bo przybył do nas cesarz, zsiadł z ko-
nia i chodził pomiędzy naszymi działami przeszło dwie go-
dziny, ponieważ Caulaincourt, niedaleko stamtąd, ale na zie-
mi austriackiej odbywał z dyplomatami dworów nieprzyja-
cielskich układy o pokój, gońce zatem często latały z warun-
kami do cesarza i nowymi od niego, aż Austria w końcu sta-
nowczo z Francją zerwała i wojnę jej wypowiedziała. Na-
tychmiast przekroczyliśmy granicę, zamieniliśmy nieco strza-
łów z artylerią austriacką, z Gabel ich wyparowali, a sami
miasto to zajęli, i wtenczas, z nałożonej na winiarzy kontry-
bucji, otrzymaliśmy pierwszy i ostatni raz po garncu wina
na każdego oficera. Od 20 sierpnia do 1 września staliśmy
na górach pod Gabel, na których piechota porządne posypa-
ła okopy.

Jomini, wyższy oficer sztabu cesarza, odważył się mu prze-
łożyć, że ta robota jest próżna, gdyż Austriacy z lewej stro-
ny nas obejść, tył zająć i do opuszczenia tych szanieców bez
wyrzutu zmusić mogą, co się nawet rzeczywiście potem sta-
ło. Cesarz rozgniewany jak najmocniej, że mu śmiał ktoś
przedstawienia robić, byłby go może pod sąd oddał, a może

* Opuuszczono 9 i pół strony tekstu rękopisu.

i rozstrzelać kazał, ale Jomini zdążył konia dopaść i do sprzymierzonych uciec, u których był potem głównym doradcą. Jenerał Jomini napisał dzieło o sztuce wojennej z trzynastu tomów złożone, wyborne, ale kosztowne dla mnóstwa planów do niego należących; w pierwszych trzech tomach rozbiera kampanie Fryderyka II, a w ostatnich dziesięciu kampanie Napoleona, pod tytułem: „*Traité des grandes opérations militaires*”. Posiadam je na wsi w mojej bibliotece wojskowej, która niemało ma dzieł doskonałych, piszących o strategii, taktyce, fortyfikacji, artylerii; może który potomek służący wojskowo będzie z nich korzystał, bo sztuka wojenna tyle już wydoskonalona się nie zestarzeje, oprócz wynalazków w szczegółach, jak karabiny Minié, pistolety-rewolwery, działa gwintowe itp., które w części i na nią wpłynąć mogą.

Dnia 1 września marsz przez Zittau pod Rumburg także w Czechach leżący, 2-go pozycja zmieniona, 3-go marsz pod Schluckenau, 4-go pod Neustadt w Saksonii. W tym marszu, ponieważ nieprzyjacieli był blisko, kazał pułkownik Bon Temps park cały ustawić w czworobok, jak nasi przodkowie robili z taborami, np. Żółkiewski pod Cecorą; działa rozdzieliliśmy po czterech frontach i rogach czworoboku, bośmy się lękali być obkoczonymi przez nieprzyjaciela, a nie mieliśmy z sobą zgoła żadnej piechoty ani jazdy; ale szczęściem skończyło się tylko na strachu. Dnia 5 września marsz na powrót pod Schluckenau, gdzie obchodziliśmy pierwszą rocznicę bitwy pod Mołajskiem; 6-go przez Neustadt pod Löbau, gdzie 5 korpus (Lauvistona) bił się z nieprzyjacielem; 9-go robiliśmy z całym naszym korpusem rozpoznanie, przez dzień cały manewrując i ucierając się z Rosjanami, uszliśmy więc z parę mil naprzód, a na noc wróciliśmy pod Budziszyn (Bautzen). Ześmy tego dnia kilka mil zrobili, a będąc zajęci nieprzyjacielem nie mieli czasu czym nas i koni posilić, uszykowawszy się na nocleg, rozstawiwszy straż obozową i pokrzepiwszy się, zmorzeni zasnęliśmy snem twardym, gdy niedługo strzały karabinowe całych batalionów konie nasze u dział zaprzężone i tylko do kołków obozowych w ziemię wbitych przymocowane, także drzymiące, płoszą i przestraszają tak, że wyrwawszy kołki, z działami wśród ciemnej nocy uciekły.

Miałem zawsze zwyczaj, będąc przed nieprzyjacielem, kłaść na noc poduszeczkę skórzaną, którą miałem zawsze na koniu w siedzeniu, a którą i dziś jako pamiątkę posiadam i na niej sypiam, na dzwonie koła mego pierwszego działa, na niej kłaść głowę i tak spoczywać. Otóż gdy konie ruszyły

z miejsca, głowa mi podskoczyła, bo dzwono spod niej się wymknęło; zerwałem się na równe nogi, a słysząc strzały, dorozumiałem się łatwo, że działa nasze w świat poszły. W tak okropnym położeniu, spotęgowanym jeszcze i ciemnością nocy, i zerwaniem się ze snu, i napadem nieprzyjacielskim, wszystko było równie niebezpieczne, albowiem czy stojąc, czy leżąc, czy idąc, można było być zgruchotanym przez konie z działami i wozami amunicyjnymi biegające lub też zabitym tak dobrze od swoich jak od nieprzyjaciela, bo nasza piechota prochem samym przecież nie strzelała; dodawszy do tego krzyki i wrzaski z trwogi i zamieszania pochodzące i jęki potłuczonych, będziemy mieli mały obrazek chwil piekielnych na ziemi. Zwoławszy więc moich kanonierów — a byli chłopcy rosłe i w boju walne — i zbiwszy się w gromadkę, ażeby samą bezwładnością łatwiej się oprzeć można było jakimukolwiek uderzeniu, stoimy w miejscu jak falanga macedońska, oczekując rozwiązania tej tragicznej zagadki.

Stojąc tak dosyć długo w śmiertelnych męczarniach, słyszemy nareszcie dalsze, a potem coraz bliższe głosy: „Bracia, nie strzelajcie! Nieprzyjaciela nie ma! Uspokójcie się!...” Nuż my tedy z całego gardła to samo wołać, a wtem też i rozwidniać się zaczęło. Wtenczas dopiero przekonywamy się, że nieprzyjaciela wcale nie było, że z naszych dział i wozów ani jedna na miejscu nie pozostała sztuka, bo konie były tęgie i dopasione, że nasze konie oficerskie z osiodłaniem i pistoletami przepadły. Dalejże nogi za pas za odszukaniem naszych strat! Niestety pod miastem od naszej strony były glinianki, tj. głębokie doły pozostałe po wybraniu gliny na robienie cegieł, niektóre więc czwórki tam się skierowały i powpadały, będąc przez działa i wozy pozabijane lub pogruchotane, inne uwięzły w miejscach niskich i grząskich, inne na koniec, odbiegłszy daleko, zmęczone same się zatrzymały lub też przez jaką przeszkodę, np. wywrócone działo itp., zatrzymane zostały.

Przepędziwszy tak kilka godzin na odszukaniu, wydobywaniu z glinianek i sprowadzeniu wszystkich dział i wozów do obozu, zaczęły baterie swe działa i wozy po koniach rozpoznawać i każda swoje odbierała, a ponieważ niemało ludzi z artylerii i piechoty miało połamane ręce i nogi, potrzeba ich było w tamtejszym cywilnym szpitalu umieścić, zabitych po-grzebać, a lawety i wozy potłuczone narządzić, która ostatnia czynność, mimo znacznej ilości rzemieślników zgromadzo-

nych, przez parę dni trwała. Lękaliśmy się tylko, ażeby nieprzyjaciel zaraz po tym przypadku na nas nie uderzył, co pewno byłby zrobił, gdyby się o nim dosyć wcześniej był dowiedział. Mego konia aż drugiego dnia odszukałem w piechocie, ale pistolety na zawsze przepadły.

Przyczynę tego fałszywego przypadkowego alarmu — bo może być fałszywy umyślny przez własnego dowódcę wykonany celem zapoznania z nim żołnierza — rozmaicie naznaczano: raz mówiono, że kozioł karabinów, źle po omacku ustawiony, sam się obalił i karabin jeden wystrzelił, co wzięto za wystrzał naszych straży i takiego harmideru stało się przyczyną; znowu mówiono, że żołnierz nasz pieszy, młody jeszcze rekrut lub też żołnierz z wojska austriackiego do niewoli pod Dreznem wzięty i do naszej piechoty wcielony, stojąc na czacie obozowej, czyli sztyldwachu, postrzegł nagle w nocy coś na kształt Kozaków, dał ognia i tym popłoch sprawił; mieli zaś to być nasze Krakusy, niedawno pod Krakowem z tamtejszego ludu uformowani, na chłopskich konikach, z lancami, o jednym tylko pistolecie, bo na więcej nieszczerliwych Polaków stać nie było, i szabelce, ale mający oficerów i podoficerów starych z jazdy, którzy nie mając czasu wyuczyć ich służby i obrotów, ponieważ zaraz poszli w pole, prowadzili ich tylko chustką w potrzebie, dając nią umówione znaki.

Ci Krakusy, dzielne chłopaki, świeżo pod Löbau rozbili pułk austriacki dragonów, siedząc na swoich małych chłopskich szkapkach, a jeden z ich podoficerów zdobył sztandar, chociaż przy tym interesie w głowę był cięty, i gdy mu książę Józef zaraz na polu krzyż wojskowy przypinał, już miał łeb dobrze obandażowany. Rozmaite oni płatali figle sprzymierzonym: mając bowiem oficerów i podoficerów z Galicji rodem, którzy mówili po niemiecku, tudzież z Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, którzy umieli po rosyjsku, ile razy ich podjazd, czyli patrol, spotkał się z Rosjanami, mówili po niemiecku, udając frejkurów austriackich, a w spotkaniu się z Austriakami mówili po rosyjsku, udając Kozaków, a tak poszukując jednych i drugich, całe oddziały ludzi i koni do niewoli bez rozlania kropli krwi zabierali i do obozu przyprowadzali. Raz pozwolono połowie Krakusów rozsiedlać konie i je obejrzyć, choć to noc była, czy się który nie odpuszuwa, żeby dalszemu złemu zapobiec, druga zaś połowa stała pod bronią na koniach, bo nieprzyjaciel był niedaleko, a służba podjazdowa trudna. Wtem przybiega wiadomość, że nieprzy-

jacieli się zbliża — dalejże konie żywo siodłać i na koń! Jeden tedy z Krakusów kładzie także spiesznie siodło, podcina, zakłada podogonie, kładzie trzettelkę, ale nie może, maca i znajduje rogi, bo mieli krowę przy sobie, którą im na mięso dano, więc krowę osiodłał zamiast konia, nie uważając w pośpiechu na odmienny ogon przy zakładaniu podogonia.

Dnia 13-go marsz pod Stolpen, 15-go rozpoznanie nieprzyjaciela z ogniem, 23-go marsz przez Fischbach do Bischofswerda; tu już głód na piękne do nas zawitał, 24-go na powrót do Stolpen, 25-go do Drezna, 27-go do Nossen, 28-go do Waldheim, gdzie ogromny zakład dla obłąkanych, jest to pyszny gmach na błoniu za miastem z ogrodem: 30-go do Rochlitz; 1 października do Frohburga, gdzie staliśmy kilka dni na pozycji, 6-go na powrót w nocy do Rochlitz, 8-go do Rhode, w marszu mieliśmy utarczkę, 9-go przeszliśmy Frohburg. 10-go w marszu do Borna rzucili Austriacy kilka kul do nas z gór za rzeką, po których postępowali; w tym miejscu przybiega do nas adiutant księcia Józefa, ażeby natychmiast jeden pluton dział za nim ruszył; ponieważ byłem na czele kolumny jako 1 pluton mający, gdzie był i kapitan Chojnacki, mnie więc naprędce wyznaczył. Kazawszy wsiąść ludziom na łoża i wozy, pokłusowałem za adiutantem, który mnie do szyi wawozu przyprowadził — a w nim się droga do jakiejś wsi spuszczała — kazał strzelać i pognał. Ja nie nie widząc wahałem się cokolwiek, wreszcie posłałem jedną kulę i jedną puszkę z kartaczami na próbę, które aż nadto skutkowały. Wawóz ten był długi na kilkaset kroków, prosty i ku rzece, która na dole w poprzek płynęła, się mocno rozchodził, mając ściany po obu stronach ukośnie ścięte i murawą okryte, przed rzeką były młode wierzby całą dolinę pokrywające, ale rzadko sadzone, na rzece był most, droga przezeń idąca szła w prostej linii, przechodząc dalej przez wieś po obu jej stronach foremnie rozłożoną. Otóż między tymi wierzbami leżała ukryta piechota rosyjska; zerwała się więc na nogi po pierwszych dwóch strzałach, sądząc się być odkrytą, a co nie miało miejsca, i gdyby była się nie podniosła i nie pokazała, byłbym naturalnie, nie widząc jej, strzelać zaprzestał i odszedł; ale obaczwszy taką czarną masę nieprzyjaciół, nuż dalejże do niej kartaczami, które odbijając się o ściany wawozu także szły naprzód i wszystkie w tak zbitej gromadzie ludzi skutkować mogły — a można kilka razy na minutę wypalić, nie potrzebując bynajmniej celować, jak było w tym przypadku — co trwało póty, póki wszystko za most nie uciekło,

a uciekając dalej prosto drogą ku wsi, ćwiczyłem ich strzałami rdzennymi kulowymi i granatnymi, póki wszyscy do wsi się nie dostali i między domami nie pokryli. Dawszy więc około trzydziestu strzałów kartaczowych i kilkunastu kulowych i granatnych, musiałem im niemałą wyrządzić szkodę w miejscu ściętnionym, a na me strzały odkrytym, jak sami kanoniery uważali, którzy mając taką gratkę, sami nie będąc wystawionymi na strzały nieprzyjacielskie, bez zachęcania, rozumi się, dzielnie się uwijali. Skończywszy zadanie, pokłusowałem, baterię dognałem i raport z tej czynności zdałem.

Obrażało się wprawdzie uczucie na taki czyn barbarzyński, ażeby ludzi, nie bezbronnych, zaiste, ale nam szkodzić nie mogących, zabijać — ale cóż było robić? Czy dać im ujść swobodnie, ażeby nam później szkodzili? Prawda, że piechota ta była w nader opłakanym położeniu, ależ wojna nie jest czym innym jak wielkim polowaniem na ludzi, ależ piechota ta, znajdując się w odwrotnym przypadku, także by nas nie oszczędzała, wreszcie zasadziła się na nas i gdyby tylko była mogła, byłaby nas wystrzelała jak wróbli lub wykłuła jak wiewprzy.

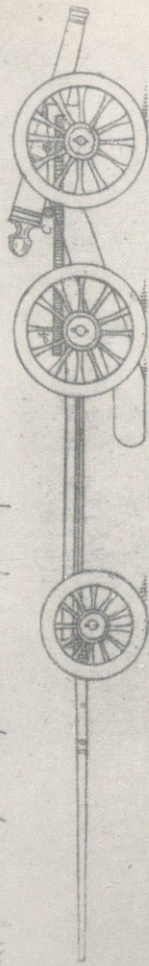
Tegoż dnia, zaraz po naszym odejściu, szła tą doliną ponad rzeką nasza Legia Nadwiślańska dla oczyszczenia z nieprzyjaciela lewego boku postępującej naszej kolumny i gdy oficerowie pułku Malczewskiego — znakomitego oficera, który w kilka dni później pod Lipskiem poległ — z nami się spotkali, opowiadali nam jako rzecz rzadką, że przed mostem między wierzbami, a za nim na drodze stosy jęgrów moskiewskich świeżo pobitych leżały, nie domyślając się wcale, że to jeden pluton naszej artylerii zdziałał, mając szczęśliwe po swojej stronie okoliczności.

Przez następujące trzy dni odbywaliśmy marsze nocami podczas ustawicznej słoty po rozmięklej ziemi, idąc za przewodnikiem bez drogi po polach, bo nam nieprzyjaciel, nierównie od nas silniejszy, naszą drogę zajął i z Francuzami połączyć się nie dozwalał. Jakkolwiek ta okoliczność nie miłą jest dla innych broni, ale dla artylerii, prowadzącej takie ciężary, wielce jest uciążliwą, gdy przyjdzie zagrzeźle sztuki z bagien przyprzężonymi końmi wyciągać, biorąc je niekiedy na przedłużnice, a jeszcze podczas ciemnej nocy i w największym milczeniu, ażeby nas nieprzyjaciel, mający rozesłane w różnych kierunkach patrole, nie odkrył; z tego powodu i ognia do fajki krzesać nie wolno było — zapalki bowiem

chemiczne i inne przyrządy do robienia ognia jeszcze nie istniały.

Dnia 14 października słyszeliśmy porządną kanonadę, a 15-go połączyliśmy się z Francuzami. Tu pułkownik Redel dał mi dowód zaufania niepospolity; miał bowiem polecenie od księcia Józefa obejrzeć most, po którym tego dnia przeszliśmy, i jeżeli potrzeba, w powietrze go wysadzić. Pułkownik Redel, wzięwszy mnie na bok, słowo w słowo mi to uczynić polecił. Tak wtedy po ciężkim marszu i wielkim umęczeniu wsiadłem na wycieńczonego i głodnego konia, wpakowałem mu ostrogi i popędziłem w tył ogromny kawał do mostu, gdzie znalazłem naszą piechotę go strzegącą. Obejrawszy go z wierzchu i ze spodu dobrze, powróciłem i doniosłem Redlowi, że most ten, będąc z kamienia ciosowego i na cement zbudowany, więcej by nas pracy kosztował w zburzeniu go niż nieprzyjaciela w postawieniu nowego z drzewa, gdyż wieś tuż przy nim leżała, a rzeka była wąska. Pułkownik Redel to samo powtórzył księciu i most nietknięty pozostał.

Nad samym wieczorem stanęliśmy w szyku bojowym pod Lipskiem, przypierając naszym prawym skrzydłem do rzeki Pleissy, a wojsko francuskie, poczynając od nas, otoczyło Lipsk w półkole, mając go za sobą. Cesarz także z Drezna przybył, gdzie porządnie Austriaków wyćwiczył; z powodu tego zwycięstwa Polacy niemało na siłach zyskali, gdy im cesarz wszystkich Polaków spomiędzy austriackich jeńców oddał dla wcielenia ich w szeregi. Warto tu wspomnieć o jednym małym wypadku. Gdy cesarz kazał sobie oficerów do niewoli pod Dreznem zabranych tamże sobie przedstawić i przed sobą po jednym przeciągać, nadszedł z kolei hrabia Ledóchowski Ignacy, który był rotmistrzem w pułku huzarów austriackich, pąsowe spodnie, a seledynowy dołman mających; że to był nadzwyczaj piękny mężczyzna, wpadł cesarzowi w oko, który go zapytał, jak się nazywa, a otrzymawszy odpowiedź, zagabnął go znowu: „I ty, będąc Polakiem, przeciw mnie służyłeś?” — „Tak jest, najjaśniejszy panie” — Cesarz, urażony cokolwiek butną może odpowiedzią, uderzył go szpicróżgą po plecach i na tym się skończyło. Tenże Ledóchowski służył potem w naszej artylerii konnej, poszedł z baterią Władysława Ostrowskiego (marszałka sejmowego w rewolucji 1830/31) do Gdańska, gdzie w r. 1814 w jednej z wybieczek nogę utracił, a jak inni mówią, w pojedynku; dotąd nie mogłem się prawdy dowiedzieć. W końcu był pułkowni-

[illegible][illegible][illegible]

kiem dyrektorem arsenału składowego, a ostatecznie jenerałem, komendantem twierdzy Modlina. Żyje dotąd, bom go niedawno w Warszawie odwiedzał. Mieszka w Opoczyńskim.

Stanęliśmy tedy dnia 16 października na pozycji i rozpoczęliśmy ogień na dwie połączone artylerie: austriacką i rosyjską, które nam za każdy nasz strzał dwa wiernie oddawały. Około godziny dziewiątej pułkownik Kurnatowski (1) zabrał nieco piechoty rosyjskiej. Mieliśmy więc przeciwko nam liczną i słynną artylerię austriacką, a że piechota i jazda nasza harce z sobą obok nas wyprawiały i trzeba było wielkiej z naszej strony ostrożności, żeby nas nie porwano, ogień przeto nasz musieliśmy dzielić, kierując głównie na piechotę lub jazdę w pobliżu nas będącą i nam zagrażającą, a rzadziej odpowiadając artylerii. Kanonada więc była przerażająca, a na nieszczęście staliśmy chwilami pod wiatrem, który wszystek dym na nas zwracał i tym sposobem przeszkadzał widzieć, co się przed nami lub z boku działo.

Około drugiej po południu stanęła, bo nam ciężko było, brygada młodej artylerii gwardii francuskiej i silny ogień rozpoczęła; już nam było o wiele lżej, bo część ognia nieprzyjacielskiego skierowała na siebie. Po niejakiś czasie, widząc na skrzydle tej brygady oficera młodziutkiego, zapewne ze szkoły wojskowej przybyłego, pierwszy raz w ogniu jak trup bladego, żal mi go się zrobiło, idę przeto do niego i zapewniam go, że Austriacy jak najgorzej strzelają, nie robiwszy nam dotąd o rana znacznej szkody, że Rosjanie jeszcze gorzej celują, że niech pewnym będzie, iż cały z tej bitwy wyjdzie, wreszcie poczęstowałem go, bo od świtu będąc w ustawicznym zatrudnieniu, jeść mi się zachciało; z trudnością przyjął mój traktament, ale potem nabrał lepszego ducha.

Około godziny trzeciej nasz kapitan Chojnacki dostał kontuzji w piersi i do ambulansu odprowadzony został, dowództwo zatem baterii spadło na mnie, jako najstarszego w stopniu po nim oficera, kapitan bowiem II klasy Stęszewski był w parku, dowiedział się o nieszczęściu naszego dowódcy, ale do nas nie przybył dla objęcia komendy. W tym czasie kula urywa piętę kanonierowi Maleszewskiemu, od wszystkich dla swego dowcipu i ustawicznych figlów w marszach lubionemu, proszą mnie więc kanonierów czterech, że chcą go odnieść do ambulansów, pozwalam im z warunkiem, żeby powracali jak najspieszniej, bo już i tak kompletu ludzi przy działach nie było i często jeden człowiek czynności za dwóch odbywać mu-

siał. Czekam więc na nich przez długie dwie godziny niecierpliwie, azali się nie pokażą, ponieważ podczas ich nieobecności znowu parę ludzi ubyło i służba przy działach coraz trudniejsza się stawała; wreszcie zwątpiwszy już o ich powrocie w mniemaniu, że albo się zabłąkali, albo umyślnie nie przyszedli, przybywają zapoceni, wśród najcieplejszego ognia, tłumacząc mi się, że ambulanse daleko w tyle stoją, a trudno im było we czterech słusznego mężczyznę, takie cierpiącego boleści, w rękę zanieść, bez odpoczywania, na miejsce. Wszystkich czterech byłbym wtenczas ucałował, ale nie było czasu. Proszę się chwilkę zastanowić nad uczuciem obowiązku, co mówię, nad heroizmem tych prostych ludzi; takich to mieliśmy żołnierzy!

Jenerał austriacki Meerfeld, który przez cały dzień silnie atakował (mając przewagę w żołnierzu co do liczby) korpus polski, ledwie 10 000 ludzi wynoszący, nad wieczorem przeszedł Pleissę, ale przez naszych do niewoli wziętym został. Biliśmy się tak aż do późnego wieczora, a nazajutrz, ponieważ Polacy w dniu 16-ym dzielnie przeciw ogromnym zastępom nieprzyjacielskim, na skrzydło prawe Francuzów działającym, się z korzyścią utrzymali, księżę Józef mianowany został przez cesarza marszałkiem Francji, lecz się tym zasmucił, mówiąc, że tam jego gwiazda zajdzie; przewidywał bowiem, że resztek Polaków tam użyją, gdzie będzie najtrudniej, i że go tam koniec spotka — i tak się stało, jak przepowiedział. W tym dniu smutnej pamięci straciliśmy kilku ludzi i kilka koni, lecz na drugi dzień pokazało się aż kilkanaście koni rannych przez kulki karabinowe, które w każdej większej bitwie, ze sztuców posyłane, artylerię sięgają, a ponieważ przy warczeniu i gwizdaniu naszych grubych pocisków świst ich, gdy blisko przelatują, także dobrze sływać, tylko ostry i króciutki, nazwaliśmy je, artylerzyści, chrabąszczami.

Dnia 17-go bitwy nie było, ponieważ cesarz prowadził układy, a obie strony do nowej przygotowywały się walki. W tym dniu wzrosły siły nieprzyjacielskie przez nadciągnięcie Bernadottego i Beningsena. Dnia 18-go od rana bój się rozpoczął. Nasza bateria, otrzymawszy nieco amunicji, była w odwodzie, inne zaś, które w dniu 16-ym nie były czynne, teraz z kolei poszły na pozycję; jedna z nich, 12-funtowa, obok nas przechodziła. Był w niej porucznik Kędrzyński, miły człowiek; lubiłem go bardzo, bo wybornie grał w szachy i był nader towarzyski; żegnając się z nim, szczerze modły posyłałem za nim do Boga, żeby go ocalić raczył; jakoż z tego pie-

kielnego ognia wyszedł cały, lecz bateria, w której służył, po kilkogodzinnej bitwie tak była rozbita, że ledwie powróciła, będąc bowiem wystawiona na trzykroć mocniejszy ogień musiała ulec przewadze, a mając pobite ludzie i konie, niemniej potłuczone łoża i wozy, ledwie się przywlokła, prowadząc ciężkie swe działa trzema, a czasem dwoma końmi, najczęściej na trzech kołach, zastępując czwarte przywiązany dęgiem. Tego dnia wojsko saskie i wirtemberskie przeszło zdradziecko wśród bitwy do nieprzyjaciela, lecz król saski wiernym przymierzem pozostał, za co potem był więziony, ponieważ cesarz kazał mu w Lipsku pozostać, a na kongresie wiedeńskim r. 1814, sprawy całej Europy urządzającym (a którą cesarz po swojemu był wystroił), królestwo jego porządnie obcięto. Nad wieczorem rozpoczął się odwrót Francuzów, a po północy i nasza artyleria jako niedobitki przeszła przez mosty, zaś książę Józef z piechotą i jazdą pozostał, stanowiąc tylną straż cofającej się armii.

Dnia 19-go miasto Lipsk po uporczywym oporze było przez nieprzyjaciela zdobyte, a nasz ukochany książę, wstrzymując do ostatka z garstką mężnych natarczywość mnogiego nieprzyjaciela, ranny, rzucił się z koniem w rzekę Pleissę — bo most był za wcześnie przez Francuzów wysadzony — tę przepłynął, a chcąc także Elsterę wpław przebyć, przez zwinięcie się konia, utonął. Śmierć księcia długo przed nami tajono, ale głuche szepty tę wiadomość smutną prędko rozniosły. I tutaj szczęśliwie nasze działa uprowadziliśmy, ale śmierć naszego ubóstwianego wodza sroższą nas przejmowała boleścią niż wszelkie klęski, jakie na cesarza i na nas razem spadły.

Wynurzając swe żale, mówili jedni; „Co się z nami stanie? Po co iść do Francji, trzymać z cesarzem, gdy nas już mało jest, a cesarz sam sobie poradzić nie może? Wreszcie wyszła nas się chcąc pozbyć, jak tamtych legionistów naszych wysłali do St. Domingo, do jakiej zamorskiej osady dla walczenia z zabójczymi chorobami i dzikimi ludźmi. Jedyna nasza nadzieja i opieka — książę — już nie żyje, któż za nami słowo przemówi? Czyż nie lepiej oddać się w niewolę i powrócić do kraju, który i tak cały jest w rękę nieprzyjaciela, niż przy Francuzach wieszać jak jacy awanturnicy bez ziemi i bez ojczyzny?” Inni znowu, mocniejszego ducha, do których należałem, odradzali: że wierność nie na tym polega, ażeby kogoś w szczęściu, ale w niedoli nie opuszczać, a jeńcusz cesarza, ludność i bogactwa Francji mogą znowu szaleć zwycięstw na jego stronę przeważać; że naród francuski, wi-

dząc nieprzyjaciela na swojej ziemi i czując tę zniewagę, powstanie cały w masie, jak było za wielkiej rewolucji, kiedy raz trzynaście korpusów wystawił. To drugie zdanie przeważało i wszyscy oficerowie artylerii postanowiliśmy cesarza nie opuszczać i, jak pies wierny za człowiekiem, wszędzie iść za nim i losy jego dzielić. Jeden tylko nasz oficer, będąc mocno chorym, w Lipsku pozostał — był nim Kaźmierz Brodziński, późniejszy nasz pisarz znakomity — gdy z piechoty i jazdy wielu oficerów, a nawet generałów polskich w Lipsku pozostało i dobrowolnie się w niewolę oddało. Ale podoficerowie i żołnierze nasi nie wszyscy to zdanie podzielali, ponieważ w dalszych marszach, w miarę jak wieść o śmierci wodza naszego coraz większej pewności nabierała, zbiegostwo także wzmacniać się zaczęło, tak że co noc, w początkach po jednym, dwóch, dalej po kilku ludzi, nawet podoficerów z końmi znikało.

Szliśmy tedy dnia 19-go przez Lützen — pamiętne bitwą Gustawa Adolfa 5 listopada 1632 z Wallensteinem stoczoną, w której król szwedzki poległ nie bez podejrzenia, że przez zdradę swoich zginął, tudzież drugą bitwą, stoczoną przez Napoleona z Prusakami w dniu 2 maja 1813, o której mówiłem * — szliśmy przy naszych działach, wśród powszechnego popłochu, jak zwykle po wielkiej przegranej bitwie, w największym pogrążeniu smutku, 20-go przez Weissenfels nad Saalą, gdzie miałem następujący przypadek.

Ponieważ partie lekkie nieprzyjacielskie, nas wyprzedzając, wszędzie mosty niszczyły dla utrudzania nam pochodu, więc i tu go brakowało, ale naprędce zrobiono go z bali nierównej długości, kładąc po brzegach bale w poprzek zamiast poręczy, zatem przy brzegach mostu zdarzały się dziury, gdy bale były od innych krótsze. Piechota francuska przeszedłszy po nim prażyła się na prawo i na lewo z nieprzyjacielską i ogień był tak gęsty, jak gdyby się w garnku, jak mówią, gotowało; pomost zaś był tyle tylko szeroki, że jedno działo mogło iść po nim swobodnie i że oficer konno mógł przy swoim plutonie tuż obok działa postępować; w kolumnach bowiem marszowych, osobliwie na przeprawach, oficerowie nie wjeżdżają w kolumnę, żeby jej nie przedłużać, ale się przemykają, jak mogą, byle się zawsze przy swym oddziale,

* Autor podaje tu stronę rękopisu z rozdziału XVII, relacjonującego przebieg kampanii r. 1813 w Niemczech według niemieckiej encyklopedii i pominętego w niniejszej książce.

którym dowodzą, znaleźli. Jadąc tedy obok mego plutonu, słyszę za mną konia czwałem pędzącego, oglądam się i w tej samej chwili adiutant cesarza, lecący naprzód z pilnym rozkazem, przemykając się pomiędzy mną i działem, spycha mnie na bok, gdyż koń jego, widząc ciasny przesmyk przed sobą, instynktowo nie rzucił się na dział, ale na mego konia, który pchnięty silnie z boku, trafia przednią nogą w dziurę przy brzegu mostu będącą, pada i udo mi przygniata. Oba tedy wisimy nad przepaścią — bo Saala w tym miejscu, przy brzegach skalistych, ma koryto tak niskie, że patrząc z mostu woda czarno wygląda — ale kanoniery zaraz na pomoc poskoczyli, konia przytrzymali, żeby się rzucając ze mną na dół nie spadł, lecz on mając nogę w dziurze nie miał punktu oparcia i leżał bezwładny; kolumna się zaraz zatrzymała, a mnie z wielkim trudem i ostrożnością z tego położenia razem z koniem wydobyto; stłuczenie zaś było tak mocne, że przez kilka dni na lawetę mnie wsadzano, pókim nie wyzdrowiał. Koledzy i żołnierze uważali to za szczególną łaskę Opatrzności, że nie tylko z koniem do rzeki nie wpadł i nie utonął, ponieważ poprzeczne bale na brzegu mostu leżące bynajmniej nie były przytwierdzone, ale nawet z koniem żadnego kalectwa nie poniósł. Chciałem ten wypadek z mego życia kazać odmalować, gdzie pół człowieka i pół konia z lichego mostu działami i żołnierstwem zatkanego nad przepaścią stał rzeką wiszą, ale nie przyszło dotąd do tego.

Dalej 21-go szedł pochód przez Naumburg, gdzie most nad Saalą, kryty jak w Przemyślu nad Sanem, jako kosztowny, nie był zniszczony. Idąc następnie przez Buttstädt stanęliśmy 24-go pod Erfurtem, gdzie nam nasze ciężkie działa z niedostatku ludzi i koni jako w twierdzy zostawić rozkazano, a ja przy nowej tam organizacji dostałem się do baterii kapitana Piętki, dzielnego oficera i miłego w pożyciu człowieka. Odtąd zbiegostwo na piękne się rozpoczęło, ponieważ już pewną wiadomość i szczegóły śmierci księcia Józefa otrzymaliśmy. Następných dni szliśmy przez Gotha, Eisenach i 27-go stanęliśmy w Fulda, tam miałem kwaterę u wdowy broniącej wymownie odstępstwa wszystkich Niemców od Napoleona; potem maszerowaliśmy przez Schlüchtern i Gelbhausen, a 30-go stanęliśmy pod Hanau.

W poprzednich marszach, gdy się zbiegostwo wzmogło, kazał książę Sułkowski, który nami dowodził, przez adiutantów wybadać prawdziwą przyczynę tego anormalnego postępowania naszych niższych stopni, a gdy się dowiedzieli i księ-

ciu donieśli, że dlatego opuszczają szeregi, iż nierade by iść do Francji, mając w pamięci losy naszych legionów, książę oświadczył nam, iż daje najświętsze słowo, że tylko do Renu Francuzów odprowadzimy, ale tej rzeki nie przejdziemy, i kazał to swoje oświadczenie wszystkim niższym stopniom po kompaniach wszelkiej broni powtórzyć. Od tego też czasu zbiegostwo, jakby różdżką czarodziejską zaklęte, ustało; lecz cesarz, dowiedziawszy się o tym wszystkim, kazał księcia Sułkowskiego, którego znał jako swego dawniej adiutanta, do siebie przyzwać, który mu całą prawdę bez ogródki wyznał, dodając, że tym tylko sposobem mógł opuszczanie szeregów wstrzymać. Cesarz go wyłajawszy, iż śmiał z własnego popędu takie rzeczy stanowić, kazał nas, tj. oficerów polskich wszelkiej broni, zatrzymawszy wprzód w marszu naszą kolumnę, do siebie zwołać, i otoczony nami w liczbie około trzy-stu przemówił do nas z konia: że źle by Polacy zrobili, gdyby go opuścić mieli, ponieważ będąc już w małej liczbie, niewiele mu pomóc, sobie zaś przez oddalenie się wiele zaszkodzić mogą, że wojsko z senatem i posłami (którzy z nami podróżowali) naród przedstawia, chociaż ziemię nieprzyjaciel zagarnął, więc w razie swoich powodzeń byłby wolnym od zrobienia czegoś dla Polski; że fortuna jest jak kobieta, która bez słusznego powodu raz się do człowieka uśmiechnie, drugi raz skrzywi; że Francja jest bogata w ludność i kapitały; że na jego odezwę znowu krocie staną; że nam da zimowe kwatery wygodne, iżbyśmy się odżywili; że nas ubierze w polskie mundury, itp. Gdy wszyscy milczymy, po pauzie pyta nas: „Cóż postanawiacie?” Wtedy pierwszy generał Krukowiecki, który wprzód jak najmocniej był za odstępstwem, wykrzyknął: „Vive l'empereur!” Wszyscyśmy za nim ten okrzyk powtórzyli, bo Polaka pocziwą duszę łatwo jest do entuzjazmu podniecić, ale tym sposobem książę Sułkowski jak najbardziej skompromitowany został, bo się związał słowem, że Renu nie przejdzie, a tu wojsko inaczej postanowiło; wyłajany jeszcze raz od cesarza, że takiego środka, jak cesarz, nie próbował, otrzymał żadaną dymisję, z którą też zaraz odjechał i nieprzyjacielowi w niewolę się oddał, a Niemcy potem w pismach publicznych fałszywie głosili, że książę Sułkowski i Zabiello zbiegli do nieprzyjaciela; działo się to między Erfurtem a Hanau.

Ponieważ, od Lipska poczynając, spieszyliśmy do Renu, żeby go jak najprędzej przebyć, tym bardziej żeśmy z tyłu byli przez nieprzyjaciela naciskani, otóż dowódcy niektórych ta-

borów, z którymi marsze zawsze są uciążliwsze niż z piechotą lub jazdą, wyruszyli z miejsca przed świtem, ażeby się zawczasu na nowe dostać koczowisko, ponieważ w drodze najrozmaitsze przeszkody ze strony ludzi, koni, wozów i samychże przepraw, nie licząc już możliwych lekkich partii nieprzyjacielskich, mogły kolumnę niejednokrotnie zatrzymać; podobnie udało się pułkownikowi Bontemps z naszym parkiem parę marszów odbyć. 30 więc października 1813 wyruszamy w nocy z miejsca, a uszedłszy kawał drogi ku Hanau, dzień się zrobił; wtem pędzą marodery francuskie w tył przez pola, jak najwyżej przerażeni. Nie mogąc wyjść z zadziwienia, co to znaczyć miało, słyszymy wkrótce dwa strzały działowe z przodu do nas wystosowane, bo kula i granat przy naszej kolumnie padły; spłoszenie w naszym pochodzie — bośmy oprócz kozaczyzny, którą za nic ważnego nie mieliśmy, porządnego nieprzyjaciela przed sobą mieć się nie spodziewali — zaraz przez mostek obok będący cztery nasze działa (kapitan Piętka, ja i Reklewski) na rozkaz pułkownika Bontemps z traktu zjechały i stanęły w szyku odprzodkowane i nabite, bo nam i inne działa, mające jeszcze po kilka nabojęw spod Lipska pozostałych, takowych dostarczyły. Stoimy więc w pogotowiu, ale nie strzelamy, a tymczasem wszystkie inne działa i wozy zaczęły w tył nawracać, co przy czterokołowych i czterokonnych sztukach szło oporem, gdyż po obu stronach szosy były, jak zwykle, rowy głębokie; gdy to się dzieje, nadjeżdża cesarz galopem z swoim orszakiem, a dowiedziawszy się, kto nami dowodzi, nuż besztuć naszego pułkownika, że śmiał bez żadnego rozkazu i bez żadnej eskorty w marsz wychodzić, wystawiając tym sposobem cały park polski na największe niebezpieczeństwo być zabranym, zakończył wreszcie, że go każe pod sąd wojenny oddać. Zasmuciliśmy się wszyscy tym niefortunnym wypadkiem, do sądu wszakże nie przyszło, ale też wyznać trzeba, że gdyby nie te dwa wystrzały nieprzyjacielskie, które nas o niebezpieczeństwie ostrzegły, byłibyśmy mu sami z duszą i ciałem w matnię weszli. Bóg chyba wroga naszego tą myślą dla nas zbawienną natchnął, że nas tym sposobem ostrzegł, bo zresztą trudno odgadnąć, po co te wystrzały były dane, gdy po nich więcej do nas nie strzelano. Był to błąd dowódcy przedniej straży nieprzyjacielskiej, który zamiast się w lesie ukryć i czekać pory działania w zasadce, chciał nam zaimponować, okazując, że ma z sobą działa.

Dowiedzieliśmy się wkrótce potem, co to był za zamach i jak łatwo mógł stać się zgubnym dla resztek armii Napole-

ona. Oto Bawaria, połączona już traktatem z Austrią w dniu 8 października, wysłała swego generała Wrede z korpusem austriacko-bawarskim z Landshut przez Neuburg nad Dunajem, przez Nördlingen i Ansbach do Würzburga, które to miasto generał francuski Turreau w 5 000 żołnierza obsadził. Wrede, którego celem było wstrzymać pochód cesarza ku Renowi, opasał Würzburg, stojący mu zawadą na drodze, bombardował go przez 24 godzin i wziął go przez kapitulację, ale Turreau zamknął się w cytadeli. Dalej szedł Wrede przez Aschaffenburg, gdzie mu król württemberski dodał dwa pułki piechoty, pułk jazdy i nieco artylerii, do Hanau. Przesmyk ten — bo tu rzeka Kinzig wpada do Menu — starali się Francuzi jak najspieszej przebyć, lecz razem z Francuzami przybył dnia 29-go Wrede pod Hanau, gdzie się jeszcze połączyli z nim generałowie rosyjscy Płatow, Orłow-Denisow i Czerniszew ze swymi oddziałami; Hanau dostało się w ręce nieprzyjaciół z 1 200 ludzi wojska francuskiego. Wrede zajął mocną pozycję pod miastem, obsadził oba trakty w lesie, który się około miasta rozciąga, ale cieśniny pod Wertheim między Schlüchtern i Gelnhausen, gdzie także z korzyścią przejścia rzeki Kinzig bronić można było i należało, nie obsadził; i ta okoliczność nas ocaliła.

Wrede, acz osłabiony wysłaniem silnego oddziału do Frankfurtu nad Menem dla zapewnienia sobie drogi odwrotu w przypadku przegranej, miał wszelako jeszcze 40 000 ludzi, przeciw którym Francuzi nierównie więcej mogli wystawić; lecz położenie Wredemu wielkie zapewniało korzyści, wyjąwszy tę niedogodność, że prawe jego skrzydło ze środkiem szyku było tylko za pomocą drewnianego mostu na Kinzig słabo połączone.

Kolumny francuskie od godziny dziesiątej rano do piątej po południu powtarzały swe uderzenia na środek nieprzyjacielski, na koniec jazda gwardii francuskiej, uformowana szybko w trzy linie, rzuciła się na nieprzyjacielską jazdę i piechotę razem, gdy ta ostatnia od artylerii francuskiej, która ją obeszła, jednocześnie gromioną była; piechota nieprzyjacielska się pomięszała, a jazda wcale rozbita została. Pierzchnąwszy jazda, piechota to samo zrobiła, ścigana przez Francuzów. Lewe skrzydło po moście na Kinzig do Hanau uciekło, a Francuzi, będąc tuż za nim, ostrzeliwali miasto granatami. Środek rzucony był na prawe skrzydło, przy czym załamał się most drewniany, gdzie niemało nieprzyjaciół utoneło, a jeden batalion pułku austriackiego Jordis został odcięty

i do niewoli zabrany. Tym sposobem Francuzi stali się panami dwóch traktów, a prawe skrzydło nieprzyjacielskie cofnęło się drogą aschaffenburską.

Dnia 31-go rano opuścił Wrede Hanau, przez całą noc ostrzeliwane, a Francuzi go zajęli. Sprzymierzeni stanęli na pozycji na południowej stronie miasta, lecz cesarz kazał zaraz z rana na ich prawe skrzydło uderzyć, ażeby odwrót swoich zasłonić, który się już bez przeszkody na północnym brzegu rzeki Kinzig odbywał. Jeszcze sprzymierzeni szturmowali do Hanau, obsadzonego przez dwa pułki francuskie, wszelako nie mogli zdobyć mostu, bronionego przez jedną baterię francuską, i odciąć tylnej straży francuskiej, która go jeszcze nie była przeszła. Na koniec Wrede sam stanął na czele szturmujących kolumn, ażeby tę baterię zdobyć, lecz padł trafiony niebezpiecznie kulą karabinową. Na jego miejscu generał austriacki Fresnel z wściekłością atak przypuścił, nawet huzary, przeprawivszy się, pokazali się z boku Francuzom, którzy, po przejściu marszałka Mortier z tylną strażą, most spalili. Tylna straż, otoczona i nagabana w marszu przez Płatowa i Haddicka, ledwie w nocy 31-go do Frankfurtu się dostała.

Bitwa pod Hanau była morderczą, bo zginęło w niej, z obu stron razem, dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, bo też powód bicia się do upadłego z obu stron był ważny; sprzymierzeni usiłowali na przesmykach zatrzymać Francuzów póty, póki by ich masy nie nadciągnęły i Francuzów nie pochłonęły, cesarz zaś musiał choćby największymi ofiarami drogę do Renu i Francji sobie otworzyć. Byliśmy tam przez dwa dni prawie w najwyższej niespokojności, bo rzeczywiście mogliśmy wszyscy, z cesarzem nawet, albo wyginąć, albo się dostać do niewoli, gdyby wrogі zdążyli byli na czas nadciągnąć. Niemcy zarzucali Wredemu, że zamiast pod Hanau powinien był bronić przesmyku pod Wertheim, albo lepiej jeszcze bronić lewego brzegu Menu pod Frankfurtem, niemniej że niepotrzebnie osłabił się wysłaniem oddziału do Frankfurtu.

Przybywszy do Hanau, przedstawił nam się okropny widok wielu tysięcy ludzi na małej przestrzeni pobitych, niemało ich było z obu stron z krzyżami francuskimi na piersiach. Koczowaliśmy tam na polach głęboko od deszczu przesiąkniętych, bez ognia, bez słomy, szczęściem niedawno oficerowie nabyliśmy wielki namiot, który złożony w kilkoro służył nam za postanie na noc jedną, ale nazajutrz przemoknięci do kości, ponieważ nas tylko od błota chronił, ale nie od wody, nie mogąc go z tłustej, rozmięklej ziemi, do której jak gdyby

przyrósł, wydobyć, zostawiliśmy go tam jako pamiątkę naszego pobytu.

Dnia 31-go przybyliśmy do Frankfurtu, 2 listopada przeszliśmy Ren, szeroką rzekę, po moście łyżwowym pod Moguncją, miastem rozległym i mocno obwarowanym. Tu oddaliśmy niby w depozyt nasze działa, wozy, konie, słowem wszystko, co było skarbowe; pozwolono nam wszakże każdemu oficerowi wybrać sobie na własność po jednym koniu ze skarbowych, ponieważ oficer artylerii pieszej pobierał furaz na dwa konie, a wszyscy mieliśmy tylko po jednym. Ja wybrałem dobrego i ładnego wałacha wilczatego po podoficerze, na którym koniu potem kampanię we Francji odbyłem, do Polski wróciłem i byłbym go jak najdłużej posiadał, gdyby za organizacji rosyjskiej wolno było mieć różnej maści konie we froncie, a na co za czasów francuskich wcale nie zważano, byle koń był dzielny. Kwatery dostaliśmy we wsi Unterheim, gdzie spoczywaliśmy do 10 listopada. Tu otrzymałem pierwszą ozdobę, mianowicie francuską, Legii Honorowej, przyznaną mi pod dniem 28 października, zapewne na przedstawienie pułkownika Redel jako wynagrodzenie za mój czterodniowy areszt w Saksonii, a szczególnie za bitwę lipską; między innymi dostał go i mój podoficer Pełka, ale, na jego nieszczęście, zbiegł był z koniem jeszcze przed bitwą pod Hanau. Tu także trzy razy dniem częstowano nas winogronami kwaskowatymi; był to gatunek, z którego robią wina reńskie niesmaczne, ale zdrowiu służące.

Dalej idąc naprzód, mieliśmy kwatery w Winweiler, Kaiserslautern, Landstuhl, Homburg, Saarbrücken, Forbach, St. Avold, po większej części miejsca pamiętne z historii wojen rewolucji francuskiej; 21-go przybyliśmy do twierdzy Metz, stąd szliśmy przez Monslatour do Verdun, także twierdzy, gdzie zastaliśmy oficerów angielskich dawniej w niewolę zabranych; następnie podróżowaliśmy przez Sivry, Stenay, Beaumont do Sedan, słynnego z fabryk sukna, i tam aż do 17 stycznia na miejscu staliśmy.

XIX

POBYT W PARYŻU. — KAMPANIA ROKU 1814 WE FRANCJI

W Sedan odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę śp. księcia Józefa, na które z oddziałem byłem komenderowany;

w drodze — bośmy na wsiach stali — zimno było bardzo dokuczające. Kościół cały w Sedan był kirem obity i napełniony Francuzami tak, żeśmy Polacy ledwie pomieścić się mogli. Piękną mowę pogrzebową miał Franciszek Morawski — późniejszy generał (znajduje się ona w mych pismach „Chwile swobodne” w tomie I, str. 93)*. Z Sedan wędrowaliśmy w styczniu do Charleville, Mezières, Rethel i Reims, sławnego katedrą swoją, potem do Menin, Fismes, Brun, Soissons do Attichy. W lutym szliśmy do Compiègne i Saintines, gdzie staliśmy bez przerwy do 3 marca.

Tu stojąc, musiałem odbyć pojedynek — pierwszy i zapewne ostatni w moim życiu — z następującego powodu. Kazano nam podawać stany służby; otóż jeden z oficerów naszej artylerii — porucznik Modzelewski — opisał w swoim stanie służby bitwy, w których bynajmniej się nie znajdował, a że się przed ludźmi nic nie ukryje, więc oficerowie między sobą o tym mówili, naturalnie i ja wszystkiego się dowiedziałem, ale pomyślałem razem: próżny człowiek — i na tym koniec, bo nie lubiłem się nigdy w cudze sprawy mieszać. Tymczasem obywatel, u którego kwaterą z kapitanem II klasy Riedel stałem, Francuz, w wieku, bo jeszcze za Burbona u dragonów w randze oficerskiej służył, zaprosił kilku naszych oficerów na obiad, z którym dobrze wystąpił. Przy stole byliśmy wszyscy nieźle podochoceni, a gaworząc to o tym, to o owym, ponieważ było nas trzech z dekoracjami Legii Honorowej, kapitanowie: Piętka, Riedel i ja porucznik, gospodarz zwrócił mowę na nasze ozdoby, winszując nam, że w tak młodym wieku takiego dostąpiliśmy zaszczytu. Modzelewski, który żadnej ozdoby nie miał, tknięty tym, acz niesłusznie, począł swe bitwy wyliczać, między tymi i te, w których nie był, dając przez to do zrozumienia, że nie zawsze najzasłużeńszy odbiera nagrodę, ale szczęśliwszy. Ubodło mnie to do żywego, bo wziąłem to do mnie powiedziane, bo nie śmiałyby tego mówić do kapitanów, samą rangą już zasłużeńszych, niż ja byłem, a że oprócz tego byłem otwartym nieprzyjacielem wszelkiego fałszu, blichtru i obłudy, odezwałem się do niego, że podobno nie we wszystkich bitwach, które sobie w stanie służby popisał, się znajdował. Rozgniewany tym do najwyższego stopnia, zem mu przy tyłu świadkach taki zarzut zrobił,

* Rękopis w posiadaniu rodziny.

oświadcza, iż swój stan służby na kawałki podrze, ale mnie zarazem wyzywa na jutro. Nie było co przeciw temu powiedzieć, podniosłem więc rękawicę; za taką ofiarę warto przecie pojedynkę odbyć, bijąc się niby za dobrą sprawę całego korpusu oficerów. Moim sekundantem był kapitan Riedel, walny, wesoły i w moim wieku, lecz że wszedł do wojska o trzy lata wcześniej niż ja, stąd był rangą wyższy; sekundanta mego przeciwnika nie pamiętam. Modzelewski chciał się strzelać, ale sekundanci na to nie pozwolili. Biliśmy się tedy nazajutrz na pałasze, i byłem szczęśliwy po kilku złożeniach się ciąć go w rękę blisko łokcia; krew zaraz plusnęła, bośmy rękawy od koszul mieli pozawijane aż za łokcie; natychmiast sekundanci przyskoczyli, oświadczając, iż dosyć tego, i wymagając, iżbyśmy sobie ręce na zgodę podali. Tak się rzecz skończyła, a z Modzelewskiego miałem potem przychylnego przyjaciela.

W marcu szliśmy przez Senlis, St. Denis do Vincennes, zamku, w którego fosie książe d'Enghien w nocy dnia 20 marca 1804 został rozstrzelany; tu staliśmy we wsi Fontenay aż do 16 marca, robiąc ładunki do ręcznej broni. Ile razy nie miałem służby, przesiedziałem dzień cały w Paryżu, zwiedzając jego osobliwości. Żołnierze nasi byli nowo ubrani od stóp do głów i opatrzeni we wszystko, co na kampanię potrzeba, oprócz kociołków obozowych, których nam jeszcze nie dostarczono; posłał mnie więc do Paryża kapitan Piętka, ażeby je wykołatać i nie powracać do baterii aż z kociołkami. Latam, gdzie potrzeba, ale mnie zwłóczą od dnia do dnia, że jeszcze nie wykończone. Dnia więc 16 marca, w którym je miałem wieczorem odebrać, idę na obiad, gdzieśmy się Polacy zbierali, mając tylko ostatnie pięć franków przy sobie, i dowiaduję się od przybyłego tamże późno na obiad oficera, z wielkim moim zdziwieniem, że bateria, w której służyłem, odebrała dziś rano na Polu Marsowym działa zaprzężone z całym taborem i przyborem do kampanii potrzebnym i w marsz się udała.

Nie chciałem temu wierzyć, bo jakże bateria mogła odejść, nie dawszy znać swemu oficerowi, który w Paryżu nie za urlopem, ale za rozkazem bawił, zwłaszcza że numer jego kwatery dowódcy był wiadomy, i łatwo było, będąc w Paryżu, pchnąć do mnie konnego żołnierza i mnie z mojej wysyłki ściągnąć. Ruszam więc do sztabu artylerii aż za Sekwaną dorożką kawał potężny, ale mnie jeszcze stać było na dorożkę, tymczasem wieczór się zrobił i biura były pozamykane.

Wychodzę stamtąd zmartwiony i napotykam jakiegoś cywilnego, słusznego mężczyznę, pytam go się więc, czyby mi nie wskazał kogo, od którego mógłbym się dowiedzieć, czy jaka bateria polska dziś wyruszyła z Paryża i dokąd się udała. Odpowiada mi zdziwionemu, że jest szefem sztabu artylerii, bierze mnie na górę, otwiera akta i mówi, że bateria polska dowództwa kapitana Piętki dziś o siódmej rano wyszła w marsz z Pola Marsowego do Claie. Podziękowałem mu, prosząc, ażeby kociołki, za którymi tam siedziałem, były nadesłane, a wybiegłszy na ulicę, chciałem do Claie nająć dorożkę, a że to było w nocy, żądano ode mnie ceny bajecznej; skłopotany biegnę na kwaterę, zabieram trochę rupieci, które na kilka dni pobytu w Paryżu z sobą zabrałem, pożegnawszy gospodarzy, puszczam się sam jeden, piechotą, w kraju obcym i podczas wojny w drogę. Na moje szczęście noc była pogodna, pokrzepiwszy się więc parę razy winem i przekąską, bo jeszcze mi kilkanaście sous od zapłaconej dorożki pozostało, przybyłem o świcie do Claie, do parku naszego, gdzie już na koń wsiadano do odbycia drugiego marszu. Zameldowałem się kapitanowi Piętce, który mnie przeproszał, iż dla wielkiego pospiechu, z jakim rozkaz otrzymał i z Paryża wyruszył, wypadło mu zupełnie z pamięci, żeby mnie o tym, co z baterią zaszło, uwiadomić i mnie ściągnąć. Wsiadłszy tedy na koń — ponieważ konie moje i rzeczy znalazły się w porządku przy baterii pod opieką ordynansa, na których najlepszych ludzi z frontu wybieraliśmy, bo to wolno było — maszerowaliśmy w dniach następnych przez Meaux, La Ferté-sous-Jouarre, Montmirail, Sézanne pod Arcis-sur-Aube, gdzie w dniu 21 marca stanęliśmy i z Francuzami się połączyli.

Teraz poprzedzi, jak zwykle, pogląd ogólny na operacje tej kampanii.

[...] *

Wracam znowu do mojego dzienniczka.

Baterii polskich na tę kampanię poszło tylko dwie; nasza piesza i jedna konna, zapewne z braku ludzi, chociaż i tak cały nasz pociąg (train) składał się z samych Bretończyków, którzy, nad morzem położeni, umieli się obchodzić lepiej z wodą niż z koniem; a że to byli młodziutcy popisowi, więc nasi kanonierzy wszystko za nich robili i wszystkiego ich nau-

* Opuszczono ustęp zawierający 9 stron rękopisu.

czali; konie zaś mieliśmy z ofiar paryskich, więc po największej części stare anglezowane ogiery z karet. Proszę sobie tedy wystawić nasze śmieszne położenie, gdy ta młodzież bretońska, to tęskniąc za domem, to nie mogąc podołać trudom, najczęściej płakała z biedy, a ogiery, nie chcąc czy nie mogąc dział ciągnąć, gryzły się i kwiczały; musieliśmy przeto, jako stare już, bo po dwóch kampaniach doświadczone wiarusy, i Bretończykom, i ogierom radzić, ażeby szło jako tako, chociaż to nie było naszym obowiązkiem, ponieważ według organizacji francuskiej pociąg (oddzielny korpus armii) prowadzi działa, amunicję itd., a artyleria usługuje wtenczas dopiero działa, gdy je pociąg na wskazane przez nią miejsce przyprowadzi; myśmy zaś wtenczas byli na stopie francuskiej i często nam się widzieć zdarzało, że oficerowie i żołnierze artylerii francuskiej poszli naprzód, nie troszcząc się bynajmniej o to, że działa ich na przeprawach grzęzły i pociąg się z nimi biedził, gdyśmy naszym działom jak najskuteczniejszą pomoc wszędzie dawali, znając z teorii i praktyki rozmaite siłoczyny (*manoeuvres de force*) w złych okolicznościach używane, i nigdyśmy dział w marszach, jako swoich sztabularów, nie odstępowali.

Idąc na tę kampanię, byliśmy pewni, że przy tak szczupłych siłach francuskich, a potężnych wroga, przynajmniej połowa nas w niej wyginie; ale jak mylne są sądy człowieka! Kampania trwała zbyt krótko i nikomu z naszych (Polaków) włos z głowy nawet nie spadł.

Przyszedłszy pod Arcis-sur-Aube rano dnia 21 marca, przyłączeni zaraz zostaliśmy do starej gwardii artylerii pieszej, co było dla nas wielkim zaszczytem. Pułkownik tejże, słusznego wzrostu mężczyzna, w wysokiej niedźwiedziej czapce, alias kołpaku, przyjął nas, przy przedstawieniu mu się, po koleżeńsku, częstując nas wszystkich oficerów koniakiem z swojej, którą przynieść kazał, manierki i dając każdemu na przekąskę po dwa jajka zimne na twardo ugotowane, które z kieszeni spod płaszcza dobywał; ta prostota życia, ten duch koleżeński przy takim stopniu i niepospolitej nauce, o czym później dowiedzieliśmy się, mocno nas ujęły.

Stanąwszy nad rzeką przy moście, widzimy nawał Francuzów przez mosty żywo idących i dalej na przodzie w linię bojową się rozwijających, a przez nasz most pędziła kłusem jazda tak lekka jak pancerna i gdzieś tam za rzeką znikająca; razem postrzegamy za rzeką rozległe pasmo gór okryte, ile oko zasięgnąć mogło, nieprzyjacielem. Pomyśleliśmy zatem,

że będzie nam w tym dniu gorąco; a mieliśmy markietankę, która za nami baryłkę wódki jeszcze nietkniętą woziła, bo tak jej nakazał nasz dowódca Piętko, tym bardziej że wódki przy takim napływie wojska, już od paru dni, za pieniądze dostać nie można było; otóż w tej fatalnej okoliczności kazał kapitan wszystkim niższym stopniom dać po miarce wódki dla pokrzepienia sił ciała i ducha, i zaraz cała nasza artyleria ruszyła za most, a było jej kilkanaście baterii po sześć dział, między innymi były przybyłe z Hiszpanii mułami zaprzężone, mające oficerów i żołnierzy tak od słońca spalonych, że cera ich twarzy była ciemnooliwkowa. Markotno nam było, że cesarz nieprzyjaciół do bitwy wyzywał, mając daleko mniejsze siły, rzekę za sobą i pozycję panowaną przez nieprzyjacielską. Wysunęło się kilka naszych baterii naprzód i rozpoczęliśmy ogień, na który nieprzyjaciół sowicie, ale bez skutku odpowiadał, co trwało przez parę godzin. Cesarz, widząc, że wróg tchórzy i z gór się nie spuszcza celem natarcia na nas, mając zwłaszcza wszelkie po swojej stronie korzyści, rozkazał wojsku przejść rzekę na powrót, spodziewając się zapewne, że gdy połowa przejdzie, na pozostałą nieprzyjaciół uderzy, ale i do tego nie przyszło. Widać stąd, że w innym miejscu w tym dniu nad rzeką Aube walczono, ale tam artyleria francuska, przy której nasza bateria była, udziału nie miała, stanowiąc zapewne, jako stara gwardia, rezerwę.

Dnia 22 marca marsz do Vitry, 23-go do St. Dizier, 24-go pod Vassy i Doulevant, 25-go na pozycji, 26-go na powrót pod St. Dizier, 27-go na pozycji, 28-go przez Vassy pod Arsonval, 29-go do ..., * 30-go do Troyes, gdzie się Francuzi z Austriakami już dobrze byli przetrzepali, 31-go do Villeneuve, 1 kwietnia przez Sens, 2-go przez Pont-sur-Yonne, 3-go do Fontainebleau i do Pont-Thierry, 4-go spoczynek, 5-go na powrót do Fontainebleau i stanowisko w miejscu. Tu rozpacz nasza doszła do swego zenitu i nastąpiło srogie rozczarowanie, gdyśmy się dowiedzieli, że Paryż w dniu 31 marca w 100 000 nieprzyjaciół był zajęty i że cesarz został pozbawiony tronu. Gdyśmy w osobach księcia Józefa, a potem cesarza Napoleona jedynych naszych opiekunów utracili, nie zostawało jak poddać się losowi i czekać cierpliwie, co przyszość względem nas postanowi.

Jest mniemanie, że cesarz w tej kampanii najwięcej talen-

* Luka w rękopisie.

tu okazał; otrzymawszy bowiem posiłki z Hiszpanii, potrafił tak manewrować, że nieprzyjaciół, zbliżających się drogami dośrodkowymi do Paryża, kilka razy pobił, przechodząc szybko z jednego traktu na drugi, po których szły ich kolumny, odpędził tak Blüchera, jak Schwarzenberga, odciął ich potem od Renu, gdy tymczasem powstania skutecznie już działać zaczęły, i sprzymierzeni byli w krytycznym położeniu, gdy ich tajni agenci do Paryża wysłani i reprezentanci narodu do obozu sprzymierzonych przybyli jednoznacznie zapewniali, że Paryż niechętnie dźwiga jarzmo Napoleona i że słabo będzie broniony; postanowili zatem, zostawiwszy za sobą maskę, pójść na Paryż, do którego, po małym oporze w dniu 30 marca, nazajutrz weszli. Maria Ludwika i Lucjan źle zrobili, że wcześniej wyjechali, bo samym odjazdem dowiedli, że uważali sprawę za straconą. Uczniowie szkoły wojskowej, usługując działa, bili się dobrze pod kierunkiem naszego generała Sokolnickiego, który się z ochoty do nich przyłączył, ale cóż, kiedy im niewłaściwą przysłano amunicję, której jako niekalibrowej użyć nie mogli; czy to była zdrada, czy przypadek, trudno rozstrzygnąć.

Przybywszy do Fontainebleau i dowiedziawszy się o wszystkim, chciało wojsko z nim będące koniecznie uderzyć na nieprzyjaciela w samym Paryżu, ale cesarz nakłaniany to przez Talleyranda, to przez marszałków, że Francja już syta wojen, że potraciwszy kwiat całej ludności i nadzieję rodzin, wzdycha do pokoju, myśl tę zaniechał; runął więc kolos, który przez tyle lat swoją wielkością świat zadziwiał.

Dnia 11 kwietnia marsz do Pont-Thierry, 13-go do St. Denis, gdzie 16-go odbył w. ks. Konstanty, cesarzewicz rosyjski, brat cara, przegląd naszego polskiego korpusiku. Po obrotach, niby egzaminie, defilowaliśmy przed nim, był z nas kontent, chociaż nie mieliśmy ani świetnych mundurów, ani rosyjskiej sztywności w poruszeniach, ale widział w nas ducha rycerskiego, żywość i pewność w obrotach i niemało ozdób Legii Honorowej, po czym wielki książę przyjął śniadanie u generała Wincentego Krasińskiego, teraźniejszego naszego dowódcy.

W St. Denis stałem kwaterą z Michasiem Reklewskim w pałacu pana Luce. Był to człowiek średniego wieku, dosyć majątny, ponieważ oprócz pałacu z wielkim ogrodem w St. Denis miał jeszcze piękny dom w Paryżu, gdzie żona mieszkała, przyjeżdżając co dzień kabrioletem go odwiedzać jako chorego na podagrę. On, mając wiele szacunku dla Polaków za

ich wierność i waleczność, widząc mnie młodym, skromnym i ozdobionym, powziął ku mnie przychyłność, dawał mi prawdziwie ojcowskie rady, żebym co dzień do Paryża jeździł i osobiście tego miasta oglądał, rozповідаjąc mi, co każdego dnia było godnym widzenia, ostrzegłszy mnie z początku moich wycieczek, żebym w tym mieście unikał jak ognia gier i kobiet ciągnących do siebie nierozważną młodzież; nareszcie, żebym nazajutrz zdawał mu sprawę z tego, com wczoraj widział. Badałem więc wszystko gruntownie i z uwagą, żebym mu mógł potem opowiedzieć. Słuchał mnie zawsze cierpliwie, poprawiał usterki co do języka i co do szczegółów moich oględzin, powtarzając nieraz, że teraz jest pora widzenia wszystkiego, co Włochy, Hiszpania, Austria, Prusy miały w swoich stolicach najrzadszego, a co wszystko było zabrane i do Paryża przewiezione; albowiem, mówił, wszystkie te grabieże właścicielom zwrócone będą; i tak się potem rzeczywiście stało.

Na śniadanie dawano nam, na każdego z nas dwóch oficerów, po butelce wina Chambertin, które nam bardzo smakowało, gęste było od starości jak ulepek, ale wypiwszy po lampce, mieliśmy dosyć; przy obiedzie, na który kazał powracać wieczorem, wyjąwszy gdy byłem na teatrze, znowu po pełnej butelce tego wina stawiano; słowem przez dwa miesiące takiego życia do takich sił przyszedłem, jakich ani przedtem, ani potem już nie miałem, bo w ogrodzie pręt tak wysoko położony, jakiego wzrostu byłem, przeskakiwałem. Skakanie zawsze lubiłem; ono to spowodowało mój romans pod Krakowem (str. 99), bo dama ta, widząc jak na dziedzińcu przez becзки od wapna to pieszo, to konno skakałem, mnie polubiła.

Korzystając więc z dobroci p. Luce i mając czas zupełnie wolny, kupiłem książeczkę: przewodnika (le conducteur à Paris) i plan Paryża składany i zwiedzałem troskliwie: kościoły, pałace Tuilleries, Louvre, Ciała Prawodawczego, Luksemburski, Legii Honorowej, Palais Royal itd., galerie malowideł i rzeźb w Louvrze i inne, gabinety, muzea, teatry, biblioteki, mosty, Hotel Inwalidów, ogród roślin, obserwatorium, katakumby, muzeum artylerii, konserwatorium sztuk i rzemiosł, słowem widząc wszystko po kilka razy, tak dobrze Paryż z jego gmachami i ulicami poznałem, jak dzisiaj nie znam lepiej Warszawy, w której od lat kilkunastu mieszkam i dawniej przemieszczywałem.

Dnia 23 kwietnia car Aleksander przeglądał nas pod St. De-

nis, kazał w. ks. Konstantemu robić z nami obroty, a po defiladzie, zwoławszy do siebie wszystkich oficerów, rzekł: że z Polaków, dawnych jego nieprzyjaciół, jest mocno zadowolony; że jak cały świat podziwia ich waleczność i wierność, on je równie wysoko ceni; że ich bierze pod swoją opiekę, że z honorami wojennymi do ojczyzny powrócą i że tyle ich uszczęśliwi, ile będzie w jego mocy. Potem car z bratem przyjął śniadanie u generała Krasieńskiego, a my, upadłszy wprzód tak nisko na duchu, zbudzeni teraz tak pochlebnymi wyrazami cara do nowego życia, najradośniejszej nadziei zaczęliśmy się oddawać.

Dnia 14 maja stara gwardia francuska pobiła się z Austriakami o laury, które ci drudzy na kaszkietach nosili, padło z obu stron do 40 ludzi, a wkrótce gwardia narodowa podobną miała rozprawę z Rosjanami.

Co mi tylko czasu zbywało rano i wieczór, czytałem wciąż — bo przecież bez pożytecznego zatrudnienia żyć niepodobna — robiąc wypisy, a klasyków francuskich skupowałem po bulwarach u antykwariuszów za tanie pieniądze, czym początek mojej biblioteki zrobiłem. Ponieważ nam część naszych zaległości, jako to: żołdu, utraty koni, utraty rzeczy, wypłacano, zachowując drugą część na później, iżbyśmy, dostawszy wszystko do ręki, nie roztrwonili w tym mieście ponętnym, obstałowałem u siodlarza w Palais Royal rząd węgierski na konia za sto kilkadziesiąt franków, w którym potem mój Wilczek pysznie wyglądał, bo robota i skóra w tych wiszących naokoło rzemykach i brzązy były doskonałe.

W kawiarni „Café de Régence”, gdzie jest klub miłośników gry szachów, z całej Europy tam się szukających, kupiłem dzieło o grze szachów tam wyszłe, pod tytułem „Traité du jeu des échecs”, a którego w handlu wówczas nie było, ponieważ ten tylko dom posiadał przywilej go sprzedawania; mam go dotąd, a tak jest dobrze napisane, że dwie osoby, którym je po kolei pożyczałem, je sobie od deski do deski przepisały, chociaż to jest spory tom w ósemce o 440 stronicach, ale do przepisywania nader mozolny, jako składający się głównie z głosek i cyfer, w których tak łatwo omyłkę popełnić można. Prześliczna bo też to jest gra w szachy, w kombinacjach prawie niewyczerpana, a uwagę jak najwyżej zajmująca. Cóż bym ja nieszczęśliwy począł w moim wieku z wzrokiem do czytania przy świetle mocno osłabionym, a wieczory zimowe tak długie? Czasem wist, a zwykle szachy temu zaradzają — ponieważ w Warszawie jest mnóstwo osób

różnego stanu lubiących tę grę, jak ja, zbieramy się więc i bawimy.

W pierwszych dniach czerwca strony pokój zawierające Paryż opuściły, mając się zjechać w Wiedniu na kongres celem ustalenia granic i stosunków różnych państw Europy, którą Napoleon po swojemu był urządził.

XX

POWRÓT DO OJCZYZNY I ORGANIZACJA ROSYJSKA

Po najtkliwszym rozstaniu się z p. Luce, dnia 7 czerwca 1814 rozpoczął się nasz pochód do Polski z działami, sztandarami, wszelką bronią i amunicją, które korpus w czasie kampanii posiadał, a spoczywając co trzeci lub czwarty dzień, szliśmy przez Claie, Meaux, La Ferté-sous-Jouarre, Château-Thierry, Dormans; 14-go stanęliśmy w Epernay, stolicy win szampańskich. Stanąłem kwaterą u kupca korzennego i razem właściciela winnicy, p. Martin Salmon, a że to był spoczynek i dzień świąteczny, gospodarz mój dał obiad na kilkanaście osób, na którym było kilku dawnie dymisjonowanych sztabsoficierów francuskich, tak z piechoty, jak jazdy, a teraz rolników, i kilka ładnych panien; bawiliśmy się wybornie. Ci dawni wojskowi z żałością mówili o abdykacji cesarza, utrzymując, że gdyby Paryż tylko przez trzy dni był się trzymał, sprawa Francji zupełnie inny obrót byłaby wzięła, bo naród niezawodnie byłby w masie powstał; jakoż jeden z nich, były szef batalionu, miał już do dwustu ludzi namówionych i w broń opatrzonych, drugi, były szef szwadronu, miał kilkudziesięciu jeźdźców itp. Wieczorem poszliśmy wszyscy na przechadzkę do winnicy za miasto, gdzie dowiedziałem się, że najbliższe wioski wydające białe szampańskie wina były: Ay, gdzie najlepsze wino, Epernay, Mareille sur Ay, Cumière, Menil, Auge, Pierry, Avize, Dizy, Chouilli i Hannoville. Francuzi nie bardzo lubią wina szampańskie musujące, twierdząc, że one przez swą ostrość drganie w żyłach z czasem sprawiają. Piłem u p. Salmon najlepsze wino z jego piwnicy, nawet ordynansowi memu dał butelkę na pięć franków, które się u nas płaci po złotych kilkanaście.

Następnego dnia, idąc do Châlons, wypiliśmy w marszu, siedząc na koniach, kilkanaście butelek wina, które z Epernay jako tani tam towar wzięliśmy; zbytek ten wszakże nie

nam nie zaszkodził. W drodze kilka razy już spotykaliśmy rzekę Marne, która nam orzeźwiających kąpeli przy ówczesnych tamże upałach dostarczała. Tej nocy były straszne grzmoty i błyskawice rzadko w naszym klimacie w takim stopniu doświadczane. Nazajutrz stanęliśmy w Vitry sur Marne, dostałem kwatery u staruszka, byłego adwokata, który w sześćdziesiątym czwartym roku życia — a miał wówczas lat 81 — wytrzymał operację wydobywania z siebie kamienia pięć uncji ważącego; wprzód go w nim na kilkanaście części pogruchocono i po jednej dobywano; odtąd wprowadzić bóle ustały, ale ciągłego sączenia się doświadcział, od czego gąbkę zawsze nosił; pokazywał mi te kamyki, było ich sporo.

Dnia 18 czerwca marsz do St. Dizier. Kwatery miałem u prześlicznej młodej mężatki, Marii Kornelii, rodem rzymianki, której mąż, będąc urzędnikiem, w interesie służbowym do Paryża był odjechał. Dla uniknięcia upałów wychodziliśmy w nocy, ażeby rano stanąć na miejscu, a miałem zwyczaj, umywszy się po odbytych marszu z kurzu i przebrawszy się, gospodarstwo odwiedzić i przeprosić za gościa narzuconego; idę więc i tutaj, o niczym nie wiedząc, zastałem tylko gospodynię, istną Wenerę w eleganckim negliżu, która mnie zaprasza zaraz na śniadanie i siada obok mnie dla dopilnowania, iżbym jadł, co mi na talerze kładła. Wkrótce wśród żartów i śmiechów nastąpiła znajomość i zażyłość taka, jakbyśmy się od dawna znali. Ta niewiasta tak mnie sobą oczarowała, że gdym się jej delikatnie dotykał, dostawałem drżenia i rodzaju gorączki, co postrzegłszy, naturalnie badała, co mi jest, wreszcie dodała, że ta słabość nie może być niebezpieczną i że wkrótce przejdzie, litując się i żałując mnie, że w jej domu to złe mi się przytrafiło. Nie mogłem się od niej oderwać, ale dla samej przyzwoitości musiałem ją pożegnać; zaprosiła mnie zatem na obiad, przy którym znalazłem na moim kieliszku napis: „En tout temps un amant — doit agir promptement”; na szklance: „Iris! offrons notre encens — au tendre dieu des amants”; nareszcie na talerzu stało: „Tous les hommes sont flatteurs — C'est le don, que l'amour leur donne — Mais, quand ils ont les faveurs — Adieu, belle! adieu, mignonne!” *

* „Kochanek winien zawsze działać szybko”. „Irysie! Złóżmy w ofierze kadzidło czulemu bóstwu kochanków”. „Wszyscy mężczyźni to pochlebcy — Miłość darzy ich tym talentem — Gdy jednak dostąpią łask — Żegnaj, moja piękna, żegnaj, kochanie!”

Domyśliłem się po tych wierszykach, że to była kokietka, jak wszystkie kobiety chcące się podobać — a któraż by tego nie chciała? chybaby się wyrzekła swej natury — widziałem więc wyraźnie, że to były sidła na mnie nieśmiałego zastawione. W krótkim czasie byłem cały w ogniu i prosiłem o względy, ona wśród zabawy i śmiechów to przyrzekała, to odmawiała i zeszło nam tak całe po południu; a widząc, że sama, jako wyzywająca za daleko zabrnęła, prosiła mnie nad wieczorem, że chce iść do kościoła na nieszpory. Tam zabawiwszy dobrą godzinę, po powrocie inną stała się kobietą; z wesołej, trzpiotowatej zrobiła się poważną, nieprzystępną. Otóż cała praca moja za nic! Rozpacz mnie na to wspomnienie porывała. Wszelako, przez cały wieczór u niej bawiąc, stopniami przyszedłem do dawnej zażyłości i rozkołysałem tyle, że znowu była dobrą jak dziecko. Przy odchodnym zebrałem z łzami prawie, żeby swej sypialni nie zamykała, na co, biorąc dwoje swoich dzieci ładnych jak aniołki za rączki, stanęła przede mną i odpowiedziała mi z dziwną stałością, że mając męża i dwoje dzieci, które nad wszystko kocha, nigdy się nie odważy na zhańbienie związku, w który weszła i jest w nim nad wszelkie wyrażenie szczęśliwą; że, gdyby była panną, mniej by była skrupulatną; wyznała razem, że po mężu nie znała mężczyzny, który by jej natchnął tyle przyjaźni i współczucia co ja; nareszcie, wzięwszy mnie za rękę, rzekła: „Potrafmy się przezwyciężyć! Jutro odjedziesz i nigdy cię już nie ujrzę! Przecierpmy tę parę godzin raczej, niż mielibyśmy wiecznie znosić wyrzuty sumienia z popełnionej zbrodni. Widzę, żeś człowiekiem honoru i na pięknej jesteś drodze, mam więc prawo domagać się, żebyś uszanował także honor słabej niewiasty. Wiele czasu upłynie, a ja o tobie jeszcze pamiętać będę” — itp. sercowe duba. Trzeba bo pamiętać, że w tej epoce Polacy jak najwyżej w opinii ludów stali i kurs ich był wysoki, nic więc dziwnego, że i kobiety były im przychylnie.

Jak wprzód jej pięknnością, tak potem jej walką wzruszony, przygnieciony nawałem uczuć najróżnorodniejszych, odszedłem smutny i przez całą noc oka nie zmrużyłem, a siedząc na łóżku po kilkakroć razy zrywałem się, chcąc się do niej dostać, ale zawsze jakaś nieznana trwoga kroki me hamowała. Wychodząc w marsz o trzeciej rano, chciałem ją jeszcze po raz ostatni widzieć i pożegnać. Ubrany już zupełnie, mając tylko na koń wsiąść, wchodzę po cichu, próbuję drzwi otworzyć, były nie zamknięte, zbliżam się na palcach jak zło-

czyńca do jej łoża i widzę mego anioła w całej pełni piękności i wdzięków z oczyma szeroko otwartymi; ta mnie porywa, przyciąga do siebie i wśród gorących pocałunków dziękuje mi za zwycięstwo, które odniosłem nad sobą. „Niech ci Bóg wszystko dobre zsyła — rzecze — gdyby nie twoja cnota, byłabym najnieszczęśliwszą kobietą na świecie, jedź zdrów i szczęśliwy, a mnie zapomnij.” Rozrzewniony, usłyszałem w tej chwili apel do marszu, wyrwałem się z jej objęć, dosiadłem konia i popędziłem jak szalony do mych dział.

Przez dni kilkanaście byłem niepokieszony, straciłem sen, chęć do jadła i unikałem wszelkiego towarzystwa, nawet kolegów, a szukałem samotności, słowem nie mogłem się pozbyć jej obrazu, który wszędzie widziałem. Miłość, ta najwyższa rozkosz i największa męka, ośwładnęła mnie całego. Gdy koledzy, widząc mnie zawsze dawniej wesołym, postrzegli teraz we mnie milczącego odludka, poczęli mnie coraz mocniej przynaglać, żebym im przyczynę mego smutku wyjawiał, zaręczając, że pocieszyć mnie potrafią. Nie chcąc ich miłości własnej obrażać, opowiedziałem im w końcu wszystko, jak było — a oni w śmiech. Obrażony tym do żywego, że się z mej boleści naigrawali, powiedziałem im stanowczo, że mój czyn, prawdziwie niepospolity, zasługuje nieco na większe uważanie, niż go oni, będąc zepsutymi, ocenić potrafią; że gdybym albo ja był więcej natarczywym, lub ona mniej opierająca się, kiedy aż religii na pomoc wzywała, bylibyśmy upadli; że wreszcie radość wewnętrzna z poskromienia ślepej namiętności i uniknięcia niegodziwego czynu, przez całe życie kosztowana, więcej warta niż chwilowe użycie nieprawej rozkoszy; po czym przestali żartować i na tym się skończyło.

Dnia 19 czerwca marsz do Bar-sur-Ornain, a następnych dni do Ligni, Vaucouleurs, Toul i do Nancy, gdzie Stanisław Leszczyński miał rezydencję i gdzie jeszcze na gmachach herby polskie można było widzieć; miasto ładne, a rynek kwadratowy drzewami obsadzony. Dalej od 25 czerwca szliśmy przez Vic, gdzie stanąłem kwaterą w forteczce Marsal u zakonnic, które mi na obiad ze dwanaście półmisków dały, a ja, wciąż jeszcze po Marii Kornelii smutny, jeść nie mogłem; dziwiły się temu zakonnice, ale się tłumaczył, że jestem słaby, i prawdę mówiłem, bo dusza moja była bardzo cierpiąca. Dalej wędrowaliśmy przez Dieuze, Fénétrange, gdzie języki francuski i niemiecki równo są używane, a różnica w budowlach, wozach, zaprzęgach... aż nadto widoczna; potem przez Lixheim i twierdzę Pfalzburg, którą pieszo zwiedziłem, bo w marszu ją obe-

szliśmy; 1 lipca i następnych przez Zabern; góra ogromna lasem okryta i dwa zamczyska ze średnich feudalnych wieków na górach sterczały; dalej przez Hagenau, gdzie nas generał Krasiński dogonił z Paryża, gdzie był pozostał. Spuściliśmy się potem ku Strasburgowi, którego słynną wieżę widać z daleka, stąd oficerowie nasi pojechali konno odwiedzić Kościuszkę, który wówczas blisko Strasburga bawił, a ja, mając służbę w baterii w tym dniu, musiałem pozostać i tego czciwego ziomka widzieć nie mogłem. Dalej szliśmy przez Fort-Louis, zburzoną warownię, oblaną z jednej strony Renem, z drugiej jego odnogą — tu Ren ma około 500 kroków szerokości — i przez Stollhofen, gdzie się zaczyna Wielkie Księstwo Badeńskie; od 5 lipca przez Rastatt, Ettlingen, Durlach, gdzieśmy otrzymali drugą część naszych należytości dublonami (po 48 franków sztuka); 7 lipca marsz do Bruchsal, gdzie pod miastem czekaliśmy na imperatorową rosyjską, która nas oglądać miała, lecz dowiedziawszy się o powrocie Aleksandra z Anglii, naprzeciw niemu pojechała, a nam obiecaną grzeczność odmówiła; defilowaliśmy wszelako przed ministrem wojny, Barclayem de Tolly. Od 8 lipca podróżowaliśmy przez Sinsheim, Mosbach, gdzie w Neckarze kąpaliśmy się, przez Buchen, Bischofsheim do Würzburga leżącego nad Menem, na którym most kilkanaście olbrzymich posągów dźwiga; od 15-go przez Esleben, Münnerstadt, Römhild, gdzie przestano nas winem częstować, przez Schleusingen przykrymi górzystymi drogami, Ilmenau do Rudolstadt, gdzie księżna panująca dawała obiad dla oficerów polskich; od 22-ego do miasta Jena, słynnego bitwą stoczoną w dniu 14 października 1806, w której Francuzi rozbili potęgę Prusaków; tu Niemcy na nas patrzeć nie mogli bez widocznego wstrętu i nie obeszło się bez awantur; było to Księstwo Weimarskie. 23-go był pochód do Naumburga w Saksonii, gdzie stojąc we wsi Majn, byliśmy hojnie przez właściciela tejże wsi, byłego pułkownika ułanów saskich, podejmowani. 25-go marsz do Taugen, a 26-go do Lipska; tam wszyscy oficerowie korpusu polskiego udaliśmy się konno z polecenia generała Krasińskiego za miasto do ogrodu, przy którym księżę Józef utonął; w tym ogrodzie był skromny kamienny pomnik na cześć zmarłego wystawiony. Generał Krasiński miał mowę, wyliczając cnoty zgasłego, wśród której dobyliśmy pałaszy przysięgając na miłość ojczyzny, honor i męstwo wraz z generałem. Co się potem stało z tą miłością ojczyzny generała, wiadomo.

W Lipsku kupiłem wielką mapę Europy, mieszczącą w sobie

Moskwę i Paryż, podklejoną i składaną, ażeby na niej moje podróże oznaczyć, co też potem karminem uskuteczniłem; niemniej kupiłem historię powszechną w rysunku pod tytułem: „Strophen der Zeiten” i dwie angielskie brzytwy i to był cały zbytek, który pozwoliłem sobie uczynić. Od 28 lipca marsz przez Wurzen, Liebenwerda, Kirchhain, Calau do Cottbus, gdzieśmy 3 sierpnia stanęli; mówią tu po wendeńsku, narzeczem mieszanym języków polskiego i niemieckiego. Nazajutrz zaszedł tu niemiły przypadek z generałem Krasieńskim, który, w Lipsku jeszcze, oficera pruskiego od landweru, o coś mu się naprzykrzającego, kazał za drzwi wypchnąć; ale oficer tej obrazy nie mógł strawić, towarzyszył generałowi incognito aż do miasta Cottbus, gdzie potrafił ludność podburzyć tak, że bramy miasta zamknięto i na kwatery generała zbrojnie napadnięto; dwa szyldwachy stojące na straży karabiny skrzyżowały, a cała warta pod bronią stanęła. Generał, niczego się nie domyślając, wypada przede drzwiami bez żadnego nakrycia głowy i pyta o przyczynę tego zbiegowiska, na odpowiedź dostaje cięcie w głowę od tego samego pokrzywdzonego oficera, którego cięcia bliznę aż do śmierci nosił; chroni się więc do domu i tak dobrze jest ukrytym przez gospodarza, że tłuszcza wpadłszy wewnątrz i szukając wszędzie, nawet w ogrodzie, go nie znalazła, do nas zaś, cośmy po wsiach naokoło miasta stali i gotowi byli uderzyć na miasto dla powetowania obelgi naszemu dowódcy wyrządzonej, przysłał, gdy bramy otworzono, polecenie, ażebyśmy się spokojnie na swoich stanowiskach zachowali, ponieważ to jest jego osobista obraza, za którą u króla pruskiego upomnieć się nie omieszka, korpus zatem do tego mieszać się nie powinien.

Od 6 sierpnia szliśmy przez Triebel, Sorau, Sagan do Neustädtel*, gdzieśmy ogromną górę do przebycia mieli, a że nasze stare ogiery dział pod tę górę by nie wyciągnęły, wysłał mnie dowódca artylerii podpułkownik Schwerin na całą noc z Sorau do Sagan, ażeby tam u władz pruskich przyprząg kilkudziesięciu koni wyjednał. Przyjeżdżam przed świtem zziębnięty, wszystko śpi, okienice pozamykane, przechadzam się po rynku, aż dzień zajaśniał, idę do burmistrza, mówią mi, że przed ósmą godziną nie wstaje. Pukam zniecierpliwiony o siódmej do niego, wpuszczają mnie, ale zastaję go w betach. Niekontent zatem, żem go przebudził, a bardziej jeszcze, że trzeba było zrobić Polakom dogodność, których,

* Trzebiel, Żary, Żagań, Nowe Miasteczko.

jak każdy Niemiec, szczerze nienawidził, odpowiada mi, że Polacy nie mają prawa żądać przyprzegów, bo czas wojenny już minął, i że w mieście nie ma takich i tylu koni, słowem odmówił mi swej pomocy i gdy mimo całej wymowy, na którą po niemiecku zdobyć się mogłem, nic wskórać nie mogę, oświadczam w końcu, że gdy korpus nadciągnie, będzie zniewolony stać póty w Sagan i jego okolicach, aż nam pomogą. Dopiero tym argumentem dał się namówić, rozpiisał na wsie okoliczne kilkanaście par wołów na dzień jutrzejszy, tak żeśmy za ich pomocą na tę górę weszli, ponieważ była nadzwyczajnie wysoka i przykro spadzista; przeprawa ta kilka godzin czasu nam zajęła.

Dnia 10 sierpnia szliśmy przez twierdzę Głogową do wsi Gulan, gdzie z wielkiego umęczenia przez parę dni i nocy przez 18 godzin wciąż spałem; 11 sierpnia przeszliśmy granicę i na naszej stanęli ziemi, stąd radość niewysłowiona, bo dawniej bywały chwile, żeśmy oglądania jej wszelką stracili nadzieję. Mnóstwo obywateli zjechało się na powitanie nas; przed miasteczkiem Wschową (Fraustadt) odbyliśmy paradę i defil, dawszy wprzód 101 wystrzałów z dział. Mów było aż cztery, pierwszą miał jakiś obywatel do nas, drugą generał Krasiński do obywateli, trzecią generał Kurnatowski w imieniu wojska do generała Krasińskiego, czwartą na koniec generał Krasiński do wojska. Nazajutrz dany był bal w Wschowie przez obywateli dla wojska. Od 13-go marsz przez Śmigiel, Kościan, Czempin, Krosno do Poznania, gdzieśmy stali aż do 23-go włącznie. Tu dano dwa bale, pierwszy obywateli dla wojska, drugi wojsko dla obywateli; tu także wszyscy oficerowie korpusu kazaliśmy sobie porobić srebrne pierścienie z napisem stosownym na pamiątkę powrotu do ojczyzny w dniu 11 sierpnia 1814, który pierścień dotąd posiadam. Żołnierze z wielkiej radości zaczęli się niespokojnie sprawiać, ale to przeszło.

Dalej szliśmy przez Kostrzyń, Kaźmierz, Sleszyn, Babiak, Kutno, Sobotę do Łowicza, dokąd przybyliśmy 4 września; 6-go po paradzie przed naszym generałem ruszyliśmy w marsz spod Łowicza, przez Sochaczew, Błonie, a 8-go stanęliśmy w Warszawie, zajmując stanowiska po wsiach pobliskich; 9-go parada z powodu przybycia zwłok śp. księcia Józefa, z ogniem pod Wolą; 10-go parada przy pochowaniu tychże zwłok, strzelaliśmy na tarasie pod zamkiem; 11-go parada na imieniny cara Aleksandra, paliliśmy z dział na Saskim placu. Od 14-go szliśmy przez Błonie, Sochaczew, Łowicz, a 17-go

stanęliśmy w miasteczku Piątku na czas przedłuższy; dostałem kwaterę na wsi z porucznikiem Wojciechem Chrzanowskim (8), pracowaliśmy obadwa na wyścigi czytając dzieła wojskowe, szczególnie strategię, i wyjeżdżając niekiedy w okolice do domów obywatelskich dla odwiedzania oficerów tamże stojących.

Między innymi rozkazami naczelnego wodza w. ks. Konstantego odebraliśmy 30 września uwiadomienie, iż w początkach organizacji wojska polskiego następujący generałowie trudnić się będą wydziałami, jak następuje: Zajączek korespondencją, Dąbrowski kwaterunkiem i remontą, Sierakowski artylerią i inżynierią, Wojczyński inspekcją wojska, żołdem i furazem, Wielhorski rachunkowością i lazaretami, Kniaziewicz ubraniem i oporządzeniem, a ksiązę Sułkowski sądownictwem.

Nastąpiła tedy nowa organizacja wojska polskiego na króju moskiewski, w której mniejsza już o formy, lękaliśmy się znanego brutalstwa zamiast karności. Zaraz też w jej początkach oficer z gwardii Napoleona Wilczek, usłyszawszy niegodne słowa z ust w. ks. Konstantego, się zastrzelił; drugi podobny przypadek, wkrótce wydarzony, ułaskawiły nieco tego tygrysa. Wielu układało sobie, gdy nie będzie można wytrzymać, służbę wojskową porzucić, a inny stan obrać, choć żał było nabytych w tym stanie wiadomości i doświadczenia, a w innym nieprzydatnych, opuszczać i marnować.

Dnia 9 października 1814 otrzymałem rozkaz wyruszenia z baterią, która z Francji z nami przysłała, do Warszawy, będąc przeznaczonym na dowódcę tejże baterii instrukcyjnej przez czas uczenia się musztry rosyjskiej z działami. Był to dla mnie zaszczyt niemały, gdy mnie, porucznika tylko, do tej delikatnej misji wybrano. Wprawdzie Rosjanie niewiele mogli nas nauczyć, bośmy teorię i praktykę tej broni znali dobrze; lecz żeby wszystko, co francuzczyzną trąciło, zatrzeć, żadnych drobnostek nie opuszczali, a swoje formy i kształty we wszystkim zaprowadzać się starali, acz z drugiej strony wyznać trzeba, że jednostajność armii tego wymagała. Przybyłem tedy 12 października do Babic pod Warszawę na stanowisko przydłuższe; wieś tę dzierżawił śp. Dominik Krysiński od Działyńskiego, którego był wprzód nauczycielem i z którym podróże po obcych krajach odbywał. Zaraz pojechałem do Warszawy do pułkownika Redel, który z boleścią mi wynurzył, iż jarzmo rosyjskie, jakkolwiek uciążliwe, musimy może do czasu — bo na świecie nic nie ma stałego —

cierpliwie dźwigać, oświadczając mi przy tym, iżbym pierwszy pojechał do porucznika artylerii konnej gwardii rosyjskiej Gerstenzweiga (17) do Młocin, gdzie stał z czterema działami, z nim się poznał i od niego rękoczynów i obrotów artylerycznych się nauczył, i zaprosił mnie na obiad. Nazajutrz pojechałem do Młocin na moim Wilczku, znalazłem Gerstenzweiga nadzwyczaj — może także z wyższego polecenia — dla mnie uprzejmym, zwłaszcza że mu zaimponował dekoracją francuską i dzielnym rumakiem w rząd węgierski przystrojonym. Zostałem na obiedzie, przy którym kilku młodszych oficerów, jak Mikołaj Korff, Sievers, Gerbel itd., siedziało — wszyscy wysoko wyszli, ostatni dwaj już nie żyją — rozmowa była dość ożywiona, bo chociaż wszyscy mało mówili po polsku, później się bowiem poduczali, ale języki francuski i niemiecki dobrze znali.

Nazajutrz był u mnie Gerstenzweig; przedstawiłem mu trzech oficerów z baterii, która miała sześć dział, i zaprosił mnie, ażebym następnego dnia przybył z moją komendą, bez dział i koni, do Młocin na jego musztrę, którą dla nas z ogniem miał wyprawić. Zrobiłem to; zdziwili się Rosjanie, widząc tak piękny dorodny lud, a więcej jeszcze, widząc tylu podoficerów i żołnierzy z ozdobą Legii Honorowej, sądzili przeto, że ta bateria musiała się nadzwyczajnie w bojach odznaczyć, a co nie było, ponieważ moi przełożeni, wyprawiając mnie do Warszawy na zetknięcie się z wielkim księciem i Rosjanami, wybrali umyślnie ze wszystkich podoficerów i żołnierzy, którzy z Francji luźno powrócili — bo tylko jedna bateria piesza dowództwa kapitana Piętki, która krótką kampanię r. 1814 odbywała, do kraju z działami przybyła — co było najokazalszego. Musztra ta poszła dobrze, był na niej generał rosyjski Kuruta i dwóch adiutantów w. ks. Konstantego, Essakow i jakiś drugi. Lud tej półbaterii rosyjskiej był także piękny i doskonale wyćwiczony. Zabawna to rzecz była, że dwa oddziały wojska, które przed niedawnym czasem w najwyższym stopniu były sobie nieprzyjacielem i na śmierć by z sobą walczyły, tutaj obok siebie stały i wzajemnie się sobie dziwowały, nie pomnąc, że to były jednego szczepu odrośle, mianowicie: pracowici, poczcwi i bitni Słowianie.

Pracowałem tedy codziennie nad ćwiczeniem żołnierzy w rękoczynach i obrotach i nad spisaniem tejże musztry w języku polskim z dodaniem rysunków, tak że 17 listopada przed w. ks. Konstantego z baterią na plac Saski wystąpiłem i musztrę odbyłem, z której był kontent.

Około tego czasu odebrałem list z poczty od ks. kanonika Jakubowskiego z Galicji, w którym mi donosił, że matka moja jeszcze w r. 1812 umarła i że ks. kanonik Drażewski ją poprzędził. Rozpłakałem się na tę nowinę, bo to była zacna kobieta i z jej zgonem zostałem sam bez przytułku na ziemi; dałem na nabożeństwo za jej duszę i wysłuchałem go z pobożnością; powoli wszakże się uspokoiłem, mając na uwadze, że w naturalnym rzeczy porządku rodzice przed dziećmi umierać powinni.

Już 20 listopada wręczyłem porucznikowi Gerstenzweig egzemplarz tej musztry z rysunkami — tekstu było kilkanaście arkuszy — ażeby go, jeżeli mniema, księciu przedstawił, bo był w łaskach u niego.

Dnia 15 stycznia 1815 ruszyłem z Babic do Warszawy, gdzie działa z końmi i wszystkimi przyborami, oprócz ludzi jednakże, do arsenału za kwitem oddałem, ponieważ wkrótce cały korpus artylerii, to jest: artyleria konna i piesza polska otrzymały nowe rosyjskie działa z Petersburga sprowadzone; ja zaś za staraniem pułkownika Schwerin u generała Sierakowskiego tudzież porucznika Gerstenzweiga u w. ks. Konstantego przeniesiony zostałem do artylerii konnej, stosownie do mego życzenia, ponieważ według nowej organizacji oficerowie artylerii pieszej, tak jak w wojsku rosyjskim, nie tylko służbę przy działach, ale nawet marsze z tornistrem na plecach i pieszo odbywać byli obowiązani, co mi się mocno nie podobało, gdyż konną jazdę mocno lubiłem i znałem się na niej. Przeniesiony więc zostałem na adiutanta brygady artylerii konnej dowództwa pułkownika Hurtig, z czego oficerowie wyżsi artylerii pieszej, jak niżsi artylerii konnej wcale nie byli zadowoleni; pierwsi, żem ich korpus opuszczał, drudzy, że przed nich na listę starszeństwa wszedłem, albowiem artyleria tak piesza jak konna u siebie oddzielnie kolej starszeństwa zachowywały, a przeniesień oficerów z jednej do drugiej prawie nigdy nie bywało; ale dałem sobie jakoś radę i z tego powodu nie miałem żadnej awantury.

XXI

PRZEGLĄD OSTATNIEJ CESARZA KAMPANII W BELGII 1815 ROKU

Chociaż korpus polski kampanii 1815 r. nie odbywał, bo się wówczas w Polsce organizował, wypada wszelako przejść tę

kampanię, raz, że była w niej garstka Polaków gwardii Krasieńskiego, która miała szczęście z cesarzem na wyspę Elbę popłynąć, po wtóre, że warto przejść ostatnie wojenne działania tego dziwnego w swoich losach człowieka.

We Francji nie udało się Ludwikowi XVIII pozyskać miłość tego nieznanego mu narodu, jakkolwiek się o to starał. Napoleon na Elbie udawał obojętnego na wszystko, otrzymując pewne wiadomości z Francji, że naród z nowego rządu nie był zadowolony, że żołnierze, chłopci i posiadacze dóbr narodowych byli do niego sercem przywiązani i że na kongresie w Wiedniu zaszyły ważne nieporozumienia i rozdziwienia; opuścił więc, wając się na wielkie rzeczy, swemu szczęściu ufając, a Anglików go strzegących zwodząc, 26 lutego 1815 wieczorem Elbę ze swym wojskiem, 1100 głów wynosić mogącym, na jednym brygu i kilku statkach i po szczęśliwej przeprawie wylądował 1 marca w Cannes blisko Fréjus. Nie trafiwszy na wojsko króla, szedł żywo naprzód, dając ku Paryżowi i wydawszy proklamację do narodu francuskiego, w której jak najmocniejszymi farbami błędy Burbona odmalował. Dopiero 7 marca trafił na oddział wojska La Bédoyère'a, który do niego przeszedł, i tego samego wieczora Grenoble mu bramy otworzyła; to samo uczynił Lyon, dokąd 10-go przybył. Żaden z marszałków nie próbował nawet drogę mu zastąpić, przeciwnie, Ney dnia 13 marca przeszedł z swoim korpusem na jego stronę, co go nadzwyczajnie wzmocniło. I tak doszedł do Paryża dnia 20 marca bez wystrzału w całym pochodzie, a które miasto Ludwik XVIII spieszenie wprzód jeszcze opuścił. Zaiste! całe to zdarzenie ledwie nie do cudów policzyć można.

Po czym, gdy Napoleon, ażeby roztropniejszych odrwić, utrzymywał, że Anglia jego z Elby ucieczce sprzyjała, że Austria z nim trzyma, że żona z synem z Schönbrunn powrócą do niego, tymczasem sprzymierzeni monarchowie w dniu 28-ym na kongresie wiedeńskim jednomyślnie wyrekli potępienie na niego na mocy prawa narodów, odnowili traktat w Chaumont zawarty i przy końcu maja 800 000 wojska było gotowego do wykonania tego wyroku. Ale cesarz także nic nie zaniedbywał, ażeby, gdy przez niego podane warunki odrzucone zostały, walkę uporczywą z nimi rozpocząć. Zgromadzenie czterech tysięcy deputowanych na

Polu Marsowym miało mu znowu tron na podstawie liberalnej, do której się teraz uciekł, zaprzysięgłszy na nową konstytucję i wierność, wystawić; pospolite ruszenie, powołujące wszystkich mężczyzn pod broń od dwudziestego do sześćdziesiątego roku wieku, zdawało się całą Francję w jeden obóz zamieniać; stare, wierne mu wojska zewsząd nadciągały, ażeby pod ukochanymi swymi orłami przeszlą hańbę zmasać; od 20 marca poczynając, Carnot i Davoust, niemniej inni całą pracęłożyli na to, ażeby wojsko jak najspieszniej do stanu groźnego doprowadzić, w czym wiele dopomogli starzy, z niewoli już powróceni żołnierze.

To wszystko nakazywało sprzymierzonym jak największą w postępowaniu ostrożność; ci bowiem przy wydaniu manifestu 13 marca już się dorozumiewali sprzysiężenia wojska w niespodzianym okazaniu się cesarza, z drugiej strony burza we Włoszech, mająca związek z burzą francuską, zagrażała Austrii co do jej posiadłości włoskich; król Murat bowiem musiał na kongresie wiedeńskim tym twardszą z dworami burbońskimi wytrzymać rozprawę, że Anglia przeciw niemu w takie weszła zobowiązania i zresztą dwuznaczne jego przed rokiem postępowanie zanadto dobrze przejrzała, iżby w stanowczych wyrazach oświadczyć nie miała, że on dłużej władzy królewskiej piastować nie może. Austria tylko, swoim zobowiązaniom z Muratem zawartym wierniejsza, niż to było jej interesem, w południowych Włoszech mieć jednego z Burbonów za sąsiada, stronę jego podtrzymywała; lecz Murat, czy to sądził, że Austria go odstąpiła, czy też przez wylądowanie cesarza mniemał nadeszłą chwilę owładnięcia całego półwyspu włoskiego, ruszył 4 kwietnia, bez poprzedniego wypowiedzenia wojny, z 50 do 60 000 ludzi na Rzym i przeciw Austriakom, którzy mając tylko 12 000 wojska pod jenerałem Bianchim, cofali się, walcząc, aż do Po, gdzie się tak długo trzymać potrafili, aż posiłki na wozach wysłane nadciągnęły; po czym jenerał Frimont, który dowodził, tak szybko przeszedł do kroków zaczepnych, że Murat po 20 dniach w najsmutniejszym znalazł się położeniu, gdy jego wojsko przed każdym Austriaków natarciem się rozpierzchało, a ustawnie oskrzydłany i od głównych dróg odcinany, widział się zmuszanym do ciągłego odwrotu po drogach bocznych i manowcach, gdzie działa i bagaże ginęły. Jego usiłowanie do uratowania się przez zawieszenie broni nie powiodło się, inne poprowadzenie swego losu z bronią w rękę 1—3 maja pod Tolent-

tino także się nie udało, a wskutek tych ostatnich, z jego osobistą odwagą wykonanych uderzeń, wojsko jego prawie całkiem tak się rozbiegło, że sam do Francji umknął, żona jego jako branka do Austrii odesłana została, a reszta jego wojska, 5000 głów wynosząca, za rzeką Volturną 20 maja broń złożyła.

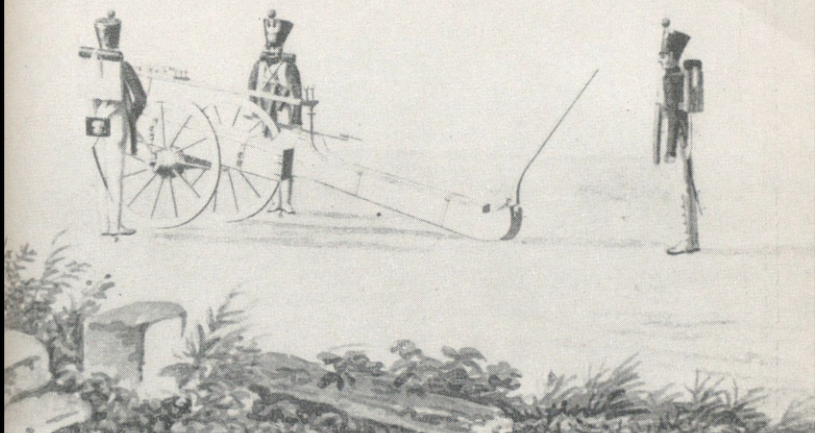
Połowa armii austriackiej, znalazłszy tak mały opór, wprzód jeszcze pociągnęła do wyższych Włoch, ażeby stamtąd do Francji przez Alpy wkroczyć. Zapewne w Wiedniu nie spodziewano się odnieść tak małym kosztem zwycięstwa i dlatego atak zwłóczono; a gdy najbardziej oddalone wojska rosyjskie dopiero w linię nad Renem wejść miały, zawierane zaś przeciw Napoleonowi między sprzymierzonymi układy tym więcej czasu zabierały dla niezbędnych ratyfikacji, że książe rejent angielski tylko pod tym warunkiem do ligi przystępował, iż walka jedynie przeciw cesarzowi, a nie w tym celu prowadzoną będzie, ażeby przeciw woli Francji dynastię Burbonów na panującą jej narzucać, to już połowę czerwca minęło, a świat, oczekujący w trwodze rozwiązania, jeszcze nawet końca przygotowań do tej strasznej rozprawy nie widział.

Tymczasem nastąpiło ze strony cesarza natarcie równie gwałtowne jak niespodziewane. Zaraz z Pola Marsowego cesarz odjechał do wojska na północnej granicy stojącego, złożonego z 130 000 ludzi, ściągnął do siebie gwardie nad rzeką Laon zgromadzone i ruszył z tymi siłami przeciw więcej niż 200 000 Prusaków i Anglików przez Blüchera i Wellingtona dowodzonych, a szeroko kantonamenta zajmujących wzdłuż rzek Dyle i Sambre; 15 tedy czerwca o świcie natarł na nich, że musieli nie bez straty Sambre opuścić i pod jenerałem Ziethen do Fleurus się cofnąć. Rano 16-go już całe wojsko francuskie przeszło Sambre i cesarz po południu na Prusaków stojących za rzeką Ligni w bardzo mocnym stanowisku między wsiami St. Amand i Tongrines uderzył. Blücherowi nie pozostawało mimo dywersji, którą Wellington na drodze brukselskiej bitwą pod Quatrebras wykonał, gdzie książe brunświcki zginął, a która męstwem Neyą się nie powiodła, jak pod zasłoną nocy się cofnąć. Blücher znajdował się tutaj w wielkim niebezpieczeństwie utracenia życia lub wolności, ponieważ jazda francuska, gdy z konia spadł, przebiegła przez niego dwa razy. Nazajutrz kazał cesarz dwom korpusom (Vendamme i Grouchy) ścigać Prusaków do Wavre ciągnących, a z resztą wojska poszedł na Wellingtona, stojącego na

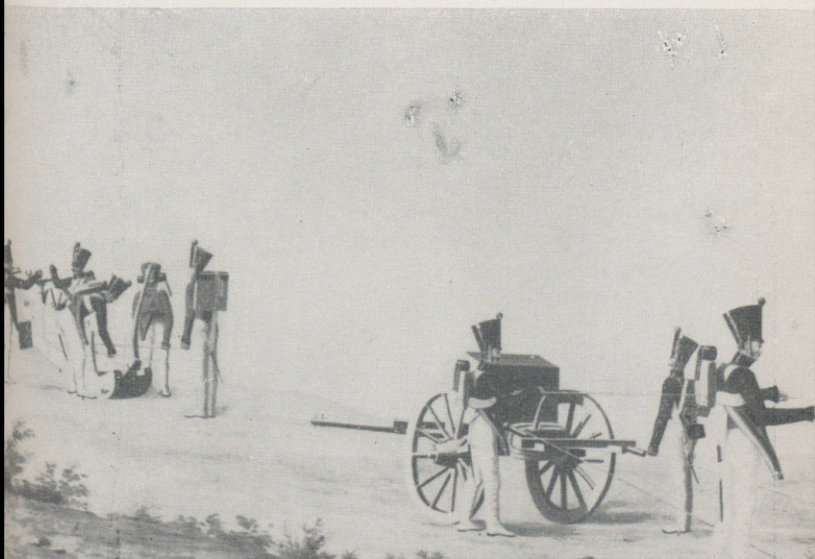
wzniosłej płaszczyźnie przed lasem Soigny, która przez wiele budowli, zagłębień itd. naturalną twierdzę czyniła. Tu Wellington zamierzył oczekiwać cesarza, ponieważ Blücher przyrzekł z nim się połączyć. Cesarz mniemał, że ma tylko tylną straż Anglików przed sobą, która mu trakt brukselski zamykała, kazał więc 18-go uderzyć z całą gwałtownością na Anglików, lecz położenie i zimna ich krew wszelkie natarcia Francuzów odparły, a gdy wieczorem Blücher po najtrudniejszym marszu na prawym skrzydle Francuzów się pokazał i uderzył, klęska była powszechna i w przeciągu godziny całe wojsko francuskie, gdy i Wellington z swej górnej płaszczyzny się spuścił, było rozproszone, cesarz był porwany przez uciekających, z których kilka tysięcy tylko do Paryża uciekło, dokąd i cesarz 21-go przybył. Blücher całą swą jazdę wysłał do ścigania podczas jasnej nocy Francuzów, wszystkie działa i bagaże francuskie przepadły, punkt zbioru po przegranej nigdzie nie byłznaczony; a ponieważ nikt nigdzie oporu nie stawiał, obwarowane miejsca po drodze leżące albo były wzięte, albo opasane. Wysłanniki z Paryża proszący o zawieszenie broni i donoszący o rzeczeniu się tronu Napoleona nie byli słuchani, postępowano wciąż naprzód, korzystając z pierwszego ogłuszenia.

27 czerwca sprzymierzeni stali się panami traktów wiodących do Paryża i spodziewali się bez oporu zająć to miasto, lecz generałowie Vandamme i Grouchy, którzy po dniu 16-ym Prusaków gnali i w tej samej chwili Thielmana z Wavre'u wypędzili, gdy wojsko z cesarzem będące poszło w rozsypkę, zrobili tak szybki i zręczny odwrót, że pod Paryżem, który przez obiedwie strony za stracony dla Francuzów był uważanym, po miernej stracie w tej samej chwili stanęli, gdy Wellington i Blücher przybyli, a ponieważ miasto było lepiej obwarowane niż w 1814 r., szło więc o to, czy tak prędko jak wówczas zdobyte zostanie; lecz sprzymierzeni szanice obeszlili i postanowili w najsłabszym miejscu szturm przypuścić. Vandamme i Grouchy tym mniejszy mogli opór stawiać, im co dzień świeże posiłki Anglikom i Prusakom nadchodziły; przystąpiono zatem do układów, do zawieszenia broni i do oddania Paryża sprzymierzonym; wszystko wojsko francuskie pociągnęło za Loarę i 6 lipca miasto było oddane.

Wojna zatem tą jedną bitwą pod Waterloo, jak Anglicy, pod la Belle Alliance, jak Prusacy, pod Mont-Saint-Jean, jak ją Francuzi nazywają, w głównej treści była skończona. Siły francuskie w innych miejscach się znajdujące były za szczu-



Rakietnicy piesi. Łoże rakietnicze i jaszcz rakietniczy.
Z akwareli wykonanej przez kapitana Bema w r. 1823





Rakietnicy: pieszy i konny, 1827—1830

ple, ażeby, gdy zaraz po tej bitwie ze wszystkich stron Rosjanie, Bawary, Wirtemberczycy i Austriacy współśrodkowo ciągnęli, mimo walecznego oporu Rappa pod wałami Strasburga, Sucheta przed Lyonem, mimo wściekłego powstania ludu wielu okolic Alzacji i Lotaryngii, mieć mogły coś innego, jak próżny rozlew krwi za wypadek. Zawieszenie broni tym prędzej położyło koniec wojnie, że Ludwik XVIII już 9 lipca do Paryża wjechał. Napoleon od reprezentantów ludu nagłony, a od jenerała Salignac nakłoniony, zrzekł się dnia 22-go tronu na rzecz swego syna i odjechał do Malmaison, mając zamiar udania się do Ameryki Północnej, lecz w Rochefort, jak drugi Temistokles, oddał się angielskiemu kapitanowi Mait Land dnia 14 lipca, a nazajutrz wstąpił na okręt „Bellerophon”, poddając się Anglikom częścią dobrowolnie, częścią z musu.

W Paryżu teraz zdania izby parów i deputowanych były podzielone; rzeczpospolita i Napoleon II, i konstytucja zaprzętała głowy, aż Fouché, który tymczasowo stanął na czele rządu, izby zamknąć kazał, a Ludwik jako król wystąpił, jakkolwiek jeszcze w tych chwilach głos ludu i wojska przeciw temu powstawał. Powrót sprzymierzonych do Paryża miał taki skutek, że monarchowie przyjęli Ludwika XVIII za swego sprzymierzeńca, a w swoich odezwach mówili tylko przeciw osobie Napoleona, a nie przeciw ludowi francuskiemu. Im czynniejszy udział naród francuski brał za Napoleonem, im głośniej tenże naród przeciw Burbonom się oświadczał, tym ostrożniej musieli sprzymierzeni działać, chcąc Ludwika przeciw poprzedniemu oświadczeniu Anglii — przeciw woli ludu francuskiego na tronie utrzymać i ustalić. Z jednej strony Francja była wciąż zalewana wojskami sprzymierzonych, z drugiej pracowano z ministrami francuskimi nad wyrównaniem stosunków politycznych, z którymi tak trudno było przyjść do ładu, że 21 września wszyscy wzięli dymisję; dopiero w kilka dni później z ministrami przez Ludwika mianowanymi były 2 października przedugodne punkta zawarte, które warowały: 1) granice Francji takie, jakie były w r. 1790, z wyjątkiem 2) twierdz Landau, Saarlouis, Philippeville, Mariembourg, Versoix z później oznaczyć się mającymi okręgami; 3) Hünningi zburzenie; 4) wynagrodzenie 700 milionów franków za koszty wojenne w pięciu latach wypłacalnych; 5) linię przez Bouchain od Condé do Bitsch obsadzoną przez 150 000 wojsk sprzymierzonych na koszt Francji także na lat pięć; 6) zapewnienie wszelkich pretensji osób prywatnych do

Francji, oprócz banku hamburskiego wypróbnego przez Davoustą.

I teraz dopiero wojna się skończyła, ponieważ dotąd północne twierdze Francji były przez Prusaków ściśle oblegane i po większej części zdobyte. Przez osobny układ pozwolili Francuzi, chociaż z oporem, na odebranie wszystkich dzieł sztuki od 1792 Włochom, Niemcom itd. przez Francję zabranych. Co do osoby Napoleona zgodzili się sprzymierzeni, że miał żyć na wyspie Św. Heleny na koszcie Anglii jako jeńiec wojenny z wszelkimi dogodnościami, jakich jego położenie wymagało. Braci jego także smutny los dotknął, bo oprócz Józefa, który mieszkał wolny w Ameryce Północnej, Lucjan, Hieronim itd. zostawali pod dozorem w Rzymie, Austrii, Niemczech... i tylko Murat, któremu to samo ofiarowano, pokusił się swe państwo odbić, ale schwytany został i rozstrzelany 5 października 1815 w Pizzo w Kalabrii. Napoleon mieszkał na wyspie Św. Heleny w Longwood; towarzyszyli mu na to wygnanie jenerałowie: Bertrand z żoną, Montholon, Gourgaud i hrabia Las Casas; cały jego orszak oddawał mu honory jak cesarzowi. Sir Hudson Lowe, komendant tej wyspy, obchodził się z nim według przepisów, ale ostro, nie tak jak jego poprzednik admirał Malcolm, z którym cesarz zachowywał dosyć przyjazne stosunki. Kilka razy cesarz protestował przeciw swemu uwięzieniu, przeciw obchodzeniu się z nim, że mu wina, drzewa itp. brakowało, ale na próżno. Umarł tamże 5 maja 1821 r. Zwłoki jego były później przywiezione do Francji, a obrzęd pogrzebowy wykonany został z wielkim przepychem dnia 15 grudnia 1840 w Paryżu. Bertrand napisał w swoim czasie rękopism z wyspy Elby, a Las Casas rękopism z wyspy Św. Heleny, oba pisma z rozmów z cesarzem ułożone.

XXII

SŁUŻBA W ARTYLERII KONNEJ OD ROKU 1815

Spuśćmy się teraz z tych sfer górnych na nasz niski poziom z pokorą.

Odebrawszy dnia 14 lutego 1815 uwiadomienie od jenerała artylerii Sierakowskiego, iż przeniesiony zostałem do artylerii konnej na adiutanta brygady, i razem rozkaz udania się do Jeziorny (dwie mil od Warszawy, gdzie dziś jest wielka bankowa fabryka papieru), gdzie stał sztab brygady, pojecha-

łem tamże i pułkownikowi Hurtig, jej dowódcy, się przedstawiłem. Rozpatrzywszy się w moich obowiązkach, strach mnie ogarnął, taki ogrom roboty i taki nieład znalazłem; wprawdzie organizacja wojska naszego trwała w najlepsze, ale że przede mną nie było jeszcze adiutanta, znalazłem więc niemało zaległości.

Obowiązkiem adiutanta było wyuczyć oddział na wartę ciągnący wszystkich ceremonii, ponieważ dowódcy po garnizonach stojący we wszystkim — tylko w miniaturze — stali się naśladować to, co w. ks. Konstanty codziennie na Saskim placu w Warszawie, oprócz dni wielkiej niepogody lub wielkiego mrozu, zimą i latem, ze zmianą warty wyrabiał, gdzie dwie ściany placu piechotą wypełnione były (dziś, pod panowaniem Aleksandra II, tego wszystkiego nie tylko nie ma, ale warty są pokasowane, i odwachy także, oprócz saskiego, w którym się kilkunastu żołnierzy mieści). Dalej powinnością adiutanta było układać raporta z brygady, z raportów przez obie baterie podawanych, dziesięciodniowe i miesięczne na kilka rąk pisane, mianowicie: do najjaśniejszego pana, do naczelnego wodza, do Komisji Wojny i do generała artylerii, wszystkie czysto, bez błędów i skrobań wygotowane, pierwsze dwa na welinowym papierze; wprawdzie były wzory na format papieru, na wielkość i kształt koperty, na tytuły właściwe tak w listach przesyłanych, jak na kopertach, na rozmaite raporta aż do jedwabiu (biały z pąsowym), którym raporta zszywane były, a raport miesięczny do jednej władzy z tyłu sztuk się składał, że tomik w ósemce stanowił. Poddąłem się tej czynności drobiazgowej, pedantycznej z rezygnacją i poszło dobrze. Najgorsza była korespondencja z władzami, tak wojskowymi jak cywilnymi w najrozmaitszych przedmiotach, w której każdy interes trzeba było wyłuszczyć, loicznie wyrozumować z zachowaniem godności stylu i poprawności pisowni; każdą korespondencję musiałem w książce ad hoc napisać, dać dowódcy do odczytania, potem pisarzowi, których czasem aż kilku było (biorąc z frontu podoficerów), do przepisania na czysto oddać, następnie samemu sprawdzić, dowódcy do podpisu przedstawić i na koniec wyekspediować. Nareszcie trzeba było wszelkie rozkazy od wyższych władz przychodzące bateriom czy to żywcem, czy też w skróconych odpisach komunikować, niemniej własne rozkazy dowódcy bateriom na piśmie przesyłać; słowem piśmienność była tak wielka w początkach, że mi nic czasu na moje prywatne czytanie i pisanie nie zostawało. Dosyć powiedzieć,

że w ciągu jednego roku trzy grube tomy in folio, każdy najmniej o stu arkuszach, tj. księgę raportową, korespondencji i rozkazową, moją ręką zapisałem, ponieważ wszystkiego, co z biura wychodziło, powinna była kopia, oznaczona datą i liczbą bieżącą, w księgach pozostać.

Niepospolitym jeszcze zatrudnieniem było, gdy się w Warszawie lub jej okolicach stało, codziennie raport dzienny przed paradą, czyli zmianą warty, na pokojach w Brühlowskim pałacu w. ks. Konstantemu wręczyć, więc potrzeba było ten raport na pamięć umieć, ażeby, gdy wielki książę, przeglądając go (co zawsze robił), o co zapyta, bez namysłu można było odpowiedzieć, nie licząc już tego, że co dzień trzeba było być świeżo ubranym, ogolonym i w białych rękawiczkach przy oddawaniu raportu. Przedstawienie posełek także nie było małą rzeczą, bo codziennie wszystkie pułki i brygady artylerii stojące w Warszawie oprócz adiutanta z raportem poselały jeszcze podoficera na ordynans i żołnierza na poselkę do wielkiego księcia, którzy na pokojach w wyznaczonej kolei przy wielkim zgromadzeniu jenerałów, oficerów wyższych i adiutantów wielkiego księcia temuż w przepisanej formule się meldowali; do adiutanta zatem należało ich wyuczyć, jak mają mówić, stąpać itd., i obejrzyć ich od stóp do głów, czy każdy szczegół ubioru, oporządzenia i uzbrojenia był wzorowy i leżał na swoim miejscu. Nie koniec na tym, bo co niedziela adiutanci z swymi podoficerami za paradą defilowali przed wielkim księciem, a gdy kolej nadeszła, dawaliśmy pluton konno na rozjazd na służbę 24-godzinną; tu już oficer był z swym plutonem, ale adiutant musiał go wprzód ze wszystkimi ceremoniami obznać i robić próby z plutonem, ażeby się udało. Wykwintność posuwano do najwyższego stopnia, więcej może nawet, niż sam wódz naczelny tego sobie życzył, np. nie dosyć, że kopyta u koni ordynansów i posełek były czernione i lustr miały, ale podkowy były świecące jak polerowane, mając ocyle stalowe wśrubowane.

Służenie także w artylerii konnej było kosztowne; oprócz wielkiego munduru, składającego się z kurtki ciemnozielonej krojem ułańskim z czarnymi aksamitnymi rabatami, wyłogami i mankietami, oprócz rajtuzów tegoż koloru z pąsowymi podwójnymi lampasami, kołpaku okrągłego czarnego z złotą armaturą, srebrnymi kordonami i takąż bombką na wierzchu, z ładownicy czarnej lakierowanej z srebrnym polskim orzełkiem na złotym szerokim, jak dłoń, galonie wiszącej, z pendentą złotego i pałasza prostego w żelaznej pochwie

z mosiężną złożoną rękojeścią — mieliśmy jeszcze wicemundur; był to frak, rajtuzy powyższe lub spodnie obcisłe bez lampasów do butów węgierskich i kapelusz stosowany z piórem pływającym, które od spodu do połowy było pąsowe, a reszta białe i pałasz; na bale frak i kapelusz zostawały, lecz zamiast długich spodni i pałasza mieliśmy białe krótkie spodnie, białe jedwabne pończochy, trzewiki i szpadę; na codzienne zresztą ubranie był surdut mundurowy, szaraczkowe rajtuzy i furażerka. Na konia także, który pod oficerem w całym wojsku był anglezowany, a więc rasowy, i 60 do 100 dukatów kosztował, był także czaprak dwójaki; na mniejsze wystąpienia i marsze był sukienny ciemnozielony z lampasem i wypustkami pąsowymi z cyfrą cesarza po bokach, na większe był takież czaprak z lampasem podwójnym złotym, każdy na dwa cale szerokim i cyfrą cesarską metalową złożoną. Dodawszy do tego płaszcz, szlify, bieliznę, obuwie, pistolety, mantelzaki, rękawiczki, ostrogi, osiodłanie i drugiego konia, pojmujemy ogromny koszt ubrania jednego oficera i wielkie pakunki na czas marszu lub kampanii, gdy za wojskiem jak najmniej prywatnych rupieci iść powinno, które już u Rzymian zwały się impedimentami (przeszkodami); niedługo też potem wielki książę skasował oba czapraiki, a jeden barankowy z lampasem pąsowym zaprowadził, niemniej kordony zastąpione zostały w całej jeździe sznurem srebrnym, około szyi pętlicą ściągany. Proszę mi wybaczyć te nudne drobnostki; uczyniłem o nich wzmiankę, bo na mnie przeważnie wpływały. Na kupno kosztownych koni rząd nam zaforszusiwał potrzebny fundusz do umorzenia z żołądka w przeciągu jednego roku bez procentu, co się też udało; przedstawienie do tej pożyczki musiałem wymotywować, ale nie żał było pracy, bo skutek pomyślny nastąpił.

W ciągu pobytu w Warszawie brygada otrzymała nowe działa, parki, konie, zaprzęgi, słowem wszystko jak z igły; ludzi zaś dostała częścią z dawnych żołnierzy artylerii konnej, częścią popisowych, ale występując potem kilka razy przed wielkim księciem to na musztry i manewra, to na defilady, chociaż to niby pod okiem i firmą Gerstenzweiga, który był naszym quasi-instrukтором i inspektorem, w. ks. Konstanty zawsze brygadę złażał, a pułkownika Hurtig z błotem mieszał. Przykro nam to było nadzwyczajnie, bo nic podobnego przed frontem w życiu nie słyszeliśmy, ale wkrótce oficerowie doszli źródła niełaski na naszą brygadę. Pierwszy powód był nienawiść wielkiego księcia do pułkow-

nika Hurtig, ponieważ on w kampanii 1812 czterokonny furgon zabranymi w Moskwie kosztownościami z Rosji do Warszawy przyprowadził, za co nie tylko wojsko, ale cały naród polski go nie cierpiał, bo go splamił; człowiek przecież honoru życie swe chętnie w ofierze dla ojczyzny poniesie, ale się żadnym podłym czynem nie skazi; zresztą był mały, niepoczesny, nawet nieco ułomny i siedział na koniu jak pies na płocie, jak to mówią. Drugi, niemniej ważny powód niechęci wielkiego księcia ku nam był, że dwunastu oficerów we froncie będących, mianowicie: dowódca brygady, adiutant, dwóch dowódców baterii i ośmiu komendantów plutonów — wszyscy mieli order Legii Honorowej, oprócz trzech czy czterech, którzy mieli krzyże polskie, lecz za to niektórzy mieli po dwie dekoracje, francuską i polską, co było także grzechem nieprzepuszczonym w oczach wielkiego księcia i niektórej naszej starszyny, która szybko na jego stronę — jako istoty grymaśnej, a razem wszechmocnej — przeszła; nazywano nas też napoleonczykami, liberalistami, reformistami itp., którzyśmy się tak łatwo do nowego jarzma nagiąć nie mogli. Przecież Bóg się nad nami zmiłował i natchnął wielkiego księcia myślą zbawienną, że brygadzie miasto Łęczycę na stanowisko stałe wyznaczył.

Dnia tedy 8 kwietnia 1815 na mocy rozkazu generała Siemakowskiego wyrobiłem kartę drożną dla brygady do marszu do Łęczycy; a procedura w tej mierze była następująca: w placu napisano wezwanie (inwytację) o nią do komisarza wojennego, który ją wygotować kazał, z nią trzeba było iść powtórnie do placu do podpisu. Wyruszywszy więc z Warszawy po defiladzie w dniu 9 kwietnia, szliśmy przez Błonie, Sochaczew, Łowicz, Piątek do Łęczycy, gdzieśmy 13-go stanęli. Kwaterę dostałem bardzo porządną u doktora Kraśnika, który miał córkę młodą, jedynaczkę, dobrze na fortepianie grającą; wkrótce zrobiłem znajomość i przyjemnie czas zbywający tam przepędzałem.

Niedługo urządziłem się z moją służbą tak, że do południa wszystko odrobiłem, a drugą połowę dnia miałem wolną dla siebie, a stojąc tam przez całe z górą cztery lata, bo aż do listopada 1819, co dzień czytając i robiąc wypisy, napisałem dwa tomy in folio i trzeciego kawał, każdy o stu arkuszach, pod tytułem „Chwile swobodne”, które już w Paryżu pisać zacząłem; oprócz tego co rok napisałem trzy równie grube tomy książek służbowych, o których wyżej mówiłem. Wieczory zaś przepędzaliśmy kilku oficerów starszych u jednego

z nas po kolei, bo też to byli ludzie wykształceni i w pożyciu uprzejmi, jak: kapitan Chorzewski, porucznicy Bem i Wilson od inżynierów, Gładyszewski, Turowski i podsądek Ziemecki (umarł już dawno prezesem Trybunału Lubelskiego), który do nas tak przystał, że wychodząc wieczorem z inkwizytoria, nie szedł do żony i dzieci, ale do nas, i czas przepędzaliśmy przy herbatce i przekąskach na gawędce o tym, co każdy z nas w dzień przeczytał (a „Gazetę Warszawską” trzymaliśmy), to na szachach, wiście lub koncerciku, ponieważ Gładyszewski grał na skrzypcach, a Chorzewski, Wilson i ja graliśmy na gitarach hiszpańskich. Wyszliśmy coś na tych Hiszpanów, którzy przegrawszy bitwę przeciw Francuzom, razem z obozem 10 000 gitar utracili. Raz znowu spotykam służącego jednego z tych panów i pytam go się: — Są panowie? — Są. — Co robią? — Grają. — A w co? — W gitary.

Był tam także w Łęczycy oficer od weteranów (nazwisko przepomniałem), wyborny człowiek, który służąc jeszcze w legionach we Włoszech, był i na St. Domingo, miał nam tedy wiele do opowiadania i chętnieśmy go słuchali. Otóż będąc przez dwadzieścia lat porucznikiem, postąpił na kapitana; idziemy więc wszyscy razem mu powinszować, szepcząc mu przy tym do ucha, że to nieładnie, iż przez intrygę stopień uzyskał — ledwie mógł się od śmiechu utulić.

Niedługo pułkownik Hurtig u nas gościł; wielki książę go nie cierpiąc odjął mu komendę, a zrobił dowódcą brygady podpułkownika Szubert, który obecnie służył w artylerii pieszej, ale za Księstwa Warszawskiego był w artylerii konnej. Był to piękny mężczyzna, siedział dobrze na koniu, serce miał dobre, ale umysł ograniczony, podobał się więc ze swej powierzchowności wielkiemu księciu i odtąd los brygady zmienił się o wiele na lepsze; Hurtig zaś za wpływem Haukego ministra wojny, którego był szwagrem, został później generałem i komendantem twierdzy Zamościa, ale w rewolucji został aresztowany, do Warszawy przywieziony i w r. 1831 przez pospólstwo powieszony.

Że mi żal było całe zimowe wieczory na samej zabawie przepędzać, kiedy część ich mogłem pożytecznie, choć nie dla mnie, to dla innych użyć, a widząc podoficerów obu baterii, samą prawie szlachtę — a było ich przeszło trzydziestu — po kątach w mieście czas na fajce i hulance marnujących, wpadłem na myśl dawać im co wieczór, po dwie godzin, matematyki zastosowanej do sztuki wojennej. Szło tylko o lokal, oświetlenie i tablicę; przedstawiłem to Szubertowi, który mi

chętnie wszystkiego dostarczył. Wybrałem kilkunastu zdaniejszych, którzy szkolne nauki przechodzili, i kurs rozpocząłem; a żem sobie wprzód jeszcze sprowadził z Francji dzieło wydane na rozkaz generała Bellavène, komendanta szkoły wojskowej w St. Cyr, przez czterech tamże profesorów matematyki: Allaize, Puissant... napisane, i cztery tomy matematyki podpułkownika i profesora tejże nauki w szkole wojskowej w Wiedniu Wegi, i piąty tom logarytmów tegoż autora, obadwa dzieła dziwnie ku memu celowi służące, jako traktujące matematykę zastosowaną do artylerii, fortyfikacji, taktyki i strategii — układałem więc z obu kurs po polsku i oprócz ustnego wykładu udzielałem słuchaczom tenże kurs arkuszami do przepisywania, a gdy ta młodzież ujrzała inny wykład i usłyszała nowe zupełnie rzeczy w zastosowaniach, które często trudniejsze, a zawsze ciekawsze są od gołej teorii, pracowała z największą chęcią i zapalem nad przerabianiem i przepisywaniem tego, co słyszała; pilniejsi nawet naprzód przepisywali, że ledwie ich życzeniom mogłem wystarczyć.

Nie wiem, jakim sposobem mój generał Sierakowski o tym się w Warszawie dowiedział (bo rząd rosyjski miał jak najrozleglejsze szpiegostwo uorganizowane) i kazał sobie przysłać parę arkuszy tego wykładu, z których mógłby wartość całości ocenić, ponieważ sam był za Stanisława Augusta profesorem matematyki w Szkole Rycerskiej w Warszawie. Posłałem mu je, wkrótce kazał mi do siebie przyjechać, a posadziwszy obok siebie i uczęstowawszy, zaczął mnie pytać, skąd ja to mam, com w tych arkuszach umieścił. Odpowiedziałem, jak było. Podobało mu się, że oficer niższy nie tylko nie szczędził kosztów na sprowadzenie dzieł wcale drogich z Wiednia i Paryża, ale je jeszcze na polski język w skróceniu przekładał, tym bardziej, że w wielu materiach inny porządek, inny pogląd i inne pomysły były, niż za jego czasów; podziękował mi za to i prosił, żebym w tym moim przedsięwzięciu nie ustawał, czyniąc razem wzmiankę, iż, ponieważ na wiosnę w korpusie potrzeba będzie kilku oficerów, moi podoficerowie naturalnie przed wszystkimi pierwszeństwo otrzymają, bo egzamin zdać potrafią. Działo się zaś to w r. 1818 i w samej rzeczy kazano mi czterech na wiosnę 1819 posłać do Warszawy, bo miejsc nie było więcej; wybrałem najlepszych, którzy po odbytych w Warszawie popisach wszyscy zostali oficerami, a mnie jako za nagrodę posuniono zaraz dnia 13 kwietnia 1819 na kapitana II klasy, czegom się nie spodziewałem, mając starszych poruczników przed sobą. To na-

robiło furorę w całym korpusie artylerii, że jedynie z artylerii konnej czterech zrobiono oficerami, a mnie posuniono bez względu, że miałem starszych przed sobą; lecz z tej małej okoliczności generał nasz powziął myśl zrobienia tego na wielką skalę, com ja na małą w brygadzie wykonał, i to u naczelnego wodza, który nie był zajadłym nauk zwolennikiem, wyjednać potrafił, jak obaczymy niżej.

Nie mogę jeszcze przemilczeć ważnego ustępu z życia mego w Łęczycy. Były tam trzy siostry uczciwych rodziców, jeszcze żyjących, posiadających dom w mieście; najmłodsza z nich, szesnastoletnia Kostusia, ładna i nadzwyczajnie miła, wpadła była w oko naszym oficerom, szczególniejszemu Bemowi, który będąc młodszym o parę lat ode mnie i nad wszelkie wyrażenie do kobiet nieśmiałym, prosił mnie, ażebym jej serce ku niemu nakłonił, nie lękając się mnie bynajmniej, bom u panny Kraśnik bywał. Podjąłem się tej delikatnej misji, ale na nie-szczęście, gdym się do pięknej, niewinnej Kostusi zbliżył, zostałem oczarowany jej wdziękami i rozsądkiem nad wiek rozwiniętym — bo kobiety rychło dojrzewają — a gdym jej po kilku odwiedzinach cel moich posiedzeń przedłożył, odpowiedziała mi z całą niewinną prostotą, jak kiedyś Katarzyna II Poniatowskiemu, że zamiast za drugim się wstawiać, lepiej samemu pozostać, i taką deklaracją mnie dobiła. Rozkochałem się w niej szalenie odtąd, a Bemowi na naszym zebraniu powiedziałem, iż nie mogąc u Kostusi zrobić interesu dla niego, przynajmniej go dla siebie zrobiłem, dodając jej własne oświadczenie. Śmiechu mieliśmy z tego wiele, później mnie wciąż prześladowano, ale zawsze w sposób przyjacielski, próbowano mnie nawet od niej odsadzić, ale i to im się nie powiodło, bo mi zawsze wszystkie zamachy przed nią na mnie knowane wypowiadała i zawsze naśmieliśmy się oboje z tych intryg do syta. Widząc wszakże nasz miłosny związek nie prowadzący do niczego, zadrżałem na myśl, że jej szczęście tamuję, ponieważ nie mogłem mieć nadziei połączenia się z nią węzłem małżeńskim, będąc w stanie woj-skowym, którego mi rzucać nie wypadało, a w którym żona na tysiączne przykrości, osobliwie w marszach, może być wystawioną; ona zaś łatwo mogła wyjść za mąż, gdybym nie był zawadą. Wysłuchawszy mnie odrzekła: „Spodziewałam się tego! Alboż nam tak źle! Chwila obecnego szczęścia więcej znaczy niż wieki szczęścia marzonego! Któż może wiedzieć, czy jutra dożyję! Wszelkie rozkosze jesieni i zimy wieku nigdy nie zastąpią rozkoszy jego wiosny!” Na takie argu-

menta nie zostawało mi jak ucałować z zapalem jej ręce i związek ten, w całym znaczeniu platoniczny, trwał przez całe cztery lata, aż do wyjazdu mego do Warszawy na zawsze.

Godziny moje popołudniowe były więc rozdzielone cokolwiek inaczej, tak że trzy do czterech przepędzałem na czytaniu i pisaniu w domu, dwie poświęcałem oblubienicy, dwie uczniom podoficerom, a ostatnie dwie kolegom. W okolice do obywateli nie wyjeżdżaliśmy wcale, bo i czasu nie było, i lękaliśmy się opilstwa, z którego od dawna Łęczyckie słynęło.

Z tej epoki życia zostaje mi jeszcze jedno zdarzenie do opowiedzenia. Bawił tam w Łęczycy oficer od inwalidów Nowicki, człowiek średniego wieku, ale dla ciężkich ran inwalid; z nikim nie żył i unikano go powszechnie, jako zbyt lubiącego kieliszek, którym się jedynie, jako i polowaniem zatrudniał codziennie; strzelał doskonale i odbył kilka pojedynków szczęśliwie, tak przynajmniej wieść o nim chodziła. Znał od dawna dom rodziców Kostusi, bo w Łęczycy się rodził i wychował, a bywał tam tylko niekiedy. Razu tedy jednego przychodzi dobrze podchmielony i coś mi względem krzyża francuskiego (a nie miał żadnego) przymówił. Odparłem mu z góry i byłoby od słowa do słowa przyszło niezawodnie do pojedynku, ale Kostusia powstała zaraz na niego w wyrazach mocnych i przekonujących, przyłączyły się potem obie siostry, dalej rodzice jako na pijanicę szukającego zaczepki, wszyscy bij zabij na niego, czym zawstydzony stulił uszy i wyniósł się natychmiast. Otóż to jest czwarta i ostatnia może już niewiasta, która mi życie ocaliła, ponieważ bez jej pośrednictwa byłbym go wyzwał, a on jako wyzwany, mający pierwszy strzał, byłby mnie pewno sprzątnął, jak to już z innymi uczynił. Ale niedługo mu żyć przeznaczono, ponieważ z powodu zatargu z nim służącego porucznika Turowskiego o psy na polowaniu, które Turowski także namiętnie lubił, Nowicki takie grubiaństwo słudze na pana powiedział, a co nieroztropny sługa panu doniósł, że Turowski musiał go wyzwać, a że leżał wówczas obłożnie chory, więc Bem, żeby nie zwłóczyć, wziął sprawę kolegi na siebie i wyzwał go na pistolety. Nowicki trafił go w prawe udo, tak że Bem się zachwiał, a mniemając, że mu cios śmiertelny zadał, począł uciekać, lecz sekundanci puścili się w pogoń za nim, dogнали i wyperswadowali mu, że Bem żyje i że mu się strzał należy; wtenczas powrócił, stanął, junacząc, frontem i dostał kulą w brzuch, że na miejscu został. Bem za to poszedł na reformę, tj. na pół żołdu, a wreszcie wziął dymisję; lecz kuli,

która zapewne jedną stronę kości piszczelowej przebiła i w szpiku utkwiała, znaleźć nie mogli ani tu w kraju, ani w Paryżu, ani w Lizbonie, ani w Wiedniu, i z nią do grobu poszedł jako basza turecki w Azji, odznaczwszy się wprzód jako generał w wojnie węgierskiej przeciw Austrii w Siedmiogrodzie.

XXIII

SZKOŁY WOJSKOWE. — RAKIETNICY. — OŻENIENIE SIĘ

Wjesieni 1819 r. powołany zostałem do Warszawy do szkoły zimowej ustanowionej dla oficerów i podoficerów całego korpusu artylerii i inżynierów, tj. saperów tak wojska polskiego jak i rosyjskiego w Polsce stojącego; klas było dwie, wyższa i niższa, profesorami byli: Skrodzki i Kitajewski, profesorowie uniwersytetu do dawania fizyki i chemii po godzinie w tygodniu, kapitan inżynierów Koriot dawał fortyfikacji i jeometrii wykreślnej przez 6 i 3 godzin, kapitan artylerii Bem dawał artylerii przez 6 godzin, ja matematyki przez 12 godzin w tygodniu i to była klasa wyższa; w niższej dawali matematyki porucznicy Błęszyński i Piotrowski. W wyższej klasie było pomiędzy słuchaczami oficerów z gwardii artylerii konnej rosyjskiej, i z naszej artylerii jedenastu, podchorążych i podoficerów rosyjskich było pięciu, a polskich dwudziestu. Szkoła szła wybornie, młodzież przykładała się z wielką chęcią, bo szło jej o awans. Jakoż na wiosnę 1820 po odbytych w przytomności w. ks. Konstantego popisach posuniono na oficerów tylu z słuchaczy, ile miejsc było wakujących, i postanowiono, że nikt odtąd oficerem nie zostanie, jeżeli w tej szkole zdatności, pilności i porządnego prowadzenia nie okaże, mnie zaś wielki książę zaraz na sali po egzaminie posunął na kapitana I klasy (21 maja 1820), czym znowu kilku kapitanów II klasy zasłużeńszych ode mnie przeskoczyłem, ale mnie żaden z nich nie wyzwiał za to, a nawet obrazy swojej uczuć mi nie dał, bo nie protekcja albo intryga, ale zasługa za mną mówiła. Na lato cała szkoła się rozjechała, powracając każdy profesor i uczeń do swego oddziału. Ja przeznaczony zostałem do pułkownika Gerstenzweiga na szefa sztabu dywizji artylerii konnej i stałem przez lato w miasteczku Grójcu, w którego okolicach cała artyleria konna polska i rosyjska, razem cztery baterie, na ćwiczenia zebrana była.

W jesieni tegoż roku już nie tylko zwykła szkoła zimowa się zgromadziła, ale zaprowadzoną została inna szkoła pod nazwą „aplikacyjna” na kilkunastu uczniów, których Korpus Kadetów kaliskich dostarczał. Komendantem jej był pułkownik Sowiński, dyrektorem nauk podpułkownik Kołaczkowski, matematyki dawał profesor uniwersytetu ksiądz Rafał Skolimowski, fizyki Skrodzki, chemii Kitajewski — wszyscy trzech pobierali w Paryżu nauki, dokąd jako celujący uczniowie kosztem rządu dawniej posłani byli — fortyfikacji stałej podpułkownik Kołaczkowski, fortyfikacji polowej i geometrii wykreślnej podpułkownik Koriot, taktyki kapitan Przedpełski, ja artylerii, ponieważ Bem za ów pojedynek z Nowickim był w niełasce i poszedł na reformę; wreszcie byli nauczyciele języków, rysunków itd. Szkoła ta, urządzona na sposób francuski, była doskonała, ponieważ w niej nie tylko wszelkie wyższe wojskowe nauki były wykładane, ale i ćwiczenia tak z bronią jak przy działach miały miejsce; słowem była to szkoła przyszłych generałów, gdyby ówczesny stan rzeczy przez rewolucję nie był się zmienił. Obiedwie te szkoły trwały do 29 listopada 1830 (dnia wybuchu rewolucji) bez przerwy.

Co do mnie, nie tylko że byłem pozbawiony ulubionej Kostusi, ale jeszcze znakomicie byłem obarczony, dając oprócz 12 godzin matematyki w szkole zimowej w tygodniu, jeszcze drugie tyle godzin w szkole aplikacyjnej, tak że codziennie od ósmej rano do dwunastej z pamięci wyklądać było potrzeba, a że obie nauki są ścisłe i rozległe, praca więc była potworna, zwłaszcza że kurs nauki artylerii, któremu nigdy nie słuchał, musiałem z autorów francuskich, niemieckich, z naszego Jakubowskiego i pisarzy rosyjskich (bo cały materiał mieliśmy rosyjski, tj. działa, wozy, amunicję) układać i uczniom arkuszami udzielać. Toteż przez lat dwa — bo kurs nauk w szkole aplikacyjnej był dwuletni — nie sypiałem dziennie jak 4 do 5 godzin, ratując się od ospałości jedynie czarną mocną kawą kilka razy przez dzień i w nocy brana, ponieważ oprócz wykładu ciągłego, oprócz czytania i pisania, miałem jeszcze trzy razy w tygodniu rysunki artyleryczne po dwie godzin po południu; wychudłem też przy takiej pracy niepospolicie, a chociaż byłem konstytucji szczupłej, wszelako przez lat dwa wytrzymałem.

Ponieważ wielki ksiązę powziął był myśl uformowania korpusu raketników pieszych i konnych, gdy dotąd we wszystkich krajach tajemnie pracowano nad udoskonaleniem

rac kongrewskich po pracowniach (laboratoriach) artylerii, ale nigdzie nie było oddziału raketników, który by był na etacie wojska i z nim w manewrach występował — wprawdzie Anglicy spalili w r. 1807 Kopenhagę, gdzie głównie race kongrewskie użyte były, i Szwedzi mieli je w bitwie pod Lipskiem w r. 1813, ale to w małej ilości, jako próbka tego kunsztownego pocisku — że zaś wielki książę wziął sobie za punkt honoru wojsko polskie na najwyższy szczebel doskonałości doprowadzić, do czego nie zawsze stosownych środków przez wzgląd na szczupłe dochody kraju używał i na co nieraz car Aleksander się krzywił, a potem Mikołaj — postanowił więc w wojsku polskim zaprowadzić raketników konnych i pieszych, przeznaczając na dowódcę korpusu generała Bontemps, mnie na dowódcę raketników konnych, a kapitana Skalskiego na dowódcę raketników pieszych i twierdzę Modlin za miejsce organizacji nam wyznaczył, wybierając sam ludzi kształtnych z dziewięciu pułków jazdy polskiej do raketników konnych, a konie z tychże pułków na rachunek wybrakować się mających, z zastrzeżeniem, iżby mimo wieku były zdrowe, okazałe i bez narowów. Krawców zaś, rymarzy i innych rzemieślników dostarczyły rozmaite pułki tak polskie jak rosyjskie, którzy pracując przez całą zimę r. 1822/23 z wiosną wszystko ukończyli, a nawet tabor cały raketniczy w arsenale naszym zbudowany na żelaznych osiach dostałem, w cztery konie zaprzężony, gdy cała artyleria rosyjska i polska miały drewniane osi i jaszczyki, tj. wozy amunicyjne trzema tylko końmi zaprzężone. Zamiast dział raketnicy mieli kozły; była to rama z lanego żelaza na czterech kołach osadzona, z której trzy race kongrewskie naraz puszczać można było; a że to była tajemnica stanu, więc rama okryta była oponą drelichową, na zielono, jak cały park malowaną, tak że występując z wojskiem na manewra, nikt nie mógł widzieć aparatu pod oponą ukrytego. Do tego zaś stopnia tajemnicy przestrzegano, że gdy podczas każdorocznego zbierania się wojska do obozu i w okolice Warszawy od 8 czerwca do 8 września na ćwiczenia, miałem race rzucać do tarczy murowanej pod Szwedzkimi Górąmi blisko Powązek, winienem był w wigilię sztab obozu o tym uwiadomić, a nazajutrz był cały plac żandarmami obstawiony, którzy nikomu, nawet generałom piechoty lub jazdy, przez ich łańcuch przejść nie dozwolili. Dowództwo zaś raketników konnych otrzymałem z szczęśliwego dla mnie usposobienia wielkiego księcia, który mając sobie na tę posadę aż

trzech, przez generała Hauke przedstawionych, mianowicie: kapitanów Chorzewskiego z artylerii konnej, Chrzanowskiego z kwatermistrzostwa i mnie z artylerii konnej, mnie, najmłodszemu z nich, takową przeznaczył.

Już w r. 1823 poszedłem w marsz do Brześcia Litewskiego, dokąd całe wojsko polskie i znaczna część rosyjskiego na manewra letnie przed carem się zgromadziły, a stamtąd powróciłem już nie do Modlina, gdzie pod wielu względami stanowisko było niemiłe, ale do miasta Warki w Czerskiem, gdzie aż do rewolucji stałem.

Oprócz kozłów czterokołowych, wyżej wspomnianych, były jeszcze dwa gatunki koziołków ręcznych, łatwo w rękę przenośnych, mieszczących się także w wozach rakiетniczych: pierwszy gatunek był na dwa łokcie wysoki, osadzony na trójnożku jak stoliki miernicze; można je było na dom, na wieżę wynieść i stamtąd race puszczać; drugie poziome, z żelaza na sześć cali wysokie, służące do poziomego — np. na równym gruncie, jak łąka, albo wzdłuż zagonów — puszczenia rac przeciwko wojsku, bo wówczas ogony sosnowe, z natury kruche, się nie łamały, co zwykle następowało, gdy race w pewnym podniesieniu rzucane, o ziemię uderzały. W Indiach wschodnich, skąd race te pułkownik angielski Congreve wywiózł, ogony były z trzciny bambusowej, która będąc giętką, w podskokach racy się nie łamała; u nas żaden gatunek drzewa europejskiego zastąpić jej z równym skutkiem nie mógł.

Rac zaś było trzy gatunki: pierwsze zakończone ostrym stożkiem lub kulą przeciw wojsku; drugie zakończone granatem, który podczas lotu racy raził jak gatunek poprzedni, a w końcu pękając szerzył spustoszenie; trzecie, opatrzone stożkiem dla przerzynania powietrza, miały na końcu haczyki, które się drewnianych przedmiotów, jak budowle, statki, czepiały i szmelcem skalistym przy dopaleniu się racy z nich płynącym a nieugaszalnym zapalały. Doniosłość ich była taka jak armat sześćfuntowych, ale trafność pocisków daleko mniejsza, bo za lada wiatrem z boku z linii celu zbaczały, i to nie z wiatrem, jak wszystkie okrągłe pociski tego doświadczają, acz nie w takim stopniu, ale pod wiatr idą z powodu, iż ogon, będąc długim na kilka rac, a środek ciężkości racy z ogonem znajdując się przy końcu racy i zmieniając się co chwila w miarę palenia się i ubywania materii, którą raca jest nabita, wiatr więc działający razem na racę i na ogon, którego powierzchnia jest nierównie większa od

powierzchni racy, działa naturalnie mocniej na ogon niż na racę, która wykręcając się na swoim środku ciężkości jak na sworzniu, tym samym idzie pod wiatr. Części składowe zaprawy racy są te same co prochu, mianowicie: siarka, saletra i węgiel, ale w innym stosunku są w racy, w innym w prochu.

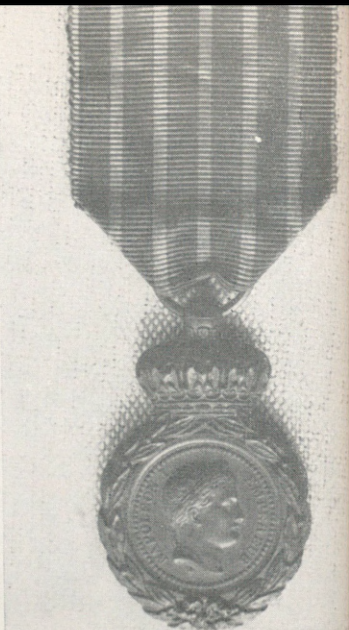
Tu przypominam sobie pewną okoliczność z r. 1822, gdy będąc przy szkole aplikacyjnej mieliśmy odwiedziny wielkich książąt Mikołaja (późniejszego cara) i Michała; pierwszy był generałem inżynierów, drugi generałem artylerii. Mnie zawołano — mieszkałem bowiem w domu rządowym przy ulicy Miodowej, gdzie dziś jest hipoteka i apelacja, a wówczas była nasza szkoła — bom miał klucze od pięknych szaf, w których pyszne modele machin i silni w Londynie na obstalunek z mahoni, stali, mosiądzu wyrobione się znajdowały, jak: maszyny parowe rozmaite, maszyny do ciągnięcia pałaszy między dwoma walcami, do wiercenia luf karabinowych po kilkadziesiąt naraz, do toczenia i wiercenia dział itp., najrozmaitszego kształtu i użycia, że Petersburg tak wykwintnych modeli nie posiadał. Przybywszy, zastałem tylko wielkich książąt i pułkownika Sowińskiego; zaraz mnie książę Michał, dowiedziawszy się, że dawałem kurs artylerii, wziął na bok do framugi okna i zaczął pytać, co szczerze myślę o zaprzęgach rosyjskich w porównaniu z angielskimi i francuskimi, o jaszczkach rosyjskich dwukołowych, o drewnianych całej ich artylerii osiach itp. Odpowiadałem na wszystko otwarcie, wykazując wszędzie korzyści i niedostatki za i przeciw, po czym pp. bracia zaczęli się spierać żartem o wyższości broni artylerii i inżynierii, a gdy ta walka dosyć się przeciągała, wtenczas w. ks. Michał, wziąwszy Sowińskiego i mnie pod rękę, odezwał się: „Obaczmy, kto wygra, nas jest trzech zasłużonych artylerzystów, a inżynier tylko jeden”. Obejrzawszy więc wszystko i zabawiwszy dosyć długo i poufnie, dając poznać nam ludziom fachu, że i na tronie zrodzeni mogą mieć gruntowne wiadomości, zadowoleni odeszli. Czynię tu jeszcze wzmiankę, że w. ks. Mikołaj był wówczas bardzo popularnym, ponieważ nigdy nie mógł mieć nadziei, mając dwóch braci starszych, Aleksandra i Konstantego, w pełnej sile wieku będących, zasiąść kiedyś na tronie Rosji.

Jak, zostawszy adiutantem brygady artylerii konnej, a potem nauczycielem kursu artylerii, nie miałem poprzednika i sam sobie lody łamać musiałem, to samo doświadczyłem

służąc u raketników, gdzie rękoczyny z racami kongrewskimi trzeba było wymyśleć, ułożyć i napisać. Pracę więc znowu miałem niemałą, ponieważ oprócz licznej korespondencji — to z powodu złego umieszczenia parku raketniczego w Warce jako tajemnicy stanu, to z powodu personelu nie dosyć dobranego itp. — raporta aż na siedm rąk pisać było potrzeba, mianowicie: w języku polskim do najjaśniejszego pana, do naczelnego wodza, do Komisji Wojny, do generała artylerii Hauke i do generała Wincentego Krasieńskiego, który gwardią komenderował, a raketnicy byli do niej przyłączeni; dalej we francuskim języku raport do generała Bontemps, jako dowódcy raketników; na koniec w języku rosyjskim do pułkownika Gerstenzweig, który był naszym, jak cała artyleria konna, inspektorem. Dodawszy do tego codzienne ćwiczenia żołnierzy i koni, administrację dodawszy, tj. żywienie ludzi i koni, ubieranie ich, rachunkowość z Komisją Wojny prowadzoną co do żołdu i innych funduszy dowódcom powierzonych, przyjmowanie generałów, Haukego, Krasieńskiego, Bontemps i Gerstenzweiga, którzy na musztry i lustracje dla przypodobania się naczelnemu wodzowi (bo tę broń, jako nową i w świecie rzadką, szczególnie polubił) często zjeżdżali — tak że się zdarzało, iż gdy jeden wyjechał, drugi tego samego dnia przybył, i żołnierzowi zabrakło czasu do oczyszczenia się na nowe wystąpienie; a najprzykrejsze było, gdy jaki gość do Warszawy przybył, jak np. księżę Cumberland, marszałek Marmont itp., ruszać po otrzymaniu rozkazu sztafety na całą noc z Warki pod Szwedzkie Góry tuż przy Powązkach (blisko mil polskich ośm), tam się oczyścić i o dziewiątej rano racy do tarczy przed wielkim księciem i gościem jego rzucać — a będziemy mieli pojęcie o rozlicznych i mnogich zatrudnieniach, które mnie zajmowały. Ale szło wszystko jakoś dobrze, bo oficerów było kilku; podoficerów, między którymi byli hrabiowie: Plater, Męciński, tudzież Michałowski, Banzemer i inni zdolni młodzieńcy, było kilkunastu; żołnierze, jako przez wielkiego księcia wybierani, bardzo przystojni i najlepszą ożywnością, ponieważ każdy pięć do sześciu groszy, według klasy, pobierał więcej dziennie niż żołnierze piechoty lub jazdy; a konie, których cztery maści: gniade, siwe, kasztanowate i kare pierwsiotkowo dostałem, w lat trzy były same czysto gniade i rasy polskiej; nareszcie zamiast dwóch etatowych trąbaczy zaprowadziłem muzykę na dętach instrumentach z ośmiu ludzi złożoną, którzy przez cywilnego kapelmistrza, przed je-



Szkoła wojskowa aplikacyjna, 1820—1826. Oficer, kadeci, profesorowie



Ordery Józefa Jaszowskiego:
Virtuti Militari, medal brązo-
wy Wyspy Św. Heleny, krzyż
Legii Honorowej

nerałami także w naszym mundurze występującego, grali nieźle rozmaite sztuczki.

Ponieważ miałem z koni znaczny dochód, zakupując od obywateli z okolicy grube partie owsa, siana i słomy, czym mnie utrzymanie stu kilkudziesięciu koni daleko mniej kosztowało, niż rząd na to przeznaczał, a co razem z moim żołdem kilkanaście tysięcy rocznie czyniło, więc mimo wydatku na kosztowne konie — bo niektóre pod podoficerów skrzydłowych po 70 dukatów płaciłem — mimo wydatku na muzykę i inne wykwintności, zawsze mi rocznie kilka tysięcy złp. oszczędzonych pozostało, a że całe pierwsze piętro z balkonem w najpierwszym domu w rynku zajmowałem i do przyjęcia żony nic mi nie brakowało, zaczęto mnie na gwałt swatać. Opierałem się jak mogłem, przedstawiając niestosowność wieku (ja miałem lat 39, a panna 18) i nawyknięcie do życia kawalerskiego, to nic nie pomogło; pojąłem tedy za żonę pannę Klementynę Kicińską dnia 7 lutego 1827 r. Rodzice żony, dając mi posag w gotowiźnie, życzyli sobie, żebym go w ziemię włożył, jakoż na św. Jan 1827 r. kupiłem za ich nastręceniem wioskę w Czerskiem, Łychowską Wolę, o dwie mil od Warki, gdzie stałem, a o milę od Lechanic, gdzie rodzice żony mieszkali, odległą, w dobrej glebie około 30 włók chełmińskich mającą, ale bez lasu i spustoszoną co do budynków, i wypuściłem ją zaraz p. Stanisławowi Bykowskiemu na lat trzy w dzierżawę, którego ojciec od dawna ją trzymał i tam umarł.

W rok po ożenieniu urodziła mi się córka Maria, potem druga, Leokadia; obiedwie żona, za moją namową, karmiła, jako silna i zdrowa osoba; lecz pierwsza córka umarła na gripę z winy doktora, który ją na zapalenie gardła leczył, a druga na cholerę w r. 1831, gdy ośmnaście osób na tę chorobę we wsi umarło. W roku bowiem 1830, jak gdybym przeczuł rewolucję, po trzech skończonych latach dzierżawy, odebrałem wieś na siebie i nieźle trafiłem, co się okaże.

Teraz kolej przychodzi na naszą rewolucję z lat 1830/31.

XXIV

POWODY REWOLUCJI POLSKIEJ Z ROKU 1830/31 BIORĄ POCZĄTEK OD DAWNA

Ponieważ ta rewolucja nader ważną była, zdało mi się potrzebą szerzej ją dla wiadomości przyszłych pokoleń opisać.

Dzieło doktora filozofii Spaziera*, w niemieckim języku, w trzech grubych tomach o niej piszące, było za obszerne, iżbym go mógł przed moją niedaleką śmiercią tu wcielić, to-mik zaś lorda Broughama, żyjącego w przyjaźni z księciem Adamem Czartoryskim w Londynie, tłumaczony przez L. Chodźkę**, acz wyborny, był za szczupły, z obu więc pi-sarzy korzystać nie mogłem, tym bardziej że ich nie posia-dałem, lecz tylko pożyczone na krótki czas w r. 1859 miałem; ale dzieło w jednym słusznym tomie Karola Neufelda***, kapitana wojska polskiego w czasie rewolucji, dziwnie mi przypadło do mego planu, tym bardziej że je cudem prawie (ponieważ wszelkie książki w tej materii wydane nie miały do kraju naszego przystępu i jak najsurowiej zabronione były) nabyłem na własność w drugim już wydaniu w Hanau w r. 1833, bo pierwsze wydanie Niemcy w przeciągu roku jednego rozerwali; z niego więc, po części skracając co do historii polskiej każdemu mniej więcej wiadomej, a resztę dowolnie tłumacząc, rys tej rewolucji i wojny z niej powsta-łej przedstawiam.

[...] ****

Wstrzymujemy się tu od podania rysu nowej moskiewskiej administracji; tyle tylko powiemy, że zarząd krajem pozostał

* Richard Otto Spazier: „Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes in den Jahren 1830—1831...”, 3 tomy, Altenburg 1832; wyd. II: Stutt-gart 1834; tłum. pol.: Paryż 1833.

** Henry Brougham: „Polska, przez lorda..., teraźniejszego kanclerza Wielkiej Brytanii”, Warszawa 1831; wyd. II: Bruksela 1831, z uzupełnieniem Leonarda Chodźki.

*** por. s. 18.

**** W pamiętniku następuje szczegółowa relacja o powstaniu listopa-dowym, według dzieła Karola Neufelda, na 397 stronach rękopisu (od strony 216 do 613) w pięciu rozdziałach: XXIV (którego początek przytoczy-liśmy), XXV: Polska od roku 1796 do kongresu wiedeńskiego, XXVI: Polska od kongresu aż do rewolucji, XXVII: Od wybuchu rewolucji aż do roz-poczęcia wojny, XXVIII: Od rozpoczęcia wojny do jej końca. Relację tę pomijamy. Przytoczone w dalszym ciągu końcowe rozważania Neufelda zamykają rozdział XXVIII pamiętnika.

Książka kapitana Neufelda nie została przetłumaczona na język polski. Zawiera ona zarys przyczyn historycznych wybuchu powstania listopado-wego i dość szczegółową relację z jego przebiegu. Jako wyraz poglądów panujących wśród frontowych oficerów średnich stopni, obrazuje ich sto-sunek do założeń rewolucji, jak również zapatrywania na sposób jej pro-wadzenia i działalność dowódców oraz kierownictwa politycznego.

na czysto wojennej stopie pod kierunkiem feldmarszałka Pa-skiewicza i że car ukazem w dniu 26 lutego 1832 r. zaprzy-siężoną przez poprzednika i siebie konstytucję zniósł. Język polski jako podstawa narodowości został ścieśniony, skarb publiczny do Petersburga przeniesiony, uniwersytet rozwią-zany, wojsko zniesione, biblioteka publiczna, przeszło 200 000 tomów w sobie mieszcząca, równie jak skarby sztuki zostały do stolicy moskiewskiej przewiezione. Następnie wybudowa-na została cytadela w Warszawie kosztem kraju dla utrzy-mania warszawian w szachu. Polakom nic nie zostało, jak wspomnienia ich wielkiego nieszczęścia i cisnące kajdany, które im zwycięzca nałożył.

Zamykamy to pismo z uczuciem, że czytelnik, gdy losy polskiego narodu, jego powolne powstawanie, zenit jego wielkości, jego pożyteczność w równowadze państw Europy i jego upadanie, jego niczym nie usprawiedliwione między sąsiadami rozszarpanie, na koniec ucisk, jaki w trzech pierw-

Dla osobowości autora pamiętnika, uznającego poglądy kapitana Neu-felda za bliskie własnym zapatrywaniom, charakterystyczne są następujące kwestie, zawarte między innymi w opuszczonych rozdziałach pamiętnika:

- a) podkreślenie roli, jaką odegrało w powszechnym przystąpieniu do powstania wojska Królestwa Kongresowego, uwolnienie przez w. ks. Konstantego z przysięgi złożonej carowi;
- b) zdecydowane przekonanie o możliwości uzyskania dużych sukcesów militarnych, połączone z wątpliwościami co do szans wygrania wojny, wobec ogromnej dysproporcji w zasobach znajdujących się w dyspozycji partnerów;
- c) krytyczne ustosunkowanie do działalności kierownictwa politycznego, szczególnie do powierzenia wojskowym prowadzenia spraw dyplomatycznych;
- d) krytyczny stosunek do działań poszczególnych dowódców wojsko-wych;
- e) względna aprobaata stanowiska czynników demokratycznych, działa-jących m. in. w Sejmie, w szczególności projektów zmierzających do uregulowania sprawy chłopskiej, z równoczesnym potępieniem akcji z jednej strony zachowawczej partii arystokratycznej, a z drugiej radykalnych wystąpień, które doprowadziły do rozruchów w połowie sierpnia 1831 r.

Ogólny pogląd autora na powstanie listopadowe (przedstawiony — na-leży pamiętać — dopiero w trzydzieści lat po jego upadku) zawiera nie-liczne momenty zbliżone do stanowiska rewolucyjnej demokracji polskiej w połowie XIX wieku, zasadniczo jest jednak daleki od jakiegokolwiek radykalizmu, a co więcej, przepojęny duchem solidarności zawodowej ze środowiskiem zawodowych oficerów wojska polskiego okresu 1815—1831, co wywarło istotny wpływ na ocenę postawy moralno-politycznej generalicji i naczelnego dowództwa w czasie wojny 1831 roku.

szych dziesiątkach bieżącego stulecia, znosił, weźmie pod uwagę usiłowanie jego w zruceniu obcego jarzma i zajęcia należnego mu miejsca w wielkiej ludów europejskich rodzinie, walkę toczoną jako ugruntowaną na najświętszych prawach człowieka uzna. Ale inaczej los nieubłagany postanowił. Najwyższy zapal, wszystka krew przelana, nie miały mieć świetnego końca. Polska była przeznaczona jeszcze raz ulec i nieprzenikliwej przyszłości zostawione zostało temu narodowi samoistność przywrócić, do której niezaprzeczone ma prawo.

XXIX

OPIS KAMPAII ROKU 1830/31 PRZEZE MNIE ODBYTEJ

Opisawszy naszą walkę rewolucyjną z niemieckiego autora Neufelda, wypada, wracając do obranej kolei, uczynić wzmiankę, jak ja ją odbyłem.

Dnia więc 29 listopada 1830 wybuchła rewolucja w Warszawie, jak echo rewolucji francuskiej z tegoż roku lipcowej. Wiadomo, że ucisk powszechny i jarzmo żelazne ją wywołały; rozpoczęła ją szkoła podchorążych piechoty, z kilkoma oficerami grenadierów gwardii, 4 pułku piechoty liniowej i saperów, połączona z młodzieżą uniwersytecką; powyższe oddziały wojska stale w Warszawie stały i przykrą nader służbę pełnić musiały. Po wybuchu zaraz całe wojsko i naród do rewolucji się przyłączyły. Była to walka z olbrzymem, a jakkolwiek wiele krwi polskiej w tej dziesięciomiesięcznej walce się przelało i kraj zubożał, wszelako Polacy świata dowiedli, że bezkarnie ich znieważać nie można.

Kampania ta była także przykra, ponieważ przez całą zimę była prowadzona, a rozmaite marsze i kontrmarsze, często bez wyrozumowanego celu robione, wojsko bezpotrzebnie zużyły i smutny jej koniec, nie z braku sił materialnych, bo kraj hojnie wszystkiego dostarczał, ale z niedostatku zdolnych generałów, zapowiadały; toteż w żadnej kampanii tyle razy z dział do nieprzyjaciela nie paliłem, ile w tej, bo aż dziesięć razy z artylerią rosyjską się biłem.

W Warce, miasteczku w Czerskiem nad Pilicą, gdzie miałem kantonament, już nazajutrz rano dowiedzieliśmy się o rewolucji w Warszawie, ponieważ rakietnicy konni i piesi,

stojąc od siedmiu lat w tym miejscu i wydając w miesiąc kilkanaście tysięcy złp. na żołąd i furazę, niemało przyczyniali się do handlu, przemysłu i wzrostu miasta i okolic; Żydzi więc, którzy ze zbożem do Warszawy w dniu 29 listopada pojechawszy, tamże na noc stanąć mieli, znaleźli rogatki miasta zamknięte, a dowiedziawszy się co mogli, na całą noc z powrotem do domu ruszyli i rano dnia 30-go wiadomość tę po mieście roznieśli.

W parę dni dostałem rozkaz od generała Chłopickiego, ażeby z moim oddziałem do Warszawy przybył, a razem w marszu unikał spotkania się z pułkami moskiewskimi, zostającymi pod rozkazem w. ks. Konstantego, zawiadamiając mnie razem, że w. ks. Konstanty wojsko polskie od przysięgi na wierność monarsze złożonej uwolnił. Szedłem więc manowcami i lasami i stanąłem szczęśliwie w Warszawie w koszarach jazdy na Solcu, nie spotkawszy nikogo z Moskali. Napisałem zaraz do Komitetu Artylerii przedstawienie, ażeby mi albo po dwa konie do wozów amunicyjnych rakietycznych dodano, ponieważ były za ciężkie na cztery konie na kampanię, gdzie się nie zawsze po bitych drogach jeździ, albo żeby rakiетników konnych zamieniono na artylerię konną, albowiem większe miałem zaufanie w działach, których pociski trafniej do celu idą, niż w racach kongrewskich, które za łada wiatrem znacznie od celu zbaczają, a co gorsza, za dotknięciem się ziemi z powodu łamania się ogonów (sosnowych) iść przestają. Komitet uznał słuszność mych uwag i dał mi tymczasowo ośm dział trzyfuntowych tureckich, które się w Sielcu pod Warszawą, majątności w. ks. Konstantego (dziś jest tam rządowa fabryka tabaki i tytoniu), znajdowały, bo innych wówczas w Warszawie nie było, dodając mi ludzi, koni i amunicji na całą baterię. Zaraz zająłem się ubraniem i ćwiczeniami ludzi i koni i już dnia 7 lutego 1831 jedna półbateria, tj. cztery działa wyruszyły w marsz z pułkownikiem Jankowskim, a z drugą półbaterią wyruszyłem dnia 14 lutego w marsz do Łajska, gdzie nas postawiono w dolinie między dwoma wzgórzami. Nie tylko że mróz był tęgi, ale wiatr tym przesmykiem wiejący był tak ostry, żeśmy wszyscy długą noc przy ogniskach na przechadzaniu się po śniegu i lodzie przepędzili, inaczej bez tego ruchu bylibyśmy pomarзли. Dnia 19-go obie półbaterie połączyły się przy kolumnie drogowej za Pragę i odtąd były już nierozdzielne.

Dnia 25 lutego zaszła pierwsza walna bitwa z Moskalami pod Grochowem, gdzie całe siły polskie wystąpiły i Polacy z powodu waśni i nieporozumień między generałami — Chłopicki był nawet ranny — sami bez wodza walczyli, Ja z baterią zaraz z rana byłem przydzielony do 2 brygady naszych ułanów złożonej z pułków 2 i 4, składając rezerwę niewielką za środkiem. W ciągu dnia ubito mi kilka koni, ale człowieka żadnego nie straciłem. Wspomniane dwa pułki, wysyłając po szwadronie tu i owdzie, całe się potem rozplynęły, tak że po południu sam zostałem na polu, nie mając żadnej osłony i słysząc tylko na całej linii gęste wystrzały. Wtem już nad wieczorem postrzegam piechotę moskiewską w szyku bojowym rozwinioną, ku nam krokiem szturmowym dążącą — była to gwardia moskiewska piesza z działami pozycyjnymi (12-funtowymi) — i bez rozkazu — bo któż go miał dać — puszczam się galopem naprzód z baterią dla powstrzymania nieprzyjaciela, który miał prostą drogę na Pragę, i na 300 kroków rozpoczynam ogień kartaczowy; nieprzyjacielska linia się zatrzymała, lecz także kartaczami mi odpowiedziano. Po jakimś czasie, widząc przewagę moskiewską — gdyż ośm dział 3-funtowych konnych walczyło, przeciw dwunastu działom 12-funtowym pieszym, wszelka więc korzyść była po stronie wroga, bo nie tylko że miał dział więcej i daleko większego kalibru, ale nierównie mniejszą powierzchnię, mając kanonierów pieszych, do trafienia przedstawiał — zacząłem się wolno z ogniem cofać półbateriami i tyle mi się udało, że nieprzyjaciel, widząc jedną konną baterię bez żadnej osłony wolno się cofającą, domyślał się jakiej zasadzki, a której wcale nie było, i swego zamiaru zaniechał.

Dziwić się wszakże trzeba, że bateria, będąc wystawioną na strzały kartaczowe ciężkiej baterii, w której każda puszką kartaczowa 3—4 razy więcej kartaczy w sobie mieściła niż nasze, żadnej zgoła szkody ani w ludziach, ani w koniach nie poniosła. Tego zjawiska dwie przyczyny naznaczyć można: pierwsza, że działa nasze stawały za pagórkami piaszczystymi, których tam pełno było, i poniekąd się nimi zasłaniały; druga ważniejsza była zapewne, że działa moskiewskie były nadzwyczaj wysoko wycelowane i kartacze ich ponad nami przechodziły; albowiem działając wobec nieprzyjaciela, działa się zwykle wprzód nabitą, nim przyjdzie do działania; żeby zaś działło zaprzodkowane można nabić, trzeba kanał tyle podnieść, żeby miał kierunek poziomy, raz że kanonier inaczej by go wytrzeć i naboju stemplem wsunąć

nie mógł, po wtóre, żeby nabój w gonitwach przez podskakiwanie kół po zagonach z miejsca swego ciężarem własnym się nie usunął, do czego samo przytrzymanie go przetyczką nie byłoby dostateczne. Po odprzodkowaniu więc dział należało ich wyloty dużo opuścić, czego Moskale nie zrobili, żalując albo czasu drogiego wpośród ognia, albo też mniemając, że kartacze rozpierchając się i bez tego opuszczenia wylotu skutkować będą, w czym się pomylili; wszakże strzelając do zająca, gdy się weźmie za wysoko lub za nisko, ani jedno ziarnko śrutu go nie trafi.

Przyszedszy wieczorem do okopów, niespokojni sztabowcy zaczęli mnie wypytывать o wszystko, bo będąc przy okopach słyszeli strzały na przodzie, ale się ich tam nie spodziewali. Opowiedziałem jak było, i wódz naczelny Skrzynecki przysłał kilka krzyżów na baterię dla oficerów i żołnierzy, których podałem; mnie zaś go nie przysłano, zaszła bowiem intryga w sztabie artylerii, skutkiem której krzyż dla mnie przysłany dostał się komu innemu, i nie miałem pretensji najmniejszej do niego za małą utarczkę szczęśliwie zwiedzioną; w kilka lat dopiero po rewolucji dowiedziałem się od kapitana sztabu artylerii Flasińskiego o wszystkim. Nie chcę wymieniać nazwiska osoby, która mi tę przysługę zrobiła, bo dawno już w grobie spoczywa, tym bardziej że później za całodzienną bitwę pod Liwem ten krzyż dostałem.

Wieczorem więc obie strony walczące się cofnęły, lecz w dzień były chwile naszych powodzeń takie, że w. ks. Michał, mający swe bagaże w Jabłonie, posłał rozkaz jeden i drugi, ażeby były w zupełnej gotowości do drogi, iżby za pierwszym poleceniem w tył udać się mogły.

W nocy ruszyłem przez Warszawę do Babc, gdzie stojąc przez dni kilkanaście otrzymałem działa pruskie, których niemało mieliśmy po Prusakach zbitych przez Napoleona I w latach 1806 i 7, mianowicie armaty 6-funtowe i granatniki podobno 10-calowe, a działa tureckie do arsenału oddałem.

Ponieważ Moskale stali w lasach za Grochowem, a siła ich była niewiadoma, wysłany został dnia 10 marca generał Janowski z znaczną siłą na ich rozpoznanie; gdyśmy się przybliżyli, wyszedł nieprzyjaciel na brzeg lasu do przyjęcia nas, a po kilkogodzinym manewrowaniu i ogniu artylerii, nasz generał, dopiąwszy celu, cofnął się przez most Pragi, a ja z baterią wróciłem do Babc. W tej utarczce major jazdy Błędowski nogę stracił i do niewoli się dostał; żona zaś moja, będąca wówczas w Warszawie, widziała z góry od Ber-

nardynów moje strzały, bo innej artylerii z Jankowskim nie było.

Dnia 19 marca (w moje imieniny) pomaszerowałem nocą, idąc przez Warszawę, Pragę, Jabłonnę, pod komendą jenerała Umińskiego w największym milczeniu, ażeby nas nieprzyjaciel niedaleko w lasach stojący nie odkrył, do Modlina, dokąd cały park pod komendą porucznika Wolskiego, zdatnego i pilnego oficera, lewym brzegiem Wisły wysłałem; ten niemało miał trudności w przeprawie na promach przez Wisłę o tej porze pod Modlinem, gdzieśmy się połączyli. Dnia 21-go marsz nocny do Nasielska; ten był nader uciążliwy, ponieważ roztopy wiosenne i ziemia tłusta nie dozwalały postępować z działami, tylko z największą trudnością, i chociaż konie były bardzo dobre, w tej pracy jednak ustawały tak, że w kilka godzin ledwie po piechocie i jeździe na stanowisko przybyłem. Dnia 23-go marsz do Pułtuska, gdzie stanąłem w pałacu biskupim opuszczonym; dnia 25-go do Rożana, a że nieprzyjaciel stał w Ostrołęce za Narwią, wysłany został jenerał Chłapowski (dawniej adiutant Napoleona I, a dzisiaj wzorowy gospodarz w Poznańskim) z kilku pułkami piechoty, jazdy i moją baterią na rozpoznanie. Dotarliśmy do Ostrołęki; jazda nasza z tej strony mostu z kozacząną flankierowała; artyleria nieprzyjacielska, widząc nasze siły, dała kilka razy ognia z ukrycia, na który wcale nie odpowiedzieliśmy, udając, że artylerii wcale nie mamy, która ukryta była i zasłaniać miała odwrót naszych, gdyby nieprzyjaciel chciał mu przeszkadzać; ale do tego nie przyszło. Rozpoznawszy Chłapowski położenie i siły nieprzyjaciela, zabrał się do odwrotu; uszliśmy około dwóch mil i noc nas zaskoczyła, a że żołnierze i koń byli strudzeni, idąc tam i na powrót przez dzień cały i kawał w noc, zrobiwszy zatem dobre sześć mil polskich bez popasu, co na piechotę jest za wiele, stanęliśmy obozem między lasami nad Narwią; piechota porozstawiana na strażach pozapalała ognie, a ugotowawszy jadło i ogrzawszy się, odeszła, według prawideł sztuki, na paręset kroków w bok od ognia, gdy huk dział się odezwał. Wszyscy, oprócz czat, w głębokim po trudach dziennych śnie pogrążeni, pozrywaliśmy się na nogi niemiło przerażeni, zostając przy tym w niepewności, czy to był atak prawdziwy, czy też tylko alarm ze strony nieprzyjaciela. Ale wkrótce pokazało się, że oddział nieprzyjacielski, idąc drugim brzegiem Narwi lasami, nam w drodze towarzyszył, o czym nie wiedzieliśmy, a widząc nasze ognie, począł żwawo kartaczami do nich strzelać w mnie-

maniu, że nam niemałą szkodę wyrządzi, a tam nikogo nie było; dopiero nasza piechota w śmiech głośny wybuchła, że aż nieprzyjaciół go mógł usłyszeć i zapewne się zawstydził, że oszukany został.

Dnia 27-go marsz do Rożana; dnia 29-go miałem właśnie przegląd baterii, która w całej paradyzie wystąpiła, gdy nie spodzianie huk dział się odezwał, a kule i granaty nieprzyjacielskie, skierowane na kwaterę generała Umińskiego umieszczoną w domku blisko Narwi, ale na wyniosłym miejscu, przechodziły ponad całym miastem i moim parkiem, który stał opodal za miastem. Generał ze sztabem swoim zerwał się od obiadu, bo szpieg doniósł Moskalom, o której godzinie generał obiadował, pchnął do mnie rozkaz, ażeby cztery działa jak najprędzej posłać, a ponieważ działa z powodu lustracji były zaprzężone i ludzie na koniach, kopnąłem się z miejsca galopem mimo najgorszej drogi i ogromnego błota przez miasto, a przybywszy do jakiegoś ogródka, skąd najlepiej było strzelać, ledwieśmy potrafili działa odprzodkować, bo koła na uprawionej i rozmięklej ziemi zarzywały się aż po piasty, a kanonierzy grzęzli po kolana w błocie; z wielką tedy biedą ustawiliśmy i wycelowaliśmy działa, po kilku strzałach zmusiliśmy artylerię nieprzyjacielską do milczenia, a w tym też czasie i piechota nasza wysłana na łodziach i krypach przybijała już od przeciwnego brzegu — nieprzyjaciół spiesźnie ustąpił. Szpieg był odkryty, schwytany i powieszony; w ucieczce złoto z kieszeni wyrzucał za siebie, ażeby ścigających go zatrudnić; był to drożnik, stary żołnierz; idąc śmiało na śmierć, wyrzekł, że Polakom lepiej by się działa, gdyby tak z innymi szpiegami jak z nim postępowali. Z dwóch oficerów artylerii moskiewskiej jeden stracił rękę, a drugi nogę i nasz generał pomścił się niejako na tych, którzy mu apetyt do obiadu odjęli; strzelali zaś tak nieszczęśliwie, że żaden pocisk w kwaterę generała nie trafił, lecz wszystkie ją przenosząc, daleko za miastem padały, nie wyrządzając żadnej szkody nikomu; ale też przyznać trzeba, że z dołu strzelając na taką górę potrzeba było bardzo umiejętnie strzelać, ażeby skutek osiągnąć. Raport generała Umińskiego do naczelnego wodza o tym wypadku był we wszystkich ówczesnych periodycznych pismach powtórzony.

Dnia 30 marca znowu się Moskale pokazali, aleśmy ich odpędzili. Dnia 1 kwietnia marsz nocny pod Ząbki do mostu; dnia 4-go do Szelkowa, gdzieśmy na górach pozycję zajęli. Tu zostałem dowódcą brygady, dostając pod komendę drugą

baterię konną, a nadto miałem czasowo przydzielony pluton artylerii pieszej z podporucznikiem Zwierzchowskim, który będąc odkomenderowanym z jakimś oddziałem, odbywszy swe komisorium, nie mogąc swej baterii odszukać, do nas przyłączony został; wszystkich zatem dział miałem ośmnaście.

Dnia 6 kwietnia marsz do Serocka, 7-go przez Zegrze do Jabłonny, 8-go przez Pragę do Okuniewa, 9-go do Stanisławowa, 10-go do Liwa, gdzie nieprzyjaciel był za rzeką Liwcem i mocno przez swych ukrytych strzelców naszą piechotę niepokoił; dostałem więc rozkaz, żeby przeciwny brzeg z nieprzyjaciela oczyścić. Pobiegłem tam z jedną baterią, a generał Andrychewicz, który tam dowodził, obaczywszy nas, jakeśmy z góry na dół nad rzekę pędzili, z radości nie mógł się posiąść. Nieraz mi potem w życiu tę okoliczność przypominał, dodając, że widok ten godzien był pędzla Vermeta.

Oswobodziwszy naszych od natrętnych jegrów, a zostawiwszy im dwa działa z polecenia generała, które co 24 godzin zmieniać się miały, udałem się z resztą baterii na pozycję; nazajutrz w czasie zmiany plutonów straciłem wybornego podoficera Werkowskiego, którego kula karabinowa na wylot przeszła. Dnia 11 kwietnia marsz do Sokołowa za nieprzyjacielem, który, jak się pokazało, chciał nas w matnię wciągnąć i na miazgę potem zetrzeć. Były to gwardie, które ostatnie już wyruszyły z Petersburga pod komendą podobno generała Szachowskiego dla dobicia nas, bo tak dzielnie Skrzynecki wszędzie im się zastawiał, a często nawet górą bywał. Wojsko też nasze biło się z wielkim zapalem, bo miało o co. Zdziwiłem się niemało, gdy nas przez Sokołów przechodzących lud witał i pieczonym ciastem przyjmował; tam dopiero dowiedzieliśmy się, że to była Wielkanoc.

Generał Umiński, otrzymawszy wiadomość o znacznie przewyższającej sile wroga, roztropnie cofnął się nocą do Liwu i dnia 13-go szaniec przedmostowy usypać kazał. Nieprzyjaciel zaraz za nami się zjawił i dnia 14-go nastąpiła całodzienna bitwa, w której wszystką amunicję wystrzelałem. Straciłem w niej kilku ludzi, kilkanaście koni i podporucznik Zwierzchowski, który plutonem artylerii pieszej dowodził, od kuli armatniej został zabity. Uważałem przez dzień cały, że kulki karabinowe gęsto gwizdały, aż nad wieczorem, gdy koń mój, dostawszy kulką w brzuch, pode mną podskoczył, oczy mi się otworzyły, że strzelcy do mnie szczególnie cel-

wali (bo koń, ogier turecki, wyborny, był maści perłowej, a więc z daleka widzialny), stąd się okazuje, jak strzały odległe, acz wycelowane, mało są niebezpieczne, gdy do mnie, to stojącego w miejscu, to objeżdżającego linię dział stępa, przez cały dzień bezskutecznie jak do żubra strzelano, i tu mi się wyjaśniła zagadka kul około uszu gwizdających. Zaraz Skrzyński, akademik były, który był przy mnie na służbie, poskoczył w tył i drugiego konia mi przyprowadził. Już nad samym wieczorem jazda nasza przeszła Liwiec w bród, a zagrażając skrzydłu wroga, zmusiła go do opuszczenia pozycji.

Staliśmy tam przez dni dziesięć, uważając się wzajemnie, rzeką przedzieleni. Cholera zaczęła się coraz mocniej u nas objawiać, bośmy stanęli na obozowiskach po Moskalach dla obfitości słomy, którąśmy tam zastali, a że między nimi cholera grasowała, więc zajmwszy po nich stanowisko zaraziliśmy się i już nam kilkunastu ludzi ta choroba zabiła, a oficerowie zaczęliśmy wielkiego niedomagania doświadczać, gdy rozkazano wszystką tę słomę spalić i razem zmienić to stanowisko, udając się na wzgórze, gdzieśmy zaraz świeżość powietrza górnego poczuli, i cholera natychmiast ustała.

Dnia 24 kwietnia poszliśmy nocą do Okuniewa, 26-go do Pustelnika, 29-go do Zimnejwody, 30-go do Kamionki, 4 maja poszliśmy kłusem do Zimnejwody, skąd po dwugodzinnej kanonadzie z nieprzyjacielem powróciliśmy do Kamionki, 5-go zmieniliśmy w Kamionce pozycję, 7-go marsz do Rudzianki w tył, 14-go przez Młęcin, Jakubów, do Mińska, 15-go do Wielgolasu, 20-go do Mińska, 21-go do Kałuszyna, 22-go do Suchy, 23-go do Krześlina i na powrót pod Mokobody; 24-go wyprawa z generałem Tomickim do Chodowa dla rozpoznania nieprzyjaciela; płynie tam rzeka Liwiec, mająca po obu stronach szerokie trzęsawiska, przez które usypana trytew długa jest prawie na strzał armatni. Za tą rzeką rozłożył się nieprzyjaciel, zasłaniając się czym mógł, nie mogliśmy sobie więc nic zrobić, ale wszedłszy na dach jednego domu, widzieliśmy przez perspektywy, których było kilka, że Kozacy w wielkiej liczbie na lewym swym skrzydle, popętawszy konie, szeroko je na pastwiskach rozpuścili, oddając się sami błogiemu spoczynkowi; a że byli zasłonięni zaroślami i od nas oddaleni, byli aż nadto pewni, że im nic ich wczasu nie przerwie. Wzięła więc nas chęć ich spłoszyć; wycelowawszy tedy dwa działa w wysokim podniesieniu, puściliśmy kulę i granat, które między nich wpadłszy niepospolitej trwogi stały się powodem. Widzieliśmy, jak ta hałastra zerwała się

żywo na nogi, jak gdyby płynem elektrycznym rażona, jak za końmi latała, szukając każdy swego, a dopadłszy go, umykała co tchu w nogi; widok ten nas bawił dosyć długo, nim wszystko zniknęło. Ale nie dosyć na tym, ponieważ Moskale, słysząc wystrzały działowe z przodu i z boku (bo grunt nasz pękł między Kozakami), mniemali, żeśmy się przez rzekę przeprawiwszy częścią naszego wojska ich oskrzydłiliśmy, i atak rozpoczęli; wystąpili więc pod broń w całym komplecie, a my wygodnie ich siły ocenić mogliśmy, co właśnie było naszym głównym zamiarem. Tak często mała bagatela w wojnie nieprzewidziana ważne prowadzi za sobą skutki.

Ponieważ nasze obłogi (bagaze) zostały w tyle w lesie pod strażą, po południu zaczął nam wszystkim głód dokuczać i gdy w największym byliśmy kłopotcie w tej mierze, a mieszkańcy z Chodowa uszli, przybywa moja bryczka z wódką, winem, porterem, wędlinami i chlebem, czym tak uraczyłem moich generałów i oficerów brygady, że mi wszyscy dziękowali jak za najlepszą biesiadę. Stało się zaś to bez mojej wiedzy; miałem bowiem z domu dwóch walnych chłopaków dwudziestoletnich, z tych jeden powoził bryczkę, drugi był lokajem i kucharzem (konie wierzchowe opatrywał żołnierz wzięty z frontu, bo to było wolno); chłopcy ci więc, miarkując po czasie, że byłem głodny, może też ciekawością zdjęci, co się u nas dzieje, zwłaszcza że słyszeli wystrzały działowe, wykradli się jakoś spod straży i do nas w samą porę za śladem przybyli.

Ale nieprzyjaciół nie mógł strawić tego popłochu, którym mu wyrządzili; po południu przeto, kiedy nasza jazda, oddziałami w rzece konie pojąc, była odsłonięta — reszta bowiem wyprawy była ukryta w lesie przyległym, tudzież za domami, ogrodami itd. — podprowadziwszy dwa działa bliżej nas, puścił do nas kulę i granat, które tuż przy nas padły, ale nam żadnej szkody nie zrobiły, bośmy domami zakryci byli. Tegoż dnia wracając do Mokobód widzieliśmy łańcuch Kozaków opodal po wzgórzach nam towarzyszących, żeby nas z oczu nie stracić.

Dnia 25-go poszliśmy do Kałuszyna, 26-go przez Mińsk do Brzezin, gdzieśmy przez dni kilkanaście stali, mając co noc posiadłane konie i działa kartaczami nabite, bośmy się ustawicznie napadu nocnego spodziewali, do którego wszakże nie przyszło, pewno dlatego, iż nieprzyjaciół mógł mieć od szpiegów wiadomość, że każdej nocy na jego przyjęcie gotowi byliśmy.

Nim dalej pójdę, wypada uzupełnić zapomniane szczegóły. W roku 1830, gdy był car w Warszawie, przedstawiony byłem na podpułkownika, czego mi już winszowali znajomi oficerowie głównego sztabu, bo to nie było dla nich tajemnicą, ale car rozniewany na w. ks. Konstantego, który z nim darł koty, jako starszy po krwi, a młodszy po randze, i nie cierpiący przełożonego nad sobą, będąc zawsze swobodnym i robiąc, co mu się podobało (zrzekł się bowiem tronu Rosji na rzecz Mikołaja, brata swego młodszego), car więc to jego przedstawienie odrzucił, a nadał mi tylko między kilku osobami wówczas ozdobionymi z wojska polskiego w dniu 5 lipca (stylu dawnego) order Św. Włodzimierza IV klasy. Nie wiem prawdziwie, na czyje przedstawienie i za co, wśród największego pokoju, oznakę mi tę dano; napisano tylko w patencie, który się w „Biegu życia mego” znajduje (książka): „W wozdajanije otliczno-usierdnoj i riewnostnoj służby waszej”, co ma podobno znaczyć: za waszą gorliwość w służbie. Ma to być order wyższego u nich znaczenia niż Św. Anny albo Św. Stanisława, bo wiedzieli, że jeden z nich źle by obok krzyża Legii Honorowej, który już od r. 1813 posiadałem, a dla którego Moskale wielkie mają poszanowanie, figurował. Nawet kawalerowie Św. Włodzimierza mają przywilej, że córki ich kosztem rządu w instytucie żeńskim są wychowywane, a którego przywileju kawalerowie innych orderów nie mają.

W tymże roku 1830 otrzymałem znak honorowy za XV lat służby nieskazitelnej oficerskiej, a znak ten świeżo w wojsku polskim był zaprowadzony i co pięć lat miał być udzielany, kończyłem zaś XX lat służby oficerskiej dopiero 11 kwietnia 1831 r.

W lutym czy marcu 1831 zostałem majorem; dawniej, ani za Księstwa Warszawskiego, ani za rządu rosyjskiego, tego stopnia w artylerii nie było, podobnie jak w artylerii francuskiej, był tylko w piechocie i jeździe, teraz po rewolucji go zaprowadzono.

Dnia 20 kwietnia ozdobiony zostałem krzyżem wojskowym złotym polskim, zapewne za bitwę pod Liwem w dniu 14 t. m. stoczoną.

Dnia 14 lipca zostałem podpułkownikiem, a przy końcu rewolucji przedstawiony byłem na pułkownika, ale tymczasem rewolucja w łeb wzięła.

Wracam, po tym zboczeniu, do mego poziomego przedmiotu.

Dnia 15 czerwca 1831 szliśmy przez Mińsk do Mieni, gdzie jest klasztor żeński; 16-go przez Kuflew do Wodyń; 17-go przez Stoczek do wsi Osin; 18-go przez Adamów, Serokomłę do Kocka; była to wyprawa na Rüdigera, którą dowodził generał Jankowski, mający znaczny korpus ze starych pułków złożony. Szliśmy z wielką ochotą, bo wieść krążyła, że generała rosyjskiego Rüdigera, stojącego za Wieprzem z korpusem, pobijemy i zabierzemy. Generał Turno był szefem sztabu korpusu, mnie zrobiono dowódcą całej artylerii korpusu, jak świadczy rozkaz dzienny generała Jankowskiego, w moim „Biegu życia” się znajdujący, w którym mi razem polecono, ażeby po każdym starciu się z nieprzyjacielem podawać raport generałowi o wystrzelanej amunicji, bo oprócz mej brygady artylerii konnej były w korpusie także baterie piesze. Ja z artylerią konną maszerowałem z brygadą strzelców konnych, złożoną z dwóch pułków 3 i 4, dowodzonych przez pułkowników Russyana i Żelińskiego; przybyliśmy już zmrokiem pod miasto Kock, a że tego dnia bił się generał Turno na naszym prawym skrzydle z Moskalami i przysłano mi stamtąd raporta o zużytej amunicji, z których trzeba było ogólny raport ułożyć i do sztabu odesłać; dzieje się zaś, że park mój, złożony z długiego rzędu wozów amunicyjnych, z ławet zapasowych, wozów z zapasami artylerycznymi, kuźni, kasy, apteki, niemniej kas dwóch pułków strzelców konnych, który za nami postępował, nie nadchodzi, ponieważ przy nim był wóz kasowy, w którym się mieściła kancelaria, a która była niezbędnie potrzebna do napisania raportu, jako mieszcząca w sobie wszelkie artykuły piśmienne i świece, czego wszystkiego, stojąc na gołym polu, brakowało; wtem dowiaduję się, że generał Jankowski park mój, przejeżdżając obok niego, pod wsią Rudą w marszu zatrzymał, zapewne w myśli cofnięcia się nazajutrz z korpusem, iżby konie parku próżno tej drogi tam i na powrót nie robiły, a zatrzymując go, dodał batalion grenadierów gwardii pod komendą podpułkownika Niewęglowskiego do jego osłony. Posłałem więc po kancelarię, która pod strażą trzech ludzi, jak przepis kazał, przybyła, raport napisałem i do sztabu już po północy posłałem, a kasa przy brygadzie, gdzie była bezpieczniejsza, pozostała i to ją ocaliło, jak zaraz obaczymy.

Okolica ta była pełna przeszkód i zawad; nigdzie okiem daleko sięgnąć nie można było, gdyż wszędzie wzrok tamowały gaje, lasy, wzgórze, wsie itp. Przede dniem Rüdiger rozesłał we wszystkich kierunkach, jak należało, patrole, dla

przekonania się, czy gdzie czego nie przedsięwzięmy. Patrole te kilku naszych oficerów sztabu, wiozących rozkazy, pochwycili do niewoli, a z pism tych oficerów wiele dowiedzieć się mogli. Otóż taki jeden patrol moskiewski wyszedł z lasu pod Rudą o świcie, a przybliżywszy się dojrzał, że to był tabor artylerii bez żadnej osłony, albowiem batalion grenadierów, parkowi na straż dodany, dostawszy inny rozkaz, w nocy go opuścił; patrol tedy złożony z jednego oficera i dwudziestu dragonów ostrożnie się do parku przybliżył, nagle go obskoczył i zabrał. Bronić się nie miał kto, ponieważ oprócz żołnierzy pociągowych i rezerwowych, po większej części słabych, sami rzemieślnicy, którzy żadnej broni nie mają, w nim się znajdowali; parkiem tym dowodził, w braku oficera, podoficer Godos, człowiek pilny i roztropny, a że w nocy dostał rozkaz ze sztabu, iż raniutko baterie się z nim łączą, był więc w całej gotowości do marszu i z dragonami poleciał. Dowiedzieliśmy się o tym od dwóch rzemieślników, którzy w tym zamięszaniu, przycupnąwszy pod krzakiem choiny na piaskach rosnącej, postrzeżeni nie byli i uszli tym sposobem niewoli.

Gdyśmy do Rudy przybyli, widzieliśmy jeszcze park nasz szybko do lasu się zbliżający (bo konie były dobre), w odległości od nas nie więcej jak 2 000 kroków. Zaraz pułkownicy Russyan i Żeliński, którym kasy zabrane zostały i w których prywatne swe mienie zachowane mieli, chcieli iść w pogoń z jednym lub dwoma szwadronami, byliby pewno dopędzili i wszystko odbili, ale generał Bukowski, dowodzący tą brygadą jazdy, oparł się temu dając za powód, że nie ma rozkazu do bitwy, że są wielkie parowy po drodze — jak gdyby jazda ich przejść nie mogła, gdy je park przebył — i na tym się skończyło. Tak więc, cośmy Rüdigera z jego korpusem zabrać mieli, on nam park spośród naszych stanowisk, jak pannę spośród domu, wykradł. Niezmierny smutek nas wszystkich ogarnął, gdyśmy z tak wygórowanej nadziei tak nisko spadli, a widząc się zaraz z generałem Jankowskim zapytałem go, jak mam ułożyć raport o tym przypadku, żebyśmy się w naszych raportach nie pokrzyżowali, ponieważ go prawie oskarżać musiałem; odpowiedział mi: „Napisz tak, jak było”, co też uczyniłem.

Dnia 19 czerwca marsz do Okrzei, dnia 21-go przez Żelechów do Gończyc, dnia 22-go przez Łaskarzew do Gusina, dnia 23-go przez Wisłę i Potycz do Góry Kalwarii, a dnia 24-go do Królikarni pod Warszawę. Tu muszę wspomnieć

dwie okoliczności: pierwsza, żeśmy mniemali, iż nas nieprzyjacieli od Warszawy odciął, a my, unikając z nim spotkania, zamiast iść do mostu Pragi, przeprawiliśmy się po moście naprędce rzuconym pod Potyczą, a co nie miałoby miejsca, jak powszechnie mówiono, gdyby nie uwierzono szpiegowi dwoistemu, który nam wymyślone przez Moskali fałsze, a im czystą prawdę o nas donosił; druga, że korpus cały przechodził po moście z mego drzewa zrobionym. Stojąc bowiem w Warce i nie mogąc się pomieścić z zapasami do baterii należącymi, zakupiłem w r. 1830 z mojej kieszeni drzewa budulcowego na wielką szopę, przez lato kazałem go obrobić i w szychty ułożyć, ażeby wyschło; otóż to drzewo posłużyło do zrobienia wzmiankowanego mostu i ja, przechodząc po nim z działami, nie myślałem wcale, że po moim drzewie kroczyłem. Dopiero po skończonej kampanii przybywszy na wieś do domu dowiedziałem się o wszystkim. Co się potem z tym mostem stało, dotąd nie wiem, bo zaszły potem przeszkody (choroba), jak obaczymy, nie pozwalające mi przynajmniej moją ciekawość w tej mierze zaspokoić.

Stojąc przez kilka dni w Królikarni, otrzymałem nowy park jak z igły, ale ludzie byli młodzi, nie służby nie znający, a konie szczupłe, liche.

Jenerałów Jankowskiego i Bukowskiego zaraz za ich przybyciem aresztowano, a jenerałowie artylerii Redel i Sowiński mieli od Skrzyneckiego polecenie wybadać przyczynę naszej klęski; w tym celu wezwano Russyana, Żelińskiego, Niewęgłowskiego i mnie, żebyśmy opowiedzieli, co i jak się stało, bo wielu obwiniąło powyższych jenerałów o zdradę; wysłuchawszy nas oświadczyli, iż w tym zdarzeniu widzą tylko brak głowy. Jakoż jenerał Jankowski, dowodząc przed rewolucją tylko jednym pułkiem strzelców konnych, zawsze miał administrację zawiłą i zagmatwaną, a interesa familijne równie porządnie powikłane; znalazłszy się przeto na czele korpusu i w okolicy pełnej szykan, głowę stracił i poradzić sobie nie mógł. Moje przynajmniej jest takie mniemanie, ale historia lepiej to potomności wyświeci.

Z Królikarni, gdzie stałem do 1 lipca włącznie, ruszyłem z jenerałem Müllerem przez Kobyłkę, Janów, Liw, Wierzбно do Kałuszyna, dnia 8-go pod Dębę, 9-go do Brzezina, 13-go do Stojadeł, 14-go przez Mińsk, gdzieśmy trochę strażów z artylerią moskiewską zamienili, pod Kałuszyn; idąc następnie przez Kuflew, Latowicz, Stoczek, Adamów, Rudę, Stanisław, Seroczyn, Łuków, Kuflew, Cegłów, Mińsk, Mienię, znowu

przez Ceglów, Kuflew do Walisk, jeszcze przez Ceglów, Mińsk do Stojadeł, 29-go przez Miłosnę do Pragi, dalej przez Warszawę do Chrzanowa i Jelonka; zaś od 1 sierpnia wędrowaliśmy przez Ołtarzew i Błonie pod Paprotnię, przez Zaboklik pod Sochaczew, następnie do Skotnik, Humina i Bolimowa, gdzie dnia 6-go stanęliśmy. Tu był rodzaj sejmiku, na którym ksiązę Czartoryski po jednemu naszych generałów i oficerów wyższych w stodole do siebie przyzywał, zapytując każdego, za kim głosuje na naczelnego wodza, i zapisując głos każdy, ponieważ wojsko ze Skrzyneckiego, którego ksiązę protegował, było niezadowolone, że bez wystrzału dozwolił Moskałom dostać się na lewy brzeg Wisły, gdy im w rozwlekłym marszu do przeprawy pod Nieszawą mógł być ciężką klęskę zadać. Obrano więc naczelnym wodzem Dembińskiego, a Skrzyneckiego odsuniono. Dnia 14-go marsz przez Czerwoną Niwę do Serok, 15-go do Ołtarzewa, 16-go na Czyste pod Warszawę, gdzie w nocy przeszłej motłoch zebrany i dowodzony podobno przez księdza Puławskiego powieścił generałów Jankowskiego, Bukowskiego i wiele innych osób, o czym już wyżej była mowa. Dnia 21-go pochód na Pragę, gdzie poszedłem pod komendę generała Tomasza Łubieńskiego; stąd marsze przez Modlin, Zakroczym do Trębek Dużych. Tu oddałem administrację mej dawnej baterii z wiedzą generała Bema kapitanowi księciu Puzynie, zaprowadzając razem radę gospodarczą, jak było za Księstwa Warszawskiego na wzór francuski, ponieważ mi ciężko było trudnić się razem i dowództwem brygady, i mej baterii administracją, którą ówczesna Komisja Wojny tak utrudniła, że musiałem sam, nie mając się kim wyręczyć, po nocach siedzieć i rachunki z funduszków układać, w których każdodzienny ruch każdego żołnierza imiennie musiał być wykazany; a że zdanych i obeznanych z rachunkowością oficerów i podoficerów mi pozabierano to do Warszawy, to na wyższe stopnie, cały więc ciężar tej nowej, nader zawiłej i żmudnej rachunkowości spadł na mnie jednego. Wprawdzie nie było rozkazu na zaprowadzanie rad gospodarczych po korpusach, ale że je gdzieś już po pułkach zaprowadzono, zrzekłem się i ja z dobrej woli dochodów z baterii. Rada gospodarcza składała się z trzech członków: kapitana, porucznika i podoficera, a kasa znajdowała się odtąd pod trzema odmiennymi kluczami, z których jeden z nich miał każdy członek, tak że żaden wydatek z kasy nie mógł nastąpić, tylko w obecności rzeczonych członków. Zrobiłem więc protokół, czyli wywód

słowny z oddania baterii, tj. ludzi, koni, dział, amunicji, pałaszów, pistoletów, funduszków rachunkowych i nierachunkowych (te drugie były tego rodzaju, że z nich rachunków Komisji Wojny nie składano i oszczędności na nich zrobione były własnością dowódcy, z których inne potrzeby baterii pokrywać był w obowiązku) i wszelkich zapasów, jak podków, smarowidła, skór itd. na trzy ręce i podpisałem również jak trzech członkowie rady gospodarczej. Jeden egzemplarz tego protokołu został przy mnie, drugi przy kapitanie, a trzeci w kasie. Ta ostrożność wybawiła mnie potem z wielkiego kłopotu, jak obaczmy.

Dnia 7 września, przyłożywszy ucho do ziemi, słyhać było ogromną kanonadę w stronę Warszawy. Było to ostatnie wysilenie Moskali, bo gdyby ten szturm Warszawy był się nie udał, mieli już odejść na zimowe leże; ale Warszawa odstąpiła została, a czcigodny kaleka generał Sowiński poległ śmiercią bohatera w kościele wolskim.

Dnia 8 września ucieraliśmy się pod Nasielskiem z Moskalami. Tu kontuzję, którą dawniej w prawą nogę dostałem i która w początkach niewiele mi dokuczała, lecz później przez ciągłą jazdę konną i nierozbieranie się dniem i nocą, tak się pogorszyła, że siniec zamienił się w ranę, która się w końcu mocno zaogniła i naturalnie ból sprawiała. Doktor bateryjny, ponieważ nie było czasu kuracji rozpoczynać, starał się tylko o to środkami łagodnymi, ażeby rana się nie pogorszała. Później, przybywszy na wieś, wiele na tę nogę wycierpiałem, nie opuszczając łoża przez całe sześć miesięcy.

Dnia 20 września marsz przez Kamienicę do Nacpolska (Ignacego Dembowskiego), gdzieśmy naszych posłów i inne znakomitości rządu zastali i ci wszyscy wojska już odstępywać nie mieli. Dnia 21-go marsz przez Radzanowo do Płocka, 23-go przeprawa przez Wisłę do Gąbina w celu uderzenia na Łowicz, gdzie były składy nieprzyjacielskie; 24-go na powrót przez Wisłę do Płocka. Wojna już dogorywała, bo i naczelnego dowództwa nikt już przyjąć nie chciał, i od upadku Warszawy wszyscy na duchu upadli, nie wiedząc, co począć. Dnia 25-go pochód do wsi Białej, 28-go do wsi Lenie pod Dobrzyniem. Tu musiałem pojechać na radę wojenną do Szpitala (nazwa miejsca), na której wiele rozprawiano, a nie nie postanowiono.

Dnia 29-go do Bogucina, 30-go do Lipna, 1 października do Rypina, o pół mili od granicy pruskiej. W tym miejscu partie z sobą się ścierały potężnie; jedno stronnictwo chciało, ażeby

pójść za granicę — ale dokąd i po co? — inne żądało, ażeby wrócić do ognisk domowych i poddać się nieprzyjacielowi. Widząc to, udałem się do generała artylerii Bema i przełożyłem mu, że będąc raz już wygnańcem zwiedziłem obce kraje i chęć oglądania ich po raz drugi mnie nie bierze, tym bardziej że mając rodzinę i kawałek ziemi na jej utrzymanie, który by w wypadku mego wychodźstwa skonfiskowano, wypada mi do kraju powrócić, zwłaszcza że z wejściem wojska w kraj neutralny, wojna tym samym się kończy; a należy znowu części nas wrócić do swojej ziemi i popiołów ojców dla pielęgnowania ognia i podtrzymywania ducha ojczyzstego. Zgodził się ze mną na moje powody, chociaż sam, znajdując się w zupełnie innych okolicznościach, jako kawaler, odłożony i zagranicy nie znający, miał kraj opuścić. Pożegnawszy się z nim, udałem się z ośmiu oficerami artylerii konnej i pieszej do naszego sztabu głównego, gdzie przygotowane już podaaliśmy prośby o uwolnienie od służby i żądane otrzymali dymisje.

Dnia 2-go zatem ruszyłem z tymi oficerami i naszymi obławami z powrotem do Chróstowa, 3-go przez Lipno do Radom, 4-go przez Włocławek do Zakrzewa, 5-go przez Gostynin, Gąbin do Sabin, 6-go przez Sochaczew do Błonia, 7-go do Warszawy. W tym powrocie nigdzie nas Moskale nie napastowali, chociaż przez ich kolumny przechodziliśmy i kozaćtwo dniem i nocą około nas się snuło, a nawet generałowie moskiewscy zapraszali nas na herbatę, radzi, że raz ta wojna, która tak im się dała we znaki, koniec brała, ponieważ oprócz wielu, którzy do kraju powrócili, reszta wojska do Prus wyszła i tam, otoczona wojskiem pruskim, broń złożyć musiała, doświadczając potem najrozmaitszego losu, rozsypawszy się po całym Bożym świecie, gdyż oprócz tych, którzy w Europie, jak we Francji, Austrii, Belgii, Hiszpanii itd., pozostali, wielu się przeniosło do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a niektórych los aż do Senegalu i Indii wschodnich zapędził.

W Warszawie kazano nam, kilkuset oficerom, na nowo składać przysięgę na wierność Mikołajowi, która ceremonia odbyła się w Prymasowskim pałacu (miejscu Komisji Rządowej Wojny), gdzie każdy z nas musiał własnoręcznie rotę przysięgi napisać i podpisać, po czym wydano w biurze policji każdemu paszport do miejsca, dokąd sobie życzył się udać. Rozpuszczono więc wszystkich do domów, nie aresztując nikogo i broni mu nie odbierając, a cała kara tymczasowo była, że wojsko polskie rozwiązano, lata służby zmazano, i wszystkich genera-

łów w czasie rewolucji w wojsku naszym czynnych na jeden rok do Wołogdy czy też do Wiatki na wygnanie posłano, bo wszyscy winniejsi, zwłaszcza samego wybuchu rewolucji, kraj opuścili.

Sprawiwszy sobie garderobę skromną cywilną w Warszawie, przybyłem do mojej wioski w dniu 14 października 1831, mając trzy konie wierzchowe i dwa w bryczce. Zostałem u siebie oddział piechoty z gwardii preobrażeńskiej na kwaterach stojących i całą okolicę wojskiem moskiewskim zalaną.

Wkrótce kazano nam złożyć wszelką broń, jak pałasze, pistolety itd., do Arsenалу w Warszawie, które, chociaż były prywatną własnością, nigdy nam już zwrócone nie zostały. Dalej w dniu 14 lipca 1833 otrzymałem dymisję drugą przez rząd moskiewski, w dwóch językach: polskim i rosyjskim mi nadesłaną, w której wyrażono wprawdzie, że m brygadą artylerii konnej w czasie rokoshu dowodził, ale o uzyskanych stopniach i dekoracji przemilczano, naturalnie nie potwierdzając ich. Chciał potem rząd tę dymisję odebrać, ale odpisałem, że mi zaginęła. Następnie kazano po kilka razy w różnych epokach złożyć raport wyluszczaający, gdzie każdy z nas przystąpił do rewolucji, kiedy to nastąpiło i tym podobne szczegóły; odpisałem zawsze czystą prawdę bez żadnych wybiegów. Nie miało to żadnych złych skutków; wszelako nie chciano mi powierzyć wójtostwa mej gminy jako nie zasługującemu na zaufanie rządu; ale, gdy mi się naprzykrzyło, że wszelkie moje w tej mierze przedstawienia były bezskuteczne, udałem się osobiście do rządu gubernialnego, a spotkawszy dwóch urzędników wyższych już z biura wychodzących, powiedziałem im pokrótce, kto byłem i jaki interes mnie tam przyprowadził. Wysłuchawszy mnie, zdziwieni zapytali, czy to ja przed rewolucją rakietnikami konnymi dowodziłem (byli obadwa rodem z Galicji i nazwisko moje obce im stamtąd nie było) i w zaufaniu mi powiedzieli, że byłem wciąż śledzony przez żandarmów prowincjonalnych i inne osoby, oświadczając w końcu, że jutro mój patent na wójtę gminy będzie gotowy. W samej istocie nazajutrz, poszedłszy tam, odebrałem wspomnianą nominację, w której mi oprócz mej wsi jeszcze inne dwie, których współdziedzicem po emigrancie był rząd, dodano, alem się od tego przybytku wymówił starganymi w wojsku siłami i własnym zatrudnieniem. Nominacja ta, wydana pod dniem 9 sierpnia 1837, podpisana jest przez dyrektora głównoprezydującego w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publiczne-

go, generała Gołowina, który niedługo potem na Kaukazie naczelnie dowodził.

W lat kilkanaście rozkazał książę Paskiewicz wszystkim dowódcom z wojny rewolucyjnej w kraju zamieszkałym zwracać fundusze do skarbu, które się w kasach pułków i baterii na schyłku rewolucji znajdowały, a które fundusze Najwyższa Izba Obrachunkowa na zasadzie rachunków byłej Komisji Wojny co do grosza obliczyła. Miałbym być wielką przykrością zwracać tyle tysięcy, które księciu Puzynie oddałem i które do Prus z wojskiem weszły; ale na moje szczęście posiadałem protokół z oddania baterii (radzę każdemu z potomków, ażeby wszystko na piśmie robili i te świstki papieru, gdzie o tysiące chodzi, starannie przechowywali), załączyłem go do mego przedstawienia zrobionego do Rady Administracyjnej, skutkiem czego uwolniony przecież zostałem od pomienionego zwrotu, ale w drodze łaski (mniejsza o to).

Jeszcze był jeden skutek kary porewolucyjnej: że wszystkim byłym oficerom polskim za interesami z prowincji do Warszawy przybywającym kazano się meldować w biurze policji w samo południe. Działo się to najprzód przed generałem żandarmerii Storożenko, a gdy ten ubył, przed pułkownikiem żandarmów Cywińskim; a że mi to było nader uciążliwe, bo właśnie o tym czasie wszystkie po Warszawie rozrzucone władze po biurach zastać można, napisałem o to podanie do pułkownika Cywińskiego, żeby mnie od tego obowiązku na rok jeden uwolnił. Odpisał mi, że nie tylko na rok, ale na zawsze mnie od tej powinności zwalnia. Wkrótce potem car Mikołaj wszystkich od tego ciężaru uwolnił.

Otóż tak dramatycznie skończył się mój zawód wojskowy — dwadzieścia lat służby oficerskiej i poniewierki nie lada nie przyniosły mi żadnej korzyści, ponieważ emeryturę lub wsparcie dożywotnie, jako będącemu na linii bojowej podczas kampanii, mi odmówiono, na co jest dowód w „Biegu życia”; wszelako na przedstawienie generała Rautenstraucha, który carowi miał odwagę powiedzieć, że walecznych nie trzeba przywozić do rozpacz, car dozwolił udzielać wsparcie czasowe ludziom w takiej jak ja kategorii będącym. Mnie dają rocznie tytułem tego wsparcia rubli sr. 150, czyli 1000 złp., które regularnie od r. 1832 pobieram, od którego roku, chociaż później ta decyzja nadeszła, włącznie mi policzono.

Wszystkie te papiery, jak dymisja z wojska polskiego, paszport na wieś, dymisja dana przez rząd rosyjski, nominacja na

wójta gminy i odmówienie mi pensji emerytalnej lub wsparcia dożywotniego, znajdują się w księdze: „Bieg życia mego”, jako skromne pomniki trzeciej części życia ojczyźnie poświęconego. Pośrednią miałem rolę między jenerałem a żołnierzem, w wojsku, jak tamte, niezbędnie potrzebną. Niektóre z tych papierów musiałem złożyć, starając się w r. 1860 o emeryturę, którą otrzymam zapewne, ale dziś jej jeszcze nie mam.

XXX

WOJAK ROLNIKIEM, NARESZCIE PEDAGOGIEM SWOICH DZIECI

Ponieważ w r. 1830 zupełnie już co do części wojskowej się urządziłem i wszystko było w porządku, a woń rewolucyjną, zwłaszcza po rewolucji francuskiej lipcowej, czuć u nas było niejako w powietrzu, odebrałem wieś po trzechletniej dzierżawie w dniu 24 czerwca tegoż roku, na mocy kontraktu, na siebie, mój zarząd zaprowadziłem, inwentarzy, sprzętów, narzędzi i naczyń nakupiłem i z Towarzystwa Kredytowego, do którego moi dwaj poprzednicy należeli (bo ją od dwóch posiadaczy, od każdego po części, kupiłem), wystąpiłem; co mi na rękę potem wypadło, bo w kilka miesięcy później idąc na kampanię rewolucyjną, z której, przy takiej zaciętości stron obu, mogłem prawdopodobnie nie wrócić, cieszyłem się, że mogłem żonę w spokojnym posiadaniu wioski bez żadnego długu zostawić.

Powróciwszy zaś z kampanii w dniu 15 października 1831 do domu i rzuciwszy okiem po wszystkim, o małym się nie rozpląkał jak Volney nad ruinami Palmiry. Oddział gwardii preobrażeńskiej — podoficer z kilku żołnierzami — młócił owies w stodołach na potrzebę pułku; pełno słomy jarej, tyle dla gospodarza szacownej, leżało na dziedzińcu porozrucanej; sieczkarnia Evansa, przed rewolucją samą kupiona, stojąca dawniej na klepisku w stodole, wyrzucona była na dziedzińiec i stała pod gołym niebem; dworzec i wszelkie budynki dworskie w obu częściach w najopłakańszym stanie, koszlawe i poobdzierane, aż strach było na nie spojrzeć; dach na dworcu przełamany, poszewka słomiana na nim zgniła tak, że w czasie deszczu musieliśmy wśród nocy z żoną wędrować z jednego kąta w drugi, żeby się od zmoczenia uchronić, ale i to nie pomagało, bo wszędzie się lało jak przez przetak; a nadto na dziedzińcu przed gankiem filigranowym, na kształt

gołębnika zbudowanym, leżała ogromna kupa piasku wybranego na zrobienie piwnicy na warzywa, wykopanego przez żołnierzy moskiewskich, którzy się nad moją żoną litowali i jak mogli tak pomagali w tym smutnym stanie kraju, a w szczególności mego gospodarstwa.

Gdym przybył do domu, zastałem jeszcze tych preobrażeńców, pocziwy lud słowiański, chłopcy jak dęby, pracownicy jak woły, za nieco lepsze utrzymanie życia, którego im dostarczano. W głowę więc zachodziłem, od czego tu było zacząć, bez najmniejszej teorii ani praktyki gospodarstwa wiejskiego, bez żadnego funduszu, bo z kampanii nic pieniędzy do domu nie przywiozłem. Nie dosyć tego wszystkiego złego! Rana na nodze, ciąglą podróżą konną bez należytego opatrywania, tak się pogorszyła, że musiałem się położyć, ażeby smutniejszych jej skutków uniknąć. Szczęściem dla mnie mieszkał u mego szwagra Adama Kicińskiego w Lechonicach, o milę ode mnie, doktor Wilczyński, ten sam, który później znane „Album Wileńskie” wydał i który mego szwagra, ciężko pod Wilnem w kostkę u nogi postrzelonego, leczył; ten mnie starannie opatrywał, odwiedzając mnie często, i wiele mi pomógł przez ustawiczne wezykatorie, ale rany zagoić nie mógł, aż młody doktor z artylerii moskiewskiej w Grójcu stojącej mnie zupełnie wyleczył, bo też i p. Wilczyński od szwagra mego, gdy ten się ożenił, w odleglejsze przeniósł się miejsce.

Nieszczęście jedno, jak mówią, nigdy samo nie przychodzi, ale kilkoro razem. Nie dosyć, że byłem w najopłakańszym stanie co do zdrowia, funduszków, znajomości sztuki, przychodzi jeszcze trąba powietrzna i gruchocze mi budowle dworskie, zupełnie tak, jak to trzęsienie ziemi ma zwyczaj robić. Posłałem zaraz na wotywę do parafialnego kościoła na podziękowanie Bogu, że w tym zdarzeniu nikt z ludzi ani inwentarzy życia nie utracił, a nie mając innego środka ratowania się, przystąpiłem na nowo do Towarzystwa Kredytowego, zaciągając pożyczki złp. 32 500, i z tego kapitału powoli, bo w lat pięć, dodając dochód roczny z wioski, wystawiłem nie tylko dworskie budynki według nowego planu, ale i włościańskie, które ze starości aż po okna przyzbami w ziemię wlażyły. Dwór sam przez trzy lata narządzałem, dając wszystko nowe oprócz ścian zewnętrznych, albowiem wewnętrzne były już murowane przeze mnie. Był to dom taki sam, jaki w Warszawie w domu Lessera przy ulicy Miodowej, wewnątrz dotąd jako pomnik po Janie Sobieskim, który w nim

mieszkał, utrzymywany. Zbudowany był z modrzewia, ale północno-zachodnie flagi tak go nadpsuły, że z tej strony musiałem mu dać koszulkę z cegły, a był tak dawny, że ośmdziesiątletni starzec, który się w tej wsi rodził, już go takim, jak był, zapamiętał; mógł więc być rówiennikiem owego domu Sobieskiego, gdy kształt obudwóch i wymiary są prawie te same.

Wystawiłem więc spichrz murowany, dwie stodoły z ziemiobitu (*en pisée*), bo po obliczeniu kosztów na lepszy materiał stać mnie nie było, każda po 108 łokci długości, a 25 łokci szerokości w świetle; pierwsza, stojąca wyżej, miała 4½ łokci wysokości, druga, stojąca niżej, miała 7 łokci wysokości w ścianach. W górnej, bliższej domu, umieściłem młocarnię Evansa i piwnicę pod sąsiekiem na parę tysięcy korcy kartofli, ale tak porządną, jasną i suchą, że w potrzebie, pownośiwszy lustra, dywany i drzewa z wazonami, można by dać w niej balik, a lepszą jeszcze można było urządzić zabawę w spichrzu, gdzie by na parterze i na górze razem tańczono. Dalej wystawiłem owczarnię, holendernię, obie z pizy, wiatrak i szopę na paszę drewniane; stajnia zaś i wółownia były już przez dzierżawcę moim kosztem postawione; słowem nic z budynków nie brakło do porządnego prowadzenia gospodarstwa i dzisiaj, w r. 1860, gdy to piszę, wszystko — oprócz dwóch budynków przez dzierżawcę postawionych, a mających być zastąpionymi jednym — stoi i usługę czyni.

Nie opuszczając łoża przez całą zimę r. 1831/32 z powodu rany w nodze i nie mając się kogo poradzić, bo sąsiedzi starym jeszcze trybem (trypolowym) gospodarstwa prowadzili — udałem się znowu do książek, które mnie już dawniej na nogi postawiły i zbawiły. Tu mi się mała nasuwa uwaga, że ziemianin nie powinien żałować kosztu na zakupienie jednej, drugiej, a nawet dziesiątej książki o gospodarstwie wiejskim mówiącej, ponieważ jeżeli tylko jedną myśl zdrową, myśl żywotną w jednej z nich znajdzie i u siebie zastosuje, ta okoliczność tyle pożytku przyniesie, że koszt wyłożony sownie się wróci, a książka darmo przyjdzie. Kupiłem więc Thaera, patriarchę rolnictwa rozumowanego, Krejsiga w czterech tomach, który w Prusiech gospodarując z małych początków znacznego dorobił się majątku, a co największa że pisząc o wszystkim, sam, przechodząc w życiu przez różne stopnie hierarchii rolniczej, wszystkiego doświadczał; dalej Bürgera w dwóch tomach, Koeppego itd. Z polskich zaś pisarzy pożyczyłem Oczapowskiego, bo mi był za kosztowny,

kupiłem Kurowskiego, Trębickiego, później Chłapowskiego itp., a leżąc i czytając wciąż, kreśliłem rozmaite plany mego przyszełego gospodarstwa; bo dawniejsze w tej wsi były trzy-polowe z dwiema gorzelniami (każdy bowiem dziedzic miał jedną), pszenicy wysiewano 20 do 30 korcy, owiec w obu częściach trzymano najwyżej 300 sztuk, roślin pastewnych nie uprawiano i miano kilkunastu gospodarzy z załogami.

Rozczytawszy się i poznawszy dobrze w teorii rolnictwo, wzięła mnie chęć do podniesienia dochodów tej wioski, chociaż dawniejsze gospodarowanie nie było złe, tym bardziej że wszędzie w kraju w użyciu będące. Ostateczny więc plan obrałem następujący ze względu na rodzaj i położenie gleby; płodozmian czteropolowy, rozumi się po wykarczowaniu kilku włók zarośli i skasowaniu gospodarzy, inaczej by powierzchnia ziemi nie wystarczyła, chów owiec wysoko poprawnych do 1 000 sztuk posunięty, chów bydła ograniczony do koniecznej potrzeby, budowle takiemu układowi odpowiednie, tj. obszerne, trwałe i udatne a tanie, uprawa roślin pastewnych, jak koniczyny, wyki, trzaski, na dużą skalę, czyszczenie pól i łąk z kamieni i zarośli, skasowanie gorzelni itd., na co potrzeba było kilka lat czasu, znacznego kapitału i wielkiej dozy cierpliwości. Zacząłem najprzód, jak wypadało, od budynków, a najtańsze wydawały się nie z drzewa lub cegły, ale z ziemiobitu. W tym celu nabyłem niemieckiego autora Sachsa i polskiego Czakięgo, a przewertowawszy ich, postanowiłem zaraz z wiosny 1832 r. wziąć się do dzieła, a w zimie ją poprzedzającej zwozić drzewo na belki, murłaty, krokwie, łaty — i szczęście mi jakoś służyło, bo w zimie była dobra sanna do zwózki materiałów, a w lecie były najpiękniejsze pogody, tylko niekiedy, jak z potrzeby, miernym deszczem przeplatane, który mi fabryce nie przeszkadzał a roślinom służył.

Sposób budowania z ziemiobitu jest nader łatwy, pospieszny i tani; opisywać go tutaj nie widzę potrzeby, bo jest dosyć znany i gdzieniegdzie upowszechniony; dosyć powiem, że w czternaście dni z pomocą sześciu fornałek wożących glinę o 1 000 kroków odległą, sześciu ludzi ubijających glinę i czterech dziewcząt donoszących szaflikami świeżą glinę pod rękę ludziom bijącym, stanął zrab stodoły górnej, a w tydzień stanęło na niej całe wiązanie dachu (Zulager) z murłatami, stołcem podwójnym, krokwiami, buntami i łatami, ponieważ to wiązanie na boku, w czasie ubijania gliny, według wymiarów było odrobione, jak się zwykle dzieje, a po ubiciu ścian za-

raz zaciągnięte. Glinę miałem wyborną, tak że fajans z niej można było robić; po ubiciu w kilka godzin tak twardniała, że oskardem by ją rozbijać trzeba było.

W tymże roku ustawiłem w tej stodole młocarnię i sieczkarnię Evansa, do młocarni zaś — bo sieczkarnię już miałem — przyszedłem przypadkowym sposobem. Śp. Bykowski, dawny mój dzierżawca, wychodząc z dzierżawy z Uleńca, miał do zbycia młocarnię, którą tam własnym kosztem był wystawił; ta mu nie chciała dobrze młócić, bo cztery konie z wielką trudnością w niej chodziły, nareszcie główny wał (pionowy) rozdarły, że go żelaznymi obręczami zmocować potrzeba było, o czym wszystkim wiedziałem; nabyłem ją wszelako, za połowę pierwiastkowej wartości, wiedząc z teorii, że z tych samych form jednakowe odlewy wychodzić muszą, dorozumiałem się zatem, że jakaś wada organiczna nie w niej samej, ale w jej ustawieniu tkwiła. Nawet samego Evansa (starszego brata, dziś już nieżyjącego) w swoim czasie do Uleńca sprowadzono, ten nie tylko jej nic pomóc nie mógł, ale nawet przyczyny nie odkrył niegodziwego jej działania. Sprawiona zaś była w zimie r. 1830/31. Gdy mi ją odstawiono, przekonałem się zaraz, że legary pod nią z świeżego drzewa robione i na wilgotnym gruncie położone szybko nader gniły, zatem młocarnia gniotąc swoim ciężarem takowe, a te po trosze ustępując niejednostajnie w różnych częściach, były przyczyną, że młocarnia się rozstrajała i zazęбления w całym składzie maszyny już na siebie normalnie nie trafiały, i stąd pochodziło takie utrudzenie koni w czasie młocki. Odjawszy przeto nadpsute części legarów i położywszy je na wyniosłym i suchym miejscu na podmurowaniu, także gruntownym, sam ją inaczej nawet, niż była pierwotnie, z prostym wiejskim młynarzem ustawiłem pod strachem bożym. U Evansa bowiem nie mogłem wówczas dostać mechanika do jej ustawienia, ponieważ, jak mi odpisał, wszystkich porzysłał po kraju, na Wołyń, Podole, do Galicji, sam się więc musiałem wziąć na chybił trafił do jej ustawienia; a że jej do ściany glinianej przyczepić nie można było i klatka jej odosobniona stać musiała, podawałem w jej ścianach krzyżulce, ażeby się nie obaliła lub nie chwiała.

Przepraszam, że tak obszernie nad tym moim kłopotem się rozwodzę („Tantae molis erat Romanam condere gentem”, jak nieboszczyk Wirgiliusz powiedział). To dzieło także mi się szczęśliwie udało, bo dotąd przez tyle lat — oprócz ma-

łych narzędzi części, psuciu z powodu tarcia ulegających — dobrze chodzi, opłaciwszy mi przez swą nieocenioną usługę już kilkakrotnie swą wartość. Stawiać zaś ją musiałem koniecznie, bo cała, składająca się z wielu części żelaznych i drewnianych, leżała pod gołym niebem na dziedzińcu, mogła więc szwank od niepogody w jesieni i zimie, tudzież od ludzi złej woli, którzy by tarcice powoli spalili u siebie, ponieść, a zamknąć ją pod dachem nie miałem miejsca; wreszcie na zbliżającą się jesień do młócenia zboża do siewu niezbędnie była mi potrzebna; ludność bowiem cała zajęta była to do fabryki, to do uprawy roli pod siew jesienny, ponieważ w tym roku także dużą owczarnię z ziemiobitu wystawiłem.

Ukończywszy w cztery lata fabrykę, karczowanie siedmiu włók krzaków i zarośli, zaprowadziwszy w porządną kolej płodozmian, wyszlamowawszy jedną wielką blisko domu sadzawkę, uporządkowawszy ogród, uregulowawszy inwentarze itd., zmniejszyłem ludność naturalnie zbyt dużą, ograniczając się na potrzebnej jej ilości, mając zwłaszcza na lato górali do košby wszelakiego zboża, a na zimę młocarnię do tegoż zboża, przychodzące osiadłej ludności w pomoc.

Tu warto zboczyć do górali; przychodziło ich corocznie do mnie 8—10 i wszystko, nawet pszenicę, brali na kosę. Dotąd od lat dwudziestu kilku przychodzą, mając pomieszczenie wygodne w dawnym spichrzu przez nich zamykanym, ordynarię, złożoną z chleba, kaszy, słoniny, soli, wódki i piwa, oprócz tego każdy z nich otrzymuje na odchodnym, za sześć tygodni roboty, srebrem grubym złotych 100 do ręki, majster zaś więcej, jako mający honorarium pewne tak od dworu jak i towarzyszy. Od czasu, jak kolej żelazna do Krakowa nastąpiła, już pieszo nie chodzą, ale dla oszczędzenia i czasu, i nóg, nią jeżdżą. Walna też jest ich robota, bo gdy są dobrze wyształceni przez dziedzica i majstra, tną jak pod sznur, składając pokosy cienko i regularnie, dozorczy dworskiego nad sobą nie potrzebują; cięcie kosą dostarcza daleko więcej słomy niż rżnięcie sierpem, przynajmniej dobry wóz parokony z morgi gospodarskiej (200-prętowej), a słoma jest tak ważnym w gospodarstwie rolnym artykułem; nadto móg przez nich cięty taniej kosztuje niż rżnięty przez najemnych lub swoich żniwiarzy. A zysk na czasie, żeby prędko sprzątnąć, ileż to nie znaczy w rolnictwie? Ci górale tak się spieszą z robotą, żeby prędzej do swoich domów wrócić (bo każdemu swoje gniazdo najmilsze), że na polu nieco odleglejszym koczują z żywnością, iżby czasu tam i na powrót na

drogę nie tracić; a tak znają rozległość i położenie pól, iż majster dwór zawiadamia, co pierwiej, a co później ciąć przypada. Odchodząc do domu, corocznie mają wyprawiony obiad, na którym główną rolę gra upasiony już nieźle na rżyskach baran czy skop, i rozstajemy się z nimi z żalem jak z najlepszymi przyjaciółmi. Kosy swe i inne drobne przyrządy do koszenia zostawiają u nas aż do przyszłego roku, żeby ich próżno dwa razy nie dźwigać.

W zimie zaś młocarnia $\frac{2}{3}$ zbioru młóciła; żyto tylko młócono cepami zwyczajnymi dla otrzymania prostej słomy, potrzebnej na poszewkę tyłu obszernych budynków, bo wówczas nie było jeszcze młocarni wydających prostą słomę.

Cóż to za ogromny postęp jest w tym XIX wieku! Jeżeli tak dalej pójdzie w każdym względzie, zdaje mi się być rzeczą niewątpliwą, że jeszcze w tym wieku w Europie będzie religia jedna, a później na całym świecie; że papież z kardynałami zamieszka Jerozolimę, gdzie Pan nasz rodził się, cierpiał i umarł młodo zabity; że wszelkie narodowości swą autonomię otrzymają, a zatem Żydzi do Palestyny się wyniosą, jako plemię do żadnego nie przystające, mądre a niepocziwe; że miary, wagi, pieniądze wszędzie będą jednakowe; że każdy naród dwóch tylko języków będzie się potrzebował uczyć, własnego dla potrzeb swojskich i ogólnego, np. francuskiego, dla porozumienia się z obcymi narodami; na co nie potrzeba więcej jak kongresu w środku Europy, np. w Warszawie, a pokój wieczny, o którym tyle marzono, by nastąpił. Proszę mi przebaczyć ten ustęp socjalno-filozoficzny, ale tak jestem głęboko przekonany o prawdzie i możliwości jego, że gdyby mi dano władzę po temu, przeprowadziłbym go.

Wracając do rzeczy, przystępuję do inwentarzy. Miałem ogiera rasowego złotogniadego, którego nabył od Konstantego Witkowskiego. Ten ogier odbył ze mną szczęśliwie kampanię r. 1830/31, wrócił ze mną do domu i z niego to dochowałem się pięknego stadka koni przy klaczach polskich grubopłaskich, tak że fornalki podobierane wzrostem i maścią i dobrze utrzymane mogły być każda do kocza użyte, tak bowiem dobrze wyglądały, że konie cugowe zastąpić mogły. Równie dochowałem się pięknego jałownika, z którego potem krowy i woły odnawiałem.

Pachciarza, mimo różnych instancyj i zabiegów, nie trzymałem przez lat kilkanaście.

Pola i łąki oczyściłem z krzaków, drzew i kamieni. Nad

kamieniami zwłaszcza przez cztery lata pracowałem, ponieważ dużo ich było, a niektóre były tak wielkie, że w cztery konie zwozić musiałem; często do włożenia na wóz jednego wszystkie koła zdejmowano; większe jeszcze topiłem, tj. podkopywano je z boku, spuszczano w te doły i przykrywano warstwą rodzajnej ziemi, tak grubą, żeby płużyca ich nie sięgała. Kamieni zaś była taka ilość na polach, że gdym w jedno pole będące ugiorem posłał czterech ludzi rano dla ich wyważania i stawiania, na wieczór wyglądały jak rozrzucona gromada owiec. Potem mniejsze dzieci wyzbierwały w opałki i w bruzdach składały, następnie zwożono je do domu. Te kamienie, tak wielkie jak małe, ważną mi przysługę czyniły, służąc na fundamenta pod tyle gmachów, dając fundamenta z nich na dwa i trzy łokcie głębokie, za to budynki dotąd pionowo stoją. Mimo taki ich rozchód zostało ich wszelako z gatunku potężnych niemało, których do odległego o dwie mile szose sprzedać nie mogłem. Pola nawoziłem szlamem, łąki bronowałem w jesieni żelaznymi bronami, na wiosnę posiewałem popiołami, koniczyną, paprochami sieniowymi, a wyższe miejsca pokrywano nawozem bydlęcym. Gdzie były kretowiska, takowe miejsca na łąkach uprawiano przez orkę, redlonkę, włóczkę i zasiewano traw dobrych nasieniem, rozumie się pokrywwszy je wprzód nawozem.

Ponieważ przede mną było dwóch dziedziców, a każdy z nich miał gospodarzy, więc role i rólki ich były w rozmaitych kierunkach w zagony i zagonki, jak kto chciał, poorane; nie mogąc ścierpieć tego nieładu, w jesieni po zbiorach i skasowaniu poprzednim gospodarzy, wszystko to zorałem, zostawiając na środku każdego zagona wygon dwuskibowy, po czym zredliwszy wszystko drobniutko, kazałem żelaznymi bronami wzdłuż i w poprzek zawlec, czym powierzchnię zupełnie urównałem, nie dobywszy nic calizny, czyli jałowej ziemi.

Na koniec zrobiwszy sobie narzędzie drewniane, krzyż z celownikami na drążku osadzony (bo stolarze robiący około domu byli pod ręką), poznażyłem cały obszar pól w lechy, czyli składy prętowe w kierunku z południa na północ, używając do tego wspomnianego krzyża, wich i jednego wyuczonego parobka z płużyą. Lekkie spadzistości w polach pozwalały mi na zaprowadzenie składów, które dla kosiarzy zbóż, dla zwózki z pól i wywózki nawozów i dla wielu innych dogodności okazały mi się nader pożyteczne. Wszelka robota w roli szła szalenie szybko, mogąc co dzień wysłać dwadzieścia

kilka płużyc lub radeł, tak konnych jak wołowych razem. Gdzie można było, robota była na małej przestrzeni, np. przy redleniu razem przez wszystkie radła, osobno konne, a osobno wołowe, wykonywana, idąc jedno tuż za drugim, jak kosszą kosiarze; starszy parobek szedł na czele, a komendant oddziału miał ostatnie radło, mógł więc wszystko przejrzeć, co się przed nim działo... Orało się i redliło przez całe pole wzdłuż lub wszerz, z niezbędnymi przestankami dla wytchnienia bydłom. Inne czynności, np. rozrucanie gnoju, odbywane przez pleć żeńską, działy się na wydziały; każda z nich stanęła na odmierzonej mordze i pracowała; pilne już o czwartej po południu swe zadanie skończyły i odchodziły do domu, inne do zmroku się gramoliły. Dozorca tylko się wszędzie przechadzał dla dopilnowania dobrej roboty.

Rozdział pracy wiele znaczy, tak w gospodarstwie, jak w przemyśle. Wiadomo z ekonomii politycznej, że np. jeden rzemieślnik pracujący nad robotą szpilek tak mało dziennie zarobi, że z rodziną utrzymać się nie potrafi, a gdy dziesięciu koło jednej szpilki robią, wszyscy przyzwoite znajdą wyżywienie.

Drogi nowe, proste jak strzełi, porobiłem, całe pole pod kątem prostym na ośm kwater, tak jak w ogrodzie się dzieje, podzieliłem, czym nadzwyczaj komunikacje, tyle w rolnictwie potrzebne, ułatwiłem. Gdzie potrzeba było drogę naprawić z powodu bagna lub tłustej niziny, robiłem to własną siłą, nie prosząc się o szarwark, który corocznie tak w naturze dawałem, jak w podatku opłacałem, a uderzając całą mocą przy długim dniu czerwcowym w jedno miejsce i kierując przy tym podziałem roboty, zwykle w jednym dniu ośm fornales i kilkunastu ludzi dokładnie wielką robotę wykonali.

W gospodarstwie żona mi we wszystkim, w czym mogła, pomagała; urządziliśmy się skromnie, żyliśmy tylko z rodziną żony, więc mieliśmy kilka domów bliskich do towarzystwa i to nam aż nadto wystarczało. Żadnych balików nie dawałiśmy, imienin nie obchodziliśmy, unikaliśmy wszelkiego zbytku tak w kuchni, jak w ubiorach i meblach, bo spodziewając się kilkorga dzieci do wychowania, musieliśmy na przyszłość baczyć, co nam na dobre wyszło.

Każdodziennie wieczorem wszelki przychód i rozchód pieniędzy, inwentarza, zboża w snopie, ziarna, robocizny itd. był przeze mnie zapisany w księdze ogólnej, a że schemata porobiłem sobie wygodne, czynność ta dłużej nad 10 minut nie trwała, a bez ścisłego rachunku w żaden sposób obejść się

nie można, ponieważ na końcu roku gospodarczego, który u mnie był 14 października (dzień przybycia mego z kampanii na wieś), przeniósłszy wszystko kategoriami do innej książki na czysto, która czynność przez jeden dzień cały mnie zajmowała, jasno było, jaka gałąź gospodarstwa zysk lub stratę przynosi, ile roczne utrzymanie domu kosztowało itd., i łatwo z tego rachunku bilans, czyli stan majątku otrzymać można było. Żonie zaś, dla uniknięcia drobiazgowości w rachunkach, zaliczałem pewną sumkę na wydatki domowe, którą inną zastępowałem, gdy wyszła, umieszczając ją w mej dziennej książce ryczałtowo.

A jakaż to pociecha i zachęta do dalszego gospodarowania, gdy stan włości z ludźmi w niej żyjącymi, stan majątku, inwentarzy, budynków, pól, łąk, ogrodu itd. z roku na rok coraz bardziej kwitnącym się przedstawia! Tu trzymałem się zdania J. J. Rousseau, który, chociaż z profesji nie ekonomista, mówi, żeby przez pracę i oszczędność wyzyskany czysty całoroczny dochód był w zapasie i służył na rok następny jako kapitał obiegowy — Betriebskapital — na utrzymanie życia i gospodarstwa. Tej zasady się trzymając, nigdy nie byłem w potrzebie pożyczania od kogo bądź pieniędzy, a tym mniej od pejsatych spekulantów na wysoki procent, wyjąwszy z tego jednak pożyczkę w Towarzystwie Kredytowym zaciągniłą, a która moje gospodarstwo na nogi postawiła.

Niektórzy sąsiedzi, widząc, że stawiałem budynki w trójnasób większe, niż były dawne, i stawiałem je z gliny, śmieli się po cichu z tych nowości, ale zaprzestali patrząc na te budynki okazałe pełne zboża i inwentarzy. Ponieważ na technice rolniczej nic się nie znałem, dowiedziałem się od mego dzierżawcy, już przez lat kilkanaście tam mieszkającego, jak, kiedy i pod co rolę uprawiać i zasiewać itd. Dwie gorzelnie, które dawniej były w dwóch częściach, a potem jedna za mego dzierżawcy, zniosłem, nie chcąc ciągnąć zysku z demoralizacji i szkody włości, chociaż skądinąd gorzelnia jest wielką podporą w rolnictwie przez wywary służące do utrzymania inwentarzy, a tym samym do powiększenia masy nawozu.

Ponieważ gospodarze nie mogli czy nie chcieli zwozić materiałów do fabryk, bo wózki ich były arcydelikatne, a koniki biednie karmione, chociaż mieli załogi dworskie, tj. każdy gospodarz miał ze dworu wóz, konia, parę wołów, krowę, świnie, płuzyce, radło, nadto dom oddzielny, w którym się z ro-

dzinę i czeladzią mieścił, role w trzech zmianach, mianowicie pod oziminę, jarzynę i ugór, łąkę, ogród, słowem wszelkie warunki dobrego bytu, a oszukiwali mnie nielitościwie, odrabiając pańszczyznę całą parobkiem niezdara, który nie umiał płużycy nastawić, snopka wykręcić itp., mając szeroki lemiesz dla dworu, a wąski dla siebie, mając deski do wywózki gnoju (gnojnice) dla siebie szerokie, a dla dworu wąskie, wypasając po nocach dworskie łąki swymi inwentarzami, nie opuszczając żadnego jarmarku ani targu w Grójcu, Warce, Białobrzegach, Goszczynie, miasteczkach najdalej o mil dwie odległych, upijając się urzędownie, tak że czasem koń sam z wozem bez pana do domu powracał, itp. — zniewolony byłem po długim namyśle ich skasować, a zaprowadzić w ich miejsce kosiarzy i parobków, na czym bardzo dobrze wyszedłem, bo koniki po nich wzięte na obrok i pod zgrzebło tak wydobrały, że potem nimi największe kamienie, belki itd. zwoziłem.

Razem, mając kilka włók zarośli dębowych, leszczynowych itp., wziąłem się do ich karczowania, ponieważ rodzaj krzewów i bujny ich wzrost dobrą ziemię oznaczał. Zbiegł się lud z okolicy do tej roboty, nawet z kuźnic w drewnianych trzewikach, miałem więc Polaków, Niemców, Żydów pod dostatkiem, a że na wydział karczowano, przybiegali w głębokiej już jesieni przede dniem, pozapalali ognie i pracowali na wyścigi (taka między nimi emulacja powstała). Lud więc nasz jest pilny i ochoczy do ciężkiej nawet pracy, gdy widzi dobrą zapłatę. Wydobyłem tym sposobem około siedmiu włók chełmińskich wybornej nowiny, na której potem otrzymane plony hojnie mi mój nakład wynagrodziły.

W tym samym czasie przystąpiłem i do szlamowania. Ongi w tej wiosce było czterech panów, którzy wodę i bagna, tuż pod ich dworcami będące, podzielili między sobą na cztery równych części przez dwie trytwy na krzyż się przecinające; każdy zapewne swoją część wyszlamował i następnie zarybił, ażeby na posty, które tak ściśle przodkowie nasi zachowywali, miał własną rybkę na stole. Gdym nastał, te groble w części już się rozpląnęły, a owe sadzawki tak mułem zalazłe i tatarakiem zarośnięte były, że do żadnego użytku, nawet do pojenia bydła w potrzebie nie służyły. Dwie więc takie sadzawki wyszlamowałem, zrobiwszy z nich jedną, wywożąc w zimie saniami szlam na lądzie dobrze już zlasowany na miejsca górzyste i piaszczyste, czym lotne piaski ustaliłem, że mi potem, będąc pędzone wiatrem, pół dobrych nie zasypywały.



Józef Jaszowski z żoną. Fotografia z r. 1861

Ogrodu także nie przepomniano. Żona, głównie się w nim udniąc, nakupiła szczepów drzew owocowych, pozakładała kółki płonek, nasadziła krzewów, a nawet kwiatów, tak że później mieliśmy w obfitości wszelkiego warzywa, owoców, uskawek, agrestu, malin, porzeczek, szparagarnia była nawet cokolwiek za duża, bośmy szparagów i z dziećmi przejeść nie mogli, rozsyłano więc je w sąsiedztwa, gdzie ich nie miało; a gdy najstarszy syn po odbytej praktyce rolniczej i odbytym egzaminie w Marymoncie, otrzymawszy patent na wykształconego gospodarza, przybył na wieś i objął zarząd gospodarstwa (ja bowiem z resztą dzieci w Warszawie byłem), jako zamiłowany botanik zaprowadził winograd, brzoskwinie, morele, morwy, założył inspekta, wystawił oranżeryjkę, tak że później nic w domu w tym względzie nie brakowało. Dość trzeba, że ogrodu było kilka morgów z dobrą ziemią i tuja praca i koszt łózone się nie zmarnowały.

Drugi wielki wydział żony było leczenie chorych ludzi we wsi, na czym się dobrze znała, nauczawszy się sztuki leczenia od swej matki, zawołanej gospodyni i czytając „Medycynę wiejską”, w dwóch tomach przez Szacfajera napisaną, a w Wilnie przez Paulizkiego tłumaczoną, tudzież „Poradnika domowego” Dziarkowskiego, które to dzieła nabyłem od czasu odebrania wsi na siebie. Razem z żoną założyliśmy apteczkę wiejską, nakupiwszy w składzie materiałów u Zeuschnera na podwalu w Warszawie za paraset złotych rozmaitych leków, dla ludu wiejskiego najpotrzebniejszych i długo się przechowywać mogących, a których spis lekarz bateryjny mi sporządził. Rumianek zaś, kwiat bzuwy i lipowy itp. w domu zbierano. Nie przepomniano także niektórych narzędzi, koniecznych przy apteczce na wsi potrzebnych, jak: szelki apteczarskie z gwichtami, serynga i naczynka rozmaite. Można sobie wystawić użyteczność tego zakładu, kiedy samego emerytku przez pobyt nasz na wsi kilka razy u znajomego hurtownika materiałów surowych braliśmy, i ten się rozchodził u nas po wsiach bliskich. Szwagier zaś mój, Adam Kiciński, miał wielko lekarskie Orkisch, tym sposobem moja i jego żona sobie wzajemnie pomagały. Bywały zdarzenia, że w ciężkich i nagłych chorobach potrzeba było chorego przez dwa dni ratować, nim doktor przyjechał, ponieważ go w domu nie było, co właśnie miało miejsce z synem mego szwagra Kaźmierzem, który będąc młodziutkim ciężko się rozchorował; naszymiast moja żona tam pojechała, obiedwie panie dzień i noc na przemianę nieodstępnie go pilnowały, dając mu róż-

ne leki, a gdy doktor Liebchen przyjechał i wszystko wyba-
dał, oświadczył jak najuroczyściej, że w tej słabości biegły
doktor nie mógłby lepszych przepisać środków, jak te panie
użyły; i pacjent szczęśliwie wyzdrowiał. W ogólności wszel-
kie leczenie przez moją żonę przedsiębrane bardzo były po-
myślne i nie przypominam sobie, ażeby ktoś mogący być
uratowanym, pod jej ręką życie zakończył.

Mając cztery pola w kolei następującej: ugór z przedplo-
nem, oziminę z koniczyną, pastwisko i jarzynę z koniczyną,
a w każdym polu do dwustu korcy wysiewu oziminy, chcia-
łem wysiew pszenicy doprowadzić do stu korcy w każdym
polu, a chów owiec dorosłych do tysiąca sztuk posunąć. Co do
pszenicy, raz tylko wysiałem dziewięćdziesiąt korcy, a do
stu nigdy dojść nie mogłem, bo nawozu a bardziej stosow-
nej gleby brakowało. Dziś, gdyby mi się lata wróciły, potra-
fiłbym to uskutecznić, przybierając i lepsze grunta pod psze-
nicę, jak to w Anglii robią i z plonów są zadowoleni, a brak
nawozu zastąpiłbym szlamem, kompostami itp. Co do owiec,
to wkrótce do zamierzonej ilości z przychówku doprowadzi-
łem. Synom zaś moim na wpół żartem powiedziałem, że jeżeli
zechcą wyżej dochody z wioski posunąć, mogą to zrobić hodo-
waniem ryb, pszczół, jedwabników i pijawek, bo położenie
miejsca i wszelkie warunki tym hodowlom ze wszech miar
sprzyjają. Nawodnienie łąk także by się przydało, chociaż za
mego polepszanego gospodarstwa po trzysta wozów parokon-
nych wybornej paszy, tj. siana gruntowego, koniczyny, wyki
i trzaski, zwłaszcza przy kartoflach w zimie owcom dawanych,
wystarczało do utrzymania inwentarza w dobrym stanie.

Urządziwszy tak gospodarstwo, miewałem przy obfitości
nawozu, dostatecznej ludności, wybornym inwentarzu żywym
i osobistym dozorcze bez ekonoma i bez pisarza, jedynie
z pomocą karbowych, tak dobre zbiory, że te wielkie stodoły
corocznie prawie bywały pełne, że się aż bunty pod zbożem
łamały; a niekiedy nie wystarczały nawet na pomieszczenie
zboża, to wtenczas stogi i brogi w pomoc przychodziły.

Wracam jeszcze do koniczyny, którą tylko gdzieniegdzie
po ogrodach na próbę siewano; ja wysiewałem jej na kilku-
dziesięciu morgach i darzyła się. Raz zebrałem dwadzieścia
korcy jej nasienia; część jego rozeszła się w okolicy, znaczną
partię posłałem w komis do Warszawy, gdzie ledwie kilka
jej korcy sprzedano, a resztę do domu zabrać musiałem, bo
jeszcze koniczyna nie była w kraju upowszechniona; a dzi-

siaj niemały handel jej nasieniem z zagranicą się prowadzi, bo go i do farbierstwa potrzebują.

Dziwiłby się kto może, jak można było na 28 włókach chełmińskich tysiąc owiec, nie licząc w to jagniąt, własną siłą utrzymać. Oto w lecie miały pastwisko na przeszło 300 morgach, a w potrzebie i w lesie; w zimie zaś, która była trudniejszą porą do wyżywienia gromady, karmiłem maciory przed i po wykoceniu i skopy kartoflami, których corocznie do 2 000 korcy zbierałem, dając raz na dzień, tj. w południe korzec, czyli 128 kwart na sto sztuk dorosłych, ale w stanie takim, w jakim się z ziemi wybierają, mianowicie: ani płukane, ani szatkowane; owce je chciwie jadły, zaraz potem dostawały przekąskę ze zdrowej słomy, którą instynktem może kierowane, a może potrzebą — wyjadały z kozłów do szczętu, a tak zbyteczna wilgoć w kartoflach będąca łączyła się z suchą słomą i gromadzie bynajmniej nie szkodziła. Skopy zwłaszcza przy tym trybie życia bywały tak mocne, że chłop skopa dotrzymać nie mógł.

Wełnę też wyżej na jarmarku w Warszawie sprzedawałem niż moi sąsiedzi, bo była wysoko poprawna i doskonale uprawiana, do czego mi pralnia owiec w oddzielnym na boku wyszlamowanej sadzawce wielce się przyczyniała; woda w niej była miękka, a grunt twardy, gliniasty. Mycie tyłu owiec trwało przez dwa dni; najpierwsza gromada najtrudniej się myła, lecz następne coraz łatwiej, w miarę im woda była brudniejsza, bo coraz stawała się zdolniejszą do rozpuszczenia tłuszczu na wełnie się znajdującego. Sąsiedzi, widząc tak domytą wełnę, przysyłali potem corocznie swe gromady do tej sadzaweczki do mycia. Mycia wełny i jej strzyży oboje z żoną nieodstępnie pilnowaliśmy, równie jak składania i wiązania run, tudzież pakowania ich w wańtuchy. W Warszawie, dokąd sam z wełną jeździłem — bo dla kilku tysięcy złotych naraz wziętych warto było tego trudu — łatwo mi było wełnę spieniężyć, miałem na nią dość konkurentów, a który kupiec raz ją kupił, już mnie sam na drugi rok szukał i o nią się ubiegał. Najczęściej sprzedawałem wełnę do Berlina, do pewnego domu handel nią prowadzącego, podobno Gaertnera.

Wracam jeszcze do karmienia inwentarzy kartoflami. Ponieważ były tak tanie kartofle, że w czerwcu zwożono mi je przez obcych włościan z okolicy, korzec po złp. dwa, za które bez mierzenia, ale na oko płaciłem, więc miałem ich tyle, że dwanaście par wołów, przyszedłszy z pola z roboty, dosta-

wały je szatkowane, pomieszane z sieczką, czym siły utraczone odyskiwały i chłodziły się razem podczas upałów, a rozkosz była patrzeć, jak te bydlęta z wielką chciwością je pożerały i jak masa wybornego nawozu rosła.

Gdy sąsiedzi się dowiedzieli, że owce w zimie kartoflami karmię, zaczęli to próbować u siebie, dając im kartofle lub całe, lub szatkowane, z solą lub bez niej, ale owce jeść nie chciały. Przyjeżdżają więc do mnie, chcąc się naocznie o tym przekonać; rozsypano więc przy nich korzec kartofli na dziedzińcu, puszczono gromadkę owiec, która w jednej chwili takowe rozerwała. Zdziwieni tym, powiadają mi, że ich owce kartofli wcale nie chcą się dotknąć; wtenczas odkryłem im tajemnicę, jakim sposobem owce do kartofli zaprawiać należy, a co czytałem w Thaerze. Ten po zbiorze kartofli kazał puszcząć głodne owce na kartoflisko, które znajdując tu i owdzie kartofel uroniony lub z ziemi wyglądający, a nie mając innego pokarmu, pędzone głodem czy instynktem, zaczęły je kosztować, dalej nóżką odgrzebywać, a znajdując owoc soczystym i dosyć smacznym, szukały go coraz więcej; inne, zwyczajnie jak owce, idąc za przykładem kilku indywiduów, w kartoflach zasmakowały i powoli cała gromada kartofle jeść się nauczyła. Potem kazał zawlec ciężkimi ostrymi bronami to kartoflisko i znowu puścił na nie owce, które już na piękne po polu biegały, szukając tej dobroczynnej rośliny, a gdy wkrótce stanęły na zimowych leżach i dano im w kózłach kartofle, przypomniały je sobie zaraz i chętnie jadły. Otóż i ja tak postąpiłem i ten sam skutek otrzymałem, z różnicą, że moje owce nie były tak kosztowne jak Thaera, ale za to kartofle moje były o wiele tańsze niż u niego. Niechże teraz jaki empiryk powstaje na książki! One są wyborne, ale trzeba umieć je wybrać.

Winienem jeszcze zdać sprawę, dlaczego ten (str. 194), a nie inny czteropolowy płodozmian przyjąłem; ponieważ, gdyby po ozimieniu szła zaraz w następnym roku jarzyna, natenczas w pszenicy nie mógłbym siewać koniczu, który był dźwignią mego gospodarstwa, a co gorsza, że będąc dwa pola obok siebie leżące zasiane oziminą i jarzyną, co czwarty rok nie miałbym wygonu do lasu dla bydła, a przy mojej rotacji nie tylko zawsze dobry wygon zachowany został, co większa, że wszystkie cztery pola przytykając do dworu, w każde pole miałem wygon dla bydła i owiec prosto z dziedzińca dworskiego, co nader było dogodne i żadnych kosztów na wygradzanie wygonów nie wymagające; nareszcie przy takiej rota-

cji zboża po zbożach nie następowały, a co najważniejsze, że do uprawy każdego pola dosyć było czasu najswobodniejszego.

Głównie wiele mi dopomagał do prowadzenia gospodarstwa raz zaprowadzony i dopilnowany porządek we wszystkim, a nawet ułatwiał niezmiernie wszelkie czynności najrozmaitsze, często powikłane i w różnych miejscach razem przypadające, ale będąc zdrowym na ciele i umyśle wszystkiemu zaradzać potrafiłem. I tak: nie zdarzyło mi się nigdy, ażeby coś za późno lub w niestosownym miejscu było zrobione, np. zasiane, ażeby jaka czynność była zapomniana, bo z planikiem ról i pognojów, tudzież z planikiem robót bliskich i odległych dla mężczyzn, kobiet, dzieciaków, koni i rzemieślników od drzewa i żelaza, a które zawsze w pugilaresiku miałem przy sobie i gdzie różne myśli i projekta, czy to w polu, czy w domu, czy w drodze, które do głowy przychodziły, natychmiast notowałem, wszystko szło jak zegarek. A pilnowałem tak gospodarstwa (bo z niego żyłem) jak kupiec sklepu, bankier kantoru, urzędnik biura, młody małżonek swej żony... itd.; i chociaż to było czysto tylko rolne gospodarstwo, bez żadnego przemysłu, jak są gorzelnie, cukrownie, i tylko na 28 włókach chełmińskich, wszelako przez cały dzień boży było dosyć zajęcia, chcąc wszystko własnymi oczami widzieć parę razy na dzień; a gdy zmęczony dostał się do domu, brałem książkę do ręki, których zawsze kilka na warsztacie było, i gdy ciało odpoczywało, dusza znowu z kolei pracowała, a tak przeplatając ćwiczenia ciała z rozkoszami umysłu i serca, zdrowo i swobodnie życie pędziłem.

Przystępuję teraz do ważnej mojej czynności, mianowicie: do wychowania dzieci.

Ożeniwszy się dnia 7 lutego 1827 r. z Klementyną Kicińską, ośmastoletnią panienką, gdy mi lat czterdzieści dochodziło i już wcale żenić się nie miałem, ale ludzie ten związek skójczyli, miałem przed rewolucją dwie córki; starsza Maria umarła na grypę, będąc niewłaściwie leczoną na zapalenie gardła, druga, Leokadia, umarła na cholereę grasującą w r. 1831, na którą to epidemię wówczas ośmnaście ludzi we wsi straciłem. Powróciwszy z kampanii 15 października 1831, urodził mi się syn Artur dnia 4 sierpnia 1832, potem drugi syn Stanisław dnia 28 września 1834, dalej trzeci syn Piotr dnia 6 czerwca 1836, następnie córka Aniela dnia 24 maja 1838, na koniec syn Władysław dnia 15 kwietnia 1840; słowem, że co dwa lata przychodziło na świat jedno dziecko po

drugim, bo żona, zdrowa i silna osoba, wszystkie sama karmiła.

Dzieci wychowywały się na wsi zdrowo i bez żadnego szwanku. Gdy popodraszały, miały w domu nauczyciela, człowieka młodego, zdolnego i uczciwego (Modzelewskiego, który od kilku już lat nie żyje); z nim wspólnie, ile mi czasu zbywało, nad dziećmi i nad nim pracowałem, czytając razem różne dzieła o wychowaniu fizycznym, moralnym i umysłowym, które posiadałem, i stosując je, w czym można było, do mego przedsięwzięcia. Po trzechletniej nauce starsi synkowie tyle podrosli, że do szkół publicznych przejść mogli. Tu, po wielu naradach z żoną, postanowiliśmy jednomyślnie, że żonie oddam zarząd gospodarstwa, a sam z dziećmi udam się do Warszawy dla dalszego ich kształcenia, co też w sierpniu 1844 nastąpiło. Wolałem chociaż mniejszy mieć przy zarządzie kobiecym dochód niż dzieci oddać za oczy, ponieważ wysoko cenilem w wychowaniu dzieci dozór starego żołnierza napoleonisty, zwłaszcza miłującego nauki, o jakiego nasi magnaci, jak Andrzej Zamoyski do swych synów, Wincenty Krasiński do swych wnuków itd., starali się, ażeby mimo wszystkich guwernerów, metrów i nauczycieli zawsze stary zabijaka z czasów napoleońskich był nieodstępnym stróżem ich dzieci i w jednym pokoju z nimi sypiał, a moje dzieci, jako uboższe, darmo go we mnie, a do tego ojcu, miały.

Najstarszy po złożonym egzaminie został przyjęty w tymże roku 1844 do klasy III gimnazjum realnego, drugi do klasy I, później wszedł do tegoż gimnazjum trzeci syn, córka oddana była na pensję do P. P. Wizytek, a w roku następnym do Sakramentek, nareszcie ostatni syn wszedł do tegoż gimnazjum, Ach! trudno to było wówczas ojcom umieszczać swych synów w gimnazjach, ponieważ liczba uczniów nader była ograniczona. W istocie, położenie rodziców w tej mierze było okropne. Nieraz słyszałem ojców, których synów nie przyjęto, narzekających wobec władz szkolnych, które temu bynajmniej winne nie były, na taką opiekę rządu, który oprócz ubóstwa jeszcze ciemnotę w kraju zaprowadza systematycznie, i że się takiej z dzieci doczekali pociechy, iż je chyba potopić przyjdzie, itp.

Próbowaliśmy potem innych kombinacji co do wychowania dzieci, i tak: mieszkaliśmy oboje z żoną w Warszawie, utrzymując niejako pensję, bo oprócz naszych pięciorga dzieci pięcioro jeszcze innej młodzieży było, mianowicie: troje siostry mojej żony (Czyżewskiej), a dwoje obcych (Trepków

z Wieluńskiego), na wsi zaś mieliśmy rządcę, na którym nie najlepiej wyszliśmy. Następnie przez rok żona sama przy dzieciach była, a ja mieszkalem na wsi, ponieważ tam miałem nieco popoprawiać i nowe niektóre urządzenia zaprowadzić. Dalej przez rok spróbowaliśmy umieścić dzieci u pewnego urzędnika, ale na tym źleśmy wyszli. Trzeba więc było do pierwszego planu powrócić, tym bardziej że podrastający synkowie już dozoru męskiego potrzebowali, i już odtąd stale zamieszkałem w Warszawie, a żona na wsi. Dzieci na pensję porządną oddawać nie mogłem, bo nie byłem w stanie płacić od każdego dwa do trzech tysięcy złp. rocznie i dozór pensjonarski nie może iść w porównaniu z dozorem nieodstępnym ojcowskim. Na pensjach, gdzie jest liczna młodzież, chłopcy i dziewczęta nabierają rozmaitych wad, narowów, a nawet zepsucia od innych, gdy w domu będąc, nie mają żadnego związku z inną młodzieżą oprócz w klasie i na ulicy idąc do szkoły i wracając. Wszyscy synowie przeszli potem przez Instytut Agronomiczny w Marymoncie, gdzie kurs nauk był dwuletni, po czym, wykwalifikowani, jeszcze przez dwa lata na praktyce rolniczej zostawać byli obowiązani; dopiero po złożeniu dobrze egzaminu z praktyki wobec profesorów i zaproszonych biegłych otrzymywano patent na wykształconego gospodarza. Patent ten dopiero uwalniał młodzieńca od służby wojskowej.

Tą drogą poszli starsi dwaj synowie, odbywając praktykę, Artur w dobrach Rytomoczydła w Czerskiem u pp. Radziwińskich, o pół mili ode mnie. Sam p. Radziwiński (już nie żyje od lat kilku) służył w gwardii polskiej Krasińskiego w Hiszpanii, był kawalerem Legii Honorowej, a w 1812 r. dostał się do niewoli moskiewskiej, z której potem, jak wszyscy inni, powrócił, po czym, mając wieś w Płockiem, ożenił się z p. Pauliną Zaborowską, ciotecznie rodzoną siostrą mojej żony, której matka była z domu Zaborowska i ciotka p. Radziwińskiej. Artur zatem, u swej ciotki na praktyce będąc, trafił bardzo dobrze, ponieważ p. Radziwiński był pilnym i oświeconym gospodarzem. Drugi syn Stanisław odbył praktykę rolniczą w Tarnogórze w Lubelskiem u swej rodzonej ciotki, p. Czyżewskiej wdowy, mającej syna dorosłego gospodarstwo prowadzącego, więc także dobrze trafił. Na koniec każdy z nich pod okiem matki na mojej wiosce przez dwa lata gospodarstwo prowadził.

Każdy z synów tych miał niezmyśloną chęć do rolnictwa, a wstręt nieprzełamany do żołnierki, urzędu, przemysłu lub

handlu... Nie chciałem w tym względzie gwałt im zadawać, boby to było krzyczącą niesprawiedliwością; oświecałem ich tylko, tłumacząc korzyści i niedogodności każdego stanu, a zresztą wolną wolę im zostawiałem. Nic nawet dziwnego, że stan rolniczy obrali, bo się na wsi porodzili i poznawszy ten stan, w nim zasmakowali. Gdyby uniwersytet był istniał i wojsko narodowe, jak było przed rewolucją, każdy z nich byłby poszedł śladem moim, tj. po skończeniu uniwersytetu byłby odbył wojaczkę, bo tyle mają w sobie życia, energii i miłości ojczyzny.

Dzisiaj Artur ma lat 28, trzyma w sześcioletniej dzierżawie dobra Brzeście nad Pilicą za kilkanaście tysięcy złp. rocznie, którą mu jego zacny wuj Adam Kiciński, mimo konkurencji z boku, wyrobił, a mając tam wielkie zbiory siana i gorzelnię, powinien przyjść do pięknych inwentarzy. Jest już po zaręczynach z młodą panienką, łagodną i dobrze przez uczciwych rodziców wychowaną. Ci, co ten dom znają, liczą jej 2 do 300 000 złp. posagu.

Drugi syn, Stanisław, ożenił się dnia 8 marca 1859 z młodą panną (dziewiętnastoletnią) Wandą Zakrzowską z Celejowa zza Wisły; kupił ode mnie Łychowską Wolę z inwentarzami żywymi i martwymi po 7 500 złp. za włókę chełmińską, więc za 28 włók, 7 morgów (według mapy i rejestru pomiarowego) wypadła suma 211 750 złp.; większą część tej sumy, tj. 110 000 złp. spłacił mi posagiem żony, a resztę częścią swej schedy (wynoszącej 60 000 złp.) i długiem na jego wsi zahipotekowanym, procent rodzicom na ich utrzymanie przynoszącym. Dawano mi wprawdzie przedtem po 8000 złp. za włókę z inwentarzami do roli należącymi, tj. z końmi i wołami, więc oprócz krów i owiec, ale że miałem proces o granicę w łąkach z moim sąsiadem Żydem Michałem Bergsohnem, który na zasadzie starej jakiejś mapy z czasów Stanisława Augusta mi go wytoczył, a nowo nabywający wieś warował sobie, że jeżeli przegram, za każdą włókę łąki 12 000 złp. będę mu musiał zwrócić, na co nie przystałem, proces w przeciągu dwóch do trzech lat w trybunale i w apelacji wygrałem, a do senatu już mój antagonistą się nie udawał. Tymczasem aspirant do kupna tej wioski co innego nabył, a ja ją synowi po przyjacielsku sprzedałem, bo już mu się zdarzali kupcy dający kilkanaście tysięcy złp. odstępnego. Po tym synie mam już wnuka, Kaźmierza.

Trzeci syn, Piotr, zmarł w Marymoncie dnia 29 listopada 1853 r., w rocznicę naszego powstania, po dniowej chorobie.

Domysły o przyczynie jego śmierci były rozmaite. Mówiono, że w wigilię śmierci mocował się z silniejszym od siebie uczniem, że na gimnastyce nadzwyczaj wysoko się huśtając uderzył mocno lewą piersią o słup. Przy otwieraniu ciała doktor z miasta — bo instytutowy nie był do tego przypuszczony — oświadczył, iż błona sercowa do serca była przyrośnięta, na co znowu inni doktorzy mówili, że to być nie mogło, albowiem w takim razie nieboszczyk tak długo żyć by nie mógł; słowem, zgasł w kwiecie wieku z najlepszym sercem młodzieńcem. Ach! wolałbym, żeby był w boju za braci poległ. Ale nieszczęśliwi Polacy i tej pociechy nie mają, tułając się po obcych ziemiach i walcząc za cudze sprawy. Pochowany został na Powązkach; koledzy, u których wyrobił sobie przywiązanie, nieśli go na barkach do grobu.

Córka mieszka przy matce, uczęszcza na zabawy, hoża tancerka, śpiewa, gra na fortepianie, szczebioce po francusku, praktyczna nader, serca wybornego, zatwardziała patriotka, jest na wylocie z domu. Daj jej Boże jak najlepiej.

Najmłodszy syn, Władysław, kończy kurs trzyletni w Marymoncie, teraz bowiem kurs nauk w Marymoncie nie trwa lat dwa, ale trzy, rok trzeci przeznaczony jest na praktykę rolniczą w miejscu, a dawniejsza praktyka rolnicza dwuletnia na prowincji zniesioną została. Uczy się tak, że nagrody odbiera, a jak osoby poważne, znające go, rokują, wyjdzie na porządnego człowieka.

Wszystkie dzieci prowadzą się dotąd bez skazy i często odbieram powinszowania, że Bóg mnie dobrymi dziećmi pobłogosławił. Mają one może nieco pociągu do wystawności, naszej staropolskiej wady, nie baczą może na zdrowe zdanie: „Pamiętaj, rozchodzie, żyć z przychodem w zgodzie”, ale mam mocną nadzieję, że Towarzystwo Rolnicze, założone przez czcigodnego hrabię Andrzeja Zamoyskiego, dotąd w zbawienne skutki już tyle obfite, potrafi przez swe usiłowania wykonać zbytek w narodzie, a zaprowadzić skrzętność, oględność, oszczędność, cierpliwość i wytrwałość w dobrem, którymi to przymiotami wcale Polacy nie grzeszemy. Wstręt nawet do materializmu byłby tu na swoim miejscu; wszakże kapitalizując uzbierane oszczędności i wiążąc się w towarzystwa przedsiębiorcze dla podniesienia wszystkiego w kraju, jak czynią w Anglii, nie jest się dlatego Niemcem, Żydem lub Anglikiem. Wreszcie bierzmy od każdej narodowości to, co ma w sobie dobrego, a w duszy i sercu zostanmy Polakami

i postępujemy jak pszczoła, która zbierając miód z roślin najrozmaitszych, go wyrabia, nie przestając być zawsze pszczołą.

Kończąc nadmienię, że zostawiając każdemu z dzieci najmniej po 60 000 złp., biorąc dzisiejszy stan majątku za podstawę rachunku — schedy po najdłuższym życiu matki, o wiele lepiej ich zostawiam, niż mnie jedynakowi po rodzicach się dostało. Niektóre nawet ruchomości, już mi niepotrzebne, ażeby potem nie szły na licytację, jak bibliotekę, perspektywę, dubeltówkę angielską patentowaną, gitarę hiszpańską wyborną, za życia w r. 1858 na wsi między dzieci rozdzieliłem tak, że każde z nich licząc w to i córkę, przynajmniej po sto tomów dzieł najrozmaitszej treści, tudzież rękopisów na początek ich życia samoistnego otrzymało, a przedtem nieco córka dostała ode mnie nowy mahoniowy fortepian z fabryki Zakrzewskiego z przednim głosem. Ażeby i o zabawach dzieci nie zapomnieć, dałem każdemu po jednej grze szachów, oprócz innych zabaw towarzyskich córce; bo jeżeli się bawić w jaką grę, niezawodnie najlepiej w szachy, jako grę najszlachetniejszą i najmocniej z gier umysł zajmującą; ale i tej grze nie należy się namiętnie oddawać, ponieważ wiele szacownego czasu przy niej zmarnować można, czego dowodem jest sławny Amerykanin Franklin, który umierając niczego z całego życia nie żałował, jak czasu marnie na szachach straconego.

Lecz tak dzieci uposażając, wkładam na nie obowiązki, które pod moim ojcowskim błogosławieństwem dopełnić powinny: 1. Ażeby matkę, która ich swym mlekiem wykarmiła i z zaparciem siebie o najdrobniejszych ich potrzebach pamiętała, otaczały miłością, uszanowaniem i posłuszeństwem. 2. Ażeby dzieci między sobą się miłowały i we wszystkim sobie pomagały. 3. Ażeby były bogobojne, poczciwe i pracowite, pomnąc razem, że i najcięższa praca bez rozumu w niej i oszczędności podejmowana kończyć się musi na nędzy, nad którą, oprócz utraty honoru, tj. cześci u ludzi, nie ma nic okropniejszego. 4. Ażeby we wszystkim były umiarkowane, chcąc żyć długo, zdrowo i szczęśliwie na świecie; cała bowiem sztuka szczęścia na naszym planecie, czyli filozofia praktyczna życia jest: na małym przestawać, wszystkim pomagać i ustawicznie być zajętym, urozmaicać swe zatrudnienia ciała i duszy. 5. Ażeby, jeżeli będą miały potomstwo, wiernie mu, jeżeli nie więcej, to mu przynajmniej oddały, co pod względem zdrowia, ukształcenia i majątku od nas rodziców otrzymały.

Teraz, dopełniwszy zawodu jako Polak, obywatel, mąż i ojciec, wyglądam spokojnie, bez obawy i radości, śmierci, będąc już bezużytecznym w moim położeniu na ziemi. Wprawdzie Palmerston, starszy wiekiem ode mnie, jest dotąd czynnym, ale mną inaczej los rozrządził. Jestem zupełnie zdrow i najmniejszego nie mam cierpienia, lecz siły fizyczne co rok bardziej mnie opuszczają, zwłaszcza oczy i nogi mi słabną, ale za to w władzach umysłu żadnej prawie różnicy nie czuję, a matematyka, którą kilka razy w życiu wykładałem, tak mi jest świeża w pamięci, że mógłbym jutro jej kurs rozpocząć. Prześliczna też to nauka, cała na prawdzie oparta i tak potrzebna, że nie masz stanu, który by się bez niej mógł obejść. Nie było jeszcze zdarzenia, ażeby matematyk (nie marzyciel razem) z nędzy umarł lub został bankrutem.

Tryb życia mego, stosownie do wieku i okoliczności, postanowiłem następujący: przez ranek czytam i piszę, przed obiadem idę na przechadzkę, po południu znowu piszę i czytam, nad wieczorem idę znowu na przechadzkę, słowem, że w lecie chodzę dziennie po dwie godzin, a w zimie najmniej po godzinie, żadnego dnia nie opuszczając, choćby w najgorszą niepogodę. Nadto w lecie umacniam się zimnymi kąpielami wiślanymi, które mi przedziwnie służą, bo po nich, chociaż starszy jestem, czuję się bardziej krzepkim niż przed ich używaniem. W zimie zaś co 14 dni używam łaźni parowej u Banzenera przy moście, ale bez potów, ponieważ one osłabiają. W tej łaźni abonuję się od r. 1848, w którym iść zaczęła. Dawniej uczęszczałem do niej z wszystkimi dziećmi, tj. synowie ze mną do łaźni a córka do wanny; dziś żona z córką mi pozostały tylko do używania kąpeli, bo synowie rozlecieli się po świecie, jak jaskółki z gniazda.

Wieczory zwykle zimą i latem przepędzam na zebraniu szachowym w kawiarni Saskiej, przy instytucie wód mineralnych istniejącej, w której codziennie te same, sobie znajome osoby się schodzą i na kilku szachownicach grają o kawę lub cygaro. Młodzież tam nie bywa, tylko ludzie dojrzały. Jest to nader miłe towarzystwo, złożone z mecenasów, prokuratorów, naczelników banku, Komisjów Skarbu, Sprawiedliwości, Towarzystwa Ziemskiego Kredytowego, właścicieli domów, którzy Paryż i Londyn nieraz zwiedzili, dawnych wojskowych itp., wszystko ludzi myślących i przyzwoitych; czas więc nam na gawędzie lub szachach schodzi jak najprzyjemniej, bo wszelkie wiadomości z kraju i z zagranicy można tam mieć z źródeł najlepszych, a tak przyzwyczajeniem

połączyliśmy się, że gdy który z nas słaby i na wieczory przychodzić nie może, zaraz deputacja z dwóch członków z grona tego klubu wybranych udaje się do niego z odwiedzinami. O! wyżej kładę to zgromadzenie niż Resursę Kupiecką, której byłem członkiem, a w której główną rolę mają karty i bilard.

Nigdy życia tak przyjemnie nie przepędzał jak teraz, bo nie mając żadnych trosk i kłopotów na głowie, które mi przez całe życie towarzyszyły, samych tylko pomyślności doświadczam i życie mi tak ubiega, że nawet nie czuję, jak i kiedy. Dlatego też postanowiłem już na wieś nie wyjeżdżać, a powody do tego są bardzo słuszne. I tak, w Warszawie mam chleb, mięso i piwo, a które są podstawą życia, codziennie świeże i doskonałe, czego na wsi mieć nie można. Dalej w Warszawie ksiądz, doktor i aptekarz są na zawołaniu, gdy na wsi można się wiele nacerpieć, a nawet żywot zakończyć, nim doktor, który z domu do chorego wyjechał, przybędzie, nim później lekarstwo przywiozą. Potem w Warszawie są nader miłe przechadzki po zamiecionych chodnikach przy ślicznych, coraz odnawianych wystawach sklepowych rycin, klejnotów, bławatów itp., po Ogrodzie Saskim, tak pięknym i ożywionym, po ulicach wpośród żywego panorama osób krążących pieszo, konno i w powozach, gdzie się zawsze kogoś znajomego napotka, a na wsi tego wszystkiego nie ma i co dzień wiecznie te same przedmioty oczy uderzają, chyba że pora roku barwę ziemi zmieni. W Warszawie życie towarzyskie jest wielce ułatwione, gdy na wsi mieszkając, trzeba o pół mili lub milę wyjeżdżać, żeby kogoś obaczyć i z nim pomówić; a że państwo się ugaszczają we dworze, więc i słudzy w karczmie się częstują, tak że stangret pijany albo wcale do koni przyjść, albo je zaprząć nie może. Cóż tu robić? Do domu wracać trzeba koniecznie, bo nazajutrz od świtu nowe roboty we wsi czekają, jedzie się więc z pijanymi ludźmi wśród ciemnej nocy, bo latarnie u kocza zwykle pogasną, po manowcach, wybojach w lesie, zdawszy się na łaskę Bożą z żoną i dziećmi w koczku hermetycznie zamkniętym. W Warszawie, jako ognisku oświaty, życie umysłowe o wiele jest wyższe niż na wsi, tam wszelkie dzieła swojskie i zagraniczne, periodyczne pisma, rozmaite gazety z łatwością mieć można, nie licząc już teatrów, resurs, wędrujących artystów itd., a na wsi nic z tego wszystkiego, chyba niemałym kosztem nabyte. A wychowanie dzieci jak temu łatwo przychodzi i ta-

nio, kto zamieszkuje w Warszawie, a mieszkańcowi wsi — Boże! zmiłuj się nad nim!

Wspomnieć tu jeszcze wypada, że w r. 1858 otrzymałem z Francji medal brązowy (pamiątkę z Wyspy Św. Heleny) i medal biały rosyjski w r. 1859; patenta na oba znajdują się w tyle razy wspomnianej księdze „Bieg życia”. Śmieszna rzecz zaiste! Pierwszy dano, żem się bił, a drugi, żem cicho siedział. Mam więc pół tuzina znaków wojskowych, po dwa od każdego rządu, pod którym służyłem, a mianowicie: Francja dała mi krzyż Legii Honorowej i medal Wyspy Św. Heleny; Moskwa dała Krzyż Św. Włodzimierza i medal; Polska krzyż wojskowy złoty i znak honorowy za lata służby nieskazitelnej. Wszystkie te ozdoby nie były płatne oprócz pierwszej, ale cóż, dostałem ją w r. 1813 w jesieni, a na wiosnę 1814 Napoleon tron utracił i płacić ją odtąd zaprzestano. Na cóż mi się przydało nadstawianie tyle razy czerepa?

Nabajawszy tyle, czas już i zakończyć te smalone duby. Dziś mam kilkanaście tysięcy rocznego dochodu, co nam aż nadto wystarcza do utrzymania się. Nigdy z żoną tegośmy się nie spodziewali. Snadź dobry Bóg hojnie nas chciał wynagrodzić zdrowiem i dostatkiem za pracowite życie, za co mu szczerze dziękujemy. Żona, mająca dziś przeszło 50 lat wieku, tak jest zdrowa i szczęśliwa, jak sama mówi, że grzeszyłaby, gdyby więcej pragnęła. Wyjeżdża czasem na wieś do rodziny dla urozmaicenia, bo jej jest wszędzie dobrze, bo i w Warszawie ma dosyć koligacji.

Co do mnie, wolę w Warszawie pieszo po flizach chodzić niż na prowincji powozem jeździć, zwłaszcza przy moim wielkim wieku, w którym tak łatwo się przeziębici, a potem pić rumianek.

Co z nami rozbitkami dalej będzie, Bóg wie jeden. Ale mam tak mocną wiarę, jak w Boga, że raz cała Polska z gruzów wyjdzie, może nawet bez rozlewu krwi, której tyle już wytoczyła szukając ojczyzny, jeżeli tylko święcie narodowość naszą, polegającą na zachowaniu religii ojców naszych, pielęgnowaniu języka, miłości ojczyzny, waleczności, znajomości dziejów naszych, obyczajach i cnotach naszych rodzimych, z pokolenia na pokolenie przechowywać będziemy. Dziś polityka całej Europy i opinia ludów głośno przemawiają, że chcąc mieć trwałą pokój w Europie, do którego wszystko, co żyje, wzdycha, potrzeba wszelkie narodowości do życia przywrócić, inaczej zawsze będą zaburzenia i wojny, czego dowo-

dem są: uznanie bytu politycznego Grecji, księstw naddunajskich, Serbii; dziś są na stole Czarnogórze i Włochy, więc przyjdzie raz kolej i na nas, gdy Polacy niezbite dowody silnego życia narodu, od ostatniego rozbioru, przedstawiają. Daj wielki Boże! potężny Panie! ażeby proroctwo starca stojącego nad grobem jak najrychlej się spełniło, bośmy już kielich goryczy do dna wypili.

Koniec

PRZYPISKI

1. Winienem się nieco jaśniej z tego obojga wytłumaczyć.

Co do pierwszego: weźmy np. 100 kroków rozległości; na niej, licząc pół kroku na człowieka piechoty we froncie stojącego, mieści się dwustu ludzi, a w trzech szeregach — jak piechota zwykle się dzisiaj we froncie szykuje — będzie 600 ludzi. W jeździe człowiek na koniu zajmuje jeden krok w linii, a że jazda ma szyk w dwa szeregi tylko, więc na tej rozległości stać będzie 200 jeźdźców. Na koniec w artylerii na 100 krokach stać będzie sześć dział lekkich, licząc na każde po 20 kroków odstępu; a dział ciężkich będzie jeszcze mniej, jako w trzy pary koni zaprzężonych; długość bowiem frontu dział w odstępach zawisła od długości tychże dział w kolumnie będących, czego zachowanie w manewrach (obrotach) konieczne jest potrzebnym. Przez działa zaś lekkie i ciężkie rozumieją się działa polowe, a mianowicie: armaty sześćfuntowe i dwunastofuntowe, tj. rzucające tej wagi kule, tudzież odpowiednie im co do ciężaru i doniosłości granatniki, jednorogi lub karronady. A że jedno działo lekkie razem z jednym jaszczykiem (wozem amunicyjnym, które w Rosji są dwukołowe trzema końmi zaprzężone, gdy w innych krajach są czterokołowe zaprzężone czterema końmi) potrzebuje do swej usługi, licząc w to i podoficera działowodnego (komendanta działu), dziesięciu ludzi — albowiem czterech obsługują działu, bo go potrzeba po wystrzale wytrzeć, nabić, wycelować i wypalić, dwóch donoszą na przemian z wozu naboje, trzech siedzi na koniach zaprzężonych i podoficer dziesiąty (w artylerii konnej przybywa jeszcze trzech ludzi do trzymania koni wierzchowych, z których kanoniery zsiadli dla obsługi działu) — zatem sześć dział potrzebować będą 60 ludzi (oficerów w żadnej broni nie liczę, chociażby i to na korzyść artylerii wypadło), więc piechota przedstawia na tej przestrzeni 600, jazda 200, a artyleria 60 ludzi, stosunek zatem jest 600:200:60, czyli, skracając, 10:3¹/₃:1, więc kiedy z piechoty wystawionych jest na pociski nieprzyjacielskie ludzi 10, z jazdy jest ludzi 3¹/₃, z artylerii człowiek tylko 1.

Po wtóre: z piechoty nieprzyjacielskiej iść może naraz na naszą piechotę strzałów mniej więcej zabójczych 600, bo zwykle każ-

da broń walczy z sobą podobną, a z ich artylerii na naszą idzie strzałów 6, więc znowu z tej drugiej przyczyny, z piechoty naszej porażonych być może ludzi 600, gdy z artylerii naszej w tym samym czasie i na takiejże przestrzeni tylko ludzi 6, czyli z piechoty 100, a z artylerii jeden tylko człowiek; złożywszy te dwa stosunki, będzie $10 \times 100 : 1 \times 1$, czyli jak 1000:1. Otóż zdaje mi się, że mego założenia dowiodłem.

Powiedziałem wyżej, że każda broń walczy przeciw podobnej sobie. Bywają tu wprowadzić liczne wyjątki, które wszakże głównego prawidła nie znoszą. I tak: kulki karabinowe strzelców i sztucerników sięgają zwykle artylerię, bo ci pod zasłoną zawad ziemi, jako to: pagórków, rowów, krzewów, płotów, kamieni itp., czołgają się rozsypani, aż na strzał ręcznej broni, biorą na cel oficerów artylerii (stojących zwykle w środku odstępu swoich dwóch dział, już to dla uważania skutku strzałów swych dział, już też dla uważania poruszeń nieprzyjacielskich) i palą do nich; ale zbytnia najczęściej odległość i niedogodność w przyłożeniu się do broni czynią zwykle te strzały chybnymi, jeżeli niekiedy ci goście staną się zbyt natrętnymi, natenczas parę strzałów kartaczowych do nich wystosowanych z kryjówek ich wypędza; bo dlatego tylko są śmieli, że się na nich uwagi nie daje i do nich nie strzela, ale do ich dział; póki więc słyszą pociski obu stron górą ponad nimi idące, póty dobrze; lecz jak poczują kartacze li do nich posłane, o! wtenczas w nogi.

W masie zaś piechota rzadko w polu do brania dział się używa, bo dosyć czasu na przebycie drogi potrzebuje, a wtenczas idącą frontem zatrzymałyby kartacze, idącą zaś w kolumnie zatrzymałyby kule i granaty. Tu mi się przypomina, jak ważną jest rzeczą wiadomość dla oficera artylerii, kiedy i jakiego pocisku w bitwie użyć, np. gdyby Austriacy byli z dwóch tylko dział do Francuzów z Bonapartem na czele po moście pod Lodi idących kulami strzelali rdzennie (kanał działa poziomo wykierowany), Francuzi nigdy by nie przeszli i cała przyszłość Napoleona byłaby zagadkową; lecz oni kartaczami strzelali, które po największej części nie na wąski most, ale do wody wpadały; i to Francuzów zbawiło.

Wracając do przedmiotu, piechota w polu używa się przeciw artylerii będącej w szaniech polowych, gdy ta przez nieprzyjacielską uciszoną została.

Branie dział w bitwach polowych jest dziełem jazdy, która, jeżeli dobra, zabierze lada jaką artylerię i rozbije lichą piechotę, aleśmy tego Polacy nie doświadczyli. Wprowadzić w bitwie pod Lipskiem w r. 1813 wpadł był pułk dragonów austriackich na nasze działa, ale pułkownik jego zginął, pułk przeleciał jak szalony

przez odstępy dział, nic nikomu nie robiwszy, trafił zaraz na piechotę naszą w dolince za nami ukrytą, która go tak uczęstowała, że porządnie przetrzebiony znowu przez te same odstępy i znowu jak szalony przeleciał.

Dla wyczerpania tego przedmiotu dodam, że dobra piechota, zachowując swój ogień na bliską odległość, a potem go celnie używając, jazdę nieprzyjacielską niekiedy zgromi, a niekiedy jej ulegnie. To oboje widział cały korpus polski w dniu 16 października r. 1813 o godzinie dziesiątej rano pod Lipskiem, gdzie pułkownik Kurnatowski (późniejszy generał-senator, a dziś nieżyjący) z swym pułkiem strzelców konnych natarł na piechotę rosyjską, która go rzęsiстым ogniem odprawiła z niczym; wkrótce potem, uszykowawszy swoich, natarł drugi raz, wrąbał się, rozbił i rozbroił, za co głośnie oklaski na całej linii naszego wojska otrzymał; ale postrzegłszy nieprzyjacielską jazdę, pędzącą z dala swojej piechocie na odsiecz, zostawił oddział do prowadzenia niewolników, a sam z resztą pułku pognął na spotkanie tej jazdy. Co się dalej stało, nie wiem, bo lasek, za którym zniknęli, zakrył obroty naszych.

Jeszcze jedna okoliczność godna jest uwagi, że gdy w piechocie wielka ilość kul karabinowych mnóstwo ludzi, jeśli nie zabija, to przynajmniej ich niezdolnymi i kalekami robi, w artylerii, gdzie nieliczne, ale za to grube chodzą pociski, rzadkie jest kalectwo, ale śmierć lub życie w alternatywie pozostaje; ponieważ gdy pocisk (kula działowa, granat, a nawet kartacz) rękę lub nogę zgruchocze, nim ranny dostanie się do ambulansów (wozów pod chorych), które za strzałami stoją, z krwią razem i życie wypłynie, lub ranny osłabiony krwi wpływem, operacji nie wytrzyma, chyba jaki Sowiński, Kobylański, Ledóchowski, z których dwom pierwszym brakowało po jednej nodze, a ostatniemu prawej ręki.

Na koniec warto wzmiankę uczynić, że piechota i jazda najczęściej cierpią od dział przeciwnych, gdy stoją w osłonie (asekuracji) dział własnych, bo nieprzyjaciel, jeżeli zna swe rzemiosło, nie będzie strzelał do dział naszych, ale do osłony, ponieważ gdy ją z pola spędzi, i działa same zostać nie mogą, ale odejdą, chyba by się znajdowały za jaką trudną do przebycia przeszkodą, jak rzeka, rów, wąwóz, a wtenczas też i osłona bliska mniej jest potrzebna. Piechota też i jazda w osłonie tego rodzaju służby serdecznie nie cierpi, i słusznie, bo nie mogąc nic szkodzić nieprzyjacielowi, każda z nich wystawiona jest na jego strzały. Zwykle też, jeżeli mogą, kryją się za budowlę, w zaroślach, w dolinach...

Najciekawszą jednak jest rzeczą, że niekiedy, acz nader rzadko, jazda zabiera działa w szanцах polowych, co nie jest jej czynno-

ścią, ale piechoty, i tak historia wojen tego wieku dwa takie przypadki przez Polaków dokonane podaje. Pierwszy: zabranie dział w Hiszpanii w dniu 30 listopada 1808 na górach Samo-Sierra przez ułanów gwardii Krasińskiego pod okiem Napoleona, gdzie Francuzi po trzykroć odpartymi zostali. Trudne bo to było nader zadanie, bo jedyna droga na góry prowadząca była w zygzak w skałach wykuta, a na każdym zagięciu tej drogi stały działa hiszpańskie, z dołu niewidzialne, kartaczami wszelkimi napad zniweczyć mogące; grzbiet góry niemniej ustrojony był działami i bagnetami. Prześliczny jest, znany prawie wszystkim, choć w kopiach, obraz Verneta, gdy Kozietulski, z złamaną u czapki kitą, czyni Krasińskiemu raport, że górę zdobył. Antoni zaś Gorecki z tego powodu napisał wiersz następujący:

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturm Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.
Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak trudna dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy!
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.
Wtenczas bohater, co wiódł nasze męże
Przybiegł, gdzie polskie błyszczały oręże,
W cichym milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:
„Wy! co z waszymi znajome szeregi,
Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
Ty ze lwim sercem młodzieży nietrwożna,
Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można!”
Rzekł — huczą trąby, ostrz grotów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci;
Grzmi grom po gromie... i razem ustały...
Na grzbiecie góry usiadł orzeł biały.

Drugi przypadek: zabranie reduty moskiewskiej w dniu 7 września 1812 pod Borodino (Możajskiem po naszymu) przez dwa szwadrony kirasjerów polskich, którzy przez szyję (gorge) wpadłszy, działa i załogę jej zabrali.

2. Obadwa potem służyli w pułku 1 piechoty pod Kazimierzem Małachowskim. Starszy, Józef, którego mocno kochałem, zginął zabity nad Berezyną w r. 1812. Młodszy, Konstanty, ranny tamże

w nogę, odbył potem kampanię niemiecką w r. 1813 i francuską w r. 1814 i zaszczycony został krzyżem polskim i orderem francuskim Legii Honorowej. Za nowej organizacji rosyjskiej posłużywszy parę lat jako kapitan grenadierów, wziął dymisję i ożenił się z wdową po hr. Scypionie w Mławskim w Podkrajewie. Siedział potem przez kilka lat w areszcie w placu w Warszawie za przewinienie polityczne, iż emisariusza polskiego (Horodyskiego) miał przez kilka dni u siebie, który przy wsiadaniu w Gdańsku na okręt schwytany i do Warszawy przywieziony, na inkwizycjach tajnego śledczego trybunału moskiewskiego wyznał wszystko, gdzie, u kogo i jak długo bawił. Żona, ponieważ Konstanty wyrokiem pierwszym sądu wojennego na karę śmierci, drugim, złagodzonym, na Syberię skazany został, z gryzoty i trudów nad uwolnieniem go podejmowanych umarła bezdzietnie, on zaś po wielu przeprawach, troskach i kosztach w kilka lat później za wstawieniem się księcia Kozłowskiego z więzienia uwolniony, a na ostatni sejm posłem z powiatu mławskiego obrany został. Później, przekonawszy się z rachunków, że panna Turowska, dobrego rodu, zostająca u niego w obowiązku, przez lat kilka roztropnie i sumiennie dobrami (Podkrajewo i Wiśniewo) na rzecz jego zarządzała, ożenił się z nią przez wdzięczność, zwłaszcza że była rzadkiej dobroci niewiasta; lecz i ta wkrótce umarła, zostawiwszy mu jedyną córkę Marię, która ukończywszy cały bieg nauk na pierwszej pensji w Warszawie, wyszła niedawno z pięknym posagiem za mąż; ojciec zaś jej przed kilku już laty zmarł, chociaż był ode mnie młodszym, ale wielkie i długotrwałe cierpienia życie mu zapewne skróciły.

3. Wszyscy trzech zostali w kilka miesięcy po mnie oficerami.

Linzenbart służył u inżynierów, przed rewolucją 1830 został podpułkownikiem, będąc wprzód użyty do przerobienia z innymi twierdzy Zamościa; ożenił się w Lubelskim, posiadał wieś, którą po stracie ukochanej córki sprzedał, a kupił dom w Warszawie, który także sprzedał; był wyższym urzędnikiem w Towarzystwie Ogniomym i przed parą miesiącami r. 1859 wzięwszy dymisję, pobiera emeryturę i spokojnie siedzi w Warszawie, mając dwoje tylko dzieci, córkę zamężną i syna kawalera, pracującego w biurze księcia feldmarszałka Gorczakowa. Żona mu umarła w jesieni 1859. Spotykamy się często, bo obadwa przy ulicy Nowy Świat niedaleko od siebie mieszkamy.

Czajkowski został oficerem artylerii i zginął w bitwie pod Mołajskiem dnia 5 września 1812 r.

Siemieński Eligiusz, miły człowiek, służył w piechocie; za no-

wej organizacji był posłany przez w. ks. Konstantego wraz z innymi oficerami do Petersburga na instruktora, gdzie od cesarza Aleksandra pierścieniem brylantowym zaszczycony został. Na wiele lat przed rewolucją służbę wojskową opuścił i na wsi osiadł. Podobno już nie żyje.

4. Cichocki, Galicjanin, nader miłego ułożenia, służąc w piechocie był adiutantem generała Krukowieckiego. Za zdania polityczne siedział w Warszawie w więzieniu aż do rewolucji, która mu wolność przywróciła; po rewolucji skończonej osiadł w Paryżu, gdzie umarł. Majątkiem jego ziemskim (Częstoniew i inne) zarządzały siostry jego, panny, które pozostałe po nim dzieci wychowywały. Jedna z jego siostr była za profesorem fizyki Skrodzkiem, późniejszym dziekanem Uniwersytetu Warszawskiego dawno zmarłym.

5. Kapitan Dłuski liczył w piechocie i był przydzielonym do Korpusu Kadetów na oficera inspekcji i instruktora musztry piechoty, z czego wywiązał się należycie. Był to człowiek wielkiej energii, ale wątplych zasad, jak obaczymy. Ponieważ miał zamiar umieszczenia się w sztabie głównym, przysposabiał się więc z nauk wojskowych do egzaminu na oficera sztabu i dlatego nas czasem odwiedzał, żeby mu niektóre wątpliwości matematyczne objaśnić. Gdy już był gotowym do egzaminu, udał się w r. 1811 do generała Fiszer, szefa sztabu głównego, z swym przedstawieniem, który, będąc może w cierpkim humorze, zapytał go, czy się sądzi być za mądrym do piechoty, że się chce do sztabu głównego przenieść. Rozgniewany tym do żywego, Dłuski wziął zaraz dymisję i przeszedł do służby rosyjskiej, służył w kampaniach r. 1812, 13 i 14 czynnie, został szefem sztabu korpusu, był nawet ranny, a po wojnie opuścił zapewne służbę, gdyż w r. 1823 był u mnie w Modlinie po cywilnemu, gdzie rakiетników konnych organizowałem. Po obiedzie u mnie życzył sobie park rakiетników obejrzeć, a że to była tajemnica stanu, odmówiłem 'mu wręcz, tłumacząc się, iż mi tego czynić nie wolno, i w ogóle zimno go przyjąłem, bom nie mógł być serdecznym z człowiekiem, który, jak drugi Gliński, dla prywatnej urazy przez zemstę kraj opuścił, do nieprzyjaciela przeszedł i zapalczywie potem przeciw ojczyźnie walczył. Odtąd już go nie widziałem i nic o nim nie słyszałem.

6. Guerin w odwrocie r. 1812 z swoim generałem Pelletier z tej strony już Wilna dostał się do niewoli, gdy oba rozpoznawając jazdę nieprzyjacielską zanadto blisko się podsunęli, a doścignieni

schwytni zostali. Obadwa żyją zdrowo we Francji, a wiadomość tę mam zawsze od tych z naszych ziomków, którzy kiedy niekiedy Paryż odwiedzają. Daret zaś zginął w bitwie pod Mołajskiem dnia 7 września 1812.

7. Słupecki, tęgi mężczyzna, z donośnym głosem, dosłużył się potem rangi pułkownika i był dowódcą pułku 2 piechoty; lecz w rewolucji, jako kuzyn generała Hauke po żonie swojej, źle był przez patriotów widziany. Po rewolucji mieszkał we wsi Falencinie w Czerskiem, gdzie przy gospodarstwie zaziębiwszy się, umarł.

8. Byli zaś następujący porządkiem starszeństwa: Jaźwiński, Wiecki, ja, Paszkowski, Chrzanowski, Załuski, Arnold i Zakrzewski. Przejdźmy ich kolejną.

Jaźwiński, głowa bardzo dobra, opuściwszy wojsko, grywał wysoko w Paryżu, dostał się za długi do więzienia św. Pelagii, skąd go cesarz Aleksander przez swego posła wykupił; napisał potem naukę mnemoniki, czyli naukę pamięci, która dziś jeszcze po złp. 90 w handlu księgarskim w Warszawie się sprzedaje. Co się z nim dalej stało, nie jest mi wiadomo.

Wiecki, porządny i miły człowiek, służył w artylerii tak jak i Jaźwiński, ale po kampanii 1812 gdzieś przepadł, że żadnej o nim wieści nie miałem, był zaś słabych piersi. Przed parą laty mówiono mi, że żyje; ale...

Paszkowski służył w artylerii, robił kampanie 1812, 13 i 14 r., za powrotem do kraju z Francji był oficerem inspekcji przy Korpusie Kadetów w Kaliszu i dawał tam naukę artylerii, później został oficerem inspekcji przy szkole aplikacyjnej w Warszawie i dawał po mnie kurs dwuletni artylerii w tejże szkole, gdym został dowódcą raketników konnych. W czasie rewolucji był dyrektorem młyna prochowego; po rewolucji oddalony ze służby, gdy całe wojsko było rozwiązane, założył był pensję męską, która była jedną z najpierwszych w Warszawie. Po kilku latach został inspektorem w gimnazjum w Warszawie dla dosłużenia lat celem otrzymania emerytury, którą też, wysłużwszy lata, otrzymał; wziął potem dymisję i osiadł z żoną (z domu Kornelią Krajewską) stale w Warszawie, kochany i szanowany od wszystkich mu znanych osób. W latach 1853 i 54 powołany był przez generała Wincentego Krasińskiego do kierowania wychowaniem jego wnuków, a synów Zygmunta Krasińskiego, co trwało póty, póki matka z nimi za granicę do słabego męża, który tam ciągle przemieszkował, nie wyjechała, a dokąd Paszkowski udać sobie nie życzył, bo mu w kraju pozostać przy tyłu znajomościach i stosunkach przyjaciół-

skich było przyjemniej. Po czym znowu wrócił do swobodnego życia. Odwiedzaliśmy się dosyć często. Zmarł w jesieni r. 1859. Był starszym ode mnie o dwa lata blisko.

Chrzanowski służył w artylerii, był razem ze mną przy jenerale Allix, robił kampanie 1812, 13 i 14 r., przy nowej organizacji przeniósł się do kwatremistrzostwa, gdzie będąc młodszym ode mnie, został już podpułkownikiem, tak jak Linzenbart, daleko jeszcze w służbie młodszy, został w inżynierii, choć obie bronie bez wojska, do służby bezpieczniejsze (mówiąc między nami), a ja zawsze byłem kapitanem artylerii. W roku 1829 robił kampanię przeciw Turcji, na którą powołano tylko oficerów kwatremistrzostwa i inżynierów. W latach 1830 i 1831 naszej rewolucji został jenerałem brygady, dalej szefem sztabu głównego przy naczelnym wodzu Skrzyneckim, po rewolucji wyszedł do Francji, skąd odbył podróż do Konstantynopola, a powróciwszy przyjął służbę w wojsku sardyńskim; w ostatniej zaś wojnie przeciw Austrii prowadzonej był naczelnym wodzem Piemontczyków; lecz pospiech króla sardyńskiego Alberta w rozpoczęciu kampanii o parę tygodni wcześniej, niż się należało, i bez zniesienia się poprzedniego z Chrzanowskim, tudzież z powodu niestawienia się jenerała Ramorino według rozkazu na miejscu oznaczonym, były przyczyną zupełnej przegranej, po której król ze zgryzoty umarł. Ramorino wskutek wyroku sądu wojennego rozstrzelany został, a Chrzanowski, opuściwszy służbę, osiadł w Paryżu, gdzie go odwiedzających Polaków rozpytuje o nas w Polsce pozostałych.

Załuski hrabia, służący także w korpusie artylerii, powróciwszy po kampanii 1812 r., wskutek wysileń i wyniszczenia, pierwszy raz wszedłszy do wanny w domu rodziców, życie zakończył.

Arnold żyje dotąd, miał trzy żony, był wprzód w kwatremistrzostwie, po rewolucji przeszedł do zarządu komunikacji lądowych i wodnych i obecnie bawi, zapewne w randze wyższej, przy Kanale Augustowskim.

Ostatni, Zakrzewski Hilary, był u saperów, przeniósł się potem do zarządu komunikacji lądowych i wodnych, dalej posłany był przez rząd do Anglii dla nauczenia się robienia dróg bitych sposobem Mac-Adama, tam nabył cały aparat do druku stereotypowego i go jednemu z naszych magnatów, za powrotem, odstąpił. Dziś jest radcą stanu, mieszka stale w Warszawie i, jak mówią, zrobił znaczny majątek. Gdy się spotkamy, zawsze go znajduję tak dla mnie przychylnym, jakim był w Korpusie Kadetów, gdzie mi darował cztery sztuk dużych rzymskich pieniędzy w Herculaneum wykopanych.

9. Kaźmierz Żwan, kapitan kwatermistrzostwa polskiego, zaciężny i miły człowiek, dosłużył się przed rewolucją stopnia pułkownika. Ożenił się był z wdową Köller, majątną i przystojną osobą. Zmarł w marcu 1858.

10. Sowiński Józef, mąż rzadkiej piękności charakteru i waleczności, służył pierwsiastkowo w artylerii konnej pruskiej. Mówiono, że gdy podczas wojny francusko-pruskiej w jednej z bitew niewielki oddział jazdy francuskiej wpadł na jego baterię, kanonierów rozpędził i działa zabrał, on, wiedziony uczuciem honoru i powinności, zbiera kanonierów, zagrzewa ich, dopędza Francuzów i działa odbiera, za co od króla pruskiego orderem „Pour le Mérite” zaszczycony został. Z związaniem się Księstwa Warszawskiego przeszedł do służby polskiej, w której został podpułkownikiem artylerii konnej, a że był w tej broni nadliczbowym, dano mu na kampanię 1812 r. pod komendę brygadę artylerii pieszej w dywizji Zajączka, którą dowodząc stracił w dniu 5 września w bitwie pod Możajskiem nogę, po czym został kawalerem Legii Honorowej i krzyża wojskowego polskiego; dalej mianowany za rządu rosyjskiego pułkownikiem i komendantem szkoły aplikacyjnej, otrzymał od tegoż Order Św. Anny II klasy z brylantami. W wojnie naszej rewolucyjnej r. 1830/31 został generałem brygady, a przy schyłku kampanii, gdy Rosjanie, Wisłę przeszedłszy, Warszawę z lewego brzegu obsaczyli, dowodził częścią sił naszych pod Wolą, na koniec przyciśniony zamknął się w kościele wolskim, w którym nie chcąc się poddać i przeżyć losu nieśczęśliwej ojczyzny, śmiercią bohatera poległ.

Pozostała po nim wdowa przeszło 80-letnia, osoba uprzejma, żywa i ze wszech miar najszacowniejsza osoba, mieszkając w Warszawie, przyjmuje u siebie we czwartki, gdzie się zbiera grono jej wielbicieli i wielbicielek i gdzie na dwóch, czasem na trzech stolikach małego wista grywamy. Zmarła w r. 1860.

11. Redel Jakub, mąż prawy, poważny, służył w artylerii polskiej, był z naszymi legionami we Włoszech, odbywał potem wszystkie kampanie napoleońskie, za powrotem z Francji został generałem brygady w korpusie artylerii; po kampanii zaś rewolucyjnej nie wszedł do służby rosyjskiej, a żyjąc prywatnie w Warszawie zmarł w r. 1844 lub 45. Miał order Św. Stanisława II klasy, krzyż wojskowy polski kawalerski, złoty Legii Honorowej, Obojga Sycylii i Św. Anny II klasy z brylantami. Wdowa po nim żyje w ścisłej przyjaźni z generałową Sowińską.

Z powodu spokojnego skonu generała Redel przebiegłem myślą rodzaje śmierci innych moich przełożonych i zdziwiłem się nie-mało, jak wielu z nich nienaturalną pomarło śmiercią. I tak: ksiązę Józef utonął w Elsterze, generał Sowiński poniósł śmierć w kościele wolskim, generał Bontemps, robiąc doświadczenia w Petersburgu z ogniami artyleryjskimi, przez eksplozję rozszarpany został, generał Hurtig powieszony w naszej rewolucji, równie jak generałowie Jankowski i Bukowski, generał Gerstenzweig zastrzelił się podczas wojny węgierskiej, podpułkownik Walewski z pistoletu życie sobie odebrał, kapitan Daret zginął pod Możaj-skiem, itd.

12. Polacy często z małymi siłami pokonywali, przez zręczność i odwagę w boju, wielkie nieprzyjaciół zastępy. Tak rotmistrz Lisowski z nieliczną gromadą pomykał się aż do Wołgi, przedzie-rając się przez stotysięczne wojska. Tak hetman Tarnowski, ka-rząc buntowniczych Wołochów, był dziesięćkroć od nich słabszym. Tak Kalinowski, Korecki, Potoccy, Sapiehowie, Wiśniowieccy sta-mi Polaków rozbijali Kozaków tysiące. Tak w zwycięstwie pod Beresteczkiem przypadało po dziesięciu Kozaków i Tatarów na jednego naszego rycerza. Zawsze tak prawie walczyli Polacy z Nieczajem, Naliwajkiem, Chmielnickim i Palejem. Alboż to nie szalone męstwo Czarnieckiego przepłynąć z jazdą wpław odnogę morską wpośród kry płynącej i zaraz na nieprzyjaciela osłupiałego uderzyć? Alboż w nowszych czasach wzięcie jazdą skał Samo-Siera, bagnetem i spiżem najeżonych czyż nie należy do najheroicz-niejszych czynów?

13. Blumer Ignacy, generał brygady, służył w piechocie w pol-skich legionach we Włoszech, był na St. Domingo, powróciwszy stamtąd dzielił potem wszelkie koleje wojska polskiego. Człowiek prawy, żołnierz nieustraszony. Posądzano go, iż bywając wyzna-czanym na prezesa sądów wojennych, zawsze zawyrokował nie we-dług kodeksu wojskowego, ale według woli w. ks. Konstantego, i dlatego przewzano go Kuchereiterem, ale zdaje się, że to było niesłuszne, co historia później okaże.

Raz mu się zdarzyło, że doskonale ubawił cesarza Aleksandra. Na obiedzie danym przez niego dla wojskowych w Warszawie Aleksander był bardzo miłym i rozmownym, jak zwykle; między innymi pyta Blumera, jak długo był na St. Domingo, jak sobie radzili przeciw podrównikowym upałom, jak się obchodzili Mu-rzyni z jeńcami francuskimi itp. Blumer złą francuszczyzną, której się praktycznie nauczył, odpowiada na każde pytanie, a na ostatnie

mówi, iż z Francuzami do niewoli wziętymi obchodzono się jak najokrutniej, przybijając ich do krzyża lub deski i na morze puszczając lub przerynając ich piłą na dwoje itp. Pyta się dalej car, czy i z Polakami równie się obchodzono. Na to Blumer rzecze: — Bynajmniej, i owszem, dobrze ich traktowano. — A jakże? — Po prostu ich tylko wieszano. — Tu Aleksander parsknął ze śmiechu i długo w nim nie mógł się utulić, chociaż Blumer w najlepszej wierze w prostocie ducha swego wyrzekł tamte słowa, bo oczywiście powieszenie (śmierć ze wszystkich, jak lekarze utrzymują, najłagodniejsza) była dobrodziejstwem w porównaniu do srogich męczarni, którymi Francuzów powoli zabijano.

Zabity został pierwszej nocy rewolucji.

Tak to rewolucja, wywołana przez podchorążych i akademików, pozbawiła nas niemało zacnych, zdatnych i dzielnych ludzi. Już podczas nocy wybuchu (29 listopada 1830 r.) ponieśli śmierć niewinnie: Hauke Maurycy, generał artylerii, generał kwatermistrzostwa, zastępca ministra wojny; Stanisław hrabia Potocki, generał dywizji, kochany powszechnie nie tylko od wojska, ale od całego narodu; Nowicki Józef, generał brygady, sekretarz jenerałny w Komisji Rządowej Wojny, zginął przez omyłkę, bo się młodzież przesłyszała, gdy swe nazwisko w powozie wymówił, mniemając, że to był generał rosyjski Lewicki, komendant placu. Siemiątkowski Tomasz, generał brygady, pełniący obowiązki szefa sztabu głównego; Trębicki Stanisław, pułkownik z grenadierów gwardii, adiutant w. ks. Konstantego, człowiek młody jeszcze, wielkiego charakteru, niepospolitej nauki, a dla swych talentów wojskowych byłby pewno, gdyby żył, został naczelnym wodzem Polaków w kampanii 1831 r. — chociaż praktyki wojennej miał mało, ale ta się przy wrodzonych zdolnościach bardzo szybko nabywa; Szałacki Antoni, pułkownik inżynierów; na koniec Meciszewski Filip, pułkownik, szef sztabu artylerii. O jenerale Blumerze wyżej mówiłem.

Co za szkoda tylu zdolnych i zasłużonych ludzi! Wszyscy bez wątpienia, z małym może wyjątkiem, byłiby w kilka dni, widząc, iż wojsko i naród do rewolucji przyłgnęły, także sprawy jej nie opuścili, pomnąc jeszcze, że chlebem polskim tak długo żyli. Ale młodzież, naśladowując w terroryzmie rewolucję francuską z r. 1789, spodziewała się, iż w ciągu wojny zjawi się u nas jakiś jeniusz, który niepodległość narodu wywalczy, lecz się oszukała, bo nie pomyślała, że warunki telluryczne były u nas odmienne niż we Francji lub w Hiszpanii, kraj nasz będąc równym, otwartym, bez wielkich gór, rzek i fortec, nadto wszystko ubogim w ludzi i kapitały i od trzech naszych zabójców otoczony; że wiele wieków

czekać trzeba, nim się jakiś Annibal, Cezar lub Bonaparte urodzi. — Pieniądz jest głównym nerwem wojny; już Montecuculli, generał austriacki, w swoich pismach mówi, że do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Niemcewicz nawet, wzór Polaka, gdy go się poufnie zapytywano, czy zrobić rewolucję, odradzał jej jak najmocniej, że nie teraz na nią pora, i miał słuszość, bo czekać trzeba było z nią, ażby Rosja w jakąś wielką wojnę uwikłaną została. Ale się inaczej stało! Prózne skargi, prózne żale!!!

14. Franciszek Daszewski służył w piechocie, ożenił się przed rewolucją, miał dom w Warszawie przy ulicy Nowy Świat, dosłużył się stopnia podpułkownika, liczył w grenadierach gwardii i był majorem placu ostatecznie, przed samą rewolucją nabył majątek za Wisłą Dziecinów, miał kilkoro dzieci. W pożyciu miły człowiek. Dawno już nie żyje.

15. Walewski Ignacy, acz pięknego nazwiska, był bez nauki i dobrego wychowania. Poznałem go w styczniu 1813 r. już podpułkownikiem, z krzyżami polskim i francuskim. Dziwno nam wszystkim było, jak człowiek dosyć jeszcze młody mógł przyjąć do tych zaszczytów, aleśmy mniemali, że w kampaniach pruskiej 1807 i austriackiej 1809, gdzie Polacy byli czynnymi, szczególnie odznaczyć się musiał. Za czasów rządu rosyjskiego był dowódcą kompanii 2 lekkiej artylerii pieszej i stał z nią ciągle w Radomiu. Tymczasem około r. 1820 zaczęto szeptać w korpusie artylerii (bo ludzie jakoś się o wszystkim powoli dowiedzą), iż Walewski stopień i ozdoby nieprawnie posiada, podobno po bracie swoim sobie je przywłaszczył; co się łatwo stać mogło, gdyż w początkach istnienia wojska naszego, podczas ustawicznych wojen, niepodobieństwem było jakkolwiek kontrolę w tym względzie utrzymać. Wieść ta nieznacznie się szerzyła i doszła później do Komisji Rządowej Wojny, która go wezwiała, ażeby przybył do Warszawy, może dla wylegitymowania się z posiadanych zaszczytów, a może o co innego; a że na złodzieju, jak mówią, czapka gore, Walewski jadąc na skutek tego rozkazu do Warszawy w r. 1824 czy 25, w drodze się zastrzelił, zostawiwszy żonę i dzieci. Tak czyn nieprawy, najczęściej na ziemi nawet, karę odnosi.

16. Podpułkownik Uszyński, mający dwie ozdoby: francuską i polską, był nie tylko bez nauki i wychowania, ale w całym znaczeniu gbur, opój, raptus i nie cierpiący podwładnych, którzy coś umieli, mając im to za grzech nieodpuszczony. Służąc jeszcze w le-

gionach, pewno w niższym stopniu, dosłużył się stopniami rangi sztabs-oficerskiej i orderów, zapewne przez czas, czynność i odwagę.

Przykro mi, że nie mogę o wszystkich dobrze mówić, ale pamiętniki tak się mają do historii, jak odnoga do morza, a historia przed wszystkim prawdę mówić powinna.

17. Gerstenzweiga ojciec miał się podobno nazywać Jęczmińskim, ale po rozbiorze kraju zmienił nazwisko polskie na niemieckie dla uniknięcia prześladowania. Młody Gerstenzweig już w r. czternastym swego wieku był, szkół nie skończywszy, z tornistrem na plecach, służąc w artylerii pieszej rosyjskiej, w bitwie pod Austerlitz (Sławkowem) w r. 1805, potem stopniami dosłużył się rangi generała dywizji. W kampanii węgierskiej dowodził korpusem na Wołoszczyźnie, który w r. 1848 generał Lüders po nim objął. Gerstenzweig, wyczytawszy w gazetach, że Rosjanie Wołoszczynę opuścili, sądził, że rozkaz mu to polecający jakimś przypadkiem go nie doszedł, i z Wołoszczyny ustępować zaczął, zdając o tym raport do Petersburga. Car Mikołaj, chcący tylko fałszywą wieść puścić w Europie o wymarszu jego wojsk z Wołoszczyny, rozgniewany postępkami oszukanego Gerstenzweiga, kazał mu się przed sobą jak najprędzej stawić. Gerstenzweig w drodze do Petersburga, lękając się gniewu cara, się zastrzelił. Serce miał dobre, był czytany, ale zawsze przebiegała w nim surowizna moskiewska.

APPENDIX

Z DZIENNIKA WYDATKÓW DOMOWYCH JÓZEFA JASZOWSKIEGO

Budżet rodzinny

Nasz budżet roczny dla rodziny z trzech osób złożonej na rok 1861 oddany żonie pod zarząd od 1 stycznia 1861 w Warszawie.

	złp.* gr
Na ubranie żony przeznaczam rocznie (po złp. 100 miesięcznie)	1200 —
Na ugoszczenie (kwartalnie po 200 złp.) licząc w to konfitury, owoce, święta	800 —
Na ubranie Anieli rocznie z obowiązkiem prowadzenia rachunku	1200 —
Życie po 5 złp. dziennie, czyli 1800, pranie i światło złp. 200	2000 —
Pomieszkanie rocznie	1333 10
Drzewo i węgle	600 —
Na wydatki nieprzewidziane (oprócz mnie i Władysława), jak doktor, apteka, teatr, podróż itp., ubodzy, reparacje	526 20
Razem	8000 —
więc $\frac{1}{4}$ tego na kwartał czyni	2000 —

które od 1 stycznia 1861 zaczął wypłacać.

Pisano dnia 31 grudnia 1860.

(—) Józef Jaszowski

Gdyby po kwartale okazał się niedostatek, to rachunek odbiorę.

Służąca Joanna Zalewska nastąpiła od 10 lipca 1862. Odebrała za datku złp. 6; zgodzona kwartalnie za złp. 42; Zofia Sikorska szwaczka mieszka przy ulicy Marszałkowskiej pod nr 1393 u pp. Jankowskich na dole.

Kąpiele wiślane zacząłem od 11.V.62.

Janowa od 7.X.62 miesięcznie za 10 złp.

* Złoty polski liczył 30 groszy.

Wybrane pozycje z dziennika wydatków
domowych, prowadzonego przez Józefa
Jaszowskiego w okresie od 1.VII.1860 do 31.XII.1864
w Warszawie

Z roku 1860:

	złp.	gr
Pomieszkanie kwartalnie z góry	333	10
Świece stearynowe 6 funtów po złp. 2 gr 5	13	—
Dorożka	1	10
Cygar 200	26	20
Mięsa 4 funty	2	20
Śmietany 1 ¹ / ₄ kwarty	1	22
Kartofli 3 garnce	1	9
Mydła 2 funty	1	18
Zapałek 10 paczek	13	
Drelich na bieliznę 7 ¹ / ₂ łokci	10	15
Ryżu 1 funt	20	
Cielęcina 1 funt	1	—
Słonina 1 funt	1	—
Najemnicy za 3 dni 2 złp., wódka 10 gr	2	10
Stręczenie sługi	2	—
Parapluie dla żony	38	—
Soli 1 ¹ / ₂ funta	3	
Szybie dwóch półkoszułków	8	—
Kawy 1 ¹ / ₂ funta	3	15
Przegrałem do Anieli (córkę)	20	—
Malowanie szafy	4	—
Rękawiczki	3	10
Lakierki u Wiegandta	26	20
Cytryna	5	
Szklarz za szybę	1	6
Golenie za lipiec	6	—
Prenumerata Kuriera	2	20
Za wykupienie książeczki sługi	2	—
Rata (półroczna) w Marymoncie za Władysława (syna)	833	10
Na rogatce od 15 funtów słoniny zapłacono	1	—
Głowa cukru 20 ¹ / ₄ funtów po złp. 1 gr 5	23	9

Na pogrzeb b. oficera polskiego	6 20
Kąpiele wiślane od 14 maja przez 120 dni po 5 gr . . .	20 —
Oczyszczenie zegara stołowego	6 20
Jajek kopa	4 —
Ludziom trzem od wniesienia fortepianu	3 20
Władysławowi (synowi studiującemu w Marymoncie)	
kwaterne	50 —
Śliwek garniec	1 20
Brązy do firanek	11 —
Papier stemplowy — 2 ark.	1 3
Ofiara na dobro powszechne	20 —
Dwie słomianki 2 złp. 5 gr, szczotka ręczna	3 15
Funt herbaty złp. 13 gr 10, prochów herbacianych $\frac{1}{2}$ funta	
złp. 5	18 10
Łaźnia	1 20
Ostrzenie 20 nożów	3 —
Doktor	6 20
Żonie na imieniny	20 —
Wieprzowiny funt	15
Ubogiemu	2 —
Szwaczka od reparacji za 3 tygodnie	18 —
Kura	2 —

Z roku 1861:

Kolęda stróżowi	1 —
Tytuń Samson 1 funt	6 20
Szlafrok u Pawlika	106 20
Poduszka safianowa	12 15
Prenumerata kwartalna Gazety i Kuriera	20 —
Łóżko żelazne	80 —
Tużurek rubli 19	126 20
Spodnie rubli 7	46 20
Kamizelka rubli 3	20 —
Chustka na szyję	12 —
Chustka fularowa do nosa	12 —
Za 5 fotografii u Wilnowa [?], sztuka po 5 rubli, 25 rubli	166 20
Prenumerata Tygodnika Ilustrowanego na IV kwartał . .	13 10
Czapka bobrowa	50 —
Lokaj dzienny za miesiąc	10 —
Kolęda sługom 4 złp. 15 gr, kolęda stróżowi 20 gr . . .	4 35

Rozchód roczny w r. 1861 czyni złotych polskich dwanaście tysięcy pięset pięćdziesiąt trzy grosz jeden.

Z lat 1862—1864:

Od szycia sześciu koszul	30 —
Służącym w czasie imienin	11 20
Krawat atlasowy	6 —
Lakierki	26 20
Koszul nocnych 6	40 —
Przedpłata kwartalna Wędrowca	10 —
Surdut i spodnie letnie	60 —
Janowej prezent (stara kucharka)	100 —
Wojciechowej (starej kucharce)	200 —
Wsparcie staremu Sobolewskiemu pólr.	20 —
Płaszczyk dla żony	133 10
Pomieszkanie kwartalnie	250 —

NOTA WYDAWCY

„Pamiętnik Józefa Jaszowskiego, dowódcy raketników konnych byłego wojska polskiego. Pisano w Warszawie roku 1860” — te słowa wypisał autor na karcie tytułowej księgi rękopisu. Fotografiją jednej ze stron rękopisu zamieściliśmy w książce. Stronie tej warto się przyjrzeć — także po to, by podziwiać staranne pismo pułkownika Jaszowskiego (kreślone jeszcze gęsim piórem); po to również, aby się zapoznać z ortografią autografu.

Wydając „Pamiętnik” z rękopisu, ortografię uwspółcześnił¹śmy. Modernizując interpunkcję, średniki w nazbyt długich zdaniach zastępowaliśmy często kropką, wiele nieprzerwanie zapisanych stron rozbiliśmy na akapity. Nie wnosiliśmy natomiast poprawek gramatycznych, zachowując oboczności („jednę” obok „jedną”, „mieszac” obok „mieszać”), odrębności fleksyjne dziewiętnastowiecznej polszczyzny. Nie wprowadzaliśmy też zmian stylistycznych. Jedynie w kilku wypadkach, gdy przeoczenie autora było oczywiste, zmieniliśmy brzmienie zdania zgodnie z tekstem drugiego zachowanego rękopisu „Pamiętnika” (tę drugą, skróconą o kilka rozdziałów wersję „Pamiętnika” autor własnoręcznie przepisał — z drobnymi zmianami stylistycznymi — i ofiarował swemu synowcowi).

Poprawiliśmy pisownię nazw niektórych miejscowości — starając się jednak zachować odrębne niekiedy, dawne ich brzmienie. Nie zawsze jednak było rzeczą możliwą odróżnić omyłkę autora od rzeczywiście innego ówczesnie brzmienia geograficznej nazwy. (Między innymi poprawiliśmy: Lutomierz na Lutomiersk, Sielec na Siedlec, Kozięglów na Kozięglowy; Neutischau na Neutitschein, Winterweiler na Winnweiler, Fribel na Triebel.) Poprawiliśmy też pisownię szeregu nazwisk.

Zmiany, poprawki w tekście ograniczyliśmy zatem do minimum, chcieliśmy bowiem przekazać Czytelnikom „Pamiętnik” Józefa Jaszowskiego w postaci jak najwierniejszej, najbliższej rękopisowi.

INDEKS OSÓB

- Aksamitowski 77
 Albert król 214
 Aleksander I ces. 58, 74, 128,
 129, 130, 135, 137, 157, 158,
 159, 160, 163, 212, 213, 214,
 216, 217
 Aleksander II ces. 147
 Allaize prof. 152
 Allix gen. 51, 52, 53, 56, 57,
 58, 59, 214
 Andrychiewicz Walenty gen.
 170
 Arnold 213, 214
 Augustynowicz 35, 38, 46
 Augustynowicz Leon 35

 Bagration Piotr ks. 53, 58, 59
 Banzemer 160, 203
 Barclay de Tolly Michaił gen.
 63, 65, 135
 Barkławiusz 29, 30
 Beauharnais Eugène 83
 Bellayène gen. 152
 Bem Józef por. gen. 151, 153,
 154, 156, 177, 179
 Bergsohn Michał 200
 Bertrand gen. 146
 Bianchi gen. 142
 Blumer Ignacy płk gen. 76, 77,
 216, 217
 Blücher Gebhard Leberecht
 von ks. feldmarsz. 128, 143,
 144
 Błęszyński por. 155
 Błędowski mjr 167

 Bogdanowicz kpt. 42
 Bonaparte Hieronim marsz. 48,
 51, 52, 58, 146
 Bonaparte Józef 146
 Bonaparte Lucjan ks. 128, 146
 Bonaparte Napoleon zob. Na-
 poleon I
 Bontemps Piotr płk 45, 49, 54,
 55, 107, 119, 157, 160, 216
 Boznański Feliks 39
 Brodziński Kazimierz 116
 Bronikowska 98
 Brougham Henry 162
 Bukowski Ludwik gen. 175,
 176, 177, 216
 Bürger 184
 Bykowski Stanisław 161, 186

 Carnot Lazare gen. 142
 Caulaincourt ks. 74, 75, 106
 Cezar Juliusz 217
 Chłapowski 185
 Chłapowski Dezydery Adam
 gen. 168
 Chłopicki Józef gen. 165, 166
 Chmielewski 43
 Chmielnicki Bohdan 216
 Chodkiewicz Aleksander płk
 gen. 88, 97
 Chojnacki kpt. 96, 110, 113
 Chodźko Leonard 162
 Chorzewski kpt. 151, 158
 Chrzanowski Wojciech por.
 kpt. 53, 54, 55, 56, 59, 138,
 158, 213, 214

Cichocki 43, 212
Congreve płk 158
Cumberland ks. 160
Cywiński płk żand. 181
Czajkowski 42, 67, 211
Czaki 185
Czarniecki Stefan hetm. 216
Czartoryski Adam Jerzy ks.
162, 177
Czartoryski Konstanty ks. 80
Czerniszew gen. 120
Czyżagow 82
Czyżewska (z domu Kicińska)
198

Daret kpt. 43, 44, 67, 213, 216
Daszewski Franciszek por.
ppłk 101, 218
Davoust Louis Nicolas marsz.
58, 68, 142, 146
Dąbrowski pijar 45, 46
Dąbrowski Jan Henryk gen.
58, 82, 88, 105, 138
Demiński Henryk gen. 177
Dembowski Ignacy 80, 178
Dowbór kpt. 64, 66
Drażewski Kajetan ksiądz kan.
8, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 31,
34, 38, 39, 140
Dłuski kpt 43, 44, 45, 212
Drohojowscy hr. 31
Drohojowski Jan hr. 57
Drohojowski Seweryn hr. 57
Dyck Anthonis van 26
Dydona 90
Działkowski kpt. 51
Działyński 138
Dzikowski 193

Eblé gen. 81
Eneas 90
Enghien Louis Antoine Henri
de Bourbon d'ks. 124

Essakow 139
Evans 182, 184, 186
Ferdynand arcyks. 37, 38
Ferrari 34
Fiszer Stanisław gen. 77, 212
Flasiński kpt. 167
Fouché Joseph 145
Franklin Benjamin 202
Fresnel gen. 121
Frimont gen. 142
Froelich gen. 99
Fryderyk II 101, 107
Füger prof. 35

Gaertner 195
Gautier płk 53
Gąsowski por. 63
George 36
Gerbel 139
Gerstenzweig gen. 139, 140, 149,
155, 160, 216, 219
Godos 175
Gourgau gen. 146
Gliński Michał marsz. 212
Gładyszewski 151
Gołaszewski bp 24, 25, 27
Gołowin gen. 181
Gorczałow Michał ks. feld-
marsz. 211
Gorecki Antoni 210
Gorzowski rtm. 25
Górski Antoni płk 49, 59
Grabowski gen. 63
Gregolewski 42
Grouchy gen. 144
Grzegorz 41
Guerin 43, 44, 66, 88, 97, 212
Gustaw Adolf król 116
Haddick 121
Hannibal 29, 98, 217

Hauke Maurycy gen. 151, 158,
160, 213, 217

Horodyski 211

Hurtig Józef płk gen 140, 147,
149, 150, 151, 216

Jagielscy vel Jekielscy 99

Jakubowicz 43

Jakubowski 156

Jakubowski ksiądz kan. 28, 31,
140

Jankowscy 221

Jankowski Antoni płk gen. 165,
167, 168, 174, 176, 177, 216,
217

Janowa 221, 224

Jankowska (z domu Jaszows-
ka) 19

Jankowski 19

Jaszowscy 19

Jaszowska Aniela 13, 197, 198,
201, 220, 222

Jaszowska Aniela (z domu Tu-
tomir) 19

Jaszowska Katarzyna 19

Jaszowska Klementyna (z do-
mu Kicińska) 6, 31, 34, 35,
38, 161, 197, 198, 217

Jaszowska Leokadia 161, 197

Jaszowska Maria 161, 197

Jaszowski Aleksander 19, 31

Jaszowski Artur 13, 197, 198,
199, 200

Jaszowski Franciszek 19, 31

Jaszowski Jakub 19

Jaszowski Józef (autor pa-
miętnika) 5, 6, 7, 8, 9, 10,
11, 12, 13, 31, 35, 96, 220,
222

Jaszowski Ksawery 19, 31, 42

Jaszowski Paweł 19

Jaszowski Piotr (ojciec) 19, 31

Jaszowski Piotr 13, 197, 198,
200

Jaszowski Stanisław 13, 31,
197, 198, 199, 200

Jaszowski Walenty 19, 20, 21,
22, 31, 53

Jaszowski Witold 9

Jaszowski Władysław 13, 197,
201, 220, 222, 223

Jaźwiński 213

Jęczmiński zob. Gerstenzweig
219

Jodko ppłk 42

Jomini Henri 106

Kalinowski Marcin hetm. 216

Kant Emanuel 35

Katarzyna II 153

Kędrzyński por. 114

Kicińska (z domu Zoborowska)
199

Kicińska Klementyna zob. Ja-
szowska Klementyna

Kiciński Adam 183, 193, 200

Kiciński Kazimierz 193

Kitajewski Adam Maksymilian
prof. 155, 156

Klimkowski 19

Kniaziewicz Karol Otton gen.
58, 83, 138

Kobyłański 69, 209

Koepe 184

Kołaczkowski Klemens ppłk.
156

Konstanty w. ks. 9, 128, 130,
138, 139, 140, 147, 148, 151,
155, 156, 157, 160, 163, 164,
173, 212, 216, 217

Kopernik Mikołaj 53

Kopycińscy 31

Kordecki Augustyn 48

Korecki 216

Koriot kpt. 155, 156

Kościuszek Tadeusz 20, 77, 135
 Korff Mikołaj 139
 Kozietulski Jan 210
 Kozłowski ks. 211
 Köller 215
 Krajewska Kornelia 213
 Krasiński Wincenty hr. 6, 128,
 130, 135, 136, 137, 141, 160,
 198, 199, 210, 213
 Krasiński Zygmunt 213
 Kraśnik dr 150
 Kraśnik Konstancja 153, 154,
 156
 Krejsig 184
 Krukowiecki Jan gen. 118, 212
 Krysiński Dominik 138
 Kurnatowski Zygmunt płk gen.
 113, 137, 209
 Kurowski 185
 Kuruta Dimitryj gen. 139
 Kutuzow Michaił 65, 68, 74

 La Bédoyère 141
 La Fontaine Jean de 67
 Lancaster 50
 Land Mait 145
 Las Casas hr. 146
 Latour Maubourg 57
 Lauvistone 107
 Ledóchowski Ignacy hr. rtm.
 112
 Ledóchowski 209
 Lesser 183
 Leszczyński Stanisław król 134
 Liebchen dr 194
 Lowe Hudson sir 146
 Lewicki gen. 217
 Linzenbart płk 211, 214
 Lisowski Aleksander rtm. 216
 Liwiusz (Titus Livius) 29, 30
 Livet prof. 45
 Luce 128, 129, 131
 Ludwik XVI 31

Ludwik XVIII 141, 145
 Ludwik ks. 30
 Ludwik Napoleon III 51
 Lüders Aleksander gen. 219

 Łobodzki 67
 Łojek Jerzy 13
 Łubieński Tomasz gen. 177

 Mac-Adam 214
 Malcolm adm. 146
 Malczewski 111
 Maleszewski 113
 Mallet vel Maletski Jan płk
 45, 50, 76
 Małachowski Kazimierz 47, 56,
 210
 Mari 37
 Maria Kornelia 132, 134
 Maria Ludwika 128
 Marmont Auguste Frédéric
 Louis ks. marsz. 160
 Meciszewski Filip płk 217
 Meerfeld gen. 114
 Meidiger 30
 Męciński hr. 160
 Michał w. ks. 159
 Michałowski 160
 Mielżyński 43
 Mikołaj I ces. 12, 157, 158, 159,
 173, 179, 181, 219
 Modzelewski 198
 Modzelewski por. 123, 124
 Monge Gaspard 32
 Montecuculli gen. 218
 Montholon gen. 146
 Morawski por. 88, 97
 Morawski Franciszek gen. 123
 Mortier Adolphe ks. marsz. 121
 Mostowscy 42
 Mostowski Tadeusz 43
 Möller kpt. 48, 50

Murat Joachim marsz. 73, 78,
79, 83, 142

Müller gen. 176

N. 22

Naliwajko 216

Napoleon I Bonaparte ces. 10,
28, 37, 38, 44, 51, 59, 60, 62,
64, 71, 73, 75, 80, 82, 83, 98,
101, 106, 107, 112, 115, 116,
117, 118, 119, 120, 121, 127,
128, 130, 131, 138, 141, 142,
143, 144, 145, 146, 167, 168,
208, 210, 217

Napoleon II 145

Neufeld Karol kpt. 6, 10, 18,
162, 163, 164

Ney Michel marsz. 60, 61, 63,
77, 141, 143

Nieczaj 216

Niemcewicz Julian Ursyn 218

Niewęłowski ppłk 174, 176

Nowak 69

Nowicki 154, 156

Nowicki Józef gen. 217

O. 22

Oczapowski 184

Orkisch 193

Oskierko por. 48, 49

Orłow-Denisow gen. 120

Ostrowski Władysław 112

Ożarowski gen. 84

Palej 216

Palmerston Henry John Tem-
ple lord 203

Paskiewicz Iwan hr. feldmarsz.
11, 162

Paszkowski por. 83, 97, 213

Paulizki 193

Paweł I ces. 20

Pawlik 223

Pelletier Jean Baptiste gen. 43,
45, 48, 49, 51, 52, 57, 59, 66,
77, 97, 105, 212

Pełka 122

Piętka kpt. 117 119, 123, 124,
125, 127

Piotrowscy 92, 94

Piotrowska 95

Piotrowska 47

Piotrowski 47

Piotrowski 96, 97, 98

Piotrowski por. 155

Plater hr. 160

Płatow gen. 120, 121

Pompejusz 89

Poniatowski Józef ks. marsz.
6, 37, 56, 59, 60, 62, 63, 73,
77, 101, 105, 109, 110, 112,
114, 115, 117, 122, 127, 135,
137, 216

Poniatowski Stanisław August
28, 42, 51, 152, 153

Potoccy hr. 216

Potocka hr. 27

Potocki płk 57

Potocki Stanisław gen. 43, 217

Potocki Wacław hr. 30

Prądyński Ignacy gen. 86

Przedpeński kpt. 156

Puissant prof. 152

Puławski Kazimierz 48

Puzyna ks. 177, 181

Radetzky Joseph Wenzel hr.
feldmarsz. 25

Radziszewski kpt. 59, 64

Radzyński 199

Radzyński 199

Rafael (Raffaello Santi) 26

Rajewski gen. 58

Ramorino Girolamo gen. 214

Rapp gen. 145

- Rautenstrauch Józef gen. 181
 Reaumur René Antoine 83
 Redel Jakub płk 62, 63, 104,
 105, 112, 122, 138, 215, 216
 Regnier 99
 Reklewski Michał 99, 119, 128
 Richter Michał por. 69, 74
 Riedel kpt. 123, 124
 Roher 102
 Rousseau Jean Jacques 93, 191
 Roesler 46
 Roztopczyn gub. 72
 Rozwadowski por. 84, 85, 86
 Roźniecki Aleksander gen. 57
 Rubens Peter Paul 26
 Russyan Franciszek płk 175,
 176
 Rüdiger gen. 174

 Sachs 185
 Salignac gen. 145
 Salmon Martin 131
 Sałacki płk 49, 52, 217
 Sapiehowie 216
 Sawiczewski ksiądz 34
 Schwarzenberg Karl Phillipp
 feldmarsz. 56, 128
 Schwerin ppłk 136, 140
 Scypion hr. 211
 Sebastiani Horace marsz. 77,
 83
 Siekierzyński por. 102, 103
 Siemieński Eligiusz 42, 211
 Sierakowski Józef gen. 138,
 140, 146, 150, 152
 Sievers 139
 Sikorska Zofia 221
 Siemiątkowski Tomasz gen. 217
 Singer 36
 Skalski Karol kpt. 9, 157
 Skolimowski Rafał prof. 156
 Skrodzki Józef Karol prof. 155,
 156, 212

 Skrzynecki Jan gen. 167, 170,
 177, 214
 Skrzyński 171
 Słupecki kpt. płk 45, 213
 Smith Adam 32
 Sobieski Jan król 183, 184
 Sobieski Jan 38
 Sobolewski 224
 Sokolnicki Michał gen. 128
 Sowińska 215
 Sowiński Józef Longin płk gen.
 59, 60, 61, 62, 63, 64, 66, 67,
 156, 159, 179, 200, 215, 216
 Spazier Richard Otto dr 162
 Stankiewicz dr 93, 95, 96
 Starzeński por. 37
 Stęszewski kpt. 113
 Storożenko gen. żand. 181
 Sułkowski Antoni Paweł gen.
 117, 118, 138
 Szacfajer 193
 Szachowski gen. 170
 Szubert ppłk 151

 Śniadecki Andrzej (Jędrzej) 92

 Talleyrand-Perigord Charles
 Maurice de 128
 Tarnowski Jan hetm. 216
 Temistokles 145
 Thaer 184, 196
 Toliński płk 70
 Tomicki Jan gen. 171
 Traugutt Romuald 13
 Trepkowie 198
 Trębicki 185
 Trębicki Stanisław gen. 217
 Tumonowicz arcybisk. 32
 Turowska 211
 Tumanowicz ksiądz kan. 32, 34,
 35
 Turno Karol gen. 174
 Turowski por. 151, 154

- Turreau gen. 120
 Tutomir Aniela zob. Jaszowska Aniela
 Tycjan (Tiziano Veccelli) 26
 Tytus (Titus Flavius Vespasianus) 38
 Umiński Jan płk gen. 70, 168, 169, 170
 Uszyński ppłk 105, 218
 Vandamme gen. 144
 Volney 182
 Vernet Claude Joseph 170, 210
 Walewski Ignacy ppłk 96, 100, 104, 216, 218
 Wallenstein Albrecht von ks. 116
 Wega ppłk 152
 Wellington Arthur Wellesley ks. gen. 143, 144
 Wergiliusz (Publius Vergilius Maro) 29, 186
 Werkowski 170
 Werpechowski mjr 101
 Wiecki 213
 Wielopolski Aleksander margr. 6
 Wielhorski Michał gen. 138
 Wiegand 222
 Wiktor Amadeusz król 95
 Wilczek 138
 Wilczyński dr 183
 Wilnow 223
 Wilson por. 151
 Wiśniowieccy 216
 Witkowscy 47
 Witkowska Maria 211
 Witkowski Ignacy 31
 Witkowski Józef 41, 82, 210
 Witkowski Konstanty 41, 82, 188, 210, 211
 Witkowski rtm. 31
 Wojciechowa 224
 Wojczyński 138
 Wolski por. 168
 Wrede gen. 120, 121
 Wyganowski kpt. 46
 Zabiełło 118
 Zaborowska Paulina 199
 Zajączek Józef gen. 58, 59, 82, 138, 215
 Zakrzewska Wanda 200
 Zakrzewski Hilary 202, 213, 214
 Zaleska Joanna 221
 Załęski ksiądz 39, 40
 Załuski hr. 92, 213
 Zamoyski Andrzej hr. 198, 201
 Zeuschner 193
 Ziemecki 151
 Ziethen gen. 143
 Zwierzchowski ppor. 170
 Żeliński płk 175, 176
 Żeliński por. 70
 Żółkiewski Stefan 107
 Żwan Kazimierz kpt. 57, 58, 215

SPIS ILUSTRACJI

Portret autora, około 1850 r.

„Artyleria piesza i kadet”, 1807—1815. Z albumu Romana Rupniewskiego. Ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

„Artyleria polska”, 1807—1815. Obraz olejny Jana Chełmińskiego (1851—1925). Ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

Artyleria w akcji. Gwasz Aleksandra Orłowskiego (1777—1834). Ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

Pierścień pamiątkowy Józefa Jaszowskiego z napisem: „Powrót do Ojczyzny, 11 sierpnia 1814”. Własność rodziny Jaszowskich

Ładownica oficerska (z lat 1815—1830). Z pamiątek po autorze. Własność rodziny Jaszowskich

Artyleria konna Gwardii Królewskiej, 1815—1830. Fotografia akwareli Romana Rupniewskiego. Ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

Artyleria konna linii. Oficer w płaszczu, oficer wyższy w surducie, kanonier w ubiorze służbowym. Rysunek Bronisława Gembarzewskiego z książki „Wojsko polskie, ubiór, uzbrojenie i oporządzenie. Królestwo Polskie 1815—1830”, w serii „Żołnierz polski...”, Wyd. MON 1966

Z notatek artyleryjskich autora (z lat 1815—1830). Własność rodziny Jaszowskich

Pismo generała Hauke zawiadamiające kapitana Józefa Jaszowskiego o mianowaniu go dowódcą rakiетników konnych. Własność rodziny Jaszowskich

Rakiетnicy piesi. Łoże rakiетnicze i jaszcz rakiетniczy. Fotografie z akwareli wykonanej przez kapitana Józefa Bema, r. 1823. Ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego

Rakiетnicy: pieszy i konny, 1827—1830. Rysunek z książki Bronisława Gembarzewskiego: „Wojsko polskie”. Królestwo Polskie 1815—1830”, Warszawa 1903

Szkoła wojskowa aplikacyjna, 1820—1826. Oficer, kadeci, profesorowie. Rysunek z książki Bronisława Gembarzew-

skiego: „Wojsko polskie. Królestwo Polskie 1815—1830”,
Warszawa 1903

Order Józefa Jaszowskiego: Virtuti Militari, medal brązowy
Wyspy Św. Heleny, krzyż Legii Honorowej. Własność ro-
dziny Jaszowskich

Józef Jaszowski z żoną. Fotografia z r. 1861

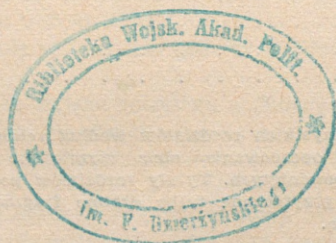
Autograf — jedna ze stron „Pamiętnika”

SPIS RZECZY

Przedmowa	5
Wstęp	17
I. Wielkie przygody w małym wieku	19
II. Gimnazjum w Przemyślu. — Pobyt u szanownego kapłana. — Przerwa	23
III. Uniwersytet. — Choroba. — Powodzenie. — Polacy w Galicji w roku 1809	32
IV. Przeszkody w przejściu granicy. — Podróż do War- szawy	39
V. Wejście do wojska polskiego. — Korpus Kadetów. — Postąpienie na oficera	43
VI. Pobyt w Częstochowie. — Król westfalski Hiero- nim	48
VII. Przegląd ogólny kampanii w Rosji 1812 roku* . . .	52
VIII. Odcięcie Bagrationa. — Porażka naszych pod Mi- rem. — Powrót do swoich	53
IX. Ciężki marsz pod Smoleńsk. — Wzięcie Smoleńska	60
X. Bitwy pod Możajskiem (Borodino) 5 i 7 września 1812	65
XI. Bitwa pod Czerykowem dnia 29 września	70
XII. Napad Rosjan pod Tarutyną. — Bitwa pod Małym Jarosławcem	76
XIII. Bitwa pod Wiaźmą. — Smoleńsk. — Krasnoj. — Przejście Berezyny	79
XIV. Niewola i ucieczka z niej. — Wilno	83
XV. Powrót do Warszawy. — Ciężka po kampanii cho- roba	90
XVI. Opuszczenie Warszawy, a następnie kraju w roku 1813	96
XVII. Przegląd ogólny kampanii roku 1813 w Niemczech *	106
XVIII. Bitwy pod Lipskiem i Hanau w roku 1813	106
XIX. Pobyt w Paryżu. — Kampania roku 1814 we Francji	123
XX. Powrót do ojczyzny i organizacja rosyjska	131
XXI. Przegląd ostatniej cesarza kampanii w Belgii 1815 roku	140

XXII. Służba w artylerii konnej od roku 1815	146
XXIII. Szkoły wojskowe. — Rakietnicy. — Ożenienie się .	155
XXIV. Powody rewolucji polskiej z roku 1830/31 biorą początek od dawna*	161
XXV. Polska od roku 1796 do kongresu wiedeńskiego*	
XXVI. Polska od kongresu aż do rewolucji*	
XXVII. Od wybuchu rewolucji aż do rozpoczęcia wojny*	
XXVIII. Od rozpoczęcia wojny do jej końca*	
XXIX. Opis kampanii roku 1830/31 przeze mnie odbytej	164
XXX. Wojak rolnikiem, nareszcie pedagogiem swoich dzieci	182
Przypiski	207
Appendix. Z dziennika wydatków domowych Józefa Jaszowskiego	220
Nota wydawcy	224
Indeks osób	225
Spis ilustracji	232

* Podajemy tytuły wszystkich rozdziałów według rękopisu, także rozdziałów zawierających opracowania obce (przełożone przez autora) i w książce niniejszej pominiętych. Tytuły rozdziałów pominiętych (tych również, z których są przytoczone tylko drobne fragmenty) oznaczono w spisie treści gwiazdką.



INSTYTUT WYDAWNICZY • PAX • WARSZAWA 1968

Wydanie I. Nakład 8000 + 350. Format 125 × 195. Ark. wyd. 15.
Ark. druk. 14,75 + 8 wklejek. Papier druk. m/gł. kl. V, 65 g,
82 × 104/32 z fabryki papieru we Włocławku. Oddano do skła-
dania 20. IX. 1967. Podpisano do druku 8. II. 1968. Druk ukoń-
czono w lutym 1968 r.

Zam. nr 605/67

L-016-191

Cena zł 25.—

Printed in Poland by Drukarnia Wydawnicza w Krakowie



28658/

1

